

Ktoś ją obserwuje i wie, że jest sama



granice zła

Rebecca Griffiths

Prószyński i S-ka

Rebecca Griffiths

granice
zła

Przełożył
Łukasz Praski

Prószyński i S-ka

Pięćdziesiąt lat wcześniej

Przez szparę między zasłonami w oknie do jej sypialni wsuwa się biały jęzor światła sierpniowego księżyca. Kiedy słyszy szcęk furtki prowadzącej na podwórko Cwm Glas, jej wyschnięte usta wypełnia lodowaty strach. Ojciec i bracia wracają z The Bear w Bryngwyn, gdzie zdążyli jeszcze zamówić ostatnią kolejkę. Beth otula się szczelniej pościelą, zapina górne guziki koszuli nocnej i czeka. Czeką, aż ich pijackie hałasy jak zwykle rozplyną się w mroku.

Lada chwila schody zatrzeszczą pod ciężkimi butami i przyjdzie Emyr. Ostatnio to on jest pierwszy w kolejce, nie ojciec, który przestał, gdy zaczęła krwawić. Beth chciałaby się teraz znaleźć w stodole. Tam jest bezpiecznie. Chciałaby się wspiąć po toczonej przez korniki drabinie, z Daiem, który pedałuje przez pola, żeby się z nią zobaczyć. Wcisnąć posiniaczone ciało między bele spleśniałego siana a worki z paszą i słuchać oddechu Tiny'ego, jej pieska wypatrującego zagrożenia między listwami podłogi.

Przy każdym trzasku i łomocie dobiegającym z dołu jej ciało sztywnieje i wiotczeje na przemian. Zdarte od prac w domu palce reagują na agresywne krzyki, wbijając paznokcie w dłoń i żłobiąc w skórze małe półksiężyce, ale nie chce zapalać światła, by je zobaczyć. Czasem wpatruje się w swoje ręce i dziwi się, jak bardzo są podobne do rąk nieżyjącej matki. Czerwone, spierzchnięte i większe niż powinny być przy jej wzroście, bo zawsze jej powtarzano, że jest mała, a to jeszcze jeden powód, żeby ją bić. Jak gdyby była winna, że jest niska jak na swój wiek. Jak gdyby była winna, że oko jej zezuje.

Drzwi pokoju otwierają się na oścież. Na progu zatacza się pijany i milczący Emyr. Zwalista sylwetka, rysująca się na tle światła gołej żarówki na podeście, wypełnia całe drzwi. Przeraża ją bezmyślny wyraz, jaki z pewnością maluje się na świńskiej, różowej twarzy, przeraża pomarańczowy puch porastający potężne przedramiona. Czując jego cielsko kołyszące się u nóg łóżka, Beth podkula bosc stopy i słyszy cichy odgłos zsuwanych butów, szelest ubrania i zgrzyt rozpinanego rozporka, kiedy uwalnia się ze spodni, które cuchną od lat spędzonych przy owczych odchodach i łóżyskach. Nie broni się ani nie płacze, gdy zrywa z niej lekką zasłonę pościeli i podciąga koszulę, odsłaniając nierozwinięte jeszcze czternastoletnie ciało. Czasy łez i rozpaczliwej walki już minęły. Dawno temu nauczyła się wyłączać umysł, myśli więc o czymś innym.

Tym razem Emyr potrzebuje niewiele czasu, a kiedy znów zostaje w ciemnościach sama, modli się, żeby Rhys, Wynn i Idris byli równie szybcy. Czekać na nich, odwraca głowę na bok i wtula drobną twarz w poduszkę, która zalatuje stęchlizną, szukając pocieszenia, którego tam nie ma, mruga w ciemnościach, czując, jak dziwnie suche są jej oczy.

Współczesność

Spróbuj. Poświęciła prawie cały dzień, żeby tu dotrzeć. Zobaczy, jak wszystko się ułoży wiosną. To jedyny sposób, by uporać się z przeszłością, źródłem jej kłopotów. Taki przynajmniej jest plan. I zgodnie z nim pierwszej nocy pochyła się nisko nad brzegiem wanny, starając się nie ochlapać nieskazitelnie białych kafelków ciemnobrązową farbą do włosów Nice'n Easy. Czuje się już znacznie bezpieczniej, odkąd występuje pod innym nazwiskiem, i ma nadzieję, że dzięki nowemu kolorowi włosów będzie jeszcze bezpieczniejsza. Mokry i zimny kołnierz bluzki, którą powinna wcześniej zdjąć, lepi się do skóry, ale ona nie przerywa: spłukuje i spłukuje; trzyma prysznic wysoko nad głową, a miękka walijska woda, najwidoczniej nie mając ochoty pozbyć się ciemnej barwy, spływa kaskadą po włosach, które jeszcze dwadzieścia pięć minut temu miały piękny złoty kolor. Przygląda się wirowi wokół odpływu w nadziei, że woda porwie ze sobą jej dawne życie.

Aby powstrzymać myśli przed błędzeniem wokół spraw, o których wolałaby zapomnieć, monotonicznie powtarza swoje imię i nazwisko, chcąc się oswoić z ich brzmieniem:

– Rachel Wright... Rachel Wright.

Wyobraża sobie zamaszyste zawijasy podpisu, który zaczęła ćwiczyć. Mówi z takim naciskiem, że głos jej drży, i poczułaby się skrępowana, gdyby ktoś ją usłyszał, ale kto jej słucha? W pobliżu nie ma nikogo, więc jakie to ma znaczenie? Najważniejsze to nie myśleć. Nie o tym. Naturalny kolor naznaczył jej los, snuł intrygi za kulisami, zwiastował kłopoty. Nawet matka, która powinna stać po jej stronie, powiedziała, że jeśli ktoś ma szczęście urodzić się blondynką o miodowej cerze i ciemnoniebieskich oczach tak jak ona, to zasługuje na wszystko, co go w życiu spotyka. Jeżeli wyróżniasz się z tłumu i niezależnie od własnej woli zwracasz na siebie uwagę ludzi, dobrze ci tak i nie możesz się skarżyć, kiedy ściągniesz na siebie nieszczęście.

Przestaje powtarzać nazwisko. To na nic. Obrazy przeszłości są zbyt żywe i wyraziste, a uwiązane do niej nieskończenie długą wstęgą, mogłyby ją pociągnąć z powrotem do miejsca, z którego usiłuje się wyswobodzić. Z dołu dobiega jakiś stukot. Zakręca kran i nasłuchuje. Może krowa otarła się o furkę, tyle że najbliższe krowy są co najmniej dwa pola dalej, na farmie Cwm Glas. Pewnie wiatr. Wiatr, który tłucze w gęstą, aksamitną czerń za oknem. Czerń, jakiej nigdy nie widziała w Londynie. Kiedy ogarnęła jej stodołę zaadaptowaną na dom, przeżyła największy szok. Dlatego że tu nie ma latarni na ulicach. Nie ma tu nic.

Zamyka oczy i po omacku sięga po buteleczkę z odżywką. Niezdarną dłonią w gratisowej plastikowej osłonce łapie róg pudełka, którego zawartość wpada do wanny. Zaglądając do niej, odczytuje nazwę „Clairol” wydrukowaną rozstrzelonymi literami na wierzchu opakowania.

Claire.

Widzi łagodną twarz nowej żony swojego byłego męża, macochy swojej trzynastoletniej już córki.

Spłukuje z myśli jej widok i odkręca butelkę, która skusiła ją wyzwaniem, by zdobyła się na „nowy odcień odwagi”, kiedy przeglądała półki w sklepie Boots na dworcu Paddington. Wyciska odrobinę odżywki, wmasowuje we włosy i z niecierpliwością czeka na obiecany lśniący połysk za sześć funtów.

Wreszcie kończy, zdejmując polietylenowe rękawiczki i rozciera sobie dół pleców. To nie był najlepszy pomysł. Na pewno nie po tym, jak dźwigała i taszczyła rzeczy po odjeździe ciężarówki z RiteMove. Przywołuje z pamięci obraz dwóch brzuchatych pięćdziesięciokilkulatków stojących w kuchni, identycznie spoconych, w bliźniaczych błękitnych koszulach z aerteksu i niecierpliwie przestępujących z nogi na nogę. Narzekając, że samochód stoi niepilnowany na środku prawie pustej drogi, zostawili większość ciężkich rzeczy, by sama je przeniosła.

– Nic nie szkodzi – powiedziała, nie mając ochoty oglądać ich skwaszonych min. Odprawiła ich machnięciem ręki. – Jedźcie. Poradzę sobie.

Dla niej to żadna nowość. Zawsze jakoś sobie radziła, ponieważ w trzydziestosześcioletnim życiu spotkała niewiele osób, oprócz ojca, na których mogła polegać. To takie marne wyrażenie „radzić sobie” – jak gdyby robić coś tylko połowicznie. Rozmyślała nad tym, montując łóżko. Osoba, z którą załatwiała rezerwację i która przyjmowała płatność kartą kredytową, zapewniła ją przez telefon, że łóżko po przywiezieniu zostanie złożone. Powinna spróbować uszczknąć część swojego cennego spadku; nie żeby miała czym szastać. Ale tego nie zrobi; przeprowadzka do Walii ma być nowym początkiem, wolnym od negatywów. Z uśmiechem pociesza się myślą, że przynajmniej zmusiła ich, by wnieśli po schodach podwójny materac.

2

Idris Tudor mógłby przysiąc, że kiedy pierwszy raz zobaczył tę dziewczynę, miała długie blond włosy. Ale obserwując ją, jak wchodzi stromym szlakiem wydeptanym przez owce na przeciwległym wzgórzu, widzi, że są ciemne i krótsze.

Zmienia pozycję swojego cielska za oknem na piętrze, a jego oddech pokrywa parą szybę, która i tak lepi się od brudu. Uważa, by nie dotknąć lornetką firanek, nie dlatego, że są gęsto upstrzone przez muchy i nikomu nie chciało się ich zmieniać od czasów, kiedy żył ojciec, ale boi się, by jakikolwiek ruch nie zaalarmował dziewczyny, nawet z takiej odległości. Idris niepotrzebnie się jednak obawia, bo to prawie niemożliwe, by ktoś mógł go zobaczyć. Przede wszystkim dziewczyna jest za daleko, a nikomu poza listonoszem Evansem nie przyszłoby do głowy zapuszczać się w głąb tej wąskiej dróżki, która prowadzi donikąd.

Skubie czyrak na szyi, ale nie potrafi go złapać. Oglądając poobgryzane paznokcie, dochodzi do wniosku, że nie poradzą sobie z tym zadaniem. Szkoda, myśli, ponownie skupiając wzrok na zgrabnym, krągłym tyłku w obcisłych dżinsach wspinającym się po ścieżce. Wolał ją jako blondynkę. Blondynki bardziej mu pasują. Mimo to całkiem niezła sztuka. Pierwszorzędna jak na tę okolicę. Nie po raz pierwszy zastanawia się, skąd przyjechała i dlaczego mieszka sama. Zresztą bez względu na powody na pewno bije na głowę babskie typy, które Idris spotyka podczas dwudniowych wyjazdów ciężarówką do Somerset.

Nigdy nie miał szczęścia do kobiet. W szkole nie miał dziewczyny, zresztą spędził tam niewiele czasu; nie cierpiał dyscypliny na lekcjach ani panującej na podwórku hierarchii i trzymał się od dziewczyn z daleka. Oczekiwał, że sytuacja się poprawi, gdy będzie starszy, dlatego razem ze swoim bratem Wynnem zapisali się do biura matrymonialnego w Llandafen. Ale boleśnie się rozczarował, bo nawet i tam wciąż miał do czynienia z paskudnymi starymi wiedźmami. Najwyższy czas, żeby trafiło mu się coś lepszego.

Ponownie przykłada lornetkę do oczu, kieruje ją w stronę dziewczyny, która spaceruje po wzgórzu, i czuje, jak czerwone znamię na policzku pali go z podniecenia. Przeszywa go dreszcz zachwytu. W swojej kryjówce jest na tyle bezpieczny, że może bez pośpiechu chłonąć jej widok. Brrr. Otrząsa się energicznie jak mokry pies, kołyszając podgardlem. Nawet w kaloszach i skafandrze dziewczyna wygląda do rzeczy. A Idris zastanawia się, nie po raz pierwszy od kilku dni, co może zrobić, żeby się do niej zbliżyć.

3

Dzwonek u drzwi rozlega się dokładnie w tym momencie, gdy Jennifer D’Villez przykłada słuchawkę do ucha.

– Och, Lynette! Cześć. – Lekko zdyszana przyciska dłoń do czoła gestem sugerującym, że boli ją głowa. – Przepraszam, możesz chwilę poczekać? Ktoś stoi za drzwiami. – Z cichutkim stukiem odkłada słuchawkę na lakierowany mahoń stolika pod telefon, który kiedyś należał do jej matki.

Na progu stoi pan Antonelli. Ogrodnik. Oczy w różowych obwódkach obrzucają Jennifer przelotnym spojrzeniem, po czym zaglądną w głąb wykwintnie umeblowanego korytarza numeru siedemdziesiąt siedem.

– Mówiłem panu D’Villez, że wpadnę w tym tygodniu posprzątać przed przymrozkami. – Wciąż mówi z twardym neapolitańskim akcentem, mimo że od dwudziestu lat mieszka w londyńskiej gminie Haringey z widokiem na Canary Wharf.

– Bardzo proszę – odpowiada, nie tłumacząc mu, co się w tym czasie stało z panem D’Villez. – Na pewno pan wie, gdzie wszystko jest. – Wrzuca mu pęk kluczy do małej pulchnej dłoni w nadziei, że któryś z nich pasuje do szopy zmarłego męża. – Przyniosę panu herbaty.

– To bardzo miło, proszę pani.

Człapiąc, rusza za dom, a ona czeka na charakterystyczne skrzypnięcie zamka furtki, by wrócić do środka i kontynuować przerwana rozmowę.

– Lynette, jesteś jeszcze? Przepraszam cię, to sprawa umówiona przez Donalda. – Jennifer sadowi się wygodnie na aksamitnym obiciu siedziska i zakłada nogę na nogę, by w milczeniu ocenić niezwykle korzystny dla sylwetki krój nowych dżinsów Armaniego.

– Dzwonię, żeby zapytać, jak się czujesz. – Lynette Brown, kobieta, która bardzo się stara wyglądać jak Mariella Frostrup z BBC, zaczęła tak samo okraszać uśmiechem każde zdanie.

Jennifer, ubrana w sweter z wełny merynosa, trochę się uspokaja. Lubi Lynette Brown, która ze swoim handicapem poniżej pięciu jest świetną partnerką do golfa.

– Och, kochana jesteś, że o mnie myślisz. U mnie wszystko w porządku, jestem... stale zajęta. – Jennifer nie opowiada jej w szczegółach, jak zaczęła się pozbywać rzeczy nieżyjącego męża, kipiąc od pomysłów na odzyskanie Pokoju Donalda, bo tak zawsze nazywano tę męską przestrzeń, w której, choć była częścią jej domu, Jennifer nigdy nie czuła się swobodnie. – Jak mówiłam na pogrzebie Dona, to naprawdę była ulga – tyle się biedaczek wycierpiało przez te wszystkie lata.

– Miałaś już jakieś wieści od Sarah? – pyta Lynette.

– Nie odezwała się ani słówkiem – odpowiada głosowi, w którym pobrzmiwa żartobliwa nuta. – Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że zostanie, zwłaszcza po zatwierdzeniu testamentu.

– I co o tym sądzisz? Że Donald wszystko zapisał Sarah?

– To były jego pieniądze – oznajmia chłodno Jennifer, trochę zaskoczona obcesowością przyjaciółki; nigdy nie lubiła rozmawiać o pieniądzach. – Uzgodniliśmy to wiele lat temu. – Tak właśnie wyglądała nasza bliskość i więź między ojcem a córką, której nie miałam szans przeniknąć, myśli, choć nie mówi tego głośno. – Świetnie – ciągnie, wbrew sobie nadając głosowi pogodny ton. – Dzięki temu ma

możliwość wyboru. Stała się niezależną kobietą.

– Czyli nie masz pojęcia, dokąd wyjechała?

– Błatego – wzdycha Jennifer. – To dla mnie absolutna tajemnica.

– Może pojechała do znajomych, co? O których nic z Donaldem nie wiedzieliście?

– Jakich znajomych? Kisiła się z nami przez ostatnie dziesięć lat. Odkąd rozstała się ze Spencerem i przyjechała do nas, naprawdę trudno ją było zmusić do wyjścia z domu. – Jennifer prychnęła krótkim śmiechem. – Nie, przykro mi to mówić, ale wszyscy znajomi, jakich miała, dawno temu dali sobie spokój.

– Czemu nie spróbujesz jej znaleźć? – sugeruje Lynette.

– Od czego miałabym zacząć?

– Pamiętasz Audrey, Audrey Reardon?

– Audrey? – Jennifer gorączkowo szpera w pamięci.

– Tak, znasz ją: rude włosy, ciężka biżuteria, kiedyś grała z nami w brydża.

– Jak przez mgłę, mogłam ją widzieć raz w życiu.

– No więc przestała przychodzić, kiedy mąż ją zostawił, do tego właśnie zmierzam. Ważny dyrektor, nie pamiętam, w jakiej firmie, w każdym razie uciekł ze swoją sekretarką. Dwa razy młodszą od siebie, szok. – Jennifer słyszy jej głośny wydech. – Sukinsyn wszystko zaplanował. Zniknął z dnia na dzień. Audrey mówiła, że wróciła do domu z zakupów i zobaczyła, że nie ma jego rzeczy. Zostawił ją na lodzie, z rachunkami, kredytem, czesnym dzieci – ale znalazł go, nie pytaj jak, facet, którego wynajęła, prywatny detektyw. Mogłabym zdobyć dla ciebie jego numer.

– Ooch, sama nie wiem – waha się Jennifer. – To brzmi za bardzo dramatycznie, jak jakaś historia z telewizji.

– Zastanów się nad tym, warto spróbować.

– Może. – Jennifer wciąż nie jest przekonana. – Dam ci znać; mam nadzieję, że nie trzeba będzie sięgać aż po takie środki. Chcę najpierw spytać kogoś, kto jest w pobliżu.

– Ach, tak. A kto to taki? – dopytuje się Lynette.

– Raczej mało prawdopodobne, powiem ci, jeżeli coś z tego wyjdzie.

– Szkoda, że ci nie powiedziała, jakie ma plany, oszczędziłaby ci zmartwienia – grucha przyjaciółka. – Zawsze miało się wrażenie, że jesteście sobie bardzo bliskie.

Tak? dziwi się Jennifer. Naprawdę? Na powierzchni wystygłej kawy zrobił się kożuch przypominający jej skórę: pomarszczony, cienki, ściągnięty na brzegach, nie zamierza jednak dać się pogrążyć lękom przed własną śmiertelnością. Przez kilka ostatnich lat za dużo mówiło się o śmierci. Swoją Donald z pewnością za bardzo odwlekał. Jennifer jest już wolna, może przechodzić z dziewczynami osiemnaście dołków bez wyrzutów sumienia, że zostawia go samego z Sarah. Chociaż zawsze wolał być z Sarah, prawda? Czy nie o to przede wszystkim chodziło? Czuli się w domu jak niepożądany gość od chwili, gdy przyniosła wytęsknioną córeczkę ze szpitala położniczego. Jego ukochane dziecko. O prześlicznych złotych włosach, smukłej figurze i uderzająco niebieskich oczach. Jennifer często spoglądała na córkę, zastanawiając się, skąd się wzięła. Nie miała w sobie niczego z niej – kobiety, która musiała się bardzo starać, żeby tak dobrze wyglądać. Gdyby nie urodziła jej trzydzieści sześć lat temu, nigdy by nie uwierzyła, że to jej dziecko.

Lynette wciąż trajkocze, a Jennifer wraca do rozmowy, zmuszając się do skupienia uwagi, która przez chwilę błędziła gdzie indziej, i spogląda na wypielęgnowane paznokcie.

– ...no więc powiedziałam, że w tym tygodniu zajmę się kwiatami, ale jeżeli ciągle będzie nam sprawiać taki zawód...

Stukanie w drzwi na taras. Jennifer wychyla się z aksamitnego siedziska przy telefonie, by zobaczyć,

czy to znowu kos rzuca się na szybę. Nie. To pan Antonelli. Rozpromienia się w uśmiechu, zaglądając za własne odbicie, i oblepionymi ziemią krótkimi palcami pokazuje gest picia z kubka.

Bezczelny drań, myśli, dziękując Lynette za telefon i żegna ją:

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu w klubie.

– Obiecujesz? – Słowo brzmi jak łagodny uśmiech, który przeciska się przewodem i wypływa przez słuchawkę.

– Obiecuję.

– Spróbuj się nie martwić; Sarah na pewno się odezwie, kiedy się już urządzi, a jeżeli nie, to powiedz, dam ci numer do tego człowieka.

Rachel budzi się po dziewiątej i przez dłuższą chwilę przypomina sobie, gdzie jest. Zdezorientowana i mokra od potu, przyciska palce do czoła i klatki piersiowej, zanurzając je w kałuży wilgoci, jaka zebrała się w rowku między piersiami. Koszula nocna lepi się do skóry, a falbanka przy szyi i prześcieradło, na którym leży, są równie przemoczone. Dźwiga się z łóżka z głową pełną obrazów pozostawionych przez kolejny koszmary sen, wkłada szlafrok i stare wędkarskie skarpety ojca, po czym schodzi na dół, tłumiąc ziewnięcie dłonią zwiniętą w pięść. Od wyjazdu z Londynu dręczą ją gorsze sny, w których wizje krwi i cierpienie wydają się wyraźniejsze, bardziej rzeczywiste; przez nie boi się zasnąć.

Masując w roztargnieniu bliznę w kształcie rozgwiazdy na nadgarstku – jeszcze jedną pozostałość dawnych cierpień – słyszy dobiegające spod wielu warstw burczenie w brzuchu. Jest głodna, choć myśl o mizernej zawartości lodówki nie zachęca jej do przygotowania śniadania. Musi znaleźć porządny supermarket, ponieważ wątpi, by miejscowa stacja Esso była dobrze zaopatrzona. Wciąż jednak ma opory przed wyjazdem do Llandafen, mimo że Tracy Morgan, sąsiadka z farmy Cwm Glas, zaproponowała, że ją zabierze, by pokazać jej okolicę.

Czego się boi – że ludzie ją rozpoznają? Dotąd nie poznali, a z ciemnymi włosami wygląda zupełnie inaczej. Ale z przyzwyczajenia rodzi się następne i od dnia, w którym została wyrzucona z samochodu na końcu ulicy rodziców po jedenastu dniach niewoli i poniżania seksualnego, Rachel musi się zdobyć na ogromny wysiłek, by gdzieś pójść i zrobić rzeczy, które uważa się za coś normalnego. Z powodu tego, co przeżyła, w każdym widzi potencjalne zagrożenie i nie może przestać oglądać się przez ramię.

Zaledwie kilka dni po pogrzebie ojca zjawiała się posterunkowa Ruth Blackwood, jak okropny podmuch przeszłości. Jej życzliwa twarz za witrażową szybą w drzwiach domu matki wyglądała jak rozszczepiona na kawałki we wszystkich kolorach tęczy.

– Proszę mi obiecać, że nie wpadnie pani w panikę – powiedziała do niej spokojnym głosem kobieta, która awansowała już na sierżanta i przyszła ubrana po cywilnemu. – Chciałam tylko panią uprzedzić, że Blundellowi obniżono stopień ryzyka, a teraz składa wniosek o zwolnienie warunkowe i prawdopodobnie wyjdzie jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Nie, niech się pani nie martwi, będzie musiał spełnić tyle warunków, że równie dobrze może zostać w więzieniu. Nie, chodzi o to, co robi prasa, kiedy rozejdzie się wiadomość, a jeżeli się pamięta, przez co pani przeszła za pierwszym razem... – Twarz sierżant Blackwood skrzywił grymas. – Lepiej by było wyjechać gdzieś na pewien czas i przeczekać.

To sierżant Blackwood podsunęła Rachel pomysł wyjazdu do Walii. Plan zmiany nazwiska, wyglądu i rozpoczęcia nowego życia w miejscu, gdzie nikt jej nie znał, skryzalizował się pewnego wilgotnego popołudnia pod koniec wiosny przy dzbanku herbaty i bułeczkach upieczonych przez sprzątającą u matki panią Pepper – okrągłą jak słoiczek Marmite'a, w brązowych półbutach na płaskich obcasach, z trwałą ondulacją domowej roboty, pachnącą pszczelim woskiem – która kręciła się przy niej, zerkając nerwowo zza okularów w rdzawych oprawkach.

– Gdzie czuła się pani najszcześliwsza? – spytała ponurym głosem Ruth Blackwood, gdy pani Pepper wstawiała odkurzacz do schowka pod schodami. Rozsądek oszczędził jej fatygi tłumaczenia, że tablety

natychmiast odgrzeją tamtą historię, przypomną czytelnikom o Rachel i ujawnią jej miejsce pobytu, ułatwiając zadanie Blundellowi, gdyby próbował ją znaleźć. Być może świeżo awansowana Ruth Blackwood – która siedziała przy stole, położywszy na nim dłonie ciasno splecione palcami o krótkich paznokciach – uznała, że odcinając dopływ tlenu, nie podsycając płomieni strachu huczących w sercu Rachel, doprowadzi do tego, że ogień sam zgaśnie.

Rachel nie spieszyła się z udzieleniem odpowiedzi. Nie dlatego, że się nad nią zastanawiała, ale chciała się przez chwilę rozkoszować tym, co pytanie policjantki wyłowiło z jej pamięci.

– Na rybach – odrzekła w końcu, myśląc o długich letnich dniach, kiedy słońce prażyło ją w plecy, a w powietrzu roiło się od owadów. – Kiedy siedziałam z ojcem nad Tywi i wędkowałam.

Słodko-gorzkie wspomnienie, które towarzyszyło jej od dzieciństwa i złamało rozptylającą się na języku truskawkową słodycz dżemu i nadziewanej owocami bułeczki. Bo wędkowanie budziło też inne skojarzenia. Sierżant Blackwood wiedziała to w chwili, gdy Rachel wypowiedziała to słowo; wędkowanie obudziło jej własne wspomnienia z tego dnia. Dnia pogrzebu. Kiedy milion ludzi ustawił się w szpaler wzdłuż trasy do opactwa westminsterskiego, a ponad osiemdziesiąt procent funkcjonariuszy policji metropolitalnej było na służbie i gotowało się w mundurach galowych pod straszliwie, karykaturalnie błękitnym niebem w upale, jaki niespodziewanie zawisł nad miastem w tę sobotę na początku września. Nie byli tam, bo przewidywali zamieszki, ale też chcieli pożegnać zmarłą księżną. Właśnie wtedy, gdy uwaga reszty kraju, może i całego świata, skupiała się bez reszty na armatniej lawecie z trumną okrytą królewskim sztandarem, kobiecie siedzącej teraz naprzeciwko niej, wówczas dziewiętnastoletniej, przyłożono nóż do gardła i uprowadzono ją ze stajni wyścigowych w odległym Northamptonshire.

Zamiast więc zρέcznie omijać temat Blundella, sierżant Blackwood nieumyślnie nakierowała rozmowę wprost na niego. Sarah – bo tak wtedy miała na imię – opowiadała mu właśnie o wędkowaniu po tym, jak wepchnął ją do furgonetki, zakneblował i zawiązał jej oczy, po czym zdezorientowaną i przerażoną wywiózł Bóg wie dokąd. Przeżyła dzięki swojej wiedzy o technice łowienia ryb. Mówiła o niej przywiązana sznurem do krzesła, kiedy nie plugawił jej ciała w tamtej nędznej chałupie na odludziu. Mówiła o wiązaniu much do przyponów. O zaletach wędkarstwa muchowego. O różnych metodach zarzucania. O najlepszych rzekach pstrągowych i łososiowych. Do czego dobierać jakie muchy. Opowiadała o dreszczu emocji po złowieniu swojej pierwszej ryby. Zasypywała go tymi wszystkimi anegdotami, gdy brutalnie traktował jej ciało, a potem zostawiał samą w chłodzie i ciemności, gdzie nie słyszała nic oprócz śpiewu ptaków. Żadnych samochodów, żadnych ludzi. Podczas późniejszych przesłuchań mówiła policjantom, między innymi młodszej Ruth Blackwood, że dzięki ich wspólnemu hobby porywacz złagodniał. Że cenne wspomnienia z dzieciństwa uratowały jej życie.

Zostajemy tak do świtu. Martwa dziewczyna i ja. Siedzimy obok siebie jak para dobrych znajomych, za szybą, o którą bębni deszcz. Jest już cicho i nie chcę, żeby ten czar prysł. Miło jest mieć towarzystwo; czasem tak bardzo doskwiera mi samotność. Dziwne, ale nie wydaje mi się, żeby naprawdę taki był plan; coś poszło nie tak. Tracę panowanie nad sobą.

Wszystko przez to, że zaczęła krzyczeć, naprawdę głośno krzyczeć. Źle znoszę takie hałasy. Za bardzo przypominają mi czasy dzieciństwa, kiedy rodzice bez przerwy skakali sobie do oczu, a mnie obezwładniała bezsilność. Ale dziewczyna ani myślała przestać. Żadne prośby nie skutkowały. Dlatego trzeba było przyjechać aż tutaj, daleko od głośnego oddechu morza; przecież ktoś mógłby usłyszeć.

Moja dłoń tylko zakryła jej wrzeszczące usta. Ten głos doprowadzał mnie do szału, mącił mi myśli. Wtedy mnie ugryzła. Mocno. Jej zęby wbiły się jak ostre noże w miękką część mojej ręki. A potem pojawiła się krew. Moja krew.

To nie było w porządku, prawda? Nie można było na to pozwolić.

Dai Jones ostrożnie uchyla okno w kuchni i wpuszczając do środka mocny podmuch jesiennego wiatru pachnącego mokrym mchem, grzechocze pudełkiem karmy Go-Cat, próbując zwabić Gabriela z ogrodu. Jego myśli znów zbaczą w stronę kobiety, która właśnie się wprowadziła do starej stodoły Tudorów. Wyczuł w niej pewną bezbronność, która natychmiast przypomniała mu o Beth. Dai niecałe trzy miesiące temu pochował żonę, z którą spędził blisko czterdzieści lat, nie powinien więc w ogóle myśleć o Beth, tylko o Elsie, dlatego czuje wyrzuty sumienia.

Zostawia kota w spokoju i wraca do śniadania, wkrótce jednak jego uwagę odwraca jakiś ruch widziany kątem oka. Unosi wzrok znad dwóch grzanek z pełnoziarnistego chleba, które skrupulatnie smaruje masłem, i za oknem kuchennym nad chromowanym kranem widzi mlecznobiałą i okrągłą jak księżyc twarz panny Roberts.

– Właśnie przechodziłam – ćwierka głosem przenikliwym jak wiatr, który szalał całą noc i nie ustał z nadejściem ranka. – Mogę wejść?! – woła, stojąc już na splątanych arabeskach dywanu w salonie. Wpuszcza do domu kota i kłęb rdzawych liści. – Szłam właśnie posprzątać w sali i... przyniosłam ci walijskie ciasteczka. – Musiała się zerwać razem z kurami, bo przykryty serwetką talerz jest jeszcze ciepły, trudno więc protestować przeciwko takiej szczodrości.

– W ogóle nie dbasz o moją linię. – Dai próbuje się uśmiechnąć. – Kiedy moja Elsie nie może mnie już pilnować. – Klepie się po brzuchu, zadowolony, że miał okazję wspomnieć w rozmowie imię zmarłej żony. Nie chce, żeby ta kobieta zaczęła sobie coś wyobrażać. Chociaż patrząc na nową apaszkę Dilys i szminkę pod kolor, obawia się, że być może już na to za późno.

Dilys Roberts. Miejskowa plotkarka. O płaskim biuście i równie płaskich stopach oraz ciężkiej sylwetce i równie ciężkich lokach. Ma dobre zamiary. Właśnie dlatego Dai stara się być miły. Jego żona nie tolerowała wścibskich, ale nie może go już przed nimi chronić. Elsie spoczywa głęboko pod zimną ziemią koloru terakoty na cmentarzu przy kościele w Bryngwyn, pozostawiwszy go bezradnego i narażonego na sztorm jak odkryta plaża, bezbronnego wobec wszystkiego, co fala wyrzuci na brzeg. Dai wyciąga rękę, bierze talerz ze słodkim podarunkiem i robi miejsce na zastawionym bibelotami kredensie. Musi odsunąć na bok rodzinne zdjęcia w srebrnych ramkach i porcelanowe pasterki z Royal Doulton, które uśmiechają się kokieteryjnie spomiędzy pamiątek z Tenby i Conwy. Rzeczy pozostawione przez żonę.

– Masz czas na herbatkę? – pyta z uprzejmości Dai, gdy Gabriel, mrużąc i krążąc wokół niego, ociera się o jego łydki dostojną kruczoczną sylwetką.

– Och, chyba nie powinnam – mówi Dilys, po czym zrzuca płaszcz i opada na kanapę, tłamsząc przy tym przed chwilą poprawioną poduszkę. Kiedy jest już w pozycji siedzącej, jej dłonie zderzają się dźwięcznie z obfitymi udami; ten odgłos najwyraźniej sprawia jej przyjemność. Dai myśli o Elsie, wracając do maleńkiej, nieskazitelnie czystej kuchni – jeszcze jednej pamiątki po czterech dekadach spędzonych razem – i przez szum wrzącej wody słucha pełnego dezaprobaty cmokania zmarłej żony.

– Poznałeś już tę nową?! – woła Dilys, przekrzykując szum czajnika. Dai nie odpowiada, ponieważ uśmiecha się do Gabriela, który z głową w płytkiej plastikowej miseczce delectuje się śniadaniem po

przebalowanej nocy. Po chwili znów słyszy głos Dilys, zniecierpliwiony, jak gdyby sądziła, że trzeba mu wyjaśnić: – Kobieta, która się wprowadziła do starej stodoły Tudora?

Dai ustawia na tacy kubki z parującą herbatą. Kiedy z niepokojem uświadamia sobie, że wie, jaką oboje piją – dla niego jedna kostka cukru, dla niej dwie plus odrobina mleka – stara się to jakoś naprawić, postanawiając nie skorzystać z ulubionego serwisu Elsie.

– Znam ją z widzenia, na tyle, żeby do niej pomachać – mówi, wchodząc do salonu. – Od czasu do czasu przechodzi przed domem. – Stawia tacę z gracją zawodowego kelnera, uważając, by nie dotknąć odkrytych nylonem kolan Dilys. Sięga za siebie po talerz ciastek, myśląc o równo zrumienionych grzankach, które już na pewno wystygły.

– Podobno jest z Londynu.

– Naprawdę? – odpowiada, nie prosząc o wyjaśnienia.

– Z tego co ludzie mówią, nie ma męża.

– Nie?

– Bardzo ładna. Można by pomyśleć, że takiej ładnej dziewczynie będzie towarzyszyć mężczyzna, prawda?

– Pewnie tak by można pomyśleć.

– Trochę to dziwne, nie sądzisz?

– Skoro tak mówisz.

Dilys, jak gdyby zapomniawszy o jego obecności, decyduje się na drugie ciastko i siorbie z kubka. Dai odwraca wzrok, przygląda się bańce, która tworzy się i pęka na powierzchni jego herbaty.

– Wiesz co, jesteś do niczego. – W słowach Dilys brzmi zaczepny ton.

– Naprawdę? – Nie wydaje się zainteresowany.

– Wprowadza się do nas ktoś nowy, a ty nie masz nic do powiedzenia? – Parska piskliwym śmiechem małej dziewczynki.

Czując protest pustego żołądka, Dai bierze ciastko Dilys i przykłada do warg, by skosztować. Jest słodkie, apetyczne, na tyle małe, że można je całe włożyć do ust. Smaczne, myśli, czując, jak rozpląwa się na języku. Dużo porzeczek. Dai lubi porzeczkę. Prawdę mówiąc, woli świeże niż suszone. Ma pełną zamrażarkę czerwonych i czarnych porzeczek zebranych w ogrodzie w lipcu tego roku. Gdyby tylko mógł, najchętniej siedziałby teraz w ogrodzie, przycinał krzewy i porządkował przed prawdziwym początkiem zimy. Chce ściąć jeszcze ostatnie róże na grób Elsie, zanim odbierze mu je wiatr.

– Anthony odzywał się do ciebie? – Dilys jest dobra w podtrzymywaniu rozmowy. Patrząc na smużki pary pokrywającej szkła jej okularów w niebieskich oprawkach, widzi, jaka jest głodna wiadomości o chłopcu, którego dorastanie obserwowała, i ciągle prosi, by go od niej pozdrowić.

– Dzwonił wczoraj wieczorem. – Na wspomnienie tej niezręcznej rozmowy Dai pociera palcami czubek nosa. – Miło mi cię poinformować, że Merrill i dziecko czują się dobrze. Powiedział, że dzisiaj wyjdą ze szpitala.

– Och, to wspaniała wiadomość. Wybrali już imię dla maleństwa?

– Seren – mówi, wiedząc, jaką jej to sprawi przyjemność.

– Dobre walijskie imię. Zuch z tego Anthony’ego.

Dai uśmiecha się, tym razem szczerze. Dumny z wnuka, którego prawdopodobnie nie pozna.

– Postanowiłeś już, czy do nich pojedziesz? – Dilys w gryza się w ciastko numer trzy. Językiem różowym jak u jego kota przeszukuje kąciuki ust, sprawdzając, czy nie zostawiła żadnych okruszków.

– Jeszcze się zastanawiam. – Patrzy na jej wąsik przyprószony cukrem pudrem.

– Powinieneś jechać: to by wiele dla nich znaczyło.

Dai nie jest przekonany. Dobrze pamięta, jak pojechał do nich z Elsie, kilka miesięcy przed

postawieniem jej diagnozy. Jedyne raz w ciągu wszystkich lat, jakie Anthony tam spędził. Jego synowa Merrill, choć bardzo miła, miała mu niewiele do powiedzenia.

– Brisbane jest tak daleko... nie wiem. – Dai popija herbatę, myśli o tym zamieszaniu, o godzinach spędzonych w zamkniętej metalowej puszcze, lecącej przez pół świata. Wyobraża sobie ich twarze na lotnisku. Szybko by się nim znudzili. Oczywiście z Elsie byłoby inaczej. Elsie by wiedziała, co się robi z noworodkiem, on nie ma o tym pojęcia. – Poza tym – wzdycha – chyba robię się za stary, żeby się tak szwendać po świecie.

– Bzdury, Davidzie Jones. – Dilys odrzuca do tyłu głowę. – To ci dobrze robi. Na pewno pogoda. – I spogląda na cętki deszczu pokrywające szybę, a pochylając się, znajduje na swoim bucie mokry liść, którego wcześniej nie zauważyła.

– Pomyślę o tym – powtarza, wiedząc, że to nieprawda.

– Anthony pewnie tęskni za matką.

Dai chętnie przypominałby Dilys, że matka i syn prawie w ogóle się nie widywali przez ostatnie piętnaście lat jej życia, ale tego nie robi, widząc, jak jej oczy zasnuwa ta perłowa szklistość, ilekroć pada imię Anthony'ego.

– Ten chłopak... – Kąciki jej ust opadają, co pogłębia wyraz smutku na jej twarzy. – Twoja Elsie patrzyła w niego jak w tęczę.

Dai przygląda się, jak Dilys żwawo porusza ustami, jak masuje sobie nogi, narzekając na kłopoty z krążeniem. W nozdrza uderza go woń olejku wintergrinowego, którym się smaruje. Mdlący leśny zapach przenosi go do cuchnących oparów szkolnych szatni, które szczypały go w oczy przed pięćdziesięciu laty. Zesztywniałe szwy zabłoconej bluzy do rugby ocierają się o skórę ramion, w ustach pulsuje lęk przed tym, co go czeka. Korki na podszewkach ślizgają się na gładkiej jak szkło podłodze, a on obija się o grube mosiężne kołki, na których nauczyciel WF-u Thomas wiesza spleśniałe ręczniki. Dzięki Bogu za czas. Gdyby nie jego nieustanny wpływ, Dai tkwiłby tam do dziś z zastygłym na twarzy przerażeniem. „Co to twoim zdaniem była za szarża, pryszczaty gnoju?... Przez ciebie przetrznięliśmy mecz”. Słyszy ten straszny chór głosów. „Zdaje się, że Dai Pryszczu ma ochotę, żeby mu porządnie skopać dupę, damy mu nauczkę, co, chłopaki?” Szereg znacznie silniejszych od niego byczków już zaciskał pięści.

Gdyby mu nie zależało na tym, czy chłopaki zechcą go przyjąć do swojej bandy. Gdyby był obojętny jak Beth, która w ogóle się nie przejmowała, a kiedy ją dręczono i wyśmiewano, osadzała każdego tym swoim wzrokiem. Była wyjątkowa, różniła się od innych, wydawała się trochę nie z tego świata. Nie dlatego, że miała pryszczę i grała na trąbce tak jak on, ale dlatego, że biło od niej jakieś światło. Które na przekór brutalnemu traktowaniu w domu nie pozwalało się zgasić.

– Chyba już pójdę – wrywa go z zadumy Dilys. Dai napotyka spojrzenie jej ciemnych oczu zza okularów. – Wpadnę w tygodniu zobaczyć, co u ciebie.

Nie fatyguj się, ma ochotę odrzec. Nie cierpi, kiedy mu przeszkadza, pojawiając się jak skłębiony cumulonimbus na horyzoncie jego dnia. W myśli wciska się głos Elsie: „Powiedz jej, śmiało – najlepsza jest szczerść. Wobec ludzi pokroju Dilys Roberts nie ma co być taktownym – ma skórę jak wół Welsh Black”. Dai zapomina się i chichocze.

– Co się z tobą dzieje? – Dilys na jakieś dwie sekundy przygważdża go spojrzeniem jak widlasty język węża.

– To miło, będę na ciebie czekał – kłamie, szukając w myślach sposobu, jak zdusić w zarodku obsesję tej kobiety na jego punkcie. Odprowadzając Dilys do drzwi, dostrzega idącą w stronę wsi dziewczynę, o której rozmawiali.

– Dzień dobry – mówi, unosząc rękę, po czym cofa się do wnętrza domku. Zauważa, jaka jest ładna, i myśli z żalem, że w takim miejscu zwróci na siebie uwagę niepożądanego towarzystwa.

Grzebiąc w skrzynce, przeżywa szok, kiedy znajduje ślubną fotografię ze Spencerem, której nie miała w rękach od rozwodu. Roześmiani, ściskający się za ręce, udający szczęście przed obiektywem, przekonująco odegrali swoje role tamtego czerwcowego dnia czternaście lat temu. Rachel pamięta jednak widoczne tu i ówdzie rysy, które próbowali zaklejać od jej porwania sprzed trzech lat.

Przypomina sobie dotyk atlasu na opalanej skórze i widzi siebie, jak upaja się zainteresowaniem gości. Pan młody się tym nie przejmował. Było mu wszystko jedno, czy jego żona jest czarująca, czy nie. Później, kiedy zapalono lampiony i zespół na dobre się rozkręcił, Rachel przeprowadziła eksperyment, by sprawdzić, skąd ta obojętność. Zniknęła. Przez ponad godzinę włóczyła się jak samotne widmo po rozległej przestrzeni parku Ayot Hall. Atlasowe buty uwierały ją w pięty, klatkę piersiową miażdżyły fiszbinę i sznurowadła gorsetu, utrudniając oddychanie. Dolegliwości te miały się okazać błahostką w porównaniu z kiełkującą świadomością, co zrobiła, zgadzając się zostać żoną Spencera Morana. Bo gdy wróciła pod dach namiotu weselnego i wszyscy dopytywali się, gdzie przepadła, Spencer popisujący się na śliskim jak ryba parkiecie zupełnie nie zdawał sobie sprawy z nieobecności panny młodej, podobnie jak z faktu, że jego ręka, ozdobiona już lśniąca złotą obrączką, spoczywa na talii biodrzastej druhny.

Patrząc wstecz, dochodzi do wniosku, że przy boku Spencera utrzymał ją jedynie upór. Marzyła o tym, by zostać panną młodą, którą ojciec prowadzi do ołtarza przy akompaniamencie ulubionych hymnów; trzymała się kurczowo tych głupich nastoletnich fantazji. Gdyby się ich wyrzekła, to by oznaczało, że jej porywacz wygrał. Odrzucając stygmat seksualny, wróciła do łóżka Spencera z niezłomnym postanowieniem, że ten sukinsyn Blundell nie będzie ostatnim mężczyzną, który jej dotknął. Często się zastanawia, jak potoczyłby się jej los, gdyby to wszystko przed laty w ogóle się nie wydarzyło. Na pewno nie zostałyby tym, kim jest dzisiaj. Zalęknioną trzydziestokilkuletnią rozwódką, która patrzy przez ramię na upływające życie. Dręczoną tym, co ją spotkało, prześladowaną obrazami brutalnego zabójstwa, świadomą, że nie zobaczy, jak dorasta jej córka, od której dzieli ją pół świata.

Od dźwigania pudeł rozboleły ją plecy. Za długo tkwiła w tej samej pozycji, więc odrobinę ją zmienia, wyciąga rękę i włącza radio Roberts, by mieć jakieś towarzystwo. W popołudniowym programie BBC 4 nadają właśnie wiadomości i opanowany głos spikera mówi:

„Zidentyfikowano ciało młodej kobiety, znalezione dziś rano pod molo w Westburn-on-Sea przez miejscowego wyprowadzacza psów... to dwudziestotrzyletnia Issy Lake, nauczycielka szkoły podstawowej, której zaginięcie zgłoszono cztery dni temu, kiedy nie wróciła do domu po wieczorze spędzonym ze znajomymi... Według wstępnych ustaleń...”.

Nie chce tego słuchać, nie chce znać przykrych szczegółów, którymi autor relacji z takim zapalem pragnie ją uraczyć. Wciska wyłącznik.

Zna Westburn. Kiedy była dzieckiem, ojciec zabierał ją do tego nadmorskiego miasteczka w Somerset. Rezerwował pokój w pensjonacie, gdzie stała palma w donicy, a jadalnia o liliowych ścianach cuchnęła kapustą. Praca ojca, który był regionalnym przedstawicielem handlowym Rowntree, stanowiła ulubiony obiekt drwin matki. Z nich dwojga to ona miała pieniądze i nigdy nie znudziło się jej przypominać mu

o tym. Lekceważyła jego osiągnięcia, sugerując, że jego zajęcie to niewiele więcej niż sprzedawanie słodyczy z bagażnika. Tamte dni spędzone z tatą, gdy nie słyszała bez przerwy „zdejmij łokcie ze stołu” i „nie wchodź z butami na łóżko”, są dla niej najcenniejszymi chwilami dzieciństwa. „Dlaczego chcesz jechać?”, dopytywała się matka między jednym a drugim łykiem mocnej czarnej kawy, zaciągając się mentolowym papierosem, na którego pozwalala sobie co dzień rano. Podawała jej przykłady takiej lub owakiej dziewczyny ze szkoły, która w wakacje robi to, tamto i owo, więc dlaczego nie może być taka jak one. Rachel nie interesowała się rzeczami, które w przekonaniu jej matki powinna robić miła dziewczyna z klasy średniej. Bez względu na to, jak bardzo ją męczyła, nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu dla ćwiczeń na fortepianie Grotrian-Steinweg o miękkim brzmieniu, zajmującym pokój dzienny, nie zносиła lekcji tenisa po szkole. Jedyłą rzeczą, którą robiła tam z prawdziwym przekonaniem, było pożądlive gapienie się przez siatkę wokół kortu na opalone, muskularne nogi starszych chłopaków. Natomiast naprawdę uwielbiała hodować rośliny. Pracować z ojcem w jego warzywniku. A on pokazywał, uczył i wspierał, czego nigdy nie robiła matka. Uwielbiała długie podróże, gdy siedziała obok niego w firmowym bmw i patrzyła na szarą autostradę, wijącą się monotonicznie na zachód.

Nie darzyła Westburn żadnym szczególnym sentymentem. Na pewno nie lubiła widoku zużytych strzykawek, które znajdowała przy huśtawkach, ani gromady świrów o skołtunionych włosach, którzy snuli się po mieście i zamroczeni cydrem albo herą bezceremonialnie oddawali mocz pod niskim murkiem pensjonatu. Zdecydowanie nie lubiła psich kup, a pamiętała, że licznie dekorowały ulice, podobnie jak opakowania po frytkach i styropianowe pudełka po hamburgerach. Podobało się jej za to wszechobecne wrażenie niedbalstwa. Nawet w szczycie sezonu, kiedy zalane słońcem miasteczko tętniło życiem, wydawało się, że to miejsce zapomniane przez czas. Odrapane lunaparkowe urządzenia do gier rozbrzmiewające tandetnymi melodyjkami, staroświeckie sklepy z płytami, gdzie można było przestać cały dzień ze słuchawkami przyciśniętymi do uszu i za darmo słuchać Chesneya Hawkesa i Bryana Adamsa. Obskurne, zdeptane mokrym piaskiem sklepiki przy plażach, w których można było kupić wszystko, od dmuchanych materacy po japonki w siatce.

Szczególną sympatią darzyła też knajpki przy promenadzie. Garkuchnie, jak nazywał je ojciec, a ona, rozmyślając nad tym, przyciskała nos do szyby i zaglądała do zaparowanego wnętrza tych światów. Kiedy przez wywietrzniki docierał do niej tłusty zapach śniadań serwowanych przez cały dzień, zmieszany z dymem papierosowym i wonią potu unoszącą się z czerwonych ław, przyglądała się kelnerkom w kwiecistych fartuchach, pochodzących jeszcze z czasów wojny. Fascynująca była wściekła biel ich tlenionych włosów, skrzydełka obwisłej skóry na ramionach wyćwiczonych w sprzątaniu, ścieraniu i podawaniu. Kobiety pracujące; zupełnie inne niż matka.

Ojciec wykonywał plan sprzedaży w Westburn i nazywał ją swoją szczęśliwą maskotką. Rachel nie sądziła jednak, by powodzenie zawdzięczał szczęściu; zawdzięczał je nieobecności matki. Bez niej mógł błyszczeć. W człowieku o egzotycznym nazwisku, przystojnym jak gwiazdor filmowy, wyprostowanym jak struna, z papierami, katalogiem i rejestrem zamówień, trudno było rozpoznać pantoflarza, jakim był w domu. Świątowali jego triumfy wielką porcją frytek, które jedli prosto z torby na wyblakłej od soli ławce, oparci plecami o tabliczkę upamiętniającą życie kogoś, kto uwielbiał widok, jaki mieli przed oczami. Dziwna jest siła zapachu. Wystarczy, że poczuje ciepły ocet, by natychmiast się tam przenieść. Znowu jest na plaży w Westburn, widzi rdzewiejący szkielet wielkiego molo i ojca, który zdejmuje skarpetki, żeby brodzić po płyciźnie.

To wszystko działo się jeszcze przed jego chorobą. Wywołaną – Rachel zawsze czytała to z twarzy matki, choć nigdy tego od niej nie słyszała – przez jej porwanie, a potem uwolnienie. Serce ojca nie mogło znieść myśli, że jego ukochaną córeczkę więzi jakiś szaleniec. Nie wiedział, czy żyje, czy nie. I przeżył szok, otwierając drzwi i widząc ją na progu potarganą i zakrwawioną. Rachel mogłaby

przysiąc, że usłyszała nieprzyjemny trzask, kiedy opadło z niego to napięcie. Już nie doszedł do siebie. Po dwóch miesiącach miał pierwszy atak, kilka lat później udar, a niedawno najgorszy atak ze wszystkich. Właśnie dlatego po rozpadzie jej małżeństwa ze Spencerem została w Muswell Hill, by opiekować się ojcem, dopóki nie umarł.

Jego śmierć pod niejednym względem dała jej wolność. Spadek pozwolił jej kupić skromny dom, a resztę zainwestowała, co powinno przynieść całkiem przyzwoity dochód z odsetek. O ile nikt się nie dowie, kim jest, będzie bezpieczna, myśli, wypakowując ze skrzynki ostatnie bibeloty i wybierając dla nich miejsce. Skoro zaszyła się w Walii, zmieniła nazwisko i wygląd, nie powinna się czuć zagrożona. Na pewno może uwierzyć w tarczę, którą wokół siebie buduje, i pozbyć się lęków. Nawet jeżeli Blundell wyjdzie na wolność, sierżant Blackwood zapewniała ją, że warunki zwolnienia znacznie ograniczą mu pole manewru.

Rachel wzdryga się zaskoczona. Ktoś puka do drzwi. Szybko wygląda przez okno od frontu: na ulicy nie ma żadnego samochodu, więc gość musiał przyjść pieszo. Wszystko będzie dobrze, myśli, postanawiając otworzyć. Co złego może ją tu spotkać?

Idris Tudor uderza się w wielki palec o nogę starego stołu jadalnianego należącego do mamy i przeklina. Zawsze to samo. „No to włóż kapcie”, dobiega do niego jej głos. Włożyłby, gdyby tylko wiedział, gdzie, do cholery, się podziały. Utykając, porusza się ostrożnie po ciasnej kuchni zawalonej rupieciami, których nie chciało mu się wynieść od śmierci ojca. Ma na sobie sweter, którego nie zmieniał od tygodni. Zmierzając do kuchni węglowej Rayburn, slalomem omija czyhające na niego zardzewiałe puszki po farbie i worki ze śmieciami.

Staje przed kuchenką i czując, jak ślina napływa mu do ust na myśl o sześciu tłustych kotletach jagnięcych, które upiekł, wyjmuje z piekarnika poczerniałą blachę, trzymając ją przez mankiet swetra. W kuchni roznosi się zapaszek przypalanej wełny, a Idris stawia mięso na przypalonym w wielu miejscach blacie. Jego uwagę na chwilę odwraca niebieskawa mucha plujka. Zostawiło ją po sobie lato i dotąd tkwiła uwięziona w jego domu. Tłucze się o szybę w oknie, rozpaczliwie domagając się wypuszczenia na wolność. Idris z zaskakującą przy jego masie szybkością wali w nią ciężką pięścią i z przyjemnością słyszy cichy chrzęst. Otwiera dłoń, po czym przez chwilę skubie spory strup, który powstał na skórze. Tydzień temu paskudnie rozciął sobie rękę i martwił się, czy nie trzeba będzie jechać jej opatrzeć. Zawsze odnosił się podejrzliwie do ludzi zajmujących się medycyną, którzy w zamian za mikstury zadawali dużo pytań, ale uspokaja się, że dobrze zrobił, nie idąc do lekarzy, rana całkiem dobrze zagoiła się sama i nie powinna zostać po niej duża blizna. Pamięta, że kiedy był chłopakiem, wbił sobie drzazgę na drabinie w stodole, do której wprowadziła się ta dziewczyna. Chciał wleźć na górę i zobaczyć, co kombinuje jego siostra Beth z tym kurdupłem Daiem Jonesem, a potem ręka spuchła mu jak przejrzała śliwka i zrobiła się taka gorąca, że w końcu trzeba było usunąć drzazgę chirurgicznie. Wdało się zakażenie, powiedział doktor Peeves. Anglik o rękach kobiety i takich poglądach na temat zdrowia i higieny, że nikt z odrobiną charakteru w wiosce nie miał ochoty go słuchać.

Wracając myślą do kolacji, Idris oblizuje wargi i bierze z szafki butelkę keczupu. Zdejmuje zakrętkę pokrytą skorupą zaschniętego sosu i zlizuje resztkę z palców. Nie zawracając sobie głowy talerzem, uderza dłonią w dno butelki, tak jak rozżłoszczone matki, które widywał w sklepie, dają klapsy dzieciom, po czym chlusta czerwienią na szereg na wpeł skremowanych ofiar.

Już spokojniejszy łapie blachę bez prowizorycznej rękawicy kuchennej, zanoszą do sąsiedniego pokoju, zalatującego stęchlizną i pleśnią, i podchodzi do zapadającej się kanapy, której obicie jest cienkie jak materiał sukienek matki wiszących w szafie za nią. Sadowi się jak jedna z jego kur rasy Black Rock w zagłębieniu powstałym przez lata od ciężaru jego ciała, by zjeść wieczorny posiłek w towarzystwie kropli pary na tynku i chłamu w telewizji. Idris pochłania łapczywie mięso, nie odrywając wzroku od migoczącego ekranu. Człowiek znieczulony przez samotność.

– O, świetnie zrobili ten domek.

Rachel odsuwa się na bok, aby wpuścić Tracy. Lubi Tracy, jej sympatyczną, piegowatą i zawsze uśmiechniętą twarz. Przystając na drodze, żeby jak zwykle z nią pogadać, Rachel pomyślała, że już pora zaprosić ją na kawę.

– Tak sądzisz? – Z uśmiechem rusza za nią, by zobaczyć reakcję Tracy, gdy wejdzie do salonu z belkowanym sufitem.

– Tak. – Tracy z uznaniem przechyla głowę. – Nie uwierzyłabyś, w jakim był stanie, zanim budowlańcy zabrali się do roboty. Powiem Hywelowi. – Chichocze. – Myślał, że to żart, kiedy się dowiedział, co tu się dzieje. Jego zdaniem nigdy nie dałoby się tu zamieszkać. A teraz, patrzcie państwo, jest fantastycznie.

– Tracy lekko ściska ramię Rachel, po czym wyciąga rękę, żeby pogłodzić gustowną emaliowaną obudowę piecyka. – Strasznie mi się podoba – mówi. – Dzięki niemu będziesz miała ciepłutko. Ale będzie potrzebne drewno. – Powiem Hywelowi, żeby ci załatwił.

– Naprawdę? – Rachel składa dłonie. – Jesteś taka dobra.

– To żaden kłopot. – Tracy uśmiecha się do niej. – Szczerze ci powiem, nigdy bym nie pomyślała, że tu może tak wyglądać. Sprzedaż tej stodoły to najlepsza rzecz, jaką ten idiota zrobił w życiu – po prostu stała i gniła.

Rachel nie musi pytać, kim jest wspomniany idiota. Wie, że to jedyny żyjący członek rodziny, do której należała stodoła wraz z ziemią i farmą, której właścicielami są teraz Tracy i Hywel. Tudor. Takie nazwisko figurowało w aktach własności.

– Zagotowałam wodę, masz ochotę na kawę? – Rachel kieruje kroki do otwartej kuchni połączonej z salonem.

– Chętnie. – Tracy zerka na zegarek. – Nic się nie stanie, jeżeli zostaną jeszcze z dziesięć minut.

– Usiądź. – Rachel wskazuje jedno z dwóch drewnianych krzeseł. – Przepraszam, trochę skromnie mam urządzone. Zamówiłam meble w Furniture Land w Swansea, ale przywiozą je dopiero za kilka tygodni.

– Jeżeli to dla ciebie kłopot, moglibyśmy ci pomóc. Masz łóżko i inne rzeczy? – Tracy, unosząc pytająco brwi, popija kawę małymi łykami.

– Och, tak, mam łóżko – oddałam trochę rzeczy na przechowanie. Niewiele, ale da się przeżyć. W każdym razie dzięki.

– Wystarczy tylko powiedzieć. – Tracy mruga oczami, które zaszyły parą unoszącą się z kubka. – Aha, jeszcze jedno: mam nadzieję, że nie będziesz mi miała tego za złe, ale rozmawialiśmy z Hywelem. – Wygląda na skrepowaną, niepewną, czy powinna zdradzać, o co jej chodzi. – Jesteś tu sama, więc pomyśleliśmy, że kobieta, która mieszka sama...

– Wyduś to z siebie, Tracy. – Rachel parska wymuszonym śmiechem. – Niepokoisz mnie.

– Pomyśleliśmy, że powinnaś mieć psa.

– Psa?

– Miałabyś towarzystwo.

– Tak. Tak... – odpowiada bez pośpiechu Rachel. – Pies. Chciałabym psa. Chociaż mam niewielkie

doświadczenie.

– Bo widzisz, zostawiliśmy dwa z miotu Meg z maja tego roku, ale jeden do niczego się nie nadaje. To znaczy nie tak, że jest całkiem do niczego. Cadno jest śliczny, ale nie nadaje się do pracy. Woli zostać w *cwtch*¹ przy piecu, niż biegać z Hywelem w deszczu po wzgórzu. Jak by powiedziała moja babcia, do *maldod*² jest pierwszy.

– Chcesz powiedzieć, że mogłabym go dostać? – pyta z podnieceniem w głosie Rachel.

– Jeżeli ci się spodoba.

Tak, myśli. Pies zmusiłby ją do spacerów – wygonił z domu, bez względu na pogodę. Patrzy przez okno na deszcz; chyba ani razu nie ustał, odkąd przyjechała.

– Przy owcach Cadno jest beznadziejny, ale ma mnóstwo energii. Może być fantastycznym zwierzakiem domowym.

– Są tu w okolicy dobre drogi na spacery? – Rachel pyta o to, mimo że jej dom stoi na uboczu. Jest osobą, która zawsze trzymała się wyznaczonych ścieżek pieszych i konnych, nawet gdy mieszkała ze Spencerem w Northamptonshire. – Kilka razy byłam na wzgórzu i schodziłam do wioski, ale nie widziałam żadnych znaków.

– Och, *cariad*³ – śmieje się Tracy. – Nie trzeba żadnych znaków, możesz tu chodzić, gdzie ci się podoba. Na początek masz całą naszą ziemię, popatrz... – Odsuwa drewniane krzesło i wstaje, by pokazać bezkresną na pierwszy rzut oka przestrzeń za dużymi oszklonymi drzwiami.

Po pożegnaniu Tracy Rachel wkłada skafander i wychodzi z domu, wykorzystując przeblysłk błękitu między chmurami. Uszczęśliwiona entuzjazmem sąsiadki dotyczącym wnętrza domu dochodzi do wniosku – postanowiła bowiem nieodwołalnie tu zostać – że powinna spróbować zrobić coś z otaczającym dom nieużytkiem. Ale to herkulesowa praca. Nie wie, od czego właściwie zacząć. Przyjechała do Walii w październiku. Po jerzykach i jaskółkach oknówkach nie było już śladu, jeżyny, które jeszcze trzymały się na krzewach, zaczęły porastać futerkiem pleśni. Opadłe jabłka i gruszki, rozdziobane przez ptaki i podziurawione przez robaki, gniją w wysokiej trawie, która rosła dalej, gdy nastały krótkie, bezsłoneczne dni. Rachel nie może się doczekać wiosny i bardziej suchej pogody, które dadzą jej szansę na rozpoczęcie budowy swojej przyszłości, a myśląc o zapuszczeniu korzeni, zastanawia się, czy powinna urządzić w ogrodzie warzywnik na cześć ojca. Jest realistką, wie, że pogoda w tej części świata może jej nie pozwolić uprawiać tego samego co on, mogłaby jednak zacząć od posadzenia krzewów owocowych w kwietniu. Może powinna się poradzić tego staruszka mieszkającego w długim białym domu na końcu drogi, który macha do niej, ilekroć tamtędy przechodzi. Wygląda na kogoś, kto się zna na rzeczy; zawsze widzi go na dworze, pochylonego w swoim wypielęgnowanym ogrodzie, składającego dzięki pod zaciągniętym chmurami niebem.

Biedny tato, myśli – jego twarz wciąż ma żywo w pamięci – czy kiedykolwiek był szczęśliwy? Rachel chce myśleć, że tak jak ona doświadczał przeblysków szczęścia. Powstrzymując łzy, odwraca twarz w kierunku pasma błękitu prześwitującego spomiędzy strzępów chmury i śledzi klin słonecznego światła padającego na szerokie, gładkie pole, które po chwili znów przysłania cień. Zakochała się w tym miejscu, w woni mchu i gąbczastej ziemi, w bujnych prądach termicznych pulsujących na całej zalanej deszczem ziemi. W powietrzu rozedrganym od falowania wzgórz z aksamitu przetykanego punkcikami owiec, wzgórz, które zdają się oddychać jak żywe istoty. Mogłaby tu być szczęśliwa, gdyby tylko umiała przekonać sama siebie, że nie ma się czego bać.

¹ *Cwtch* (walijski) – przytulny kącik (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2 *Maldod* – pieszczoty.

3 *Cariad* (walijski) – kochana.

10

Pewnego ranka, przed wyjściem na kiermasz dobroczynny przy kościele Matki Boskiej z Muswell, w którym ma pomagać, Jennifer D’Villez stoi w oknie wykuszowym w salonie i spogląda na ulicę.

W Muswell Hill padał śnieg z deszczem – pierwszy prawdziwie zimowy dzień – teraz jednak pokój zalewa fala roziskrzonego światła. W chłodnym świeżym powietrzu rozlegają się głosy z dworu, a przez żelazne ogrodzenie Grand Avenue Park widać jawory pozbawione liści. To jednak w żadnym stopniu nie poprawia jej nastroju. Odwraca wzrok w stronę rokokowego gzymsu nad kominkiem, na którym stoi oprawione w ramki jedyne zdjęcie dorosłej córki, jakie ma. Ogarnia ją zwątpienie i dręcząca niepewność siebie. Opuszkami palców gładzi zdobioną filigranem srebrną krawędź, ale nie tam kryje się odpowiedź; znajduje ją we własnym odbiciu w lustrze zawieszonym nad kominkiem. Paznokciami dotyka miejsca między starannie wyregulowanymi brwiami, gdzie skórę ściąga głęboka zmarszczka, gdy Jennifer patrzy na to, czego jej zdaniem chyba nie da się kochać.

Na dźwięk dzwonka serce skacze jej do gardła. Bienąc do drzwi, uświadamia sobie, że na wycieracze leży poczta. Pochyliła się, nie uginając kolan, i zgarnia z podłogi stertę ulotek, rachunków i kartek z życzeniami świątecznymi, po czym otwiera.

– Nie ma pani klucza? – warczy do kobiety w okularach, która z grzeczną miną stoi na mokrym od deszczu progu. Zaraz jednak o niej zapomina i pochyla głowę, by przejrzeć korespondencję.

– Nie lubię z niego korzystać, kiedy jest pani w domu. – Jak zwykle niewzruszona nieuprzejmym tonem Jennifer, pani Pepper, która sprząta pod numerem siedemdziesiątym siódmym, wchodzi do domu. Jasnobrązowe oczy, powiększone grubymi szklami, śledzą postać pracodawczyni ubranej w spódnicę Dolce & Gabbana oraz krótki tweedowy żakiet, znikającej w głębi kremowego korytarza.

– Nie przyszło pani do głowy, że mogę być czymś zajęta? Oczywiście, że nie – odpowiada za nią Jennifer. – Zapomniałam: pani jest wszystko jedno, czy mi pani w czymś przeszkodzi, czy nie, prawda? – Jej sarkastyczny ton jak wata wypełnia uszy sprzątaczkii. – Mówiła pani, pamiętam z rozmowy kwalifikacyjnej: „nigdy się pani nie zorientuje, że w ogóle jestem w domu” – przedrzeźnia panią Pepper. Po chwili jej głos cichnie, broda opada na pierś, a wzrok zatrzymuje się na niebiesko-czerwonej obwódce przesyłki lotniczej. Rzucając resztę poczty na chlebak, rozrywa kopertę i wyjmuje zdjęcia dziewczynki oraz arkusz cienkiego jak bibułka papieru listowego. Jej oczy pochłaniają odręcznie napisane zdania jak cyfrowy skaner.

– Zostaje pani dzisiaj w domu? – pyta pani Pepper, poprawiając okulary i wchodząc za Jennifer do przestronnej kuchni, w której unosi się ciepły zapach grzanek. Nie przeszkadzała jej obecność pani D’Villez, lubiła po prostu nastawić radio i w połowie pracy zrobić sobie przerwę, żeby przysiąść na kubek czegoś i jedno z tych wykwinnych ciastek pakowanych w folię, które pani D kupuje w Marks & Spencer, ale nigdy ich nie je.

– Nie, nie zostaję. – Jennifer w zniecierpliwieniu unosi wzrok znad listu i zerka na nią z ukosa. – A pani czemu tak się wystroiła? Wybieramy się dokądś?

My? Pani Pepper wpada w panikę, nie rozumiejąc wyrażenia Jennifer.

– Tak. Potem... jadę... sama... – jąka się i czuje, jak jej szyja oblewa się pąsem, domyśla się, że powinna wyjaśnić, choć w rzeczywistości wcale nie powinna. Że po południu musi wyjść punktualnie, szybko wstąpić jeszcze do domu, a potem zdążyć na pociąg odjeżdżający z King's Cross. Że chce wyjechać do Pocklington, miasteczka u stóp Yorkshire Wolds.

– W takim razie proszę zdjąć płaszcz, jest dużo do zrobienia. Proszę... – Jennifer, nie słuchając, wciska jej do ręki kartkę. – Spisałam pani listę rzeczy.

– Dobrze – odpowiada pani Pepper z ulgą, ciesząc się z braku zainteresowania pracodawczyni, i trochę się uspokaja. – Pójdę zacząć.

– Hm, nie, proszę chwilę poczekać... chciałam panią o coś spytać – mówi Jennifer i odwraca się do niej.

– Tak, pani D'Villez, słucham? – Pani Pepper mruga zza okularów, a jej twarz odzyskuje normalny kolor.

– Chodzi o Sarah.

– Sarah?

– Owszem. – Jennifer wyciąga szczupłą szyję jak łabędź. – Wie pani, gdzie ona jest, prawda?

– Gdzie jest? – Pani Pepper wygląda na zaskoczoną. – Dlaczego miałabym wiedzieć, gdzie jest?

– Bo przyjaźniłyście się, bo z panią rozmawiała.

Pani Pepper przez chwilę przesuwa wzrok od sufitu do podłogi, oceniając, ile pracy ją dzisiaj czeka.

– Tak, przyjaźniłyśmy się, pani D'Villez, ale nie mówiła mi, dokąd jedzie. Zdziwiłam się tak samo jak pani, kiedy mi pani powiedziała, że wyjechała.

– Jest pani tego zupełnie pewna? – W głosie Jennifer słychać nutę powątpiewania. – Proszę wybaczyć, jeżeli się mylę, ale z mojego punktu widzenia sprawiałyście wrażenie papużek nierozłączek.

– Przykro mi, pani D'Villez, naprawdę przykro... z powodu tego, co panią spotkało... na pewno strasznie pani cierpi, ale...

– Niech pani nie próbuje się domyślać, jak się czuję, pani Pepper – przerywa jej Jennifer podniesionym o pół tonu głosem. – Zadałam proste pytanie, proszę mi łaskawie udzielić na nie szczerzej odpowiedzi.

– Oskarża mnie pani o kłamstwo? – Sprzątaczką zdejmuje okulary i udaje, że przeciera je rąbkiem fartucha. Jennifer dotąd nie zauważyła, jak bezbrinnie wygląda bez szkieł, i jest to tak nieoczekiwany widok, że natychmiast łagodnieje.

– Nie, skądże... oczywiście, że nie. – Jennifer macha ręką. – Muszę ją po prostu odnaleźć, nic więcej; muszę wiedzieć, czy jest bezpieczna.

– Oczywiście, rozumiem, pewnie odchodzi pani od zmysłów. Ale proszę, za kogo mnie pani bierze? – Pani Pepper z powrotem nakłada okulary. – Gdybym wiedziała, gdzie jest Sarah, gdyby zdradziła mi swoje plany, naprawdę myśli pani, że nic bym pani nie powiedziała?

Jennifer przestępuje z nogi na nogę, przetrawiając słowa swojej lojalnej pomocy domowej.

– Pomyślałam tylko, że pani i ona... ale skoro twierdzi pani, że nic nie wie, to nie wie. Przepraszam, jeżeli pomyślała sobie pani, że...

– Niech się pani nie martwi z mojego powodu, pani D'Villez. Wiem, że przeżywa pani duży stres. – Potrząsa trzymanym w ręku pojemnikiem ze środkiem do pielęgnacji mebli.

– Dobrze – przytakuje na razie udobruchana Jennifer. – Proszę wracać do pracy. I odprawiwszy panią Pepper, wraca do salonu i wtula się w miękkie objęcia brzoskwiniowej kanapy, aby jeszcze raz przeczytać list.

Cadno i Rachel zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. Od chwili kiedy poznają się na farmie Cwm Glas, wilgotny i skórzasty nos psa ciągle szuka jej ręki. Ładne zwierzę, duże jak na pięć miesięcy, o błyszczących oczach i bujnej czarno-białej sierści, której miękkość czuje pod palcami.

– Widzisz? – mówi wyraźnie zachwycona Tracy. – Już cię uwielbia.

– Aha. – Hywel z uśmiechem potakuje spod daszka kraciastej czapki.

– Teraz już ci nie pozwoli odejść, zobacz tylko.

– Śliczny jest, prawda? – Rachel przykuca, żeby okazać należyte zainteresowanie przejętemu i merdającemu czworonogowi. – Zostaniemy najlepszymi kumplami, co?

– Uważaj, żebyś nie rozpuściła go na śmierć – żartuje Hywel, wołając za nimi, kiedy wychodzą z podwórka na drogę. – Na osłodę zwierzak jest w sam raz. Daj znać, gdybyś miała jakiś problem, chociaż... – dodaje, odwracając się do Tracy, która ma łzy w oczach – ...wątpię, żebyście mieli kłopoty.

Kierując się w stronę wzgórz na porządny, długi spacer, Rachel kroczy obok psa. Wdycha czyste walijskie powietrze, które po drodze rozjaśnia jej myśli.

„W głębi serca jesteś wiejską dziewczyną, powiedział jej kiedyś ojciec. Uwierz mi, nie ma co z tym walczyć, nigdy nie będziesz dobrze spała w mieście”.

I wierzyła mu. Podobnie jak wierzyła, że jej ciężar utrzyma huśtawka, którą postawił przy gałęziach swojej jabłoni. Że kiedy przyjdzie jesień, od pomarańczowej koksy nie rozboli jej brzuch, jeżeli zagrzechoczą pestki, gdy potrząśnie jabłkiem. Widzi młodszą siebie, jak huśta się na plastikowym siedzisku i mocno zaciska dłonie na niebieskich nylonowych sznurkach, unosząc się nad ogrodami sąsiadów, przyglądając się, jak ojciec okopuje motyką ziemię między rzędami marchewki i szpinaku. A potem w nocy, leżąc w łóżku w pokoju obok sypialni rodziców, wsuwa głęboko pod kołdrę otarte ręce, ciepłe jak drożdżówki wyjęte z pieca, i przykładą je do swoich chłodnych boków, by złagodzić ból.

Drożdżówki przypominają jej panią Pepper. Nie żeby jej życzliwa postać w okularach krążyła po domu, gdy Rachel była mała, matka zatrudniała wtedy inne pomoce domowe – anonimowe istoty bezimienne jak klauni z wymalowanym na twarzach uśmiechem i urazą w oczach. Pani Pepper odpowiedziała na ogłoszenie, choć matka nie pamiętała, by je zamieściła, a Rachel początkowo podśmiewała się z jej nazwiska.

– Co ty, przecież nikt nie może tak naprawdę się nazywać – powiedziała, kiedy niewysoka, korpulentna kobieta w śmiesznym różowym berecie znajdowała się na tyle blisko, żeby ją słyszeć. – Pieprz? Na pewno je sobie wymyśliła.

Wszystko jedno, czy wymyśliła, czy nie, okazała się darem niebios, który zjawił się w samą porę, balsamem przynoszącym ulgę w chaosie i zamieszaniu, dała Rachel coś, czego mogła się trzymać, gdy reszta świata wywróciła się do góry nogami. Podczas tych ponurych, skarłowaciałych dni opowiadała pani Pepper o tym, co robił z nią ten kowal Blundell w swoim domku na odludziu i co zrobił swojej żonie, kiedy pojawiła się bez uprzedzenia. Przyjaciółki oczywiście z początku okazywały jej życzliwość, lecz wkrótce miały dość jej stanu emocjonalnego i kiedy nie wiedziały, co jeszcze jej powiedzieć,

przestały telefonować i ją odwiedzać. Mogłaby porozmawiać z ojcem, gdyby nie bała się dorzucać kolejnych strasznych obrazów do tego, co prawdopodobnie już miał przed oczami, nigdy natomiast nie mogłaby o tym mówić z matką, a tym bardziej ze Spencerem.

– Wyglądał tak normalnie – zwierzała się zapłakana Rachel pani Pepper, która patrzyła na nią spokojnie zza okularów. – Jasne, widziałam, że jest trochę nieokrzesany, ma tatuaże i tak dalej, ale przecież był kowalem, prawda? Tacy już są. – Opowiadała jej, jaka jest przygnębiona i że trudno jej zasnąć, bo ilekroć zamyka oczy, widzi tylko tego potwora, jak tłucze żonę na śmierć. Że nie mogła już wytrzymać w swojej kwiaciarni i musiała sprzedać firmę, a potem konia. Dlaczego gdy wreszcie opuściła dom rodziców, by wrócić do Spencera na obrzeża Northampton, czuła się jak więzień. Lekarze i terapeuci nazywali to poczuciem winy osoby ocalonej, ich zdaniem jej problem polegał na tym, że nie potrafi sobie wybaczyć tego, iż próbowała się z nim zaprzyjaźnić i pokazać mu, że jest ludzką istotą. Pragnęła, żeby sukinyń też ją zabił. Przynajmniej wówczas matce, prasie i prześwietnej brytyjskiej opinii publicznej byłoby jej żal. Żałowałiby jej tak jak jego biednej nieżyjącej żony. Morderstwo Lindy Blundell wyniosło ją do rangi anioła, świętej, ofiary; Rachel otarła się o śmierć, i koszmar, którego była świadkiem, też powinien wzbudzić w ludziach współczucie. Ale ponieważ miała czelność przeżyć, znalazła się w kręgu podejrzeń policji i została postawiona pod pręgierzem przez prasę.

– Ależ musiał cię polubić, skarbie. – Pomoc domowa matki starała się najlepiej, jak mogła, dodać jej otuchy. – Nie mógł być całkiem zły, na pewno nie aż tak, skoro wypuścił cię wolno.

Rachel uśmiecha się na wspomnienie pani Pepper, pokonując gęste błoto i sypkie kamienie. Robi się jej gorąco, więc zdejmuje czapkę i rozpina kurtkę, z przyjemnością wystawiając ciało na wiatr. To pani Pepper znalazła dom, w którym Rachel teraz mieszka. Zapobiegliwie wycięła ogłoszenie z niedzielnego dodatku do gazety męża i przyniosła ze sobą do pracy.

– Wcale nie podsłuchiwałam. – Uważna i potulna jak zawsze, wyciąga ogłoszenie z wnętrza popękanej etui na okulary. – Ale niechcący usłyszałam, jak rozmawiasz z tą miłą policjantką i mówisz jej, jak bardzo podoba ci się Walia. – Twarz pani Pepper zmarszczyła się jak zwiędłe jabłko, wyrażając głęboką empatię dla wszystkiego, co Rachel przeżyła. – Wiem, że wolisz trzymać się z daleka od gazet, i trudno ci się dziwić, biedactwo – dodała, ściskając jej dłoń. – Za każdym razem kiedy coś wydrukują, pewnie wszystko ci się znowu przypomina. Dlatego miałam na oku ogłoszenia. Mam nadzieję, że ci się spodoba – myślę, że nadawałoby się idealnie.

Poruszona troską pani Pepper, Rachel przytuliła ją tak, jak nigdy nie mogłaby przytulić matki.

– Jeżeli uważasz, że ci pomogłam, to się cieszę, moja droga. – Rachel zobaczyła, że jej podziękowania wycisnęły łzy z oczu pani Pepper.

– Pewnie, że pani pomogła, jest pani taka mądra – odparła Rachel, przebiegając wzrokiem skrócony opis na skrawku papieru. – Wygląda idealnie – no i cena jest rozsądna. Z tymi pieniędzmi, które zostawił mi tato, na pewno mnie stać.

Bez trudu znalazła nieruchomość w internecie. Przeczytała szczegóły oferty, powtarzając sobie, żeby się nie spieszyć, że nic nie może być aż tak jasne i proste. A jednak było – ziemia nadająca się na spory ogród, jakość adaptacji budynku – wszystko pasowało jak ulał do tego, co od początku sobie wyobrażała. Zaciekawilo ją, że dom należał kiedyś do większej farmy, która została podzielona na trzy oddzielne gospodarstwa, więc choć sąsiedzi mieszkali w pewnej odległości, nie było do nich za daleko. Dzięki wideo na stronie internetowej mogła zwiedzić wnętrze, oszczędzając sobie fatygi wyjazdu do Walii, a po rozmowie z pracującą w agencji życzliwą kobietą o śpiewnej wymowie złożyła ofertę kupna, która została przyjęta w ciągu godziny.

Wysoko na wzgórzu, gdzie wiatr burzy jej włosy, Rachel przystaje w błocie do kostek, a pies długimi susami rzuca się w pogoń za królikiem. Widok biało zakończony ogona, który z szybkością błyskawicy

znika w kępie bezbarwnych kolcolistów, wywołuje jej śmiech. Wyteża siły i wspina się dalej, ponieważ chce ostatni raz zobaczyć swój dom, który zupełnie zniknie, gdy wejdzie jeszcze wyżej. Myśli o Tÿ Haf; o gospodarstwie, w którym się zachowało życie jego dawnych mieszkańców. Czuje ich obecność unoszącą się w powietrzu jak prąd, od którego elektryzują się jej włosy i falują wokół twarzy, sprawiając wrażenie, że nigdy nie jest całkiem sama. Uświadamia sobie, że życie na tym uboczu oznacza codzienną walkę o to, by nie wpuścić do środka świata zewnętrznego. Pająki tkają sieci we wszystkich zakamarkach, które będzie sprzątała ssawką odkurzacza. Myszy polne, zostawiające po sobie ślady w postaci czarnych i twardych odchodów przypominających ziarenka, rządzą sobie gniazda w szufladach pełnych ręczników i chusteczek. Może Cadno okaże się bardziej użyteczny, niż się wcześniej wydawało, myśli, obserwując, z jaką prędkością śmiga po zaroślach. Być może lepiej niż cokolwiek innego pomoże jej utrzymać świat zewnętrzny na zewnątrz. Nawet jeżeli nie okaże się dobrym tępicielem szkodników, sama obecność psa wystarczy, by skutecznie odstraszać innych niepożądanych gości. Niepewność własnego bezpieczeństwa znów dotyka jej serca zimną macką lęku.

Dokuczała mi samotność, więc wpadł mi do głowy pomysł, żeby pojeździć wieczorem po mieście, zobaczyć, co się dzieje. Deszcz zelżał i zrobiło się ładniej. Parkuję i opuszczam okno, żeby posłuchać morza. Lubię morze. Rytm fal, miarowy i niezawodny, to odgłos, który mnie uspokaja. Przypomina mi, że są na tym świecie dobre rzeczy i nie wszystko jest do dupy.

Patrzę na zegar na tablicy rozdzielczej. Dochodzi jedenasta. To dobrze, jestem punktualnie. Zawsze jest zabawnie, kiedy zamykają Lamb and Flag. Jeżeli się pospieszę, mogę zaparkować przy Kingston Close, wyłączyć silnik i zniknąć jak duch. Przekręcam kluczyk w stacyjce i zostając na drugim biegu, wolno toczę się wzdłuż nadbrzeża, a potem na najbliższych światłach skręcam w prawo. Dzisiaj jest spokój, mokre chodniki maźnięte pomarańczowym światłem latarń są puste. Łatwo ulec złudzeniu i pomyśleć: nadmorskie miasteczko po sezonie; martwe jak śnięta ryba. Ale wystarczy chwilę poczekać i możecie mi wierzyć, rozpęta się szaleństwo.

Proszę, już idą. Malowane lale. Tak je nazywam. Z różowym błyszczkiem na ustach, sztucznymi paznokciami i tą ilością odkrytego ciała. Zanim się pojawią, najpierw je słychać; robią strasznie dużo hałasu. Burza makijażu i perfum chybocząca się na nieprawdopodobnie wysokich obcasach, wymachująca ramionami i śpiewająca na całe gardło. Wszystkich mają gdzieś.

Lubię na nie patrzeć. Wyrwana spod kontroli potężna fala hedonistycznego zapamiętania – przerażająca i zarazem porywająca, niepodobna do niczego, co znam.

Strach. Panika. Kiedy Dai wychodzi do ogrodu, bezlistne czerwone pędy derenia i uśpione pnące wiciokrzewu ożywają trzepotem stadka wróbli. Deszcz ustał, więc uzbrojony w sekator pochyła się nisko nad ostatnimi różami. Wdycha ich subtelny bukiet, a widok delikatnych cynobrowych płatków sprawia, że łzy napływają mu do oczu. Nie ma pojęcia, dlaczego o wiele trudniej radzić sobie w życiu z kruchymi rzeczami niż z poważną krzywdą. Ścinając trzy najładniejsze, zahacza palcem o kolec i patrzy, jak na skórze wykwita bańka krwi przypominająca rubin pierścionka, który podarował Elsie na czterdziestą rocznicę ślubu.

Wyrusza na cmentarz wzdłuż wysokiego brzegu rzeki. Potem kamiennym mostem przechodzi na drugą stronę, słysząc niemal ogłuszający huk wartkiego nurtu, zbrązowiałego po obfitym deszczu. Czyste światło nadaje krajobrazowi nadzwyczaj wyraźne kontury. W przenikliwym chłodzie ostro rysuje się soczysta zieleń rozległych pastwisk, garstka zabudowań gospodarczych i przysadzistych domów. Zasuważąc zamek pod sam podbródek i ciasniej wiążąc czerwony szalik, Dai widzi trzy gniade konie, które okryły się już długą i puszystą zimową sierścią. Na dźwięk jego kroków podbiegają do ogrodzenia, by wtulić gładkie jak zamsz chrapy w jego dłonie, przekonane, że chowa w zanadrzu jabłka. Dai ślizga się na mokrych liściach i wyciągając rękę, by się czegoś przytrzymać i nie stracić równowagi, chwytą się bramy. Przeszywając zimny dotyk galwanizowanej stali przenosi go do czasów narzeczeństwa.

Matka Elsie z miejsca poczuła do niego niechęć, a ponieważ obok niej nie było ojca, którego mógłby sobie zjednać rozmową o rugby albo łowieniu pstrągów – pan Herbert Watkins, budowniczy kamiennych murków, zmarł wiele lat wcześniej – pozostały mu jedynie próby skruszenia serca matki o kamiennym obliczu. Od dawna nie myślał o Norze Watkins. Zmarła na wiosnę w drugim roku ich małżeństwa, kilka lat przed narodzinami Anthony’ego, które udowodniłyby jej, jak im się powiodło. Poznaczona nikotynowymi plamami i wychudzona od niedojadania, ważyła w trumnie mniej niż dziecko i to wspomnienie smuci go do dziś. Lepiej już rozumie Norę. Jako dwudziestojednoletni chłopak żądny wszystkiego, co może mu dać życie, nie miał pojęcia, co czuje owdowiała w kwiecie wieku kobieta, która chce dla swojej ukochanej córki tylko tego, co najlepsze. Oszczędzając, inwestując i nie dbając o własne potrzeby, Nora poświęciła się, by wychować Elsie, a sama przedwcześnie wpędziła się do grobu. Nietrudno więc zrozumieć, dlaczego nie była skłonna oddać córki jakiemuś smarkaczowi z odstającymi uszami, który pierwszy pojawił się na horyzoncie. A Dai był wówczas nikim. Nie miał za sobą nawet połowy studiów prawniczych, nie mógł prawie nic zaofiarować dziewczynie, której przeznaczeniem w przekonaniu jej matki były wielkie rzeczy.

Mimo sprzeciwu Elsie i Dai pobrali się kilka tygodni po swoich dwudziestych drugich urodzinach pod niebem złowieszczo usianym barankami. Kiedy nadszedł trudny wiek średni, Dai zastanawiał się, czy zostali razem na przekór tym, którzy twierdzili, że ich związek nie ma przyszłości. „Pasują do siebie jak pięść do nosa”, lubiła im dogryzać Nora, i być może tak było, ale zostali razem, podczas gdy innym się nie udało. I kochali się, mimo że zachował miejsce w sercu dla Beth – a przynajmniej dla pamięci o niej.

Kiedy przechodzi przez dziurę w żywopłocie, owce drzemią wtulone w siebie nawzajem, chłonąc ostatnie promienie słońca w tym roku. Za zakrętem drogi widzi dach kościoła kryty walijskim łupkiem,

którego szarość odcina się od nienaturalnego cyjanu kopuły nieba. Dai przystaje, by wytrząsnąć kamyk z buta, i dostrzegłszy kątem oka rozpostarte kasztanowe skrzydła, unosi wzrok. Kania rdzawa. Łagodnym łukiem przepływa nad jego głową. Tak blisko, że widzi lśniące jak czarny koralik oko ptaka, dyskretne przechylenie wciętego ogona.

Skromna drewniana furtka cmentarza przy kościele skrzypi, kiedy Dai ją uchyla. Na rękach zostają mu ślady rdzy z zawiasów. Cmentarz jest pusty, jeśli nie liczyć kobiety w granatowym skafandrze z psem, która myszkuje w gęstwinie pokrzyw i jeżyn rosnących pod murem od wschodniej strony. Poznaje ją. To ta, która kupiła stodołę Idrisa; która, jak twierdzi Dilys, przyjechała z Londynu. Dai rusza dalej, uważając, by nie postawić stopy tam, gdzie nie powinien, znajduje grób żony i przykłęka. Kośćmi kolan ociera się o marmurowe obramowanie, kiedy się pochyla, by wyrównać żwirerek u podstawy nagrobka. Porusza ustami, czytając cicho wybraną przez siebie inskrypcję. Opróżnia zwykłą metalową miseczkę, którą zamierza zamienić na coś bardziej stosownego, i w miejsce starych róż wstawia nowe. Powinny zachować świeżość, jeżeli nie będzie za mocno padało. Ale co przyniesie później? Jeszcze raz tu przyjdzie, a potem ogród będzie pusty aż do wiosny. Może zetnie gałązkę ostrokrzewu, zawsze podobał się jej ten krzak naprzeciwko domu, zwłaszcza gdy, jak w tym roku, uginał się od krwistoczerwonych owoców.

Zgiełk i hałas Cardiff nie odpowiadały Elsie. Lubiała swoją pracę i bardzo ją ceniono; byli uczniowie opowiadający o swoich sukcesach pamiętali o niej w Boże Narodzenie, pisząc kartki do swojej ulubionej nauczycielki. Ale po narodzinach Anthony'ego jej prośby o powrót w rodzinne strony zaczęły się nasilać.

„Tęsknię za wzgórzami, Dai. Możemy tam wrócić?” – pytał jej cichy głos w nocnych ciemnościach. Przytuliła się do jego pleców i otaczała go ramionami, gdy zasypiali przy wtórze dalekiego wycia syren policyjnych i niewyraźnych krzyków dobiegających z ulicy. A on gładził dłoń spoczywającą na jego ręce, wypowiadał słowa, które – miał nadzieję – udobruchają Elsie, i modlił się, żeby podzieliła jego zdanie. Ale nigdy się do tego nie przekonała i niestrudzenie prowadziła zakulisowe działania, w drodze z pracy do domu odwiedzając agencje nieruchomości, by sprawdzić, czy znajdzie się coś w rozsądnej cenie na wsi w Dyfed. Przynosiła do domu oferty sprzedaży zaniedbanych gospodarstw, podupadających farm, małych domów parterowych dla seniorów, które wydawały się mieścić w ich budżecie, i sprytnie rozmieszczała je w polu jego widzenia.

Przeżyli w mieście dwadzieścia siedem lat. Strach Daia przed powrotem do miejsca, z którego z takim trudem się wyrwał, z roku na rok malał. On też zaczął tęsknić za przestrzenią, za kawałkiem sielskiej idylli, jaką zachował w pamięci z dzieciństwa. Był już zmęczony codzienną harówką, niewdzięczną monotonią spraw cywilnych. W ciągu lat praktyki prawniczej prawie nie brał urlopu, na czas poświęcany rodzinie patrzono krzywym okiem, a kiedy po dziesięciu latach awansował na partnera w kancelarii, zważyło się na niego stokroć więcej obowiązków. Kiedy więc nadarzyła się okazja powrotu do Bryngwyn, chętnie oddał inicjatywę Elsie. Ponieważ mimo okropnej, niespodziewanej śmierci ojca, pogarszającego się zdrowia matki i ruiny rodzinnego domu dostrzegł w tym jasną przyszłość. Bez konieczności spłacania hipoteki i – przy rozsądnym gospodarowaniu finansami – z perspektywą utrzymania się z oszczędności i kwoty, którą otrzymał za sprzedaż swojego udziału w firmie prawniczej.

Dai prostuje się i przysiada na piętach, a myśląc, jak świetnie jego żona potrafiła odczytywać przestrogi natury, słucha, co by powiedziała na widok krzewów uginających się pod ciężarem owoców: „To znak, że idzie ostra zima, kochany – lepiej zrób zapasy drewna”. Równocześnie z głosem Elsie rozbrzmiewa inny, z odmiennym akcentem...

– Dzień dobry – mówi przepraszającym tonem. Dai odwraca się i widzi kobietę, którą zaczął rozpoznawać. Ciemne włosy ma mocno związane na karku w koński ogon, ładne policzki na wskroś poczerwieniałe od chłodu. Niezdarnie szeleści najwyraźniej nową kurtką i skubie nerwowo mankiety

rękawiczek, jak gdyby musiała coś zrobić z rękami. – Piękny dzień.

Dai spogląda w jej twarz i się uśmiecha.

– Rzeczywiście piękny – mówi i podnosi się z kucek. – Dzień dobry. Jestem Dai. Dai Jones z Bwthyn Dewen. – Wymawia nazwę swojego domu jak pytanie, wskazując w stronę, z której przyszedł.

– Tak, machaliśmy do siebie. Jestem Rachel. – Wyciąga do niego rękę i lekko marszczy brwi. – Przepraszam, jeżeli przeszkadzam. – Pokazuje na grób Elsie.

– Ależ nie. Jak ci się podoba Tŷ Haf? – pyta Dai, uznając, że nie ma większego sensu udawać, iż nie wie, gdzie kobieta mieszka. Otrzępuje kolana spodni i pochyła się, by pogłaskać łeb jej psa, który okazuje się nieoczekiwanie kościsty.

– Bardzo – oznajmia mu, gdy idą w stronę furtki. – Znałeś ten budynek, zanim został zaadaptowany na dom?

Dai przez chwilę zwleka z odpowiedzią, skubiąc czubek nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Tak... tak, w dzieciństwie. Ale nie byłem tam od lat.

Kobieta na pewno rozumie, że te słowa ważą więcej, niż się z pozoru wydaje. Że jej dom kryje w sobie jakieś niedokończone przez niego sprawy. Ale Dai nie chce mówić o historii, jaka go wiąże z tym miejscem.

Idąc drogą otaczającą cmentarz, mijają niewielką drewnianą tabliczkę z napisem *Y Llwybr Briallu*.

Rachel próbuje to wymówić, w końcu jednak rezygnuje.

– Co to znaczy? – pyta.

– Co to znaczy? – Dai uśmiecha się, słysząc jej wysiłki. – To znaczy „Różana droga⁴”.

– Ładne – mówi.

– Chyba tak. – Dai zamyśla się. – Tyle że w tradycji ludowej znaczenie ma bardziej złowieszczy wydźwięk.

– Dlaczego, co masz na myśli?

– Jak to ująć... to coś w rodzaju sugestii, że jeżeli wybierze się łatwe życie i będzie się korzystać z jego przyjemności, ta droga doprowadzi nas do tragedii, jakiejś katastrofy. Jest usłana różami, a one mają ciernie. Mniej więcej o to chodzi. Przesady i tyle.

– To by się zgadzało. – Rachel kiwa głową. – Droga prowadzi na cmentarz.

Dai parska krótkim śmiechem.

– Ale w drugą stronę prowadzi do twojej stodoły.

Znienacka uderza w ich twarze podmuch wiatru, który przerywa im rozmowę. W ich kierunku jak rozpędzone metro mknie tunelem drogi ogromna, rozklekotana ciężarówka. Dudni tak przerażająco, że muszą uskoczyć na pobocze, aby ich nie rozjechała. Wytężając wszystkie siły, by nie stracić równowagi, Dai nie umie nawet zliczyć grubych i czarnych kół, wirujących na wysokości jego ramion i zajmujących cały wąski pas asfaltu.

– Jasna cholera! – słyszy przez łomot wrzask Rachel i widzi, jak dziewczyna zaciska rękę na obroży psa. – Kto to?

– Idris Tudor – wyjaśnia, wyplątując się z żywopłotu.

– Tudor... z rodziny właścicieli mojego domu? Nie wiedziałam, że jeszcze tu mieszkają.

– Został tylko on. Mieszka niedaleko ciebie, w domu przy tej samej drodze. – Dai posępnieje. – Chyba cię nie niepokoił?

– Nie. – Rachel w zdziwieniu marszczy czoło.

– Lepiej bądź ostrożna...

– Wiem. Już wcześniej o mało mnie nie potracił na drodze tą górą żelastwa.

– Nie, chodzi mi o to, że ten człowiek jest niebezpieczny. – Dai kładzie dłoń na rękawie jej kurtki i nie

odrywa jej przez mniej więcej dwie sekundy. Ostrzeżenie brzmi na tyle groźnie i poważnie, że Rachel staje jak wryta. – Musisz naprawdę na niego uważać, słyszysz? Nie mówię, że coś zrobi, ale... wiem, do czego jest zdolny.

– Co masz na myśli?

– Po prostu w przeszłości miałem z nim kłopoty, dlatego teraz wolę trzymać się od niego z daleka, a ty... – posapuje między słowami – ...lepiej też się do niego nie zbliżaj.

Zapominają o koszmarnym spotkaniu z ciężarówką, ruszają dalej i szybko docierają do jego domku. Dai cieszy się z pochwał, którymi Rachel obsypuje alejkę w ogrodzie. Obsadzona na przemian białymi i fioletowymi wrzosami, o tej porze roku rzeczywiście prezentuje się wyjątkowo pięknie.

Proponuje jej herbatę i podaje ją w kubkach – dla niej czarną, dla siebie w kolorze rdzawomlecznym. Siadają na niskim kamiennym murku, który zbudował jego ojciec, aby oddzielić trawnik od warzywnika. Widząc, jak Rachel kieruje twarz w stronę ostatnich ciepłych promieni jesiennego słońca, Dai robi to samo.

– Bardzo mi się tu podoba – wzdycha cicho, nie otwierając powiek. – Mój tato uwielbiał pracować w ogrodzie, nauczył mnie różnych rzeczy. Niedługo zacznę urządzić własny.

W tym momencie na kolana wskakuje jej kot Daia. Rachel otwiera oczy i wydaje stłumiony okrzyk podziwu.

– Och... ależ jesteś śliczny – kim jesteś?

– To Gabriel – przedstawia z dumą Dai. – Łaskocze myszy i dokucza ptakom – ale, Bogu dzięki, nie radzi sobie ani z jednym, ani z drugim.

– Kiedy się tak cudownie wygląda – grucha do kota Rachel – wcale nie trzeba polować, prawda? Jakie piękne futerko. – Dai przygląda się, jak przeczesuje palcami gęstą i jedwabistą czarną sierść Gabriela. – Podoba mi się ta biała skarpetka. – Śmieje się, dotykając łapy kota. – To jedyna twoja biała plamka? – Gabriel jak na zawołanie przewraca się grzbiet i pozwala jej obejrzyć brzuszek.

– Jest świetnym kompanem – mówi Dai, zastanawiając się kolejny raz, dlaczego tak atrakcyjna młoda kobieta chciałaby się zaszyć w takim miejscu, mając do towarzystwa jedynie psa.

– Tak jak Cadno dla mnie. Nie wiem, co bym teraz bez niego zrobiła.

Dai dostrzega, jak zerka na psa, który, znalazłszy słoneczną plamę na trawniku, leży z łbem opartym na łapach, zupełnie niewzruszony obecnością kota i uwagą, jaką poświęca mu Rachel.

– Dziwne, nigdy nie uważałam się za miłośniczkę zwierząt. Oprócz konia, którego miałam w dzieciństwie, zresztą niezbyt długo, bawiłam się tylko z kotem sąsiadów. – Ponownie spogląda na Gabriela, który liże jej rękę i głośno mruczy. – I chociaż był śliczny, to nie umywał się do ciebie.

– A ten zachowuje się jak pies – wszędzie za mną chodzi.

Rachel chichocze.

– Cadno też chce wtykać nos we wszystko, nawet w ogrodzie.

– Jak duży masz ogród? – Z czasów, gdy Cwm Glas należał do Tudorów. Dai pamięta tylko zryte podwórko.

– Całkiem spory. Kupiłam też akr pola, chociaż nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– Z ogrodem czy z polem? – Dai unosi kubek do ust, wypija łyk herbaty.

– Z polem. Wiem, co chcę zrobić z ogrodem, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam twój.

– O tej porze roku nie wygląda najlepiej, ale dziękuję. – Dai zatacza ręką szeroki łuk ponad owocami lat ciężkiej harówki.

– Naprawdę chciałabym uprawiać warzywa – nie ma nic lepszego niż coś, co urosło na własnej grządce, prawda? – I nie po raz pierwszy patrzy w stronę godnej zazdrości gęstwiny pędów cebuli, fioletowo żyłkowanych liści buraków i łodyg brukselki gęsto obsypanych główkami.

– Chcesz trochę? – pyta Dai, podążając za jej wzrokiem. Nerwowe ruchy jej głowy, obracającej się to w jedną, to w drugą stronę, przywodzą mu na myśl króliki, przed którymi stara się bronić podwyższone grządki, potomstwo długouchów, na które polował na wzgórzach jego ojciec i przynosił do domu

– Och, nie, nie chodziło mi... – zaczyna Rachel, a Dai szybko odsuwa na bok wspomnienie zakrwawionych rąk matki, metalicznego zapachu króliczych wnętrzności rozpiętych na drewnianych żeberkach suszarki do naczyń.

– Czemu nie? Dla mnie to i tak za dużo, proszę... może pory, na pewno lubisz pory?

Nie zważając na jej protesty, Dai zrywa się na nogi i idzie do starej szopy ojca po widły. Czuje na sobie wzrok Rachel i nagle zdaje sobie sprawę, że lekko się garbi, a głowę przyprószyła mu siwizna. Miła dziewczyna, myśli, widząc, jak szybko stawia Gabriela na ziemi i sprząta tacę. Nie będzie jej zadawał pytań, które zadałoby wiele osób z okolicy. Wszystko jedno, przed czym czy przed kim dziewczyna się ukrywa, to nie jego sprawa.

– Proszę. – Dai, zamieniwszy eleganckie buty na kalosze, podaje jej pełną reklamówkę. – Smacznego.

– Och, dziękuję, Dai. To bardzo miło z twojej strony. – Rachel leciutko klepie go po ramieniu. Gest wygląda tak niezręcznie, jak gdyby jego dotyk ją parzył.

– Ach, wiem już, co ci chciałem powiedzieć – mówi przy pożegnaniu. – W przyszłą niedzielę na placu w wiosce – wyciąga palec, pokazując Bryngwyn – organizują naprawdę dobry targ, taki jarmark bożonarodzeniowy. Muzyka na żywo. Lokalna sztuka i rzemiosło. Przyjeżdżają ludzie z daleka, to najważniejsze wydarzenie w całym roku.

– W niedzielę w przyszłym tygodniu? Tak, chyba przyjdę. Dziękuję, Dai.

– Świetnie – odpowiada z uśmiechem. – Do zobaczenia.

⁴ *Primrose path* (ang.) – wyrażenie oznaczające pogoń za przyjemnościami życia, która w konsekwencji okazuje się zdradliwa. Dosłownie „droga pierwiosnków”

Po powrocie z ostatniego wyjazdu do Somerset Idris człapie drogą, a jego sylwetka w ogromnych wysokich butach i podartej kurtce roboczej ponuro rysuje się w ciemności. Trudno sobie wyobrazić kogokolwiek potężniej zbudowanego niż on, ale jego ojciec był większy. Ronald Tudor w kwiecie wieku był mężczyzną o sile dwóch krzepkich chłopów, a jego zła reputacja sięgała daleko w głąb wsi.

Idris przypomina sobie, jak ojciec pierwszy raz zabrał go na piwo do The Bear w Bryngwyn. W sobotni wieczór pub pękał w szwach od hałaśliwych, podpitych klientów i kiedy w progu stanął Ronald Tudor, zapadła pełna szacunku cisza. Wszyscy przestali rozmawiać i mając w ustach łyk piwa, który właśnie mieli przełknąć, rozstąpili się przed nim jak Morze Czerwone, byle tylko trzymać się jak najdalej od niego. Było to silne przeżycie dla dojrzewającego Idrisa, ponieważ dotąd widział tylko, jak ojciec panoszy się w domu albo na targu, jeżeli podejrzewał, że chcą go naciągnąć na wyższą cenę za jałówkę, a w obu tych miejscach nie było nikogo na tyle silnego ani odważnego, żeby mu się sprzeciwić. Ten dziwny spektakl wcale nie wzbudził w nim podziwu dla ojca, jak można by się spodziewać; Idris jeszcze bardziej go znienawidził.

Popisy. Ostatnia rzecz, której życzyłby sobie nieśmiały nastolatek. Idris nie znosił zamieszania, chciał się po prostu wtopić w tłum. W ciągu krótkiego czasu spędzonego w szkole średniej trudno było mu z kimkolwiek się zaprzyjaźnić, a gdy miał niecałe czternaście lat i pięć ojca powstrzymała go przed samobójstwem, zupełnie wycofał się z życia towarzyskiego. Dopiero teraz, bardzo rzadko, ni stąd, ni zowąd nachodzi go taki nastrój, że spryskuje twarz zimną wodą z kranu, zdobywa się na odwagę i wyrusza do The Bear. Jest nieporadny towarzysko, staje przy barze – który wciąż ma swoją stałą klientelę – niektóre twarze poznaje, część zna nawet z imienia. Ale unikają kontaktu wzrokowego, dają mu do zrozumienia, że jest tu intruzem. Czuje się wykluczony, mniej więcej tak samo jak kiedyś na szkolnym podwórku.

Idris wygląda, jakby się właśnie wybierał do The Bear. Wcale jednak nie zamierza. Dzisiaj ma inne plany. Po skończonym posiłku, kiedy się przekonał, że w telewizji za cholerę nic nie ma, postanowił przejść się do Tŷ Haf i sprawdzić, czy jest tam coś, co warto obejrzeć. Gwałtownie zadziera głowę, gdy w górze rozlega się krzyk sowy płomykówki, która przelatuje nisko między zwisającymi nad nim gałęziami drzew. W czarnym tunelu drogi rozpostarte skrzydła bieleją jak anielskie. Idris nie wzdryga się ze strachu, nie zwraca też uwagi na obrzynek księżyca rozpięty jak hamak między gwiazdami, których nigdy nie chciało mu się zidentyfikować. Chłodny, pogodny wieczór. Rzadko taki się zdarzał między umiarkowanym wiatrem a rześnistym deszczem, które od tygodni nękały okolicę. Nie żeby Idris skarżył się na zimno: poły rozpiętej kurtki łopoczą jak skrzydła ogromnego i ciemnego drapieżnego ptaka. Nie zważa na pogodę, w jakiej się urodził; przełom roku nie może przynieść nic, co by go poruszyło.

Robi to już trzeci raz. Zaświtał mu ten pomysł, kiedy pewnego wieczoru mijał dom swoją scanią. Zobaczył oświetlone okna i wąską jak sztylet smugę dymu nad kominem. Znalazł sporą dziurę w żywopłocie, w której mógł się schować, wciskając plecy w ciernie głogu i jeżyn. Na jego szczęście w drzwiach z tyłu są duże okna, dając panoramiczny widok na jej życie oświetlone blaskiem koloru ochry. Dzisiaj dziewczyna jest ubrana na czerwono. W sweter w warkocze, duży jak dla mężczyzny.

Podobny do tych, które matka robiła mu na drutach, kiedy był mały, i kazała mu wkładać, zabierając go do miasta, żeby nosił jej zakupy. Nie do twarzy jej w tym swetrze. Jest gruby, sięga aż za tyłek i nie widać, gdzie zaczynają się i kończą jej piersi. Idris czuje się zawiedziony, widząc, że nadludzki jak na niego wysiłek wyjścia z domu spełził na niczym. Dziewczyna stoi przy kuchni, sącząc wino z kieliszka i mieszając coś na patelni z okrągłym dnem. Wyjmuje kawałki jedzenia, dmucha na nie, a potem podaje psu. Wygląda, jakby znała się na tym, co robi: zręcznie przetrzuca porcję spaghetti na drugą patelnię, z twarzą tuż nad wrzątkiem buchającym parą. Po chwili odciąga sweter na szyi, pochyla głowę i chłodzi się, dmuchając pod ubranie.

Dawaj, dawaj, nakłania ją siłą woli. Zdejmij to, przecież chcesz. I nagle – uwaga! Idris przysuwa się odrobinę bliżej i widzi, jak dziewczyna szybkim ruchem ściąga sweter przez głowę. Ku jego radości pod spodem nie ma prawie nic. Tylko głęboko wycięty i cienutki czarny T-shirt. Kiedy się nachyla, dając mu nasycić wzrok widokiem gładkiego rowka biegnącego między drobnymi, choć cudownie jędrnymi piersiami, Idris dygocze – nie z zimna. Nie ma biustonosza, domyśla się, masując sobie krocze, i kiedy nabiera pewności siebie, czując, że jest dobrze ukryty przed reflektorami samochodów, które mogłyby jechać drogą, zanurza rękę w spodniach, pod bieliznę, prosto w lepką głąb swojego podniecenia. Potem, gdy doznanie sięga zenitu i staje się wprost nie do zniesienia, ryzykuje wszystko i przechodzi przez dziurę w żywopłocie do jej ogrodu, aby przyłgnąć ciałem do szyby.

Jennifer siedzi przy edwardiańskim biurku po matce i myśli o ściętych krawędziach blatu i palisandrowych intarsjach. To tutaj przechowuje białe listy Spencera, a z otwartej szuflady unoszą się zapachy dzieciństwa: tytoń, miętówki, strużyny z ołówka; dziś już nikłe, ledwie wyczuwalne. Jej dzieciństwo skończyło się pół wieku temu, wraz z życiem matki. Sięga po omacku i omijając ulotki zmierza do celu: pamiątek z rodzinnych wakacji w Walii. Jej palce nieświadomie muskają majestatyczne ruiny zamków, szerokie piaszczyste plaże. Dom poety⁵ nad brzegiem, z widokiem na rozległe błękitne ujście rzeki. Kolej parową i parki narodowe. Największe atrakcje turystyczne odwiedzane przez całe rodziny. Miejsca, wśród których może teraz mieszkać jej córka. Ostatni cienki jak bibułka list od byłego zięcia dawał jej do zrozumienia coś, czego się już domyślała.

„Cały czas opowiadała o waszych wakacjach w Walii, ciągle mnie męczyła, żebym ją tam zabrał” – zwierza się swoim pismem przypominającym atramentowe ośmiornice, uważając, by nie wymienić imienia Sarah. W następnym zdaniu pyta, czy Jennifer postarała się już o adres e-mailowy – „To by ułatwiło sprawę, mógłbym się z tobą częściej kontaktować, wysyłać ci nowe zdjęcia Laury?”.

Jennifer przy odrobinie wysiłku potrafi sobie przypomnieć głos Spencera. Jego zwyczaj ugładzania żądań, by brzmiały jak łagodne sugestie. Urabiania zdań i podlewania ich serdecznością, aby przybrały formę pytań. Jennifer zawsze uważała, że to sztuczka czarusiów. Patrzy na komputer pozostawiony przez Sarah. Ma opory przed oddaniem na złom, nie ma też jednak ochoty go włączać. Dobrze jej z piórem Montblanc, papierem listowym Basildon Bond i sztywnymi szarymi kopertami, które upiększa staroświeckimi znaczkami pocztowymi.

Z kuchni na dole dobiega szum wody wlewanej do czajnika, chrobot zamka. Pani Pepper wychodzi do ogrodu rozsypać okruchy dla wróbli. Jennifer słyszy brzęk naczyń zmywanych po lunchu. Potem kroki zbliżające się do okna i odgłos wyciskania małego mopa w uchwycie przy wiadrze przed przetarciem podłogi. Pani Pepper zwykle przy tym podśpiewuje. Przenikliwym ptasim głosem, który nawet podoba się Jennifer, gdy ma okazję chwilę posłuchać. Z jakiegoś powodu przypomina jej dzieciństwo, choć nie wie dokładnie dlaczego. Pani Pepper zawsze nosi ten sam granatowy fartuch, a na głowie chustę w kratę. Z kim mieszka? W ciągu lat, które tu przepracowała, Jennifer nigdy nie chciało się jej o to zapytać. Dochodzi do wniosku, że mieszka z mężem. Inwalidą. Kiedyś pracował w fabryce jako robotnik, ale wydarzył się jakiś wypadek i odtąd musiał polegać wyłącznie na żonie. Był bardzo blady i przez cały dzień siedział z kocem na kolanach. Pani Pepper zarabiała szyciem, prasowaniem, miała się wszystkiego, byle tylko związać koniec z końcem. Musiała: Jennifer nie wyobraża sobie, że mogłyby jej wystarczyć zarobki za godziny przepracowane u niej. Ich dzieci opuściły już dom rodzinny, każde wyjechało do jakiegoś odległego miasta i w ogóle się z nimi nie widują. Ziarenka państwa Pieprzów – chłopak i dziewczyna – wyrosły i były gotowe ruszyć w wielki świat, lecz za wcześnie dla matki, która zastąpiła je kotami wylegającymi się na kolanach jej męża w małej i ciemnej kuchni zamiast obiecany wnukami.

Prawda jest taka, że Jennifer nie ma pojęcia, kim jest pani Pepper. Nie ma pojęcia, że jej pomoc domowa pogodziła się z faktem, iż jest potrzebna Jennifer, chociaż nigdy otwarcie o tym nie mówiła. Z matczyną troską dopytywała się, czy ma w łóżku wystarczająco dużo koców, ile mleka jest w lodówce,

wzdychała, ilekroć Jennifer mówiła o córce, i przytakiwała, jakie to smutne, że nie widuje swojej wnuczki.

Mąż pani Pepper, Stan, miał własną teorię. Chociaż nie poznał Jennifer osobiście, tyle o niej słyszał i naczytał się w gazetach, by wyrobić sobie zdanie, że jego żona marnuje czas. Ród D’Villezów to beznadziejna sprawa. Przyczyn łagodności żony wobec swojej chlebodawczyni Stan upatruje w tym, że nie mogli mieć dzieci. Pragnęli ich i przez wiele lat się o nie starali, to jedyna rzecz w życiu pani Pepper, która przejmuje ją smutkiem.

Duży brylant na palcu lewej ręki Jennifer zaczepia się o wstążkę, którą związuje listy przysyłane przez Spencera pocztą lotniczą. Zebrał się ich pokaźny plik i musi szeroko rozłożyć dłoń, aby wszystkie objąć. Wstążka, wąski błękitny pasek zachowany ze ślubu Spencera i Sarah, ma kolor morza, który pasował do topazu pierścionka zaręczynowego jej córki. Pierścionka, którego dziwnym trafem Jennifer nie widziała od kilku lat, odnotowuje więc w pamięci, by poprosić panią Pepper, żeby rozejrzała się za nim, gdy będzie sprzątać przed remontem dawny pokój Sarah. Przechowuje korespondencję od Spencera jak listy miłosne – pieczołowicie związane i ukryte przed wzrokiem wścibskich. Ale coś się nie zgadza. Plik wygląda nierówno, wstążka jest krzywo zawiązana – nie zostawiła ich w takim stanie. Czyżby cudze palce grzebały w jej cennych rzeczach, cudze oczy czytały wiadomości przeznaczone tylko dla niej? Serce podchodzi jej do gardła. Czyżby Sarah je znalazła, poznała jej wstydlivy sekret i dlatego wyjechała bez słowa?

To odkrycie mogłoby wydać się jej aktem najwyższej zdrady i na myśl o tym Jennifer ogarniają mdłości. Nie żeby Sarah była wobec niej szczerą. A te poufne rozmowy telefoniczne o zaliczkach i datach finalizacji? Wiedziała, dokąd wyjeżdża, właśnie dlatego Jennifer nie zawiadomiła policji – Sarah nie zaginęła; po prostu nie chce zostać odnaleziona. Nie chodzi jednak o to, czego Sarah chce; Jennifer musi ją znaleźć, by wiedzieć, czy jest bezpieczna. Rozumie jej pragnienie opuszczenia Londynu w obawie przed tym, co zrobi prasa po wyjściu Blundella na wolność, ale żeby tak zniknąć bez słowa? Zabolęło ją bardziej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. Jeśli wyjechała do Walii, jak sugerował Spencer, mogłaby wziąć od Lynette numer tego prywatnego detektywa, dać mu listę miejsc, do których jeździli na wakacje, i poprosić go, żeby tam jej poszukał.

Jennifer wraca do listów, uwalniając je ze wstążki, i myśli o drugiej żonie Spencera. Kobieta, która z pewnością dzięki zabiegom Spencera pojawia się na przysyłanych przez niego zdjęciach Laury częściej niż powinna. Lekko postrzępiona grzywka, życzliwy uśmiech i łagodne jasne oczy, które zza obiektywu aparatu szukają jej aprobaty. Nie ma w sobie nic ze zjawiskowości Sarah, ale może właśnie to było w niej najbardziej atrakcyjne. Spokój i dobroć Claire. Kobiety o mlecznej cerze i piegowatym nosie, która nosiła praktyczne sandały i nie lakierowała paznokci u nóg. Jakie kłopoty mogła sprawić, jakie zawirowania wywołać w aseptycznym, zalatującym szpitalnym życiu Spencera Morana?

Dzwoni telefon stojący na biurku. Jennifer podnosi słuchawkę.

– Halo? – rzuca ostrym tonem.

Nic – mimo to wie, że ktoś tam jest, słyszy czyjś oddech.

– Halo?! – powtarza. – Przepraszam, kto mówi?

Cisza.

– Sarah?! – próbuje. – Sarah, to ty, kochanie?

Ktoś na drugim końcu linii odkłada słuchawkę; odgłos tego bezceremonialnego pożegnania razi uszy. Jennifer pospiesznie wstukuje numer 1471 i dowiaduje się, że telefonowano do niej z zastrzeżonego numeru.

– Niech to diabli! – krzyczy w ciszy, rzucając słuchawkę na widełki. – Muszę z tobą porozmawiać, głupia dziewczyno – muszę cię znaleźć.

[5](#) Dom nad ujściem Taf w Laugharne, w którym ostatnie lata życia spędził z rodziną pisarz i poeta Dylan Thomas (1914–1953).

Rachel podbiega do telefonu, którego głośny i przenikliwy dzwonek rozdziera panującą dotąd ciszę.

– Nie. To pomyłka – oznajmia Bogu ducha winnej osobie na drugim końcu linii.

Miała już kilka takich telefonów. Nie byłoby w nich nic złego, gdyby za każdym razem żołądek nie podchodził jej do gardła. Wie, że pewnie reaguje za mocno, ale ponieważ wieść o rychłym zwolnieniu warunkowym jej porywacza zaczęła podstępnie przenikać do jej snów, i tak jest już wystarczająco roztrzęsiona. Zastrzegła swój numer, bojąc się, że dziennikarze dowiedzą się, gdzie mieszka. Mogłaby zrozumieć własne przerażenie, gdyby wcześniej działała tu linia telefoniczna, lecz Tÿ Haf, jak niedawno ochrzczono jej nowy dom, było tylko rozsypującą się budą, zanim się wprowadziła.

Wczoraj zjawił się monter z telekomunikacji. Spóźnił się o ponad dwie godziny, kazała mu zdjąć buty na ganku, ale wynagrodziła mu to niezliczonymi kubkami herbaty z mlekiem i nieograniczonym dostępem do wielkiej puszki herbatników.

– Mieszka pani w takiej dziurze, że oczywiście może pani zapomnieć o naziemnej telewizji – poinformował ją, nonszalancko opierając się o kuchenkę. Palce miał czarne od kabli, usta zawzięcie chrupały pełnoziarniste ciastka z czekoladą. – W promieniu kilku dobrych mil nie ma żadnych nadajników.

Zmartwiły ją jego słowa. Obawiała się, że to oznacza, iż będzie odcięta od internetu, wiedziała, jakie to ważne, by mieć baczne oko na datę zwolnienia Blundella. Monter nie miał jednak wątpliwości, że będzie mogła korzystać z łącza szerokopasmowego, i zapewniał ją, że w dzisiejszych czasach jest dostępne nawet w tak oddalonych miejscach kraju.

Rachel nie podobało się jego spojrzenie, kiedy mówił o tym oddaleniu. Mierzył ją wzrokiem, jak gdyby uczono go wyceniać bydło na sprzedaż. Na pewno wychował się na farmie. Pachniał jak farmer i znał się na rzeczy; stwierdził, że jej pies za dużo waży, a kiedy wyjaśniła, że nie zaganiał owiec, wydał odgłos jak ranny wół, którego pomogła Tracy uwolnić z drutu kolczastego, gdy Hywel był na wzgórzu.

– Pani tu nowa? – Monter rzucił pytanie, a ona potakująco skinęła głową. – Dziwne, bo mógłbym przysiąc, że już gdzieś panią widziałem. – Gapił się dalej i siorbał herbatę z jednego z jej ślicznych kubków, przyciskając wilgotne wargi do wzorku w różyczki. – Pewnie w telewizji, nie? – Jeszcze teraz to czuje, eksplodującą w piersi panikę i przemożną chęć ucieczki, ale powstrzymała się, zbywając go, że pewnie jest do kogoś podobna.

– Dużo pani wie o życiu na wsi, co? – zapytał później. Znowu zbił ją z tropu i bąknęła w odpowiedzi o wakacjach, które w dzieciństwie spędzała w tych okolicach. – No to niewiele – podsumował z błyskiem w oku, po czym opróżnił kubek i postawił przy zlewie, aby go umyła. – Trzeba się będzie sprężyć i dużo nauczyć, jak się trafiło na takie zadupie.

Zwalistą sylwetką wypełniał całą kuchnię, jak gdyby należała tylko do niego, a Rachel, czując się nieswojo z mężczyzną w zamkniętej przestrzeni, wołała wyjść do ogrodu. Czas jednak płynął i chcąc, żeby wreszcie się stąd wyniósł, zmusiła się do powrotu, żeby go popędzić. Patrzyła, jak zbiera sprzęt, zirytowana nieśpiesznym tempem, w jakim zwijał długi kabel między dłonią a łokciem, a potem powoli demontuje wiertarkę, umieszczając coraz drobniejsze elementy w przegródkach z pianki z taką

pieczołowitością, jakby układał do snu ukochane dzieci.

– Znałem rodzinę właścicieli tej farmy, zanim ją rozparcelowali – powiedział, wynosząc swoje rzeczy. – Poznała pani już Idrisa? – dorzucił z nutą groźby w głosie i zatrzasnął drzwi furgonetki. – Taka ładna dziewczyna; lepiej niech pani uważa. – Zaśmiał się nieprzyjemnie i nie czekając na odpowiedź, usiadł za kierownicą. – Idris Tudor to gość, który żadnej odmowy nie przyjmuje do wiadomości. Zakładając oczywiście, że by mu pani odmówiła.

Tak wyglądało jego pożegnanie. Plus obleśny uśmiech, który jej posłał, wycofując samochód z podjazdu i ruszając w drogę.

Rachel włącza nowo zainstalowaną telewizję, żeby uwolnić się od obrazu montera. Poranne wiadomości w BBC. Z miejsca ogarnia ją niechęć. Od pierwszego wejrzenia nie cierpi zadowolonych z siebie dwojga prezenterów w markowych ubraniach, siedzących w kameralnym studiu z minami autorytetów. Tematem poranka ma być przemoc i przestępstwa seksualne wobec kobiet, co daje pretekst do wspomnienia niedawnego zabójstwa Issy Lake, atrakcyjnej nauczycielki szkoły podstawowej z Westburn-on-Sea. W kadrze pojawia się matrona w typie Mary Whitehouse, którą poproszono o opinię. Rachel nie może uwierzyć w to, co słyszy, i krzyczy na resztę siedzących na kanapie, żeby interweniowali. Kobieta sugeruje, że ofiary takiego traktowania mogą winić wyłącznie siebie.

– Trzeba się liczyć z odpowiedzialnością... – pięćdziesięciokilkulatka krzywi się i odgarnia z oczu grzywkę matowych włosów – ...jeżeli ktoś paraduje prawie nago w stanie takiego upojenia alkoholowego, że nie wie, co robi, nic dziwnego, że ściąga na siebie niepożądaną uwagę...

Rachel nie może tego znieść. Wyłącza telewizor. Ale wcześniej głos świętoszkowatej wiedźmy zdążył przeniknąć do jej myśli.

– Co takie jak ty mogą wiedzieć? – mówi, chrupiąc płatki z otrębami. – Nie masz się czego bać, kochana – ciebie nie tknie nawet najbardziej szalony czy zdesperowany facet.

Pamięta, by połknąć multiwitaminę Seven Seas, i postanawiając nie wracać do swojego zwyczaju bezustannego roztrząsania przeszłości, spogląda na psa, który w odpowiedzi podnosi się z posłania przy drzwiach.

– Masz ochotę na spacer? – Klaszcze w dłonie. Cadno nie trzeba dwa razy prosić, więc Rachel wskakuje w stojące na ganku buty i oboje wychodzą na chłód i błękit jasnego dnia, jaki nie zdarza się często. Ale mimo cudownego słońca przez niemal cały spacer próbuje się pozbyć ponurego podejrzenia, że monter mógł się domyślić, kim jest, i że znów się pojawi, aby ją niepokoić.

Pukanie do drzwi.

Ja piernicę.

Idris przerywa to, co robił z kwiecistą połyskliwą sukienką matki, i wygląda przez okno na górze. Okropnie zmieszany wiesza na wieszaku sukienkę, którą gładził przed zaledwie kilkoma sekundami, i zatrząskuje drzwi szafy.

– Idę! – krzyczy zza szyby, ocierając się nosem o chłód szkła. – Zaraz, zaraz. – Wpada w panikę, że nie zdąży zbiec na dół i ona odejdzie.

Pędzi po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i kiedy szarpie wypaczone od deszczu drzwi, poprawia jeszcze sweter. Natychmiast zauważa, że dziewczyna z bliska jest znacznie ładniejsza. W ramach powitania spluwa na ręce i przygląda nimi włosy.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Ma twarz zaróżowioną od nagłego spadku temperatury. – Ale czy nie widział pan tu w okolicy psa? Cadno, border collie – uciekł i bez przerwy go wołam.

Wyższa, niż przypuszczał. Idris gapi się na nią nieruchomym spojrzeniem. Właściwie nie słucha, co dziewczyna do niego mówi; syci oczy jej widokiem, przesuwając wzrok po grubej nieprzemakalnej kurtce i wyobrażając sobie ciało pod spodem.

– Pewnie poleciał za lisem. – Przygląda się jej. – O tej porze roku masa ich się tu kręci. Kiedy owce zejda ze wzgórz, gówno mają do jedzenia. – Idris przestępuje z nogi na nogę w przeciagu w drzwiach, ciężką pięścią ociera nos. – Mam go poszukać razem z panią? – Ostentacyjnym ruchem zadziera głowę ku niebu. – Niedługo się ściemni, lepiej nie chodzić wtedy po dworze – znowu zapowiadają burze.

– Poszukać razem ze mną?! – Dziewczyna wzdyga się i o krok odsuwa od niego, stając z powrotem na drodze. Jej ruch nie pozostawia wątpliwości, wymowa jest jasna. – Hm, to bardzo miło – dodaje tytułem rekompensaty, patrząc, jak Idris ściąga brwi i niecierpliwie splata dłonie. – Na pewno przyjdzie. Chyba się wygłupiłam, przecież zna drogę do domu.

– To pies od Morganów, nie? – Idris dostraja pytanie do siły wiatru.

– Zgadza się. Mam go od mniej więcej tygodnia. Jest z niego świetny towarzysz.

– Przy owcach za to beznadziejny. Ja bym takie chuchro dał do uśpienia.

Rachel gwałtownie zwraca głowę w stronę, z której nagle dobiega wycie i brzęk łańcuchów, i widzi przed sobą drzwi do przybudówki z blachy falistej wtulonej w boczną ścianę domu Idrisa.

– Ma pan psy? – Jej twarz mówi mu jednak, że już zna odpowiedź. Że ktoś wścibski opowiedział jej, jak to trzyma swoje kundły uwiązane, kiedy wyjeżdża dokądś swoim tirem. Ale nikt go nie zmusi do odpowiedzi. Na pewno nie ta nowa. Wszyscy ci, którzy wyprowadzają się na wieś, myślą, że wystarczy kupić parę kaloszy i skafander z kapturem, żeby wiedzieć, co to znaczy żyć z pracy na tych wzgórzach, przy pogodzie, która nigdy nie odpuszcza.

– Pójdę po strzelbę – proponuje, z przyjemnością patrząc na lęk malujący się na jej twarzy.

– Po s-s-strzelbę? – jąka, a potem dodaje błagalnym tonem: – Nie... lepiej nie. Proszę, niech pan nie bierze strzelby.

Idris nie odpowiada od razu, tylko w milczeniu wciska stopy do oblepionych gliną butów.

– Bez niej ciężko dać sobie radę – oznajmia w końcu i sięga za siebie w ciemną i zagraconą przestrzeń domu, z której wydobywa swoją beretę silver pigeon, a wkładając kurtkę, klepie się po kieszeniach, sprawdzając, czy ma w nich naboje.

– Z moim psem?! – wrzeszczy dziewczyna, zupełnie nie rozumiejąc jego zamiarów. – Chyba nie zamierza pan strzelać do mojego psa?!

– Do psa?! – Nieruchomieje, żeby na nią spojrzeć. Wyzierające spomiędzy fałd ciała przekrwione oczu przyglądają się jej z zaskoczeniem i kpiną. – Do lisów, dziewczyno. Do lisów. – Prostuje plecy i kieruje lufę strzelby w skłębione stalowoszare niebo. Zadowolony, że to jej nie uspokoi, jeżeli wie, że *cadno* po walijsku oznacza lisa.

Po plecach Rachel przebiega dreszcz na dźwięk sprzeczki wron i wysokiego, przenikliwego krzyku myszołowa, których kołujące sylwetki rysują się na tle chmur. Musi się stąd jak najszybciej oddalić. Co to za odrażający facet. Ze swoimi spętanymi owcami, pięściami jak szynki i czerwonym znamieniem na policzku. Sprawdza, czy zwalista postać Idrisa została za progiem jego rudery, a potem zaczyna biec w spokojnym, miarowym tempie. Mija nieużywane maszyny rolnicze. Ogromne jak planety koła traktorów. Porzucone na polach rdzewiejące koparki wyciągają stalowe szyje do nieba jak dinozaury. Gdyby pokazać te rzeczy w innym kontekście i przenieść je do Galerii Saatchi, musiałyby uzyskać sześciocyfrowe ceny.

Żywopłoty po tej stronie drogi wyglądają jak przerośnięte i przedwcześnie ogołoczone z liści. Rachel wzdryga się z przestachu, gdy kaleczące skórę dzikie róże i jeżyny drapią rękawy skafandra jak szpony siwowłosych czarownic. Od czasu do czasu oglądając się nerwowo przez ramię, biegnie pod ciemniejącym niebem i potężnymi gałęziami jaworów i jesionów, które zwieszają się nad nią niczym mityczne potwory. Jedynymi barwnymi punktami są owoce ostrokrzewu. Żywa czerwień na tle wiecznie zielonej rośliny wygląda tak pięknie, że na moment zapiera jej dech w piersi.

Wraca spojrzeniem na drogę. Na szarzejącą trawę rozdzielającą ślady kół. Znowu ma przed oczami Idrisa. Jak obrzucał ją taksującym wzrokiem, wyceniał na sprzedaż. Poczowała mniej więcej to samo co przy spotkaniu z monterem z telekomunikacji i zastanawia się, czy tak właśnie będzie tu wyglądało życie, więc lepiej się na to uodpornić. Przeczucie mówi jej jednak, że w tym człowieku jest coś dziwnego. W tej twarzy poranej głębokimi bruzdami przypominającymi falistą stal na ścianach jego budynków gospodarczych. I w tych czerwonych dłoniach. Na ich wspomnienie przyspiesza kroku, żeby jak najszybciej dobiec do domu i się umyć. Czyli zrobić coś, czego on najwyraźniej nie praktykuje. Z dreszczem obrzydzenia Rachel myśli o rozwieszonych na sznurze brudnych ubraniach, które nosi rotacyjnie, czekając, aż wypierze je deszcz.

Idris Tudor.

Dai ją ostrzegał, wie, że nie powinna pukać do jego drzwi; gdyby nie wpadła w panikę po zaginięciu psa, nigdy by się na to nie odważyła. W myślach kroi jego nazwisko na sylaby, wyobrażając je sobie jako rzepę. Chociaż nie zna się na wiejskim życiu, wie, że ten człowiek nie jest farmerem. Jak można tak mieszkać? Nie umiała wymówić walijskiej nazwy wydrapanej na tabliczce na furtce, więc nadaje gospodarstwu własną, „Gówniana Farma”, i parska śmiechem – pozbawionym radości, z ulgą, że stamtąd uciekła, i przysięga sobie, że nigdy więcej nie powtórzy tego doświadczenia.

Nagle nie wiadomo skąd przypada do niej Cadno – ma sierść zlepioną błotem. Wtula się w nią miękkim białym pyskiem, jak zwykle pełen entuzjazmu, nie wiedząc, jak się martwiła.

– Gdzieś ty był? – Nie jest na niego zła; jak mogłaby się złościć, skoro widzi jego radość. Cadno tłucze puszystym, lisim ogonem o jej udo, nadstawia się na pieszczoty, sądząc, że ma do nich prawo. Ruszają dalej, idąc obok siebie, omijając kałuże i spowodowane przez mróz szczeliny w wiekowym asfalcie. Rachel pochyla się, aby złapać psa za skórę na karku, bo mija ich rozpedzona biała furgonetka. Spaliny z diesla unoszą się w powietrzu i drapią ją w gardło aż do chwili, gdy docierają do rozwidlenia drogi,

której lewa odnoga prowadzi na farmę Cwm Glas.

Kolejny raz przychodzi jej na myśl, jakie dziwne jest Bryngwyn. Otoczone z obu stron ostrymi piaskowcowymi szczytami Brecon Beacons i ukryte wśród niewysokich, krągłych wzniesień. Jak walijska Toskania, myśli Rachel, przypominając sobie dawne wakacje ze Spencerem. Był wtedy przystojny i opalony, podwijał rękawy koszul do łokci i wydawał się spokojniejszy w czasach przed urodzeniem Laury. Beacons pamięta z wakacji w dzieciństwie, więc wprowadzając się do domu z widokiem na nie, czuje się, jakby wracała do dawnych znajomych. Ojciec uwielbiał malować ten łańcuch górski ułożony w kształcie podkowy i niezwykle umiejętnie oddawał asymetryczność szczytów sięgających ostrymi krawędziami nieba.

Tato uwielbiał tę część Walii, czuł jej magię tak samo jak ona i często mówił, że chętnie zamieszkałby w tej krainie majestatycznych zamków, wodospadów i jaskiń, zielonych wrzosowisk i odizolowanych od świata ołowianoszarych jezior. Chciał zwać z Londynu, uwolnić się od bezdusznego przedmieścia, na którym – jak mawiał, gdy wypił za dużo wina, choć rzadko było mu wolno wypić za dużo wina – zawsze brakowało mu powietrza. Rachel przypuszcza, że podjęła decyzję o przeprowadzce do miejsca, w którym czuł się tak dobrze, w dużej mierze dlatego, by jego duch za jej pośrednictwem mógł spełnić to marzenie. Zabierała go ze sobą na spacer, bo uwielbiał spacerować – nie po polach golfowych ani parkach, gdzie służby miejskie stawiają klomby i zakładają rabaty kwiatowe na kawałkach ziemi skradzionych betonowemu molochowi miasta – ale był spragniony natury. Natury, której wolno mu było zakosztować raz w roku w wynajętym małym różowookim domku z dwiema sypialniami i zarośniętym ogrodem opadającym ku brzegowi Tywi. Z kolei matkę, która nigdy nie miała odpowiedniego obuwia i którą trzeba było nakłaniać do opuszczenia zadymionego miasta, musieli siłą wypychać w tę wspaniałą przestrzeń, gdzie wiał łagodniejszy wiatr i nieoczekiwanie spadał deszcz. Często zostawała w domku i przez gnijące okienka na poddaszu przyglądała się, jak mąż śmieje się z córką tak, jak nigdy nie śmiał się z nią. Nic dziwnego, że cię nienawidzi. W Rachel uderza podmuch wiatru, przynosząc jej wiadomość. Kiedy widziała, jak zajmujesz jej miejsce, musiała być bliska obłędu.

Rachel doskonale zna ten rodzaj obłędu. Wie, do czego może człowieka popchnąć. Spędziła dość długi czas w szpitalu, i to nie w tych strasznych dniach po porwaniu, ale dużo później. Mówili, że przyczyną był atak depresji poporodowej. Fala hormonów. A może po prostu starali się być mili? Wzięli poprawkę na to, co wcześniej wycierpiała. Przecież Laura miała już wtedy prawie cztery lata. Podano jej lekarstwa, które miały jej pomóc dać sobie z tym radę, z paranoją – bo taką nazwę nadali temu specjaliści, zanim rozpoczęli proces przywracania jej do zdrowia. Terapia może stępiła jej uczucia, ale sam problem nie zniknął. Przekonanie, że Laura i Spencer spiskują przeciwko niej. Chcą okroić ich trójkę o jedną osobę. Być może ma w sobie więcej z matki, niż jest skłonna przyznać.

Rozmyślania przerywa jej jakiś czerwony samochód: słyhać szum grubych opon na mokrej drodze. Wóz zwalnia i staje. Tracy, która najwyraźniej skądś wraca, wygląda nadzwyczaj odświeżenie. Rachel poznaje ją dopiero po chwili, zwłaszcza że nie zna jeszcze wszystkich pojazdów należących do Morganów.

– Hej, dobrze się czujesz? Wyglądasz okropnie.

Rachel opowiada jej o zaginięciu psa i swojej dziwacznej rozmowie z Idrisem.

– Co za ćwok. Nie chciał ci zrobić nic złego. – Tracy śmieje się, by rozwiać obawy Rachel. – Przypuszczam, że próbował zrobić na tobie wrażenie. W naszej okolicy mało jest ładnych kobiet, a biedak mieszka sam. Właściwie powinnaś mu współczuć. W każdym razie... – zmienia temat – cieszę się, że na ciebie wpadłam. Miałabyś ochotę na konną przejażdżkę w przyszłym tygodniu? W stronę Brianne? – Tracy pokazuje jakieś miejsce w oddali. – Świetne widoki.

– Konną przejażdżkę?! – Rachel z niepewną miną pycha ręce do kieszeni.

– Aha. Na pewno dobrze nam zrobi. – Widząc, jak Rachel otwiera usta, żeby odmówić, Tracy dorzuca szybko: – Nie przejmuj się, jeżeli nie masz sprzętu, pożyczę ci toczek, a te buty będą w sam raz.

– Boże, nie wiem, Tracy. Nie jeździłam na koniu od lat, odkąd moja córka... – Urywa, zdając sobie sprawę z własnego błędu.

– Nie wiedziałam, że masz córkę. – Tracy jest czujna i słyszy wszystko.

– Mieszka w Ameryce... – Po chwili wahania dodaje: – Z moim byłym i jego nową żoną. Nie widuję jej.

– Ach. – Zmieszana Tracy wbija wzrok w swoje ręce na kierownicy. – Przykra sprawa. Gdzie mieszkają? Mam krewnych w Connecticut.

– W Maine – wyjaśnia rzeczowym tonem Rachel. – Spencer, mój były, jest pracownikiem naukowym na tamtejszym uniwersytecie, prowadzi badania.

– Och, no, no. – Tracy kiwa głową, a jej wymodelowane włosy wpadają do starannie umalowanych oczu. – Pracownik naukowy, coś takiego. A czym się zajmuje?

– Jest malakologiem. – Rachel wymawia to słowo, jak gdyby używała go na co dzień.

– Mała... co? – Tracy próbuje powtórzyć, ale bez powodzenia. – A w tłumaczeniu na nasze? Co bada, malajskie malunki?

– Nie, nic z tych rzeczy. Jeżeli chcesz znać prawdziwą definicję, którą zresztą ciągle słyszałam – prychna krótkim, drwiącym śmiechem – to prowadzi badania nad lokomocją i fizjologią mięśni głowonogów... a konkretnie ośmiornic.

Tracy kiwa głową. Przygryza wargę.

– Tęsknisz za nim, co?

Rachel chichocze.

– Nie bardzo.

Gdzieś w głębi fałd jej płaszcza koloru likieru porzeczkowego rozlega się brzęczenie telefonu.

– Hywel – informuje Tracy, wysupłując aparat i unosząc go. Otwiera wiadomość. – Lepiej będę już wracać, strasznie długo nie ma mnie w domu – nowy cielak nie chce ssać. Przyjadę po ciebie w przyszły wtorek o dziesiątej.

– We wtorek? – Rachel błądzi myślami daleko stąd.

– Tak, zabiorę cię i pojedziemy razem.

– Ach, tak... na konie. – Rachel mocniej zaciska sznurki kaptura i krzywi się.

– Proszę, będzie fajnie, zobaczysz – namawia Tracy, w nadziei marszcząc czoło.

– No dobrze. – Czemu nie?

Patrząc, jak zadowolona Tracy odjeżdża do swojej rodziny, do domu pełnego krzątania i pełnego sensu życia na farmie, Rachel czuje coś boleńszego niż ukłucie zazdrości.

– No, chodź! – woła do psa, by jego towarzystwo osłodziło żal do Tracy i rozwiało niepokój, jaki zawsze budziło w niej wspomnienie o stajniach, kowalach i koniach. – Trzeba cię umyć. – Nie ma mowy, żebyś w takim stanie wszedł do domu.

W poniedziałek rano kościół Matki Boskiej z Muswell jest pusty. Jennifer, której zgodnie z grafikiem przypadł dziś obowiązek ułożenia kwiatów, po drodze zatrzymała się w kwiaciarni z fantazyjną markizą po zachodniej stronie Grand Avenue Park. Szła w jesiennej mżawce, a z trzech zapakowanych w gazetę wiązanek, które niosła w objęciach, woda kapała na jej kozaczki i przód ołówkowej kaszmirowej spódnicy. Przelewając do wiadra cuchnącą wodę po kompozycjach z zeszłego tygodnia, marszczy nos i napełnia naczynia kawałkami kupionej przed chwilą gąbki florystycznej. Osobie, która poprzednio układała kwiaty, nie chciało się wydawać pieniędzy na takie głupstwa. Sknera. Sprawdzi potem, kto to był. Co za niechlujstwo, zżyma się w duchu Jennifer, wiedząc, że jej dzieło będzie nieporównanie lepsze; że jej kompozycje dzięki dbałości o każdy szczegół wytrzymają cały tydzień. Szybko zabiera się do pracy. W nabożnej ciszy rozświetlonej blaskiem świec i pachnącej jeszcze wczorajszym kadzidłem rozlega się rytmiczny trzask jej nożyczek.

Czując na sobie czyjś wzrok, Jennifer spogląda na emanującą spokojem Matkę Boską, na której skupia się światło reflektora. Myślami znowu wraca do rzeczy, które znalazła podczas sprzątanego pokoju Donalda. Przypuszcza, że mąż musiał o nich wiedzieć, ale ponieważ już go o to nie zapyta, może tylko snuć domysły. Może to z ich powodu bronił jej wstępu do pokoju, nigdy jej nie zostawił ani nie domagał się rozwodu – nie miała wątpliwości, że od dawna nie jest szczęśliwy. Jennifer wie, jak blisko był z Sarah, może właśnie wyznanie tej tajemnicy związało ich jeszcze mocniej. Utrzymałaś coś w tajemnicy? Kieruje to nieme pytanie do naturalnej wielkości gipsowej figury o nieproporcjonalnie dużych różowych dłoniach, wiecznie złożonych w modlitwie. Czy to taki straszny grzech chcieć chronić własne dziecko? Po pierwszym szoku towarzyszącym odkryciu Jennifer ogarnęły uczucia opiekuńcze; chciałyby to córce wynagrodzić, powiedzieć Sarah, że nie obchodzi jej, co zrobiła.

Nie czas na odpowiedzi. Nie stamtąd. W półmroku słycać szelest sutanny. Pobożne stąpanie skórzanych podeszew po zimnych kamiennych płytach. To wystarcza, by oderwała wzrok od zajętych pracą rąk. Ciach. Za krótko. Trzyma w ręce zniszczoną łodygę chryzantemy o główce miękkiej i delikatnej jak ucho niemowlęcia. Ofiara dla ojca O’Brady’ego, który pojawia się i staje w snopie promieni słońca, chcąc, by niebiański blask rozświetlił jego postać. Sprytny ojciec O’Brady.

– Pani D’Villez – szczebiocze dziewczęco wysokim głosem. – Pięknie to pani robi, jeśli wolno mi tak powiedzieć. – Mówi z akcentem z Donegal, a Jennifer mogłaby przysiąc, że szlifuje go na pokaz. Na pewno nie postawił stopy na irlandzkiej ziemi, odkąd wstąpił do seminarium. Ale lubi go i w odpowiedzi uśmiecha się do jego niedojrzałej, spragnionej słońca twarzy. – Naprawdę wspaniale.

Jennifer widzi, jak delikatne dłonie księdza składają się w wiecznej modlitwie jak u Matki Boskiej, złowrogo wznoszącej się nad ich głowami.

– Doprawdy cichy ranek – dodaje. Mówi bez pośpiechu, robi pauzę dla nabrania oddechu. – Chociaż lada chwila... zjawią się dziewczynki od świętego Tomasza Morusa... i nie będzie można usłyszeć własnych myśli. – Śmieje się, wydając melodyjny chichot człowieka niedoświadczonego przez życie, a potem odpływa w głąb kościoła, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu przed Ofiarą Mszy Świętej, którą będzie potem sprawował.

Jennifer myśli o tych dzieciach. Maszerujących parami ze szkoły podstawowej za rogiem. Wyglądających identycznie w niebieskich kraciastych sukienkach, granatowych blezerach i błyszczących bucikach. W skarpetkach podciągniętych do kolan pokrytych strupami po podwórkowych upadkach i zadrapaniach. Szkoda, że muszą dorosnąć. Znowu przygląda się Matce Boskiej, wracając myślami do Sarah. Jennifer i jej siostry chodziły do katolickiej szkoły Świętego Tomasza, właśnie tam później zapisała też swoją córkę. Mundurki się nie zmieniły, podobnie jak cotygodniowe wizyty w tym kościele. Dziewczynki były prowadzone chodnikiem przez nijakie nauczycielki albo zapomnianą zakonnice, ubrane w różne odcienie brązu. Zapamiętała szczególnie ładną dziewczynkę, którą zobaczyła, pracując kiedyś w kościele, mniej więcej tak jak dziś. Od tamtej pory nigdy jej już nie widziała, choć zawsze starała się jej szukać. Stworzenie o poważnych oczach. Jasne, długie włosy spływające na plecy. Mała syrenka – nazwała ją tak jak kiedyś swoje własne dziecko, w czasach kiedy córka chciała to słyszeć. Jak gdyby znów patrzyła na małą Sarah. Sarah, zanim obrosła kolcami i zaczęła ją od siebie odpychać.

Jennifer odwija z gazety drugą wiązanekę kwiatów. Jej oczom ukazuje się twarz dziewiętnastoletniej Sarah i wiadomość o bliskim wyjściu na wolność jej porywacza. Tłumi okrzyk. Brzmi on jednak na tyle głośno, że ojciec O’Brady odwraca się do niej, a jego głos przecina półmrok pachnący wypolerowanym drewnem i gorącym woskiem świec.

– Pani D’Villez, nic się nie stało?

– Nie, nie. Wszystko w porządku, ojczy, dziękuję. – Bierze się w garść i ostentacyjnie wraca do pracy nad kompozycjami kwiatowymi.

– Na pewno? – Ponownie zbliża się do niej jego krótko ostrzyżona głowa otoczona aureolą pełgającego w półmroku blasku drżących płomyków. – Gdyby chciała pani porozmawiać, jestem do dyspozycji. – Nie zdążyła. Ksiądz widzi zdjęcie potwora skazanego za zabójstwo własnej żony oraz torturowanie i gwałt na jej córce. Jennifer czeka na dotyk miękkiej dłoni sprawiedliwego, leciutki dotyk na przedramieniu. – Naprawdę, proszę się nie wahać, gdyby chciała pani porozmawiać.

Kiwa głową. Na więcej nie potrafi się zdobyć. Nie umie powstrzymać grymasu, czuje drżenie warg, boi się, że za moment wybuchnie płaczem, więc odwraca twarz. Nie mogę przyjść do ciebie po rozgrzeszenie, ojczy. Nie tym razem. Nie z tym. To nie mój grzech trawi mi duszę. Obrazy tego, co znalazła schowane w pokoju Donalda, wybuchają przed jej oczami jak pęcherze, zderzając się z trzydziestoma trzema guzikami, które biegną krętą linią na sztywnej czarnej sutannie księdza. Obrazy, które po wydobyciu na światło dzienne stały się jej własnością.

– Wiem, ojczy – mówi, obracając w myślach jedyny wniosek, jaki przychodzi jej do głowy: że to, co znalazła, należy przekazać światu materialnemu; złe czyny, o których świadczy jej odkrycie, nie będą czekać na sprawiedliwy osąd na tamtym świecie. Gdyby tylko znalazła w sobie siłę, by to zrobić.

20

Z kolejnego wypełnionego koszmarami snu wyrywa ją odgłos przenikliwego krzyku, który przetacza się przez dolinę. Kiedy Rachel zrywa się z łóżka, by otworzyć okno i posłuchać, jej stopy natychmiast przenika chłód gołych desek podłogi. Cadno też to słyszy. Ciekawe, czy to lis, zastanawia się, gdy czekają, aż krzyk się powtórzy, i rzeczywiście rozlega się znowu – niepokojący i upiorny dobiega z głębi mroku. Nie ma księżycy i panuje grobowa ciemność, której Rachel nie może przebić wzrokiem, więc cieszy się, że towarzyszy jej pies. Gdy w inne noce budzą ją hałasy, może z powrotem zapaść w sen, mówiąc sobie, że to on. Ale nie dziś. To zupełnie inny odgłos i Rachel kuca, żeby go przytulić, czując na szyi dotyk sierści puszystej jak u misia.

Jego zapach przypomina jej Laurę. Woń rozgotowanej owsianki, kiedy się urodziła. Jej kwilenie w nocy, którego dźwięk trochę przypominał odgłosy dobiegające teraz zza okna. Zawsze martwiła się o dziecko, a gdy Spencer zabrał łóżeczko z ich sypialni, musiała biegać na palcach ciemnym korytarzem do pokoju córeczki. Czasami spędzała tam resztę nocy, siedząc w bujanym fotelu, który kupił jej ojciec, by miała gdzie karmić piersią jego najdroższą wnuczkę. Patrzyła, jak świt wydobywa z mroku kontury mebli, przytulank, arsenał rzeczy do pielęgnacji niemowląt. Były też noce, kiedy Rachel budziła się bez powodu. Dziecko było spokojne, w domu panowała cisza, Spencer spał obok, a jego oddech bombardował twardą powłokę nocy – kiedy zidentyfikowała ten dźwięk, nie mogła przestać go słyszeć. Leżała na wznak z mocno bijącym sercem, wpatrywała się w półmrok, czuła, że jej dziecko jest za daleko; wysuwała się spod kołdry, porzucając zapach i stopy śpiącego męża, aby sprawdzić, czy ich córeczka ciągle oddycha. Zaciskała dłonie na boku łóżeczka i nasłuchiwała, przysuwała dłoń do ust dziecka, chcąc poczuć powietrze na skórze, obserwowała, jak oddycha pod kocykiem. Dopiero wtedy się uspokajała.

Tak właśnie dbała o bezpieczeństwo Laury. Tego tobołka, który wręczono jej na oddziale położniczym, nie dołączając instrukcji obsługi. Spencer, zły, że budzi się sam, rano wchodził zaspany do pokoiku córki, widział żonę na bujanym fotelu i budził ją, robiąc jej awanturę. Krzyczał, że to nienormalne, że ma obsesję. Mówił, że dziecko jest bezpieczne, przecież mają przy łóżku włączoną nianię elektroniczną – co takiego mogłoby się stać? Dużo, jak się potem okazało.

Idris nie ma w życiu nic cenniejszego od beretty silver pigeon 687. Grawerunek na srebrzystej baskili przedstawiający zwierzynę, kiedyś wyraźnie widoczny, został już starty, a orzechowe drewno o gęstych słojach jest wypolerowane na wysoki połysk od pieszczotliwego dotyku jego rąk. Idris kończy przygotowany naprędce posiłek złożony ze zwęglonych kielbasek, głośno beka i podnosi się z zagłębienia w kanapie, by wziąć śrutówkę ze schowka za spleśniałą zasłonką przy drzwiach. Siadają razem. Dubeltówka i on. Obok siebie, jak stare małżeństwo.

Beretta należała kiedyś do jego ojca. A wcześniej do ojca jego ojca. Ma kilkadziesiąt lat i jest warta ładnych parę groszy. W tym przypadku wiek oznacza coś dobrej jakości, w przeciwieństwie do reszty odziedziczonego przez niego chłamu. Musiał jednak zaczekać, aż umrze Wynn, zanim stał się jej pełnoprawnym właścicielem. Ponieważ był najmłodszy, bracia wszystkiego próbowali przed nim. Emyr. Rhys. Wynn. Nie miał nic nowego, jego życie zawsze było pozszywane z używanych rzeczy; dlatego nosi w sobie tyle urazy. Jak na tej płycie nastawianej przez ojca, miłośnika musicali, co mogło się wydawać dość zaskakujące. Rozchwiana igła gramofonu sunęła po czarnym winylowym krążku wyjętym z czarno-białej koperty ze zdjęciem laluni o dziwnie wielkim nochalu, która zawodziła o jakiejś „Róży z drugiej ręki”⁶. To o mnie, pomyślał, natychmiast identyfikując się z tekstem piosenki.

Miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat, a przed sobą długie czekanie. Dopiero gdy dziesięć lat temu umarł Wynn, o wiele za wcześnie, jak zresztą pozostali bracia, Idris wreszcie dostał szansę, by sobie porządzić. Z młodszą o dwa lata Beth nigdy nie trzeba się było liczyć. Była tylko dziewczyną, a dziewczyny się nie liczą – poza tym głupia suka zaginęła wiele lat temu. Szkoda tylko, że kiedy przyszła kolej na niego, wszystkie pieniądze ojca zostały już wydane. Konto w banku świeciło pustkami. Płynność farmy Cwm Glas reprezentowała jedynie zawartość zbiornika na gnojowicę, Idris był więc zmuszony sprzedać farmę. Dzieląc ją na części górną, środkową i dolną. Wystawił na licytację zabudowania gospodarcze, dom, traktor, minikoparkę i prasę do belowania siana. Najlepsze zwierzęta. To zresztą nie wystarczyło, nadal tonął po uszy w długach, napływały listy z groźbami z banku i od syndyków. Oprócz stodoły i kilku akrów grząskiej ziemi mógł sobie zatrzymać tylko rozsypującą się chatkę ojca. Zapuszczoną, zimną i wilgotną. Nikt jej nie chciał. Ciasną rudere, do której wyrzucili Sukinsyna, kiedy już nie mógł pracować na farmie. Jak słabego i wynędzniałego konia pociągowego, którego puszcza się wolno na pastwisko, tyle że w Cwm Glas żadne zwierzę nie mogło liczyć na tak idylliczną emeryturę. Zwierzęta, które nie mogły na siebie zarobić, kocąc się, cieląc albo znosząc wielkie ilości jaj, bezceremonialnie zabijano. Zostawiali je na wzgórzu na pastwę myszołowów i wron, które oskubywały do czysta ich szkielety, a kości rozrzucaly.

Szkoda, że nie mogli tego samego zrobić z Sukinsynem. Musieli go poić alkoholem i mieć nadzieję, że przy jego niskiej odporności niedługo pociągnie. Odwiedzali go na zmianę co dzień po południu, obładowani przecenioną wodą, i stawali w proggu, zacierając z niecierpliwości ręce stwardniałe od pracy przy bydle i licząc na to, że diabeł w końcu po niego przyszedł. W zemście za to, że zabrał ich ze szkoły, zanim zdążyli się czegokolwiek nauczyć, zrobić coś, co mogłoby otworzyć przed nimi inną przyszłość, niż dla nich zaplanował. Za to, że zaprzęgnął ich w takie jarzmo, by spędzili życie tak samo jak

on, po kostki w krowim łajnie, ze słodko-kwaśnym zapachem gnijącej kiszonki w nozdrzach, na wiecznej walce z pogodą. Życie rozpisane na lata, najeżone obowiązkami: sprzątnięciem szop, naprawą ogrodzeń z drutu kolczastego, zbieraniem siana, wapnowaniem pola, badaniem wołów. Motylicą wątrobową i robakami. Nic dziwnego, że nie było czasu na dziewczyny.

Zresztą co by z nimi robili? Dziewczyny. Nie wiedzieli nic o związkach. Kto by zresztą chciał tego, co łączyło mamę i ojca, którzy mieli oddzielne pokoje? Łaskawie zgadzała się na seks w jego urodziny. Nigdy nie robili tego długo, nie hałasowali, ale Idris wiedział. A kiedy tradycja się skończyła, wysłano do niego Beth, która dygotała w koszuli nocnej, idąc zimnym korytarzem. Dopóki nie zaczęła krwawić. Na to wspomnienie Idris wydaje pomruk złości i znowu się zastanawia, jakim cudem Sukinsyn przeżył jeszcze tyle lat. Dawniej myślał, że został zamarynowany jak jajka z młodą cebulką, które matka konserwowała w słoikach i trzymała w spiżarni, gdy nadeszło Boże Narodzenie. Zimne, nieruchome oczy jak u jego ojca, pływające w substancji koloru niespłukanej toalety o poranku.

Tak więc los Cwm Glas został przypieczętowany wiele lat przed tym, jak jego bracia wyrzucili ojca do chatki, w której teraz mieszka Idris. Dlatego właśnie, gdy w końcu nadeszła kolej na Idrisa, nie było już farmy, musiał więc założyć firmę transportową. Za pieniądze ze sprzedaży domu i około dwustu akrów pastwisk kupił granatową scanię streamline V8, a potem musiał naszkicować trasę. Wydrukować serię wizytówek. Zamieścić reklamę w branżowym katalogu firm i wykupić drobne ogłoszenia w miejscowych gazetach. Nie udało mu się jednak wyrobić sobie marki. Na przeszkodzie stanął mu brak punktualności. W okolicy szybko rozeszła się wiadomość, że nie można na nim polegać, był więc zmuszony szukać klienteli coraz dalej na zachodzie. Zresztą i tak nie ma nic lepszego do roboty, odkąd nie ma już bydła i z całego inwentarza zostało mu tylko kilka ostatnich owiec i garstka kur, a swoimi dwoma border collie nie musi sobie zawracać głowy. Siedzą uwiązane łańcuchami na zawilgłym podwórku, co go obchodzi, czy kiedykolwiek zakosztują wolności na łagodnych zboczach walijskich wzgórz, do której je wyhodowano?

Dziś jako samotnik Idris może wyruszyć w trasę w każdej chwili. Nie musi się przejmować noclegiem w pensjonatach ani motelach. Śpi w kabinie. To wcale nie takie złe życie. Czasem nawet trafi mu się jakaś kobieta. Idris ponownie skupia uwagę na strzelbie i bierze ją na kolana. Tuli dubeltówkę, ważącą tyle co trzymiesięczne dziecko, z czułością, jakiej nigdy nie okazał żadnemu żywemu stworzeniu. Głaszcząc ją od wylotu lufy po zaczep paska na kolbie, przypatruje się fotografii ojca, która wiele lat temu spadła na podłogę z wbitego w ścianę gwoźdź. Przekrzywione w plastikowej ramce zdjęcie ukazuje jego byczy kark wciśnięty w wykrochmalony kołnierzyk białej koszuli i dumnie wypiętą pierś w granatowej marynarce. Idris pamięta, że czyścił i wkładał tę część garderoby na Doroczną Wystawę w Llandafen. Oceniał bydło jako sędzia. Przyznawał rozetki. Pociągał piwo. Uśmiercał cielęta. Był lekarzem owiec. Akuszerem trzód i stad. Niewiele było rzeczy, których Sukinsyn nie widział. Dzięki pracy w rzeźni w Wernadawen zdobył niezbędne umiejętności, które po śmierci ojca pozwoliły mu przejąć ster i zarządzać farmą.

Idris wyciąga nogę i celuje stopą. Przy swojej tuszy jest zaskakująco zwinny. Kopie głowę ojca i pogrąża fotografię głębiej w kłębowisku kurzu i śmieci, które przez lata zebrały się za telewizorem. Jego myśli biegną ku zdjęciu mamy stojącemu przy łóżku. Jej jedyna ocalona fotografia. Jest na niej bardzo młoda, o wiele młodsza, niż kiedy go urodziła, a ponieważ umarła, zanim całkiem dorósł, wydaje mu się, że właściwie nigdy naprawdę jej nie poznał. Śmierć jego matki była dla ojca wydarzeniem mniejszej wagi, niż gdyby padła jedna z jego ulubionych czterorogich owiec w zarażonej zagrodzie. Dziś jedyne, co pozostało po Nerys Tudor, to jej najmłodszy syn i szafa pełna sukienek. Sukienek, w które lubi zanurzać głowę, szukając śladów jej zapachu. Zapachu, który chyba czasem odnajduje, choćby tylko we wspomnieniach. Odżywającego za sprawą zdzir, które zaprasza na skórzane siedzenie kabiny scanii, gdy

zachodzi słońce. Może nie potrafi wyobrazić sobie twarzy matki w oderwaniu od fotografii, ale jej woń dobrze zna. Materiał jej ubrań jest miękki jak skóra na wewnętrznej stronie jej ramion, na wewnętrznej stronie ud. Nie żeby kiedykolwiek go poprosiła, by jej tam dotykał, tego sobie nie przypomina. Tak mówi mu wyobraźnia. Ma tak niewielkie doświadczenie z płcią przeciwną, że granice między matką a kobietą często się zacierają i Idris się gubi. Do tego stopnia, że musi się zanurzyć w jedwabistość jej ubrań, by uwolnić jej ducha. Gdy opanowuje go to pragnienie, często idzie na górę i kładzie się na śliskiej puchowej kołdrze owinięty w jedną z jej sukienek, wdychając własny rybi oddech.

Idris poprawia się w kraterze, który jego masywna postać wyżłobiła w sofie. Może będzie musiał skończyć to, co wcześniej zaczął. Podnosi się i zabiera ze sobą na górę tkwiący mu w głowie obraz apetycznej laseczki, która mieszka w jego starej stodole. Być może – schody jęczą w proteście przeciwko nierówno rozłożonemu ciężarowi jego ciała – powinien wkrótce coś jej przynieść. Żeby podziękować za przyjemność, którą miała mu dać.

[6](#) *Second-Hand Rose* – piosenka wykonywana przez Barbrę Streisand w musicalu *Funny Girl (Zabawna dziewczyna)* z 1968 roku.

Nie pytajcie mnie, jak to się zaczęło. Przypuszczam, że zbliżam się już do tego wieku, a zawsze miałem słabość do ładnych dziewczyn. To chyba jedyna cecha, która łączy mnie z ojcem. A kiedy chodzą zalane w pestkę, ubrane w coś, co prawie w ogóle ich nie zakrywa – to ułatwiają sprawę, prawda?

Na przykład dzisiaj wieczorem. Tak, wychodzę z domu, jeżdżę po mieście i śpiewam to, co akurat leci w radiu, więc można powiedzieć, że wyruszam na łowy. Czuję wydychany zapach zjedzonej niedawno kolacji. Bo wcześniej zrywam z odruchem i zwyczajem, zatrzymuję się w McDonalddie i zamawiam podwójnego cheeseburgera z dużymi frytkami, po czym pochłaniam je za kierownicą w drodze do miasta.

A potem ją widzę. Jest sama i pijana zatacza się na promenadzie, balansując na wysokich koturnach, a wiatr od morza płącze jej długie jasne włosy.

– Wszystko w porządku, skarbie? Gdzie są twoje koleżanki? – pytam, ścisząc radio i zatrzymując się obok niej. – Mogę cię gdzieś podzucić?

I wsiada, możecie w to uwierzyć? Uśmiecha się do mnie radośnie, otwiera drzwi po drugiej stronie i zajmuje miejsce pasażera. Oszołomienie odbiera mi mowę, nie wierzę we własne szczęście. Nie sądzę, żeby nawet mojemu ojcu tak łatwo udawało się je do siebie przekonać. Z tego co pamiętam, musiał najpierw wydawać na nie krocie, obiecywać im wszystko, czego zapragnęły, żeby zgodziły się z nim jechać. Ze mną jednak jest inaczej, najwyraźniej mi ufają; nie muszę im niczego dawać. Wystarcza, że proponuję zabrać je do jakiegoś cieplejszego miejsca.

– Zapnij pas, skarbie – mówię do niej, nie zdradzając swojego zdumienia. – Na wszelki wypadek.

Dyskusja w radiowym *Woman's Hour* przywołuje wspomnienie pierwszej wizyty Spencera w ich domu. Sarah zdała maturę i wzgardziwszy uniwersytetem, upierała się, że chce się zapisać na ogrodnictwo w szkole technicznej Watling. Wpływ Donalda, krzywi się Jennifer; ona chciała, by Sarah skończyła studia, dziewczyna miała tyle rozumu i urody, że mogłaby robić wszystko.

Przypuszcza, że przystojny Spencer, który miał już dwadzieścia kilka lat i rząderek literek przed nazwiskiem, miał być nagrodą pocieszenia. Oczywiście Donald od razu poczuł do niego niechęć, Jennifer wiedziała, że tak będzie, żaden mężczyzna na świecie nie mógł być wart jego najdroższej córki. Od początku podejrzliwie odnosił się do motywów Spencera, twierdząc, że jest zbyt sztywny dla jego Sarah, która lubiła się bawić. Pewnego wieczoru, już po wyjściu Spencera, zachęcał ją: „Rzuć go i poznaj jakiegoś chłopaka w twoim wieku. Baw się”. Powtarzał to, jak gdyby zabawa była najbardziej deficytowym dobrem w młodym życiu Sarah.

Jennifer pamięta awanturę, która trwała wiele godzin. Oboje siedzieli w łóżku, nie dotykając się, a obiekt ich kłótni leżał w sąsiednim pokoju. Właśnie podczas tej awantury Donald, który na podstawie słów Spencera opisującego swój sterylny, biały świat, z pewnością wyobrażał sobie przeróżne rzeczy, zakomunikował jej, że chce kupić córce kwiaciarnię w Northampton.

– Zrobię to – oświadczył, gdy Jennifer zaczęła głośno protestować. – Żeby miała coś własnego.

Jennifer usiłowała odwieść go od tego zamiaru, mówiąc, że to świetnie, że Sarah pomaga uprawiać warzywa i kwiaty w ogrodzie, ale Donald zastanawiał się właśnie nad wyłożeniem środków z własnego funduszu emerytalnego.

– Wcale się nie zastanawiam, Jennifer, ja to zrobię – już zdecydowałem. – Donald był nieugięty. – To moje pieniądze. Mówiłaś, że mogę z nimi zrobić, co zechcę.

Oczywiście rozmowa odbyła się, zanim jeszcze Sarah stała się sławna po swoim głośnym porwaniu. Zanim jej twarz została wystrzelona na orbitę przez wszystkie szmatławce. Nie była to sława, jakiej by sobie życzyła – nagle została własnością publiczną i znalazła się w centrum uwagi. Próbowwała potem wrócić do kwiaciarni, chcąc rozkręcić interes. Wytrzymała pięć dni. Donald podziwiał jej zasady etyczne, mówił, że ktoś inny na jej miejscu skwapliwie wykorzystałby zainteresowanie mediów i cieszył się grubą księgą zamówień dzięki darmowej reklamie, nawet gdyby nabywcami mieli być tylko ciekawscy. W przeciwieństwie do Spencera, który najwyraźniej cieszył się swoją chwilą w blasku jupiterów. Przyszło mu to bez trudu, mówił Donald, skoro nie dręczyły go koszmary ani ataki panicznego strachu; dla niego sytuacja wróciła do normy, gdy Sarah wprowadziła się z powrotem do jego domu przy Heron Way. Jennifer musi przyznać, że z tego co mówiła im Sarah, nie opuścił prawie żadnego dnia badań i nie miał żadnych kłopotów, by się zmobilizować do wyjazdu do kampusu Hatfield, zostawiając wśród odnowionych ścian ich córkę, która nie miała odwagi wyjść z domu. Właśnie o to Sarah i Spencer kłócili się pewnej niedzieli, kiedy przyszli do nich na lunch. Sarah wspomniała ośmiornice, które przez cały dzień badał w laboratorium.

– Mają więcej serca niż ty! – krzyknęła, gdy jej własne krwawiło.

– Masz rację – odparł bezdusznym głosem. – Mają trzy.

Jennifer wstaje, aby popatrzeć na ogród w gasnącym świetle popołudnia: zasypane ziemią, uśpione rabaty na obrzeżach trawnika, miejsca pełne obumarłych i unicestwionych przez deszcz, wiatr i słońce łądyg, nagich i wypranych z koloru, których widok sprawia, że trudno sobie wyobrazić, by jeszcze miało nadejść lato. Jedynym śladem świetności ogrodu jest czerwień dzikiego wina, wspinającego się po ścianach domu. Listopadowy prezent, który już blaknie. Jennifer przygląda się szopie Donalda i jej wypaczonym drzwiom – ten idiota Antonelli nie zamknął ich porządnie – którymi łomocze wiatr. Huśtawce, którą Donald zainstalował dla Sarah na jej siódme urodziny. Jennifer widzi ją jako małą dziewczynkę, widzi jej nogi w białych skarpetkach unoszące się coraz wyżej i wyżej.

Odwraca się od okna i drżących w oddali świateł Canary Wharf, które ożywają na pomarańczowym horyzoncie, po czym gwałtownym ruchem z powrotem siada za biurkiem. Sprawdzając, czy rzeczy znalezione w pokoju Donalda wciąż są bezpiecznie ukryte w głębi szuflady, znowu się zastanawia, czy ich nie zniszczyć. Coś ją przed tym powstrzymuje, choć nie rozumie co. Może wrażenie, że to jej wina, że jest złą matką i do tego wszystkiego doprowadziły jej błędy? Chce zająć uwagę czymś innym, wyjmując więc plik listów od Spencera i wybiera ten z fotografiami Laury siedzącej na kocyku. Piękne zdjęcie, rozchichotana i szczęśliwa Laura uśmiecha się do obiektywu, ukazując mleczne ząbki. Jesteś taka podobna do mamusi, myśli Jennifer i zaciska wargi wzruszona widokiem wnuczki, której nie widuje.

Jennifer zawsze uważała, że dziedzińce przed stajnią to straszne miejsce, a jak się okazało z Sarah, miała rację. Nie cierpiała Pinkton Grange. Odoru góry żółknącego obornika i zbłąkanych stadek kurczaków dziobiących wokół jej kostek, kiedy pojechała z Donaldem autostradą M1 obejrzeć gniadą klacz, dla której mąż sięgnął głębiej do kieszeni, ulegając namowom córki. Mogłaby zrozumieć fascynację Sarah jazdą konną, gdyby podobnie jak ojciec wychowała się na liczącej tysiąc akrów farmie w Quebecu, ponieważ jeżeli już Donald opowiadał o swoim dzieciństwie, co zdarzało się rzadko, mówił wyłącznie o koniach. O tym, jak na preriach razem z braćmi był zapędzany do pracy na plantacjach pszenicy i lnu należących do ojca. Słuchając tych skróconych i niedokończonych historii, Jennifer tworzyła własne wyobrażenia o jego życiu, gdy był chłopcem.

Próbowała przełamać w sobie lęk przed końmi, ale nie była taka jak Donald. Najbliżej nich znalazła się raz w dzieciństwie, kiedy zabrano ją na zmianę warty kawalerzystów Gwardii Królewskiej i jeden z koni pośliznął się na mokrym bruku, strącając gwardzistę, który runął na ziemię. Widok był okropny i choć minęło prawie pięćdziesiąt lat, do dziś go nie zapomniała. Tak samo jak nigdy nie zapomniała traumy spowodowanej odejściem matki. Miała wtedy niecałe dziesięć lat i dlatego później nic nie mogło sprawić jej większego bólu. Usprawiedliwia się, że dlatego stała się tak nieczuła. Szok wywołany śmiercią matki sprawił, że nie radziła sobie z rolą żony, była beznadziejną matką.

Nie chce oglądać młodszej siebie, lecz od śmierci Donalda i wstrząsającego odkrycia, jakiego dokonała w jego pokoju, ten obraz przychodzi do niej i chwytą ją tak jak dawno temu, gdy w dniu pogrzebu matki zjawiała się ciemno ubrana krewna, chwyciła ją za rękę i zaprowadziła do trumny. Zmusiła ją, by stanęła na palcach i jeszcze raz popatrzyła na zamknięte powieki matki, przyciśnięte srebrnymi monetami. Jennifer pochyła się na krześle. Masuje skórę na łydkach i znowu czuje ucisk gumek tamtych skarpetek z falbankami, które kupiono specjalnie na tę okazję. Nie ma pojęcia, co się potem z nimi stało, ale wie, że już nigdy więcej nie chciała ich włożyć. Tak samo jak czarnego aksamitnego płaszczyka z guzikami w kształcie serca, miękkiego jak futerko biednego martwego kreta, którego znalazła na trawniku po niespotykanych jesiennych burzach, tamtego dnia, gdy złożyli jej matkę w ziemi na cmentarzu przy kościele Matki Boskiej. Kiedy smutek chłostał ją boleśnie, jak wiatr smagający jej gładkie i mokre od łez dziecinne policzki.

Patrzy na trzymaną w rękę fotografię wnuczki i głowi się nad zagadką, dlaczego Spencerowi przyznano opiekę nad dzieckiem, a chociaż pozostaje z byłym zięciem w przyjaznych stosunkach, nigdy jej nie

wyjawił, co takiego Sarah zrobiła. Jennifer jest pewna, że miało to coś wspólnego z jego decyzją o przeprowadzce do Ameryki, i nie wątpi, że Donald był wtajemniczony w szczegóły. Spędzał z Sarah długie godziny w swoim pokoju; na pewno mu się zwierzyła. Tak czy inaczej, musiało to być coś niewybaczalnego, ale ponieważ Donald nie żyje, a Sarah przebywa Bóg wie gdzie, Jennifer nie przypuszcza, by mogła się dowiedzieć, co to było. Sekrety, sekrety, wzdycha, czując ciężar tych, które czyhały na nią w dawnym pokoju męża, i odkąd je odkryła, musi je w sobie nosić z rosnącym poczuciem bezradności, które martwi ją bardziej, niż odważyłaby się przyznać.

Z dołu dolatują słodkie aromaty pieczonego ciasta. Mieszają się ze wspomnieniami i wywołują burczenie w brzuchu. Co ta cholerna baba znowu robi? Jennifer wyłącza radio, wychodzi na korytarz i woła:

– Pani Pepper! Pani Pepper!

Dwie sekundy później z kuchni wynurza się głowa w znajomej chuście w kratę.

– Tak?

– Naprawdę nie ma potrzeby przyrządzać tego, co tam pani robi... – Jennifer zaciska dłonie na balustradzie, wpijając w drewnianą poręcz palce w pierścionkach.

– To tylko keks, pani D’Villez. Wzięłam mielone migdały, tak jak pani lubi. – Błada, woskowa twarz kobiety jest zwrócona w górę. Trudno zobaczyć wyraz oczu za grubymi szklami okularów.

– Niech go pani sobie zabierze – odburkuje Jennifer. – Proszę wziąć ciasto do domu. Na pewno ma pani rodzinę, którą pani poczęstuje. Ja nie mam. – O czym zresztą dobrze wiesz, do cholery.

Wraca do gabinetu i zatrzaskuje drzwi, odgradzając się od smakowitych zapachów. Siada za biurkiem, a jej pusty żołądek wydaje pomruk wulkanu. Przecież ta kobieta robi to tylko z dobroci, jest za głupia, żeby umyślnie próbowała ją zdenerwować. Ogarniają ją wyrzuty sumienia, odtwarza w myślach całą rozmowę i krzywi twarz. Omal nie zbiega na dół, by ją przeprosić. Omal.

Rachel czeka, aż wąski szyćlet słońca dosięgnie nogi toaletki, i dopiero wtedy wstaje. Wkłada czyste dżinsy i obcisłą koszulkę polo, szczotkuje włosy i ściąga gumką. Pies porusza się na łóżku, gotowy na jej sygnał.

– No, chodź.

Tylko tego było mu trzeba, zrywa się i zbiega za nią po schodach.

Po zwykłym codziennym sprawdzeniu internetu w poszukiwaniu informacji o zwolnieniu Blundella, kiedy uspokaja się, że nie ma żadnych nowych wieści, przypomina sobie, że trzeba iść na pocztę, i woła Cadno, który w kilku susach przypada do drzwi. Rachel z opuszczoną głową przekręca klucz w zamku, a po chwili unosi wzrok i widzi przed sobą zwalisty czarny cień.

– Przyniosłem jajka. – Szeroka, zarośnięta brudem twarz zawisa tuż nad nią. – Jak na porę roku dobrze się niosą.

Przestraszona drapie bliznę na przegubie.

– Naprawdę? To bardzo miło z pana strony. – Bierze pudełko ze skorupą błota na wierzchu i robi krok do tyłu, pragnąc się oddalić od Idrisa Tudora. Natrafia stopą na warstwę mokrych liści geranium, chwieje się niebezpiecznie i na moment serce w niej zamiera. Odzyskując równowagę, słyszy miarowe dudnienie silnika i widzi niebieski przód jego ciężarówki, która tarasuje całą drogę.

– Mam kurs – informuje ją Idris, jak gdyby miało to na niej zrobić wrażenie. – Odbiór dzisiaj w Swansea, dostawa jutro w Somerset.

– Kawał drogi. – Rachel pochyła się, by postawić jajka na beczce ustawionej pod rynną do łapania deszczówki.

– No. Kawałek, ale już się przyzwyczailem.

– Czyli interes dobrze idzie? – pyta tylko przez grzeczność, bo instynkt krzyczy na nią, żeby za nic w świecie nie zachęcała tego dziwaka.

– Jakoś się żyje.

Chce jak najszybciej wyruszyć na poranny spacer, a widząc zainteresowanie psa spodniami tego oryginała, wie, że czas się stąd wynieść.

– Widzę, że znalazła pani psa? – zauważa.

– Tak. Tak, znalazłam... no to życzę szczęśliwej drogi i tak dalej – mówi z udawaną wesołością i okrążając łukiem jego groźną sylwetkę, kieruje się na drogę.

– Podwieźć panią? – Świńskie oczka spoglądające spod rudej kreski krzaczastych brwi odnajdują jej wzrok. – Do wsi, nie? – Wskazuje na plik kopert w jej ręku.

– Hmm... podwieźć?! Nie. – Kręci głową zaniepokojona propozycją. – Chętnie się przejdę.

– Żeby zadbać o figurę? – Patrzy nieruchomymi oczami. Rachel czuje ich dotyk na skórze: jak lepkich i zimnych palców, które myszkują pod warstwami ubrania.

– Co?! – Przypuszcza, że się przesłyszała.

– Tym się nie musi pani przejmować – ma pani całkiem przyzwoitą figurę jak na swój wiek.

– Jak na mój wiek?! – powtarza z niedowierzaniem. Chce przeciąć tę rozmowę, bez względu na to, jak

miałaby się rozwinać. – Bardzo dziękuję za jajka, ale muszę iść na pocztę.

– To co, nie podwieźć pani?

– Nie, dziękuję – odpowiada swoim najbardziej stanowczym tonem.

– Dobra.

I znika, równie nagle, jak się pojawił. Z niespodziewaną zwinnością wskakuje do kabiny, po czym zapina pas i rusza pełnym gazem. Rachel oddycha z ulgą i zostaje sama w ciszy przerywanej od czasu do czasu ptasim śpiewem. Nagle uświadamia sobie, że serce łomocze jej w piersi jak kotły w orkiestrze symfonicznej.

– Chodź, mały! – woła do Cadno, który entuzjastycznie merdając ogonem, wsuwa łeb jak kucyk do obroży przypiętej do automatycznej smyczy, którą wyjęła z kieszeni.

Po nadaniu listów Rachel skręca w stronę wzgórz i przystając po drodze, by zobaczyć, jak wysoko się wspięła, odrywa wzrok od swojego cienia, wydłużającego się jak wskazówka zegara słonecznego, który wyznacza coraz krótsze mdłe dni zmierzające w szalonym pędzie ku zimie. Widzi statyczne Bryngwyn pod nieustannie poruszającym się niebem, które dziś jest fioletową poduszką chmur zawieszoną ponad pasami jasnej przestrzeni. Domy wyglądają stąd jak koraliki rozsypane na brązowo-zielonym dywanie, Rachel dostrzega też jasnoniebieski łuk rzeki, która jak giętka wstążka wije się wokół prostego kościoła i niepotrzebnej szkoły, gdzie poruszany wiatrem dzwonek wzywa na lekcję duchy dzieci z przeszłości.

Oddychając z trudem, skupia wzrok na drodze przed sobą. Jeżeli codziennie zafunduję sobie taki marsz, będę w formie, myśli, krzywiąc się od podmuchów wiatru. Jej cel to najwyżej położony wiekowy kamienny murek zbudowany bez zaprawy. Większa część okrytej porostami budowli to tylko niewielki kręty grzbiet unoszący się ponad trawę i mech, z widocznymi gdzieś fragmentami muru. Znajdzie kawałek, który będzie mogła zająć, kamienny tron wyrzeźbiony przez deszcze, jakie spadły w ciągu stuleci. Miejsce przy tarninie okaleczonej biczem wiatru, skąd będzie się roztaczał wspaniały widok, jej nagroda za trudy wspinaczki.

Ostrzega ją pies. Na trawie spoczywa jakiś ciemny i mokry kształt. Rachel wydaje się, że to jeleni, sądząc po zlepionej sierści i czterech racicach. Coś tu jednak nie pasuje. W pobliżu stoi czarna krowa. Jej ogromny bok – ściana mięśni – wznosi się zaledwie kilka metrów dalej. Z odrzuconą do tyłu głową i wyprężonym karkiem żałośnie krzyczy w stronę nieba. To okropna scena i Rachel woła Cadno, który wyczuwa niebezpieczeństwo i szybko przybiega. Martwo urodzone cielę. Daremny wysiłek porodu w chłodzie poranka. Rozdęte wymiona krowy są różowe jak gumowe rękawice zawieszane przy zlewie w kuchni Rachel. Ta matka cierpi. Jej przejmujący ryk brzmi prawie jak ludzki głos. Rachel wyczuwa jej ból, na który skarży się obojętnemu płatowi mlecznej chmury.

Jej matka straciła dzieci. I przed, i po urodzeniu Rachel. Przypomina sobie obrazy dokumentujące te smutne zdarzenia z taką samą łatwością, z jaką przewracała strony swoich książeczek z ilustracjami. Trójkątna plama krwi pozostawiona na krześle, krwi przesiąkającej przez materiał spódnicy matki. Błyskające niebieskie światła o północy. Parujące kubki okropnie słodkiej herbaty. Strumień ciotek, kobiet w butach na wysokich obcasach i w jedwabnych apaszkach, które na zmianę zostawiały swoje rodziny i przyjeżdżały, by dodać siostrze otuchy. A kiedy wyczerpały już zasób banałów, siedziały po turecku na podłodze, piły kawę i okręcały kosmyki włosów na ozdobione pierścionkami palce, wpatrując się w zegar.

Wszystkie z wyjątkiem jednej, jej ulubionej: Alice. O bladoniebieskich oczach, w których migotały te same tęcze, wielobarwne światy co w jej kolczykach z ptaszkami trzepoczącymi przy uszach. Ciemnorude włosy miały magiczny połysk przywodzący na myśl zdjęcie ciemnego kasztanka w jej *Przewodniku po koniach dla dzieci*. Alice zabierała ją na wycieczki. Kiedy w radiu cichł sygnał *Archerów* i zaczynało się popołudniowe słuchowisko, rozczesywała grzywkę, malowała usta i wylaniała

się z garderoby na dole, klaszcząc w dłonie i dzwoniąc mnóstwem bransoletek, które wydawały odgłos jak otwierana i zamykana szuflada pełna sztuców.

Wsiadały do autobusu i jechały na zachód miasta, gdzie Alice kupowała siostrzenicy nieodpowiednie stroje, a później, kiedy karta kredytowa męża zaczynała ją parzyć, mówiła: „Chodź, dziecko, umieram z pragnienia”. Oznaczało to: znajdźmy miejsce, gdzie podają aromatyczną kawę i ręcznie robione słodkości.

– Jak będziesz starsza, poprosimy wujka Pete’a, żeby nas zawiózł nad morze – obiecywała Alice, kiedy zamykały się drzwi autobusu, a one razem wbiegały na piętro i przyglądały się Londynowi za oknem. Ale jej było dobrze sam na sam z cudowną Alice, której waniliowe perfumy i kasztanowe włosy sprawiały, że oglądali się za nią mężczyźni na ulicy. Przyciągała ją jak magnes swoimi szerokimi paskami o srebrnych klamrach i bakłażanowym lakierem na paznokciach przypominających opalizujące żuki, które Rachel znajdowała w ogrodzie. Wydawała się tak egzotyczna, że trudno było sobie wyobrazić, by pochodziła z tego samego miejsca co matka Rachel.

Z biegiem lat coraz rzadziej pojawiała się i zniknęła niewielkie twarde wybrzuszenie pod ubraniem matki, bez względu na to, jak mocno matka przyciskała do niego ręce i jak żarliwie się modliła. Aż wreszcie skończyły się rozmowy o rodzeństwie oraz wizyty ciotek. Rachel doskonale pamięta, jak ubrana w piżamę kuciała w ciemności na podeście schodów i obserwowała rodziców krzątających się po jasnej kuchni. Ojciec otworzył butelkę wina. Brzęknęło, gdy nalewał je do kieliszków. Zniecierpliwiona tym, że jest ich dwoje, a nie troje, nauczyła się udawać koszmara. Krzyczała z ciemności, więc ojciec pędził na górę, by ratować najdroższe dziecko przed potworami, które, jak twierdziła, czały się pod jej łóżkiem. Delikatnie okrywał ją szlafrokiem, przyciskał do kłującego policzka, a potem zanosił do oślepiająco jasnej kuchni i cierpienia matki. Na nocną ucztę z przypalonych grzanek. Czarne okruchy na zębach, na palcach, osypujące się na szlafrok. Grzanka pokryta grubą warstwą marmolady od jednej z ciotek, z ledwie wyczuwalną słodyczą, by jakoś zamaskować gorzki smak spalenizny.

Rachel liczy na palcach i uświadamia sobie, że nie widziała Alice od dnia swojego ślubu ze Spencerem. Jesienią następnego roku wujek Pete zmienił pracę i oboje wyjechali do Nowego Jorku, a choć sporadycznie rozmawiały przez telefon, Rachel nie planowała odwiedzin. Przez kilka miesięcy po jej porwaniu ciotka była dla niej bardzo dobra, ale ponieważ Rachel nie umiała opowiedzieć jej prawdy o rozwiązłości, jakiej doświadczyła podczas jedenastodniowej udręki, nie wzbudziła współczucia Alice. Wreszcie ciotka straciła cierpliwość i oświadczyła, że Rachel nie może się ukrywać w Muswell Hill do końca życia. Może powinna napisać do Alice o tym, jak po śmierci ojca wzięła inicjatywę w swoje ręce. Jak pobudziła ją do działania wiadomość o zwolnieniu porywacza i niebezpieczeństwo, że znów znajdzie się w centrum zainteresowania mediów. Może jednak nie. Jak by wytłumaczyła decyzję ojca o zapisaniu jej wszystkich pieniędzy? I dlaczego kupiła za nie dom na takim odludziu, w ogóle nie informując matki, gdzie jest?

Ruch na świeżym powietrzu zaostriął apetyt Daia. Zobaczywszy jednak skromną zawartość lodówki, postanawia wybrać się do odległego o czterdzieści minut jazdy Llandafen. Tesco na pewno jest otwarte, będzie miał więc pretekst, by wpaść na rybę z frytkami.

W piątkowy wieczór w smażalni Bowena jest tłoczno. Po wielkich szybach wychodzących na mokry chodnik ścieka skroplona para niczym strużki potu. Wieczór jest chłodny, a niebo rozgwieżdżone, lecz tu, w kłębach pary i zapachów smażeniny Dai jest zdecydowanie za ciepło ubrany. Po kilku minutach, czekając na złożenie zamówienia, zdejmuje kurtkę. Kiedy nadchodzi jego kolej, prosi o dużego panierowanego łupacza i frytki, zwracając się do tłustych żółtych włosów na ciemieniu córki Tomosa Bowena. Do odrobiny zaskórników na jej drobnej kości czołowej oraz bladej dłoni ściskającej ołówki.

Jest tu całkiem ładnie, na tyle, by posiedzieć w środku i poczekać na przygotowanie zamówionej kolacji, którą zje w samochodzie przed powrotem do domu. Tak więc siada pod ścianą na ławie z kremowym obiciem, która zajmuje całą długość baru z jedzeniem na wynos, od ciężkich zapachów soli i octu ślina napływa mu do ust, i patrzy na zielononiebieskie kafelki na przeciwległej ścianie. Elsie nie przepadała za rybą z frytkami. Bardzo rzadko pozwalała mu raczyć się tym daniem. Pedantycznie dbała o zdrowie, więc nie było mowy o niczym smażonym, zwłaszcza o jedzeniu na wynos. Chociaż Dai świetnie pamięta, jak w Tenby kupowali frytki i jedli je z papierowych torebek. Był okres Bożego Narodzenia, właśnie zapadał zmierzch, sznury kolorowych światełek odbijały się w jej lśniących i ciemnych długich włosach. Trzymali się za ręce, patrzyli, jak słońce opada za krawędź horyzontu, i jeszcze długo słuchali szumu fal omywających piasek, kiedy na niebo wypełzły już gwiazdy.

Elsie nie protestowała by zbyt gwałtownie przeciwko temu lokalowi. Czysto i schludnie, widać, że Tomos Bowen utrzymuje wysoki standard. Uświadamiając sobie, że gapi się na dwoje młodych ludzi odbierających przy ladzie opakowane porcje dorsza z frytkami, Dai sięga po „The Sun”, żeby się czymś zająć.

Całą stronę zajmuje ziarniste zdjęcie ładnej blondynki. Wendy Denny, informuje nagłówek, wieczorem wyszła ze znajomymi w Westburn-on-Sea i zaginęła. Policja obawia się, że jej zniknięcie można łączyć z Issy Lake, mieszkanką miasta, która w tym miesiącu została zamordowana. Dziewczyna wygląda tak młodo. Dai głęboko wciąga powietrze i czyta dalej, szukając szczegółów. Dwadzieścia lat. Prawie dziecko. Biedna jej rodzina. Przebiega wzrokiem artykuł, który informuje, że Wendy studiuje zarządzanie w miejscowym college’u i w weekendy uwielbia chodzić do klubów. Myśl o podłości świata budzi w nim grozę, o podłości, z którą miał kiedyś do czynienia. Te dziewczyny – które mając mocno w czubie, paradują prawie rozebrane – same się narażają i nie mają szans się obronić, gdy popadną w kłopoty. Nie twierdzi, że wszyscy mężczyźni to zwierzęta, ale gdy ktoś im wysyła niewłaściwe sygnały... myśli o niepokojących obrazach, jakie zbyt często pojawiają się w telewizyjnych wiadomościach, o wyuzdanych dziewczynach, które dostają amoku w centrach miast jak kraj długi i szeroki. I Dai nie po raz pierwszy cieszy się, że nie ma córki, wystarczy mu, że martwi się o syna; chociaż nie może się oprzeć wrażeniu, że gdyby miał córki, wychowałby je tak, by miały więcej szacunku dla samych siebie. Dzisiejsze młode kobiety nie mają ani odrobiny skromności, która cechowała jego pokolenie. Nie chce

wyjsć na starego nudziarza, ale pewnie nie mogą się powstrzymać, prawda? Na pewno nie dziewczyny w takim typie, myśli, ponownie przeglądając zdjęcia w gazecie, i jest gotowy posunąć się nawet do stwierdzenia, że dostają za swoje – jeżeli ktoś igra z ogniem, hasając po ulicach ze wszystkim na wierzchu, to w końcu się sparzy.

Wywołują jego zamówienie, więc odkłada gazetę z powrotem na stos prasy i podchodzi do lady. Patrzy w nieruchome jak martwej ryby oczy córki Bowena, kiedy dziewczyna liczy pieniądze, które dał jej w zamian za ciepłe pudełko. To też nie jest odpowiednie otoczenie dla młodej kobiety, sarka w duchu, dziękując jej. Pytanie tylko, pić z koleżankami czy tkwić za ladą w smażalni? Nie jest pewien, które zło jest mniejsze.

Po deszczu padającym ponad tydzień Rachel budzi się i widzi za oknem stalowobłękitny szron i oślepiające słońce. Napełnia umywalkę letnią wodą, myje się i szybko ubiera. Poprzedniego dnia wieczorem dzwoniła Tracy, aby jej przypomnieć, że wybierają się na konie, więc przed wyjściem musi jeszcze wyprowadzić psa. Po powrocie będzie już za ciemno. W ciągu tych skarłowaciałych dni, gdy trzeba wtłoczyć tyle zajęć w krótkie godziny dnia, musi jeszcze pamiętać, żeby opróżnić piecyk.

Rachel nigdy nie zasypia i nie wychodzi na tak długo, by ogień wygasł do cna. Sztukę rozpalania ognia opanowała w ciągu kilku tygodniu od przyjazdu. Otworzyć szyber, żeby drewno się zajęło, zamknąć na sam koniec, by żar pozostał gorący i łatwiej było rozpalić rankiem. Miło ze strony Hywela, że dostarczył jej tyle drewna. Równiutko ułożyła suche i twarde polana wielkości cegieł w kącie niskiej drewnutni przylegającej do domu, po czym cofnęła się, aby z ogromnym zadowoleniem podziwiać własne dzieło.

Po rutynowym sprawdzeniu internetu i przejrzeniu wiadomości w MSN w poszukiwaniu nowych informacji o dacie zwolnienia Blundella – robi to kompulsywnie, kilka razy dziennie – zamyka laptop i w kapciach wybiega na dwór. Przebijając oddechem chłód, odmyka furtkę i czuje, jak pod jej stopami trzeszczy oszroniona trawa. Wysypuje zawartość popielnika, a wiatr dmucha jej popiołem prosto w twarz, oślepiając ją. Gdy w końcu otwiera oczy, widzi przed sobą Idrisa Tudora. Podszedł chyłkiem i przysłonił słońce swoją zwalistą postacią. Równie szokujący jest widok sporej wełnistej owieczki o nakrapianym pysku, którą trzyma pod pachą. Sparaliżowane ze strachu zwierzę wlepia w Rachel nieprzeniknioną źrenicę przypominającą tygrysi prążek.

– Żeby nie zarosło trawą. – Idris odzywa się pierwszy i wkracza na pole Rachel, jakby był u siebie, po czym upuszcza na ziemię owcę, która, zdając sobie sprawę, że jest wolna, rzuca się do ucieczki i na znak protestu pobekuje w przenikliwym porannym chłodzie. Rachel przygląda się oszołomiona jej wełnie dygoczącej jak galareta z lanoliną. Idris odwraca się i idąc z chrzęstem po żwirze, wraca do swojej toyoty pikapa z przyczepą. Rozlegają się odgłosy szamotaniny i łomot racic o metal: to druga owca broni się przed wyjęciem z ciasnego wnętrza przyczepy. Idris jest jednak silniejszy, ma doświadczenie w łapaniu i obezwładnianiu, więc w kilka sekund poskramia stworzenie.

– Chodź no tu, cholero! Chodź! – krzyczy, po czym ciągnie wierzgającą owcę i z niepojętą łatwością pakuje sobie pod pachę. A Rachel, podobnie jak owce złożone jej w dziwnym darze, w żaden sposób nie potrafi się przeciwstawić. Może tylko bezradnie patrzeć, jak Idris rzuca drugie zwierzę tak samo jak pierwsze, zamyka bramkę i znika bez słowa wyjaśnienia.

Co za dziwak, myśli Rachel, nie otrząsnąwszy się jeszcze z szoku. Pojawia się zniecka pod byle pretekstem i sieje grozę. Kiedy przychodzi, przypomina jej, że jest tu zupełnie sama. I że dom stoi na uboczu. Coś w nim jest – o jego możliwościach świadczy wzrost i potężna budowa – co sprawia, że czuje się bardziej bezbronna niż zwykle. Bo nikt by się nie dowiedział. Tracy i Hywel są wprawdzie niedaleko, ale nie usłyszeliby jej wrzasku. To ją martwi. Nie żeby go zachęcała, zawsze stara się go traktować szorstko. Nie wydaje się, żeby rozumiał aluzję.

Rachel ciągle się waha, czy powinna tam dzisiaj jechać. Nie postawiła stopy na dziedzińcu przed

stajnią od czasu Blundella, nie jest pewna, jak zareaguje na kontakt z końmi. Wolałaby, żeby Tracy nie stawiała jej w takiej sytuacji, żeby dała jej więcej czasu do namysłu, ale jest już za późno, aby się wycofać. Jest w bielonej szopie i wolno sącząc rozpuszczalną kawę z dużego kubka, przetrząsa zawartość worków, których dotąd nie chciało się jej rozpakować. Rzeczy, na które nie ma miejsca w domu, ale na wszelki wypadek woli ich nie wyrzucać. Cuchnie tu kocim moczem, jest jednak gotowa to znieść, by odnaleźć swoje bryczesy i toczek.

Wchodząc na składaną drabinę i stając na palcach, by dosięgnąć najwyższej półki biegnącej przez całą długość ściany, znajduje więcej, niż się spodziewała. Poza książkami z college'u o ogrodnictwie i podręcznikami jazdy konnej – na przyszłość odnotowuje w pamięci to znalezisko – jej ręce natrafiają na coś ciężkiego i sztywnego. Wyciąga tajemniczy przedmiot. To wielki, oprawny w skórę *Atlas świata*, tak grubo oblepiony ptasimi odchodami, że na pewno od wielu lat nikt go nie dotykał. Kiedy opiera ciężar ciała o najwyższe szczeble drabiny, żeby dokładniej go obejrzeć, lepkie od martwych much i pajęczyn stronice otwierają się jak włosy w miejscu, gdzie dzieli je naturalny przedziałek. Spomiędzy kartek wypadają dwa prostokątne zdjęcia, więc schodzi z drabiny, żeby je podnieść. Pierwsze jest czarno-białe, ma wypłowiałe krawędzie, a pośrodku widnieją dwie ostro zarysowane sylwetki. Pochodzi chyba z połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, myśli, patrząc na dziewczynkę i chłopca spoglądających spod takich samych kapelusików w kratę. Oboje mają najwyżej siedem lat, są w krótkich spodenkach i siedzą okrakiem na koniach na karuzeli. Jacy poważni, myśli, przyglądając się ich twarzom, próbując coś z nich wyczytać, czegoś się o nich dowiedzieć. Kim są? Tacy ujmujący, a tyle mają w sobie powagi. Budzą w niej niepokój. Jeszcze bardziej niepokoi ją drugie zdjęcie. Przedstawia tę samą uroczą dziewczynkę – trochę starszą, fotografia jest kolorowa – z małym łaciatym pieskiem na rękach, ale tu też się nie uśmiecha. Ma na sobie białą bawełnianą sukienkę, skarpetki i te staroświeckie brązowe sandały ze skrzyżowanymi skórzanymi paskami, jakie nosiły wszystkie dzieci zaraz po wojnie, przechyla głowę w stronę obiektywu, a słońce rozświetla jej miękkie jasnobrązowe włosy.

Oparty o górny szczebel drabiny atlas znowu otwiera się w wybranym przez siebie miejscu. Przedstawia trasę, jaką mógłby sobie wytyczyć wytrawny łowca przygód: przez Indie, Chiny, Mongolię i dalej, w głąb ówczesnego Związku Radzieckiego. Jej wzrok przyciągają liczne odciski małych palców. Roją się jak szalone żuczki, pokrywając Himalaje, Wyżynę Tybetańską, Kotlinę Kaszgarską. Pokonują łańcuchy górskie i rozległe jeziora. Kolory, którymi oznaczono rzeźbę terenu, od zieleni przez beż po jednolitą żółć, kontrastują ze sztucznym błękitem wody. Przez wielkie stronice atlasu biegną jaskrawoczerwone linie. Rysy przypominające blizny, które być może zaznaczają przebieg dróg. Czy to odciski palców dzieci na zdjęciu? Tam zamierzały pojechać? Przerzucając strony, które nie są ze sobą zlepione, dochodzi do Europy i w końcu rozkleja Wielką Brytanię. Znajduje tu zszyte faksymile nut. Trzy kartki odbarwione przez czas. *Serenada na trąbkę*, głosi wyblakła i zszarzała czcionka u góry. Tytuł otaczają sporządzone ołówkiem notatki. Wskazówki dopisane przez nauczyciela, aby grający na trąbce stroju B uczeń wiedział, gdzie ma nabrać powietrza, a gdzie nie. Rachel potrafi trochę czytać nuty, śledzi je więc na pięciolinii. Ćwierćnuta z kropką, potem ósemka, wyznaczone pauzy dla szybkiego nabrania oddechu, które są wliczone w takt.

– Allegro ma non troppo – mówi, dochodząc do wniosku, że to mało prawdopodobne, by instrukcja dotycząca grupy nut w prostym dwudzielnym metrum pochodziła od Schuberta.

Tracy przyjeżdża punktualnie co do minuty. Rachel słyszy chrzęst kół jej land rovera defendera na żwirze dokładnie w chwili, gdy zamyka drzwi i wciska stopy do sztybletów, które skrzypią przy każdym kroku. W samochodzie wyczuwa się woń mokrego psa i lanoliny z nutką słodczy kojarzącej się z gnijącymi owocami. Nie przepada za takimi zapachami. Jej miejskie nozdrza nie są do nich

przyzwyczajone i nie ma wątpliwości, że Tracy przestała już zwracać na nie uwagę.

W skafandrze, którego nie jest w stanie zdjąć, siada na brudnym fotelu. Pod nogami walają się niezliczone opakowania po czekoladkach i chipsach, tablicę rozdzielczą przykrywa warstwa sierści. Tracy bez przekonania przeprosza Rachel, która siedzi sztywno, trzymając leżący na kolanach toczek.

– Naprawdę nie ma o czym mówić – uspokaja ją. – Mieszkacie na farmie, przecież to wasza praca.

Jako pasażerka powinna otworzyć bramę. Przemyka na palcach przez błoto, skacząc po gęstych kępach trawy jak po kamieniach w strumieniu, a potem stoi na wietrze rozwiewającym jej włosy i czeka, aż Tracy przejedzie, żeby zamknąć za nimi bramę. Rachel nie jest pewna, czy buty, których od lat nie nosiła, są nieprzemakalne, dlatego woli nie stawać w wodzie. Nie obchodzi jej, jak wygląda w oczach siedzącej za kierownicą Tracy – typowa dziewczyna z miasta, która wydaje się zupełnie nie pasować do głębokiej wiejskiej prowincji. Ciekawe, dlaczego Tracy ani razu nie zapytała, co tu w ogóle robi – nie sprawia na niej wrażenia zahukanej myszki – chociaż dobrze, że nie pyta, bo Rachel wciąż się boi, by jej prawdziwa tożsamość nie wyszła na jaw.

– Dziwne – mówi, gdy land rover podskakuje na wybojach i kamieniach. Słysząc jeszcze tykanie kierunkowskazu, ponieważ właśnie zjechały w lewo z krętej drugorzędnej drogi, kierując się tabliczkami z napisem „Ośrodek turystyki i jeździectwa Llyn-Y-Fan”.

– Co? – pyta Tracy, nie odrywając wzroku od drogi.

– Dzisiaj rano znalazłam w szopie kilka rzeczy, nie moich. Atlas, jakieś nuty i dwa stare zdjęcia.

– Nie twoje, powiadasz?

– Nie. I to dziwne, bo nikt tu przede mną nie mieszkał, prawda? – Rachel przyciska nos do zimnej szyby w oknie. Zaintrygowana patrzy na grzebieniasty grzbiet góry, którą zwykle ogląda z daleka, a teraz znalazła się tak blisko, że wydaje się, jakby mogła jej dotknąć, gdyby wyciągnęła rękę.

– No, prawda, nikt. – Tracy waha się przez moment, po czym wciska hamulec, zręcznie unikając zderzenia ze śnieżnobiałą gęsią i gromadką kur, w przerażeniu trzepoczących skrzydłami, które wyrastają przed maską jak spod ziemi. – Ale pamiętaj, że do niedawna właścicielem zagrody był Idris. Wiesz, że Cwm Glas należała do jego rodziny, prawda? – Czeką na potakujące skinienie głowy. – No więc kiedy jego brat umarł i Idris odziedziczył gospodarstwo, znalazł się po uszy w długach i musiał je zacząć sprzedawać.

– To od kiedy macie farmę z Hywelem?

– Boże... pewnie niedługo będzie dziewięć lat. – Tracy przez chwilę liczy na palcach. – Tak, jak nic dziewięć. Kiedy się wprowadziliśmy, Llew i Tom mieli po pięć lat.

– Czyli to Idris je rozparcelował? – Rachel przypomina sobie słowa gburowatego montera z telekomunikacji.

– Zgadza się. Nam chyba z miejsca sprzedał Cwm Glas i większą część ziemi. Z jakiegoś powodu zostawił sobie na dłużej twój dom i sprzedał go deweloperom dopiero zeszłej wiosny.

– Tŷ Haf bardzo się zmieniło? – pyta Rachel.

– Z zewnątrz nie, ale w środku tak, oczywiście. Na początek dobudowali piętro. Pamiętam, że wcześniej na górze był tylko stryszek na siano, ale do połowy.

– Do połowy? – Rachel nie rozumie.

– Naprawdę nie wiem, jak to wytłumaczyć – tam, gdzie teraz masz piętro, ale stryszek zajmował tylko pół długości budynku. Wchodziło się po małej drewnianej drabinie.

– Chyba było ładnie.

– Niebezpiecznie. – Tracy odrzuca głowę do tyłu. – Nasz Llew kiedyś się tam bawił, spadł i złamał obojczyk.

– Och, to okropne – współczuje Rachel.

– Dzieci. – Tracy wymawia to słowo, jak gdyby tłumaczyło wszystko. – Za nic nie chcą słuchać.

– Te zdjęcia, które znalazłam, pochodzą z lat pięćdziesiątych. Są na nich dzieci, chłopiec i dziewczynka. Myślisz, że mogły być spokrewnione z Idrisem?

– Nie wiem. – Tracy wzrusza ramionami. – Spróbuj zapytać Daia. Jest świetnym źródłem miejscowej historii,

– Daia? Aha, poznałam Daia Jonesa. Miły gość, mieszka w długim białym domu na końcu drogi?

– Tak, o nim mówię. Podobno blisko przyjaźnił się z siostrą Idrisa i teraz sobie przypominam, że faktycznie mówił mi, że w dzieciństwie bawili się w twojej stodole.

– Naprawdę? Ciekawe. – Rachel kiwa głową, myśląc o zabawnych serduszkach wyciętych w drewnie belek u sufitu, które wcześniej zauważyła. – Zapytam go, gdy będę miała okazję.

– Bądź tak miła i zrób coś dla mnie, dobrze? – Tracy wskazuje ręką nad kolana Rachel. – Wyjmij nam czekoladowe cukierki – są w schowku.

Rachel otwiera pokrywę, wsuwa dłoń w rękawiczce do torebki. Od pracującego ogrzewania w samochodzie jest w niej gorąco jak w piecu i czuje pod palcami toffi miękkie jak masło.

– A wiesz, że Idris ciągle do mnie przychodzi?

– Naprawdę? – Tracy z zaciekawieniem unosi brwi.

– Tak. Pojawia się ni stąd, ni zowąd. Dzisiaj rano przywiózł mi dwie owce. – Rachel podaje jej cukierek.

– Dzięki. Uwielbiam je. – Muszę je trzymać w samochodzie, bo inaczej wpadłyby w ręce chłopaków. – Tracy odwijają opakowanie jedną ręką i zębami. – Idris, dwie owce? Dajże spokój.

– Mówił coś, że to po to, żeby mi pole nie zarosło trawą.

– Pewnie o to zadbają – odpowiada Tracy, żując. – Ale jeżeli się martwiłaś, mogliśmy ci podrzucić nasze, zawsze przyda się kawałek dodatkowego pastwiska.

– Nie, wcale go o to nie prosiłam. Mówiłam, po prostu nagle się zjawił. Ciągle mnie nęka. Innego dnia znowu przyniósł mi jajka – a ja w ogóle nie lubię jajek.

– Zwykle niczego nie daje za darmo – mówi Tracy na w pół do siebie i przygryza wargę. – Co mu powiedziałaś?

– Nic. Boże, do niczego go nie zachęcam, jeżeli to masz na myśli. – Rachel stara się zignorować lekko oskarżycielski ton jej pytania. – Naprawdę, Tracy, nie chcę, żeby mi zawracał głowę. Skóra mi cierpie, kiedy się pojawia.

– Idris? – Tracy się śmieje. – Nic ci nie zrobi. Chyba po prostu poczuł do ciebie miętę...
Prawdopodobnie Tracy zaraz powie, że to jej powinno pochlebiać, ale się rozmyśla.

– W każdym razie wolałabym, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

– Chcesz, żeby Hywel z nim pogadał?

– I co miałyby mu powiedzieć?

– Że nie chcesz, żeby do ciebie przychodził.

– Nie wiem – to coś zmieni?

– Można spróbować.

– Wtedy wyszłabym na jakąś rzewną mimozę, nie sądzisz?

– Daj jeszcze jednego, co? – prosi Tracy, a Rachel chichocze. – Możesz się poczęstować, nie stracisz przez to figury.

– Dzięki, naprawdę nie mam ochoty.

– Zimno ci? – pyta Tracy z pełnymi ustami, z których roztacza się słodki zapach toffi. – Powiedz, to podkreślę ogrzewanie.

– Boże, co ty – zapewnia ją Rachel. – Ciepłutko tu jak nie wiem.

– W takim razie zdejmij rękawiczki – gorąco mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Ośrodek turystyki i jeździectwa Llyn-Y-Fan to rozległe skupisko rozpadających się budynków. Przysadzisty dom, który, sądząc po nierównościach kamiennego muru i dachówek, powstał w wyniku połączenia dwóch sąsiadujących ze sobą chat, wychodzi na zryty koleinami dziedziniec. Wiatr niesie żdźbła słomy, które zaczepiają się o nogi, a potem lecą dalej, by zebrać się w rogach, gdzie kiedyś zgarnięto obornik, usiłując posprzątać dziedziniec, i pozostawiono go w kopczykach, które urosły w zarośnięte trawą pagórki.

Rachel wkłada toczek, wysiada z Tracy z samochodu i stoi z rękami w kieszeniach, słuchając, jak ta rozmawia z właścicielką. Niezbyt zachwycona Amerykanka o brązowej twarzy bez wyrazu, w wysokich skórzanych butach, uderza się szpicrutą po udach i sprawia wrażenie, jakby trzeba jej było dać ostrogę, by pobudzić ją do działania. Ton jej głosu wyraźnie świadczy o tym, że nie bardzo wierzy, aby te dwie dziwne kobiety, które właśnie wjechały na dziedziniec jej ośrodka, naprawdę chciały się wybrać na konną przejażdżkę w góry.

– Minky? Minky? – zawodzi monotonie Amerykanka głosem Jerry Hall. W końcu z ciemnego wnętrza stajni nad dzielonymi poziomymi drzwiami ukazuje się ozdobiona kolczykami, okrągła jak księżyc twarz chudej nastolatki. – Przynieś mi terminarz, skarbie. Ta pani rezerwowała... – przestaje wymachiwać szpicrutą i dotyka ramienia Tracy, aby się upewnić – ...dwie godziny przejażdżki?

Tracy potakuje skinieniem głowy i odsuwa się na bok, czekając na wiadomość. Uśmiecha się do Rachel, która odpowiada uśmiechem, chociaż to ostatnia rzecz, na jaką ma w tej chwili ochotę. Odrobina entuzjazmu dla dzisiejszej wycieczki, którą zdołała z siebie wykrzesać, szybko się rozwiewa. Ośrodek jeździectwa okazuje się kilkoma rozklekotanymi oborami, które trzymają się kupy tylko dzięki wielkim arkuszom blachy falistej. Nie ma pojęcia, jakim cudem te budy wytrzymują zaciekle ataki pogody. Zresztą w okolicy chyba bardzo lubią blachę falistą. Przypominając sobie chałupinę na skrawku ziemi Idrisa Tudora, Rachel dochodzi do wniosku, że wcale tak bardzo nie różni się od tej ruiny. Przygnębiający jest widok obwisłych drutów kolczastych i słupków nadwątlonych przez deszcz i wiatr. W niczym nie przypominają eleganckich ogrodzeń Pinkton Grange – rajskich padoków wśród drzew, rozrzuconych po mało znanym zakątku złocistego Northamptonshire. Nawet tutejsze drzewa są jak okaleczone. Przygięte od nieustannych ulew, wyglądają niczym ubodzy kuzyni wyniosłych dębów nad majestatycznym łukiem Nene, w których cieniu pasą się rasowe konie okryte perłowokremowymi derkami.

Rachel czuje ukłucie nostalgii przypominające bolesne uszczypnięcie zimnych palców, a wraz z nim lęk trzepoczący w piersi jak uwięziony ptak. Wcale nie ma ochoty tu być, co tak naprawdę sobie wyobrażała? Ostatni raz siedziała w siodle, gdy miała dziewiętnaście lat. Konie nie wyglądają lepiej niż otoczenie. Te, które widzi, stąpają niemrawo po grząskich i zarosłych chwastami padokach. Wyglądają biedaki, jak gdyby nie miały sił dojść do koryta z wodą, a tym bardziej wnieść na grzbietach ją i Tracy na zbocze góry. Przygląda się, jak Amerykanka rozmawia z mężczyzną, który wyłonił się z tej samej stajni co Minky. Ma na sobie staroświeckie bryczesy i sfatygowaną puchową kurtkę i pcha taczkę z górą ciemnożółtej słomy, której zapach unosi się w chłodnym powietrzu.

– Wygląda na to, że pani zamówienie przyjął mój mąż – informuje Tracy Amerykanka. – Mówi, że macie wziąć Bilba i Gerry'ego.

Rachel widzi, jak mężczyzna unosi widły i macha nimi w kierunku błotnistej padoku obok niszczonego maneżu.

– Tam są – ciągnie Amerykanka. – Mówi, że nie miał czasu ich przyprowadzić, więc same muszą to panie zrobić.

Cudownie. Rachel odwraca się do Minky, której woskowe oblicze wychynęło z rozsypującego się

ganku domu. Zadowolona z siebie dziewczyna wybiega na dziedziniec.

– Pani jest Tracy, Tracy Morgan?! – woła. Kartki terminarza żałośnie łopoczą na wietrze, jak podcięte skrzydła domowego ptactwa. Tracy potwierdza, że ona to ona, po czym robi niewielki krok naprzód jak zwyciężczyni loterii, która nie bardzo się kwapi do odebrania nagrody.

– Dziękuję, Minky, już zajmuję się paniami – przerywa dziewczynie mężczyzna, mówiący z akcentem pochodzącym z któregoś z hrabstw pod Londynem. – Nie płacimy ci, żebyś się opieprzała, bierz się lepiej do wywalania gnoju, dobrze? – dorzuca sarkastycznym tonem, a Rachel zastanawia się, czy to nie jest przedstawienie odgrywane specjalnie dla nich. – I nie zapomnij przyprowadzić tamtych koni z dolnego pola.

Dziewczyna kiwa głową i spogląda spod ciemnej grzywki potulnie jak baranek. Zamyka terminarz i nie rusza się, być może potrzebuje dalszych instrukcji.

– Odłóż to tam, gdzie znalazłaś – rozkazuje zjadliwym tonem mężczyzna z widłami, których znów używa jako wskaźnika, machając nimi w stronę domu. – Znasz zasady: nie wolno ruszać terminarza leżącego przy telefonie. Co za głupia dziewczyna. Zupełnie nie wiem, po coś go przynosiła aż tutaj.

Rachel patrzy na niego. Choć nie wierzy własnym uszom, że można być takim grubianinem, zna ten typ ludzi – podobnych spotkała w Pinkton Grange. Pewnie facet sobie wyobraża, że jest jakimś zaklinaczem koni. Powiedziałabym ci, żebyś spadał na drzewo, chłopie, myśli. Dostrzega wzrok Tracy i wzrusza ramionami.

– Coś nie tak, moje panie? – Mężczyzna w bryczesach skupia na niej uwagę.

Stoi daleko od niej, więc Rachel udaje, że nie słyszy, i obraca się, by nadstawić twarz do wiatru, który szczypie ją w policzki. Unosi nos – zadzierając go w wyzywającym geście – i czuje zapach śniegu. Tylko prawdziwi dziwacy mogliby tu mieszkać z własnej woli, przycupnięci u stóp tej ogromnej góry. Tym dwojgu odpowiada to idealnie.

– Niech Minky z nimi pojedzie – sugeruje mężowi Amerykanka, przesywając Rachel badawczym wzrokiem. – I tak masz dużo na głowie.

– Bzdura, Bauble potrzebuje ruchu, zresztą to tylko dwie godziny.

– Jak sobie chcesz – syczy w odpowiedzi kobieta i oddala się ciężkim krokiem.

Kilka sekund później Tracy stuka Rachel w łokieć.

– Pan Cock mi to dał. – Pokazuje dwa oblepione błotem nylonowe kantary. – I powiedział, gdzie są konie.

Rachel rozjaśnia twarz w uśmiechu.

– Pan Cock⁷?

– Tak, świetnie do niego pasuje, prawda? – Tracy parska cichym śmiechem brzmiącym jak rzenie.

– Ma się rozumieć. – I chichoczą w kułak jak niesforne pensjonarki.

– Chodźmy po nasze szkapy.

Rachel rusza za nią i czuje, jak woda przesiąka przez szwy popękanej skóry sztylp.

– Ciągłe chcesz jechać? – pyta, licząc w duchu na to, że Tracy porzuciła już pomysł przejażdżki.

– Żartujesz? – Tracy łapie Rachel za rękę, by nie stracić równowagi na śliskiej ziemi. – Zobaczysz, będzie ubaw. Zdaje się, że pojedzie z nami pan Cock.

– Zdażyłam się zorientować. – Rachel się krzywi.

– Hej, lepiej się uśmiechnij – chyba poczuł do ciebie miętę.

– Och, zamknij się. – Rachel nie umie opanować śmiechu.

– Mówię serio, powinnaś w to wejść.

– Mam nadzieję, że żartujesz?

Konie, ciemny gniadosz i sprany palomino, unoszą łby znad lichego pastwiska. Strzygą uszami, gdy

Tracy i Rachel podchodzą do nich, wpychają im pyski do kieszeni w poszukiwaniu smakołyków, o których Rachel w ogóle nie pomyślała.

– Proszę, mały. – Tracy odgryza kawał marchewki i podaje Bilbo albo Gerry’emu, nakładając mu równocześnie kantar i zapinając pasek policzkowy. Podaje marchewkę Rachel, która z kolei częstuje drugiego konia. Kiedy klepią je po karkach, z gęstej, wełnistej sierści zwierząt, którą pozostawiono niestrzyżoną, aby lepiej znosiły nocne temperatury, unosi się obłok kurzu. Tracy kicha.

– Mam alergię na te maleństwa – wyznaje.

– Słucham? – Rachel przygląda się jej minie, sprawdzając, czy nie żartuje. – Jesteś stuknięta, wiesz?

Dziwne uczucie znaleźć się w siodle. Kiedy przestała jeździć po historii z Blundellem, za bardzo się bała odwiedzać Pinkton Grange i nigdy już nie zobaczyła Trinket. Z tego co wiedziała, jej klacz została sprzedana, a pocztą przyszedł czek na kwotę znacznie poniżej jej wartości. Konie – Rachel jedzie na Bilbo o umaszczeniu barwy zgaszonego żonkila – są spokojne i krzepkie. Nie płoszy ich odgłos nisko przelatującego odrzutowca ani nagły trzepot wron wśród gałęzi drzew, które na pewno przestraszyłyby Trinket, i przejażdżka po mieniącym się kolorami jesieni pogórzcu jest naprawdę przyjemna. Nawet pan Cock okazuje się mniej okropny, jak z początku sądziła. Ogląda się przez ramię, aby się upewnić, czy miło spędzają czas, za który mu zapłacili.

Jeszcze przed bramą prowadzącą na dziedziniec stajni Rachel wyczuwa przykry swąd przypiekanego żelazem kopyta. Zawsze kojarzył się jej z zapachem palonych włosów. Gdy zeskakuje z konia, aby otworzyć bramę, nogi się pod nią uginają, musi więc puścić wodze Bilba i złapać się lodowatych prętów bramy, żeby nie stracić równowagi. Kowal, najwyżej kilkunastoletni, ma na sobie sfatygowany skórzany fartuch. Jest tak pochłonięty spiłowywaniem tylnych kopyt czarnego kuca walijskiego, że nie ma pojęcia, jakie zamieszanie wywołał. Brzęk metalu o metal, zgrzyt tarnika o ścianę kopyta i chmury ścinków koloru i faktury tartego parmezanu – i jak rozbłyśki stroboskopu wracają do niej obrazy tamtych muskularnych, wytatuowanych ramion, spalonych słońcem dłoni ściskających ją za gardło, lśnienie stali tuż przy jej twarzy...

Tracy w jednej chwili jest przy niej. Przytrzymuje Gerry’ego i sięga po wodze Bilba, aby koń się nie oddalił.

– Dobrze się czujesz, *cariad*? – pyta, rozglądając się na wszystkie strony, szukając pana Cocka, który całą drogę jechał za nią, a teraz nie ma po nim śladu. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Nie mogę tu zostać. – Rachel blednie i osuwa się w błoto. – Nie mogę tu zostać. Źle się czuję, niedobrze mi. Muszę jechać do domu, muszę zaraz jechać.

– Boże, skarbie – dobrze. Myślałam, że świetnie się bawimy. Co się stało, jesteś chora? – Tracy podąża za wzrokiem Rachel i widzi zawzięcie pracującego młodego kowala. – Chodzi o niego? – Tracy nic nie rozumie. – Znasz go? Chodź, Rachel, proszę! – Próbuje podnieść przyjaciółkę z brudnego dołka, w którym uparła się siedzieć w kucki. – Boję się o ciebie.

Amerykanka, otoczona gromadką płowych kur, które dziobią u jej stóp, przychodzi na ratunek i łapie wodze Gerry’ego i Bilba.

– Co tu się dzieje?! – krzyczy. Kurczaki rozbiegają się w popłochu.

– Moja przyjaciółka. – Tracy jest bezradna, odchodzi od zmysłów. – Chyba dostała jakiegoś ataku.

– Minky! Minky! – krzyczy Amerykanka na tę samą dziewczynę co przedtem, ale nikt nie nadchodzi. – Gdzie Frank? – zwraca się do Tracy z szaleństwem w oczach. – Coście zrobili z moim mężem?

– Nie wiem, zniknął. – Tracy odpięła Rachel toczek i gładzi ją po włosach. – Chodź, *cariad*, nie możesz siedzieć na ziemi. Jesteś cała w błocie, zmarzniesz.

– Frank!!! – wrzeszczy kobieta. Wiatr niesie daleko jej piskliwy dyszkant. – Frank! Gdzie jesteś, do cholery!

– Tutaj. – Wolno nadchodzi drogą, już bez konia, z siodłem w ręce i uzdą zawieszoną na ramieniu. Ma zaskoczoną minę. – O co chodzi? Rany, zatrzymałem się tylko na moment, rozsiodłałem Bauble i puściłem na pole. Chciałem sobie oszczędzić czasu.

– Mniejsza o to. – Jego żona obnaża zęby i zajadle atakuje napływający od gór srogi chłód. – Ta kobieta ma atak. – Wskazuje na Rachel. – Podnieś ją, dobrze? Denerwuje zwierzęta. – Jak na komendę Bilbo i Gerry potrzęsają łbami i dzwonią wędzidłami, kołysząc zlepionymi grzywkami.

Frank rzuca siodło na ziemię i podbiega do Rachel. Podnosi ją z pomocą Tracy. Jej ciało zwisa im bezwładnie w rękach, muszą ją oboje podeprzeć i zanieść do stajni.

– Proszę – mówi Frank, wieszając na haku uzdę Bauble. – Niech jej to pani poda. – I sięga do kieszeni puchowej kurtki, skąd wyjmuje srebrną piersiówkę. – Pewnie po prostu przesadziła z wysiłkiem.

Tracy przyciska szyjkę piersiówki do ust Rachel.

– Napij się; to cię rozgrzeje. – Patrzą, jak Rachel przełyka, unosząc dłoń na znak, że już wystarczy.

– Nic mi nie jest – mówi słabym głosem. – Chcę po prostu jechać do domu. – Odwraca twarz do Tracy.

– Możemy jechać? – Wygląda tak marnie, tak żałośnie.

– Chodź. – Tracy przytula Rachel. – Możesz wstać?

Rachel wstaje i trzymając Tracy pod rękę, idzie chwiejnym krokiem do czekającego land rovera. Tracy pomaga jej wsiąść i uruchamia silnik, żeby włączyć ogrzewanie.

– Musisz się rozgrzać, biedactwo. Posłuchaj, dasz sobie radę przez sekundkę, kiedy pójde zapłacić?

Rachel wykorzystuje chwilę samotności, by wymyślić wiarygodne wyjaśnienie. Rozwiąć niepokój Tracy i znaleźć powód, dla którego urządziła tę krępującą scenę. Żałuje, że nie jest inaczej; żałuje, że nie może powiedzieć jej prawdy o kowalu i o tym, co się zdarzyło przed laty – ale gdyby mogła, co wtedy?

[Z Cock \(ang.\)](#) – kutas.

Naprawdę, musicie mi uwierzyć – między tą dziewczyną a mną wszystko grało, siedzieliśmy w samochodzie i przez szybę patrzyliśmy na światło księżyca połyskujące na wodzie. Było prawie romantycznie. Nie trzeba jej było do niczego namawiać. Robiła wszystko sama z siebie. I miło było dla odmiany mieć z kim pogadać. Opowiadała mi o sobie i swojej rodzinie, czego się uczy w college’u. Powiedziała, że ma na imię Wendy, wypadało więc podać jej swoje. Poprosiła o włączenie muzyki i kilka sekund później z głośników – a w wozie są świetne głośniki, lepsze od wszystkiego, co mam w domu – popłynął głos Elvisa Presleya śpiewającego: „Czy ci tęskno i źle⁸?”.

Przyłączyła się do mnie. Śpiewaliśmy razem z nim, było nam fantastycznie. Zgoda, niektóre słowa połykała, niektórych nie pamiętała, ale miała słodki głosik, ładnie harmonizował z moim, kiedy tak płynął do mnie z ciemności.

Ale potem straciła panowanie nad sobą, zaczęła szarpać klamkę u drzwi i krzyczeć, żeby jej otworzyć.
– Wypuść mnie – powtarzała bez przerwy, jak gdyby została uwięziona i przywiązana do fotela pasem, który przecież zapięła z własnej woli.

– Wypuść mnie.

Ale to oczywiście było niemożliwe, wiedziała, kim jestem – wcześniej poznała moje imię, prawda?

⁸ *Are you Lonesome Tonight* autorstwa L. Handmana i R. Turka.

Odkąd Sarah się wyprowadziła, minęło ponad sześć tygodni. Jennifer zdążyła na autobus i idzie zatłoczoną Oxford Street wśród tłumu spieszącego się na świąteczne zakupy. Ponieważ ma niewiele bliskich osób do obdarowania, zastanawia się, czy nie kupić czegoś swojej pomocy domowej, chcąc mieć tylko pretekst, by to zapakować i wręczyć. Nie żeby wcześniej dawała jej prezenty. Może kilka dodatkowych pięciofuntówek w kopercie z wypłatą, ale nic takiego, co wymagałoby namysłu. Obdarowywanie gosposi zawsze było domeną Sarah. Odbywało się to jednak bez rozgłosu. To była ich mała tajemnica. Ale raz Jennifer je przyłapała: w Wigilię Sarah zatrzymała wychodzącą panią Pepper. Kobieta wyglądała jak kuzynka misia Paddingtona w swojej grubej, szarej budrysówce i obrzydliwym malinowym berecie, który lubi naciągać na odstające uszy. Sarah wsunęła jej coś do ręki i cmoknęła ją w policzek. Był to spontaniczny gest czułości, jakiej nigdy nie okazywała matce. Przyglądając się temu z cienia na schodach, Jennifer czuła niemal fizyczny ból.

Często widziały je razem. Sarah przed południem zastawała panią Pepper w połowie pracy i nalegała, żeby zrobiła sobie przerwę i trochę odpoczęła. Siadały przy stole w kuchni i rozmawiały przez chwilę, tyle, ile potrzeba na wypicie kubka kawy i spałaszowanie ciastek, które Jennifer chciała zostawić na ważne zebranie w kościele. Podejrzewała, że ich przyjaźń nawiązała się po uwolnieniu Sarah, widziała zatroskane spojrzenia pani Pepper, która dotykała jej ramienia, dając jej do zrozumienia: „Możesz ze mną porozmawiać – powiedz mi wszystko”. Czy Sarah zwierzyła się dochodzącej pomocy domowej ze strachu, który towarzyszył jej w niewoli? Czy wyznała jej, ile przeżyła cierpień, kiedy prasa insynuowała, że w gruncie rzeczy to ona uwiodła porywacza, omamiła go swoim erotycznym urokiem, rozkochała w sobie tego potwora i kazała mu, żeby ją wypuścił? Chociaż to wstrętne myśl, Jennifer musi przyjąć do wiadomości, że biedna dziewczyna potrzebowała współczucia i mimo braku wykształcenia i niskiemu pochodzeniu pani Pepper z pewnością potrafiła je okazać.

Wprawdzie było jej przykro, że córka nie zwróciła się do niej, ale cieszyła się, że nie rozmawiała o tym z Donaldem. Zwłaszcza że postarała się, by nie miał pod ręką gazet, które obrzucały Sarah wulgarnymi oszczerstwami, obawiała się bowiem, że artykuły o aresztowaniu i uwięzieniu Blundella mogłyby spowodować następny atak. Szczegóły związane z burzliwym małżeństwem tego człowieka, z jego niekonwencjonalnym dzieciństwem. Życiu spędzonym w nieustannym ruchu, w podróży po całym kraju z wesołym miasteczkiem, co zdaniem osób szukających okoliczności łagodzących sugerowało, że jest klasycznym produktem wychowania pozbawionego stabilnych, trwałych podstaw.

Jennifer mija ogromny fronton domu towarowego Selfridges i przystaje, by popatrzeć na umieszczone na witrynie srebrzyste sceny z lubianych bajek. Pamięta, jak przyprowadzała tu małą Sarah, i zastanawia się, czy nadal mają tu grotę Świętego Mikołaja z mrugającymi lampkami i muzyką. Czuje w dłoni drobną rączkę córki, która ciągnie ją do środka; Sarah w czasach gdy miała na tyle mało lat, by wierzyć, że matka zawsze weźmie ją na ręce i wtuli twarz w jej loki Złotowłosej, pachnące słodko jak brzoskwinia. Mimowolny grymas na twarzy Jennifer, który jest zapowiedzią płaczu, odbija się w szybie wystawy. Boże, ależ staro wygląda.

Weź się w garść. Bez zmrużenia powiek mierzy gniewnym spojrzeniem kobietę, której nie poznaje. To

ty ją wypędziłaś. Ty. I tylko do siebie możesz mieć pretensje. Ostra reprimenda jednak nie wystarczy, by zatamować wzbierające w oczach łzy, więc ich nie powstrzymuje. Uświadamia sobie, że pierwszy raz płacze. Z powodu Donalda. Z powodu Sarah.

Zauważa, że ludzie znacząco trącają się łokciami i gapią na nią, więc rusza dalej. Oddala się od Jasia i Małgosi, od Czerwonego Kapturka. Zostawia Sarah z przyklejonym do szyby nosem, jak wtedy, gdy miała pięć lat. Brzdąca wciśniętego w szorstki płaszcz w szkocką kratę i lakierki. Rzeczy, które Jennifer zatrzymała, chomikując je głęboko na dnie przepastnej szafy, by zostawić je dla dzieci, które chciała jeszcze mieć. Chwiejnym krokiem idzie ulicą, a z jej ust wyrывa się wilczy odgłos – dziki skowyt z głębi duszy. Kiedy to wszystko zaczęło się psuć? pyta bezgłośnie, znowu myśląc o okropnym odkryciu w pokoju Donalda, i zanurza się w obojętną ciżbę przechodniów.

Dostrzega mężczyznę zmierzającego w jej stronę. Rudoblonde włosy, przystojny, o głowę przewyższa tłum. Na jego widok Jennifer staje jak wryta. Zakrywa dłonią usta, obawiając się, że krzyknie. To on. Blundell. Wyszedł na wolność – wyszedł! Z paniki cierpnie jej skóra głowy – musi odnaleźć córkę; musi ją ostrzec. Co tu robi, z kim jest? Wyraźniej widzi tego mężczyznę, elegancki wełniany płaszcz, lśniąca skóra cholewek, pod rękę z urodziwą blondynką.

Kiedy para zbliża się do niej, Jennifer już wie, że to nie on. To nie jest John Blundell. Fałszywy alarm, myśli, opanowując oddech i chusteczką osuszając czoło, na które nagle wystąpiły krople potu. Czuje, że ma miękkie nogi, więc schodzi z krawężnika i zatrzymuje przejeżdżającą taksówkę. Powtarza sobie w duchu, że powód szoku, jaki przed chwilą przeżyła, w ciągu kilku tygodni może się stać rzeczywistością. Niepokój rozdziera jej serce, musi odnaleźć Sarah, koniecznie, natychmiast... po powrocie do domu, zaraz zadzwoni do Lynette... weźmie od niej numer tego prywatnego detektywa... skończyły się jej pomysły, gdzie mógłby próbować szukać, i pętla zaczyna się zaciskać.

Idris pochyla się, żeby splunąć w ogień. Przypomina sobie spojrzenie, jakie posyłała mu Beth. Beth, o drobnym ciele kury bantamki, do którego on i jego trzej krzepcy bracia mieli nieograniczony dostęp. To była rodzinna rozrywka praktykowana przy aprobacie matki.

Myśliwiec odrzutowy. Ogłuszający huk nisko nad jego chatą o krzywych ścianach. Idris wciska grube palce do uszu i garbi ramiona. Sukinsyny. To ich obwinia o niedawną serię poronień u owiec. Na grząskich i wilgotnych pastwiskach znajdował szare, bezkrwiste tobołki pokryte śluzem. Nie wiedziałby, co to jest, gdyby czasem nie widywał takich w dzieciństwie. Idris siedzi bez ruchu i czeka na numer dwa. Bo skurwiele zawsze atakują dwójkami, jak komornicy, a tych widział w życiu dość. I faktycznie, kilka sekund później następny rozdziera niebo nad zapadniętymi dachówkami. Ryk jest taki, że dzwonią mu plomby w zębach.

W ciszy, jaka potem zalega, myśli opadają go jak natrętne muchy. Irytująco brzęczą i tłuką w czaszkę z resztką włosów. Rzadko myśli o siostrze. O jej dziwactwach. Różniła się od nich zupełnie, niebo i ziemia. Nie było na niej ani śladu pomarańczowego runa, które porastało jego i braci. Była jaśniejsza, jakby czystsza od nich, nie ugięła się pod brzemieniem własnego ciała. Zastanawiał się kiedyś, czy w ogóle jest człowiekiem, kiedy widział, jak płynnie porusza się po farmie, nie zderzając się z niczym i z nikim, chyba że została do tego zmuszona. W porze posiłków stawiała talerze, częstując ich swoim powściągliwym spojrzeniem; naprawdę potrafiła ich wkurzyć. Wściekał ich ten spokój w oczach, ton obojętnej wyższości, kiedy się do nich odzywała, ta chłodna wyniosłość, która pozwalała jej wznieść się ponad to wszystko, bez względu na poniżenia, jakich doznawała fizycznie.

Nie żeby przez to była kimś wyjątkowym – tego Idris w żadnym wypadku nie bierze pod uwagę. Mogłoby to oznaczać, że powinien o niej myśleć jak o kimś szlachetnym. Szlachetniejszym od niego. Była tylko głupią babą, znaczącą tyle co źdźbło trawy na bujnej łące. Raz, krótko przed tym, jak zniknęła na dobre, patrzył, jak ojciec ją bije, omal nie zatłukł jej wtedy na śmierć. Idris czuje ściśnięcie serca, wspominając swój szok na myśl, że Sukinsyn posunął się o krok za daleko i zabił Beth. Sama sobie była winna, uparta jak osioł, nie chciała się odczepić. Powtarzała z tą samą hardością, z jaką wysuwała żaloszny mały podbródek, że z jego niezwykle cenną, cielną krową rasy Welsh Black jest bardzo źle. Że cielę jest odwrócone i że trzeba piorunem dzwonić do Llewellyna-Jonesa, weterynarza, dać mu co trzeba, bo inaczej zwierzę padnie. Idris musi przyznać, że ta rzewna zdzira zawsze trafiała w dziesiątkę. Tylko Sukinsyn nigdy nie słuchał, nie? Z tym bydlakiem trudniej było sobie poradzić niż z pogodą. Idris pamięta tamtą noc przy krowie z Emyrem. Patrzył, jak w cierpieniu przepadają następne zyski farmy, i krzyczał z wściekłości na idiotyczny ośli upór ojca.

W stodole – w której Beth spotykała się z tym kurduplem Daiem Jonesem i którą sprzedał firmie deweloperskiej, tam, gdzie mieszka teraz ta nowa dziewczyna – były klatki, w których umieszczali nowo narodzone cielaki, żeby je tuczyć. Do Idrisa należało dokarmianie ich dwadzieścia cztery godziny na dobę; żeby ich ciała obrastały surowym białkiem, a jasne, młeczne mięso było w sam raz, gdy przyjedzie ciężarówka. W starych dobrych czasach, kiedy Cwm Glas było nieźle prosperującym gospodarstwem, samochód z rzeźni wspinał się drogą prowadzącą do farmy raz na miesiąc. Idris wiedział, kiedy Beth

i Dai byli w stodole. Słyszał ich oddechy. Leżąc wśród starych stęchłych worków z paszą i zeszłorocznego siana, myśleli, że są niewidzialni. Ale on wiedział. Wiedział o ich sekretnych schadzках, kiedy Beth powinna stać przy zlewie albo szorować podłogę w kuchni. Odmieńcy – tak ich nazywał. Dai Jones z czerwonymi pryszczami na gębie. Kurwa, jak on go nie znosił, nawet jeżeli jego zakichana młodsza siostra była jedyną dziewczyną, jaką Dai mógł mieć, mimo wszystko była dziewczyną, zdecydowanie bardziej niż te, które godziły się pójść z Idrisem – przynajmniej z własnej woli. Niedobrze robiło mu się na myśl, że to robią. Kiedy słyszał te szelesty i chichoty, nie miał wątpliwości, co kombinują.

Któregoś dnia znalazł ich inicjały. Myśląc, że coś znaczą dla świata, wryli pierwsze litery swoich imion w drewnianych belkach na stryszku na siano. Pamięta, jak raz schował się w ciemnym miejscu stodoły, pomarańczowy blask popołudniowego żaru lata wciskał się do środka przez wąskie szpary w ścianach, powietrze było gęste od kurzu i much. Nigdy nie czuł się bardziej samotny, słuchając, jak świetnie się razem bawią. Przez całe życie szukał tej jednej wyjątkowej osoby, z którą będzie mógł tak się śmiać.

Idris sprawdza godzinę na odtwarzaczu DVD i dochodzi do wniosku, że pora się ogarnąć. Jutro ma do przewiezienia koparkę gąsienicową 360 JCB do Westburn-on-Sea; ponieważ odbiór jest o wpół do dziewiątej w Pontypool, stąd w obie strony to czterysta dwadzieścia kilometrów, czyli trzeba wyjechać o piątej rano. Nie ma jednak aż tyle roboty, by się ogarnąć. Rzadko się goli i myje się tylko wtedy, gdy musi. Jeżeli wkłada czystą bieliznę, musi mu wystarczyć aż do powrotu do domu. Podnosi się i człapie do łazienki w butach po ojcu.

Bierze zalatującą wilgocią myjkę, szczoteczkę i pastę do zębów oraz pełen włosów grzebień, po czym wpycha wszystko do starej kosmetyczki mamy. Jej plastikowe wnętrze jest popękane i łuszczy się jak skóra na jego dłoniach. Musi się wysikać, więc rozpina rozporek i kieruje produkt trzech kubków herbaty w stronę lepkiej muszli klozetowej. Nie spłukuje. Nie znosi marnowania wody. Co z tego, że zbiorniki na wzgórzu są pełne i od kilku tygodni pada deszcz? Pogoda może się zmienić i co wtedy robi? Jego zwyczaje nikomu nie przeszkadzają; nie mieszka tu nikt oprócz niego. Idris konsekwentnie nie zwraca uwagi na zapach, zabiera prowizoryczny zestaw kosmetyczny i rusza na górę spakować resztę rzeczy, z przyjemnością myśląc o tym, co zaplanował na wieczór w Westburn.

Wyłączam reflektory i widzę, jak wysypują się na ulicę. Rozkrzyczane i rozbawione, kolorowe i obwieszane jak choinki, przenoszą huczną imprezę na chodnik. Jest na co popatrzeć, kiedy tak się cisną i przepychają z błyszczącymi z podniecenia ustami. Odchylam się wygodnie na fotelu, żeby zabawić się ze sobą, licząc na to, że gdzieś mignie pierś albo tyłek.

To lepsze niż zdjęcia. Lepsze niż te kolorowe magazyny, które dają mi tylko poczucie zupełnego braku kontaktu. Tu mam za darmo. I jak wrona śledząca szklistym okiem jagnięta, żeby we właściwej chwili spaść na ofiarę, czekam, aż dziewczyny zaczną się rozdzielać i rozchodzić w różne strony, bo zawsze tak robią.

A wtedy nic ich nie obroni.

Słyszę jakiś hałas, ale to tylko pusty kubeł na śmieci turla się na wietrze. Nic mi nie grozi. To towarzystwo jest za bardzo pijane i zajęte sobą, żeby mnie zauważyć.

Dokąd to tym razem wybiera się poszaleć? myśli Rachel, gdy widzi, jak Tracy – w eleganckich ciemnych aksamitach i szalu koloru arbuza – odjeżdża swoim land roverem. Idąc w stronę bramy prowadzącej na ziemię Cwm Glas, Rachel przystaje, by odprowadzić wzrokiem makowy dach samochodu sąsiadki, który oddala się krętą drogą. Dziwne, wyobrażała sobie, że ciężka dola żony farmera raczej nie pozwala na taką wolność; Hywel najwyraźniej z niej nie korzysta.

Przez kilka dni non stop padało i Rachel tkwiła uwiązana w domu, dobrze jest więc wyjść wreszcie na świeże powietrze. Nie znosi poczucia zamknięcia, nawet jeżeli więzi ją tylko pogoda, za bardzo przypomina jej to końcówkę 1997 roku w Muswell Hill. Dziennikarze koczowali pod orzechem na trawniku przed domem rodziców i na każde drgnienie zasłon błyskali fleszami. W pierwsze noce, kiedy nie mogła spać i słuchała dudnienia starych rur, podchodziła do okna z tyłu domu i otwierała je, by spojrzeć na niebo nad północnym Londynem. W oddali drżały światła Canary Wharf, z ulic dobiegał szum samochodów, echo syren. Ktoś krzyknął, gdzieś trzasnęły drzwi auta. Pachniało wilgotnym chodnikiem i bukszpanem żywopłotu.

Pewnie dlatego, że czuła się inna niż przedtem, spodziewała się, że pod numerem siedemdziesiątym siódmym też zaszły zmiany. Ale dom wyglądał tak samo. Wykładziny, dywaniki, antyczne wazy, stolik pod telefon na środku korytarza. Akwamarynowe strumienie płynące z kranów do wanny. Ogród. Jej huśtawka. O dziwo, nawet jej pokój pozostał niezmienny, odkąd wyprowadziła się do Spencera, jeszcze tego samego roku. Bładoróżowy i przytulny, w którym skrzypiała deska w podłodze, a na kołdrze leżał zwinięty w kłębek pluszowy lisek, wyglądający jak żywy, którego ojciec kupił jej w Brecon. To mógł być tylko straszny sen, powtarzała sobie, drząc w koszuli nocnej w ciemnym oknie. Może historia z Blundellem w ogóle się nie wydarzyła. Tylko że na dowód miała sińce, skaleczenia, które zagoiły się i zostawiły blizny. W tych pierwszych dniach wciąż czuła na skórze jego zapach, mimo wielu kąpeli, które przygotowywał jej ojciec, nie żałując gęstego płynu Eau Dynamisante należącego do matki. Wiedziała przez to, że istniał. Leżała zanurzona po brodę w gorącej wodzie. Zsuwała się pod powierzchnię, by posłuchać bicia swojego serca. Jeśli zaszły zmiany, to tylko w niej, w domu nie zmieniło się nic i uświadomiwszy to sobie, pomyślała, że może są dwie Sarah, żyjące w dwu oddzielnych światach. W świecie przed Blundellem i świecie, w którym znalazła się po nim.

Dni po powrocie do domu były dziwne i puste. Zasnute półmrokiem, którego nie miała czym wypełnić. Najczęściej czytała. U siebie na górze albo, kiedy wychodziła matka, w kuchni, z nogami na stole, słuchając brzęczenia pani Pepper w tle. Potem, kiedy znudziło ją ślinienie palca i przewracanie stron opowiadających o innych, lepszych światach, szła do ogrodu, siadała na huśtawce i paliła papierosy zwędzone z biurka matki. Raz poszła do szpitala i dziennikarze nawet tam ją wytropili. Na tę wizytę skierował ją jej doktor, mówiąc, że to ważne po badaniach, jakim poddał ją lekarz policyjny, zanim pozwolono jej się umyć. Zasnęła w cichej sali na wykrochmalonym białym łóżku i ocknęła się, gdy krzątała się przy niej pielęgniarka. Wtedy jedyny raz w ciągu ponad dwóch miesięcy wyszła z domu. Dopóki wszyscy nie uznali, że pora, by wróciła do Spencera i spróbowała stworzyć pozory normalności. Do Spencera, który odnowił korytarz w domu przy Heron Way. Rachel zorientowała się po zapachu

w momencie, gdy otworzył drzwi i zobaczyła napis. Nie „Witaj w domu, tęskniłem za Tobą”, ale kartkę z informacją ŚWIEŻO MALOWANE. Nie dowierzając mu, dotknęła lepkiej powłoki ścian i zostawiła na niej swoje odciski palców.

Rachel wspina się na wzniesienie pogrążona w rozmyślaniach. Zastanawia się, czy to nie jest największe szczęście obserwować płynące wolno stada chmur, tak jak teraz. Mieszkając tak blisko natury – unosi wzrok na chmurę szpaków, która wzbija się i rozprasza po niebie – uczy się czytać jej sygnały i nabiera do niej ufności.

I nagle ogarnia ją ten zapach.

Atakuje ją zniecka, jak gdyby zderzyła się z murem. Wzdęte zwłoki owcy o wyjątkowo bujnym runie. Leżą na grzbiecie, wyciągając w niebo zeszywniałe nogi w niemym proteście przeciwko śmierci. Chryste, ten zapach. Doświadczyła już czegoś podobnego... krew... śmierć... ich wspomnienie nie chce się zatrzeć. Stając blisko owcy, Rachel zasłania usta i nos; woli własne rękawiczki cuchnące moczem kotów, które przychodzą się ogrzać do przybudówki, niż smród gnijącego trupa. Chce się upewnić, więc podchodzi jeszcze bliżej. Z ciekawości, jaką w żywych zwykle budzi śmierć. W miejscu oczu zwierzęcia widzi dziury z plamami zakrzepłej krwi, jak grube czarne kreski na powiekach. Stojąca pośrodku sceny wrona daje nura w wysoką mokrą trawę, aby poczekać, aż droga będzie wolna. Rachel odgania ptaka.

– Uciekaj! Już mi stąd! – krzyczy jak oszalała i wymachuje rękami. Ale wie, że to daremny wysiłek, chyba że będzie gotowa czuwać przy zwłokach. Niedaleko czai się już lis i myszołów, więc wrona niedługo będzie sama. Rachel powstrzymuje łzy, ale napływają do oczu. Z powodu Laury, ojca... Lindy Blundell. Obraz ich twarzy na zawsze wyrytych w jej mózgu sprawia, że horyzont między ziemią a niebem tańczy jej przed oczami.

Poranne wiadomości atakują Jennifer D’Villez obrazami Wendy Denny, drugiej kobiety zamordowanej w Westburn. Niepojętej liczby ofiar zmasakrowanych w wojnie religijnej w Afryce. Tysiące niewinnych syryjskich dzieci umierających w niewyobrażalnym zimnie panującym w obozach dla uchodźców. Nie pada jednak ani jedno słowo na temat Blundella – jedyne go powodu, dla którego ogląda wiadomości. Jennifer wie, że mają go zwolnić już za kilka dni, we wtorek poinformował ją o tym „Daily Mail” w małym artykule wewnątrz numeru, na szczęście nie ilustrując go żadnym zdjęciem jej córki.

– Straszne, prawda? – W pobliżu kręci się pomoc domowa, trzymając w pogotowiu rurę odkurzacza.

– Co straszne?

– Już są dwie.

– Dwie... – Jennifer kieruje pilota w stronę ekranu, wyłącza telewizor. – Przepraszam, dwie co? –

Obraca głowę do pani Pepper, ale na nią nie patrzy.

– To już druga dziewczyna zamordowana w Westburn.

– Mówi pani o tych klubowiczkach? – Jennifer wyrzuca z siebie to słowo z obrzydzeniem.

– Tak, biedactwa...

– Skoro tak pani uważa... – Jennifer, nie kryjąc irytacji, robi krok w stronę wyjścia. Czasem wytrąca ją z równowagi nieporuszone spojrzenie kobiety zza tych grubych szkielec.

– Pani D’Villez. – Pani Pepper, która już się pochyla nad włącznikiem wiecznie uśmiechniętego odkurzacza Henry, stoi jej na drodze. – Mam przed wyjściem przynieść ze strychu choinkę?

– Żeby ją ubrać?

– Tak.

– Po co, jaki w tym sens, jeżeli nikt jej nie będzie oglądał?

– Przecież to Boże Narodzenie. Wszyscy mają choinki na Boże Narodzenie.

– Wszyscy? Doprawdy? Bardzo w to wątpię, pani Pepper, bardzo wątpię. – Głupia baba, myśli, Blundell na pewno nie dostałby pozwolenia na wstawienie choinki do swojej ceglanej celi dwa na dwa i pół metra. Ale w tym roku będzie mógł świętować na wolności, prawda? Ta nieprzyjemna myśl każe jej przycisnąć dłoń do piersi.

Na tle szumu odkurzacza Jennifer, siedząc już przy biurku, spogląda przez okno i zachwyca się błękitem oszronionego ogrodu. Mruży oczy w srebrzystym świetle, widzi, że mróz jest tak siarczysty, że warstwa szadzi okryła się drugą warstwą, nadając światu metaliczny połysk i pierzastą fakturę. Przebiega wzrokiem płaski trawnik, od tylnych drzwi domu do karmnika dla ptaków. Prowadzi tamtędy ścieżka ciemniejszych płytek w rozmiarze kapci, którą chodzi pani Pepper, by nasypać ptakom okruszków z deski do krojenia chleba. Widzi też dowody obecności pana Antonellego. Jego zmrożone ślady sprzed trzech dni. Wytyczają szlak od szopy Donalda obok ukrytych rabat kwiatowych, pogrążonej w zimowym śnie grządki warzywnej, wokół huśtawki i z powrotem. Huśtawka. Musi być strasznie zimna. Plastikowe siedzisko wygląda jak bryła szronu. Jennifer wyobraża sobie dotyk metalowej ramy. Natychmiast spiłaby wilgoć z jej dłoni, które przywarłyby do niej unieruchomione w mroźnych okowach. Do czasu, aż jej pokryte pęcherzami i poczerńnięte palce odpadłyby jak martwe liście.

Jennifer prostuje plecy i otwiera oprawiony w skórę terminarz na biurku, licząc na to, że na jego grubych stronicach barwy kości słoniowej czają się zaplanowane zajęcia. Kalendarz otwiera się na dwudziestym piątym grudnia. Z jakiegoś powodu została tam umieszczona bordowa wstążka zakładki. Boże Narodzenie. Nie miała odwagi myśleć o tym dniu. Po zwyczajowym spotkaniu na drinku u Lynette o jedenastej co ją czeka – pusty dom? Bo na pewno nie figuruje tu żaden wpis. Jennifer notuje na osobnym bloczku, by zadzwonić do pani Dobbs. Na pewno u Matki Boskiej z Muswell organizują coś, do czego będą potrzebni wolontariusze. Na przykład lunch dla wyrzutków i bezdomnych, którzy z uporem szpecą Grand Avenue Park swoimi prowizorycznymi obozowiskami i sypialniami z kartonu. Nie jest zachwycona tą myślą i już teraz czuje ich charakterystyczny kwaśny zapach, ale dobrze będzie pokazać, jak pomaga tym, którzy mieli mniej szczęścia w życiu, zwłaszcza o tej porze roku. Kto wie, jeżeli zapunktuje u rady kościelnej, być może przyda się jej to później; gdyby znów zaszła potrzeba, by zrobić coś dla parafii w nowym roku, będzie to mogła wykorzystać.

Zaczyna otwierać kartki świąteczne, których spory plik zebrał się na biurku. Przebiega wzrokiem pismo na kopertach, szukając przesyłki od córki. Nagle kątem oka dostrzega jakąś czerwonawą plamę, unosi wzrok i widzi na parapecie rudzika. Wstrzymując oddech, przygląda się, jak jego wypięta pierś unosi się i opada, unosi i opada: ptak wydaje króciutkie, gorączkowe okrzyki. Po chwili podrywa się i odlatuje na otulony białym włóknem konar jabłoni, tworząc idealny świąteczny obrazek. Jennifer wbrew woli rozjaśnia twarz w bladym uśmiechu.

Dzwoni telefon. Jennifer rzuca się na słuchawkę.

– Pani D’Villez? – Męski głos, stanowczy i pewny siebie, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zdziwiona, jak dobrze wymawia jej nazwisko.

– Tak – odpowiada niepewnie, z nadzieją w sercu.

– Dzień dobry, tu Derek Barnes z agencji detektywistycznej Barnes i Lee. Zostawiła pani wiadomość mojej asystentce?

– Ach, tak... tak, oczywiście... znajoma podała mi numer, otóż, hm... próbuję odnaleźć córkę.

– Rozumiem – czyli chodzi o zwykłą sprawę zaginięcia?

– Wydaje mi się, że tak, chcę się po prostu dowiedzieć, gdzie jest. Niecałe dwa miesiące temu ni stąd, ni zowąd wyjechała, zaraz po pogrzebie jej ojca.

– Dobrze, oczywiście będzie pani musiała mi podać jak najwięcej informacji – przerywa jej mężczyzna. – Mogę zaprosić panią do biura, żebyśmy omówili szczegóły? I gdyby pani wzięła ze sobą aktualne zdjęcie... hm... zaraz... zaraz... – Jennifer słyszy szelest przewracanych kartek. – Powiedzmy jutro o jedenastej? Odpowiada pani godzina?

Olśniewający dzień i niebo przejrzyste jak diament. Rachel, ubrana w miękki kaszmirowy sweter błękitny jak morze, dla odmiany ułożyła inną fryzurę. Nie tęskni za blond włosami tak bardzo, jak przypuszczała, chociaż aby ich kolor był świeży i lśniący, musi pamiętać, żeby przy najbliższej okazji kupić farbę. Znajduje wolne miejsce do parkowania przy niepotrzebnej szkole podstawowej i rusza w kierunku łopoczących na sznurkach różnobarwnych chorągiewek.

Jarmark bożonarodzeniowy trwa w najlepsze, a muzyka grana na żywo przez dziarski ośmioosobowy zespół wywołuje na jej twarzy uśmiech, w którym żwawo wkracza w ścisk i gwar. Czuje zapach smażonej cebuli dochodzący z samochodu z hamburgerami i ślina napływa jej do ust, nad głowami ludzi snują się też kuszące aromaty pieczonego prosiaka. Może później, mówi sobie, zauważając, że obok licznych otwartych kramów pod płóciennymi daszkami w paski, które powiewają na wietrze, są też duże namioty z jedzeniem i piwem, opatrzone dumnie wywieszkami: „Najlepsze produkty lokalne”.

Ochoczo rusza na poszukiwania i przepycha się przez zgiełk barw i dźwięków, szperając w bibelotach i osobliwościach domowej roboty. Zaskoczona wysoką jakością towarów i ich rozsądną ceną, na początek kupuje miniaturowy świąteczny pudding w muślinie. Podaje monety i wdychając zapach rodzynek i alkoholu, uśmiechem dziękuje sprzedawczyni, sześćdziesięciokilkuletniej kobiecie, wesołej i okrągłej jak produkty wyłożone na jej straganie. Potem znajduje stragan, na którym sprzedaje się wszystko, od świątecznych ozdób po okazałe bukiety ostrokrzewu i jemioly, i kupuje gęsto przetykany owocami wieniec oraz dwa drewniane aniołki na choinkę. Ma ochotę wydać kilka funtów – potrzebuje tylu rzeczy, żeby poczuć się w nowym domu jak u siebie – i po chwili trafia na kram, na którym piętrzą się wspaniałe, ręcznie szyte poduchy i aksamitne narzuty, tak piękne, że mogłaby kupić wszystkie. Kiedy jednak wchodzi do namiotu pełnego dekoracji ogrodowych, jej serce podbija duży kamienny gargulec. Wyobraża sobie, jak świetnie może się prezentować przed jej domem intrygujący stwór o krzepkich ramionach i z błyskiem w oku, więc w ciągu niewielu minut decyduje się go kupić. Prosi sprzedawcę, żeby go zatrzymał, dopóki nie podjedzie samochodem po kamienną figurę.

– Ra-chel! Ra-chel! – woła do niej Tracy siedząca w towarzystwie dwóch kobiet. – RACHEL...

Nie jest jeszcze przyzwyczajona do swojego nowego imienia, więc nie reaguje. Orientuje się, że chodzi o nią, dopiero wtedy, gdy dostrzega Tracy obok siebie.

– Hej. – Tracy uśmiecha się do niej z bliska. – Świetnie cię widzieć.

– Cześć. Miałam nadzieję, że cię tu znajdę. – Rachel rozpromienia się. – Niesamowicie, prawda? Cudownie się tu bawię. Nawet trochę poszalałam. – Otwiera koszyk, pokazując Tracy wieniec i inne małe paczuski. – A przed chwilą właśnie kupiłam gargulca. Ma strzec przed niebezpieczeństwem, chcę go postawić przed progiem. – Tracy robi zdumioną minę, udając konsternację, a potem obie wybuchają śmiechem. – Widziałam też przepiękne poduszki. – Rachel chichocze. – Trochę frywolne, ale nie umiem się powstrzymać.

– Fajnie, mówiłaś, że potrzebne ci rzeczy do domu. Miejscowy handel, świetna jakość, takiej nie znajdziesz w żadnym sklepie.

Rachel sięga do koszyka, by poprawić rozmieszczenie zakupów.

– Są tu z tobą Hywel i chłopcy? – pyta, unosząc wzrok.

– Dajże spokój. – Tracy śmieje się. – Mam wychodne, przyszłam z koleżankami. Chodź, poznasz je. Była degustacja piwa, a potem, no... już samo się potoczyło. – Znowu wybucha śmiechem i wskazuje namiot ze stolikami ustawionymi na zewnątrz.

– Dziewczyny! – woła Tracy, kiedy się do nich zbliżają. – To jest Rachel, moja nowa sąsiadka. Rachel, to są Carole i Gaynor. Carole to niekwestionowana królowa spotkań przy kawie – ma niesamowity dom i piecze ciasta, że palce lizać.

– Och, kochana jesteś – mówi Carole. – Tracy, może zaprosisz Rachel na środę?

– Na środę? – Tracy robi zakłopotaną minę.

– W sprawie zbiórki dla Macmillana – przypomina jej Carole.

– Ach, tak. – Tracy kiwa głową. – Jeżeli będzie chciała?

– Im nas więcej, tym raźniej – wtrąca Gaynor.

– Bardzo chętnie, dziękuję. – Rachel uśmiecha się szeroko.

– Czego się napijesz? – pyta ją Tracy, po czym spogląda na koleżanki. – Chyba możemy sobie pozwolić na jeszcze jednego, co?

– Nie powinnyśmy – odpowiadają chórem. – Ale dobrze.

– Pójdę z tobą, pomogę ci przynieść. – Rachel zrywa się z miejsca i rusza za Tracy.

Nagle staje jak wryta.

Odrzuca głowę do tyłu.

W pewnej odległości stoi jakaś kobieta i rozmawia z dwojgiem ludzi. Pod sześćdziesiątkę, wysoka, elegancka, z krótko obciętymi ciemnymi włosami. Rachel zapomina o oddychaniu. To jej matka. Wytropiła ją. Jest tutaj, w Bryngwyn. To nie może być ona, niemożliwe – nie mogła się dowiedzieć, gdzie jest.

Rachel omija linki namiotu i daje nura za brezentową zasłonę, żeby lepiej się przyjrzeć. Przekonana, że wzrok jej nie myli, czuje trzepoczącą w piersi panikę. Przeklęta kobieta, nie może się powstrzymać? Dlaczego nie przyjmuje do wiadomości, że Rachel przyjechała tu, żeby być sama – że nie chce zostać odnaleziona?

Po chwili, patrząc, jak kobieta żegna się z tamtą parą, Rachel z ulgą stwierdza, że to nie jej matka. Wcale nie jest do niej podobna. Głęboko oddycha, jej ciało wolno otrząsa się szoku, rytm serca się uspokaja. Jest bezpieczna, nikt nie wie, gdzie jest, na razie może się pozbyć obaw. Wycofując się z wejścia, wchodzi w głąb namiotu, do ocienionej niszy pod płóciennym dachem, i w półmroku unosi rękę, dając znak Tracy, która już zamówiła i czeka na nią przy barze.

Jak zwykle śpiewam to, co akurat nadają w radiu; siedzę w zaparkowanym samochodzie i obserwuję rozbawione dziewczyny w cekinowych topach bez ramion, z wyprostowanymi w salonach włosami. Uwielbiam je oglądać, kiedy idą razem, chwielejąc się na gołych nogach z widocznymi plamami od chłodu, ale na tyle jędrnych i smukłych, że i tak mnie kręcą.

Wieczór na razie ma burzliwy przebieg, jeśli wziąć pod uwagę awanturę tuż po północy pod nocnym klubem Sandpiper, która rozegrała się na moich oczach. Cudowne przeżycie, jak powrót na szkolne podwórko. Rozgorzały takie emocje, że ktoś z domów przy ulicy wezwał policję. I zepsuł mi zabawę, bo kiedy pojawił się radiowóz, trzeba było odjechać.

Nie mogę ryzykować, by mnie zobaczyli; wiem, że się rozglądają, spisują numery rejestracyjne, dlatego muszę uważać. Ale na szczęście nic na mnie nie mają, więc nic mi nie grozi, zresztą znam to miasto jak własną kieszeń – wiem, gdzie są dobre kryjówki.

Później udało mi się wytropić jedną z dziewczyn. Tę wyższą z dwóch, które się biły. Szła zupełnie zalana albo naćpana i można było zbliżyć się do niej na tyle, żeby zobaczyć krew na całej bluzce i rozciętą skórę pod okiem. Była taka nabuzowana, że nie obejrzała się ani razu i udało mi się śledzić ją przez całą Knightstone Road, obok szkieletu spalonego hotelu Grey's. Kiedy tak się zataczała, obcas utknął jej w kratce ściekowej. Wyrwała go i przewróciła się w swojej nędznej namiastce sukienki.

Szkoda, że zginęła mi z oczu, bo skręciła w jedną z nieoświetlonych uliczek biegnących z tyłu Sainsbury. Miejsce byłoby doskonałe, ale te zaułki są po prostu za wąskie i w żaden sposób nie da rady tam wjechać.

Dai nie wie, jak to się stało, ale przy szklance double dragona i partyjce domina z Denzilem w gospodzie The Bear rozmowa schodzi na Muvvy Morris.

– Przecież nie mogła się tak naprawdę nazywać, nie? – Denzil wychyla połowę piwa, spragniony jak hutnik.

– Pewnie, że nie. – Dai też pociąga łyk. – W każdym razie mnie się nie wydaje.

Parskają śmiechem, rozbrzmiewającym na tle stukotu kamieni domina, które dwie pary rąk rozłożonych na blacie stolika mieszają przed rozpoczęciem gry.

– Ale trzeba przyznać, że kobitka robiła wrażenie, co? – Denzil uważa, żeby nie mieszać kamieni zbyt zamasyście: jeden fałszywy ruch i może przewrócić piwo. – Do dzisiaj widzę te liliowe namioty, które nosiła. A kolana miała wielkie jak głowy moja i mojego brata.

– Nie mogę się pochwalić, że byłem z nią aż tak blisko. – Dai wybiera siedem klocków z talonu, uważając, żeby przeciwnik ich nie zobaczył.

– To szczęściarz z ciebie – szydzi Denzil. – Nie cierpiałem chodzić do jej domu, żeby zapłacić czynsz. Kazała nam wejść, opowiadać o szkole. Dasz wiarę?

– Była przecież emerytowaną nauczycielką, miała to we krwi, nie? Elsie była taka sama.

– Boże wielki. – Denzil pociąga łyk piwa. – Ale Muvvy po prostu gęba się nie zamykała.

Dai milczy i z rękami na kolanach czeka na znak Denzila do rozpoczęcia gry.

– Rany – mówi Denzil ze wzrokiem zasnutym mgłą wspomnień. – Wiesz, że jak zapłaciliśmy czynsz, gównu nam zostawało? Dzisiejsza młodzież – ostentacyjnie wzdycha – nie ma zielonego pojęcia, jak się kiedyś żyło.

Zaczyna się, myśli Dai i wychyla resztę piwa, by wzmocnić się przed długą sesją wspomnień. Unosi pustą szklankę do światła, chcąc zająć czymś ręce w oczekiwaniu, aż Denzil wybierze klocki, żeby było wiadomo, kto zaczyna.

– Idź zamówić, też się napiję. – Denzil umyślnie źle odczytuje gest Daia. – To twoja kolej? – udaje, że zapomniał.

Nie, akurat twoja. Denzil Reece. Cztery lata starszy od niego i z cztery razy dłuższym węzłem w kieszeni.

– Bo dłuższych nie robią – mówi Dai, choć przyjaciel nie słyszy, bo jego słowa zagłusza skrzypnięcie odsuwanej krzesła i brzęk zbieranych ze stołu szklanek.

Płaci za piwo i wraca, niosąc w rękach szklanki, a w zębach torebkę słono-octowych chipsów. Denzil pilnie układa kamienie domina, by wyglądały tak, jak zostawił je Dai, z czego wynika, że chyba próbował oszukiwać.

– Skoro mowa o starej Muvvy, słyszałeś o Eglar John?

– Eglar... Eglar. – Dai siada, obracając w ustach to imię.

– Trzymała setki parszywych kotów. Mieszkała po drugiej stronie kościoła.

– Tak, znam ją – siedemdziesiąt parę lat, długie czarne włosy do połowy pleców.

– Aha, a na głowie żadnych – mówi Denzil. Dai nie zwraca uwagi na żart.

– I co z nią?

– Umarła. Leżała w domu dwa tygodnie, przy włączonym telewizorze i elektrycznym piecyku. Resztę możesz sobie wyobrazić. – Denzil kosztuje piwa i cmoka z lubością.

– Straszne, biedaczka. Miała jakąś rodzinę? – Uświadamia sobie okropność tego zdarzenia, które mu przypomina, że on też nie ma krewnych. – Nikt we wsi tego nie zauważył? A emerytura? Przecież ktoś na poczcie musiał się zorientować.

– Tak się składa, że właśnie z jej emeryturą jest ciekawa rzecz. Chomikowała forszę przez całe lata i uciułała pół miliona funtów. PÓŁ MILIONA. Dasz wiarę? – Denzil wali ręką w stół, rozchlapując piwo na talon i przewracając część kamieni Daia.

– Jasne, rozumiem. Trochę szacunku dla zmarłych, co? – Dai rzuca się na swoje klocki i zagarnia w swoją stronę, zanim Denzil zdąży je zobaczyć.

– E tam, kto mnie usłyszy? – odburkuje Denzil. – Rozejrzyj się, chłopie; przecież to jedna wielka cholerna trupiarnia.

Dai rozgląda się, by potwierdzić to, co i tak już wie. Ciemne wnętrze pubu The Bear, zwieńczone ciężkimi belkami i zastawione wysokimi kanapami z obiciem z imitacji skóry, zalatuje wilgocią, sprawia wrażenie niezamieszkanego. Myśli o Muvvy Morris, o Eglar John, pod powiekami przemykają mu rysy ich twarzy obok twarzy Elsie. Wszystkie już nie żyją. Wszystkie nie żyją. Kręci głową, próbując się uwolnić od myśli o własnej śmiertelności, które nachodzą go zdecydowanie za często. Dai pociąga łyk ale, delektuje się smakiem i przełyka, po czym rozdziera paczkę chipsów i stawia na środku stolika, aby obaj mogli się częstować.

– W takim razie jakiś cholerny gnojek dostanie bardzo miły prezent jeszcze przed Bożym Narodzeniem – mówi z pełnymi ustami.

– Że co? – Denzil, nie zwracając uwagi na chipsy, zastanawia się, co począć z wybranymi przez siebie kostkami.

– Pół miliona Eglar. – Dai unosi wzrok do sufitu, widzi warstwę zaskorupiałej nikotyny, pozostałość po dawnych koszmarnych czasach, kiedy w kłębach dymu nie dało się tu oddychać.

– Właśnie to ci chciałem powiedzieć, ta stuknięta starucha wszystko zapisała swoim parszywym kotom.

W tym momencie Dai, który siedzi tyłem do drzwi pubu, wyczuwa, że ktoś je otwiera i wchodzi do środka.

– Niech to szlag – jęczy Denzil, wykładając na stół dublet szóstek. Kamień z przyjemnym dla ucha stukiem ląduje na grubo lakierowanym blacie i gra wreszcie się zaczyna. – Skoro mowa o parszywcach, nie uwierzysz, kogo właśnie przywiało? Idrisa z Szamba.

Dai obraca się na krześle i gabaryty Idrisa Tudora wywołują w nim szok, jakby widział go pierwszy raz. Zapomniał już o tych ogromnych rękach zdolnych łamać kości i gdy patrzy, jak beczynnie kołyszą się u boków Idrisa, strach ściska mu żołądek.

– Pamiętasz go ze szkoły? – pyta Denzil. – Uch, ależ cuchnął. Nauczyciele nie umieli zmusić nikogo, żeby stanął obok niego na apelu – współczuję tym, co byli z nim w klasie, pewnie też nie udało się nikogo zmusić, żeby usiadł z nim w ławce.

– Ale prawie w ogóle nie było go w szkole, prawda? – Dai wciąż próbuje się oswoić z ilością miejsca, jakie zajmuje ten człowiek.

– I Bogu dzięki.

Dai słucha barytonu Idrisa. Znajomy świszczący oddech, taki sam jak u ojca. Zamawia to samo piwo, za które zaledwie kilka minut temu zapłacił Dai. To odrażające, że ten opasły obrzydliwiec ma taki sam gust jak on.

– Ej, co z tobą? – pyta Denzil, przyglądając się, jak Dai odsuwa od siebie niedokończone piwo, które

zostawia za sobą ślimaczy ślad skroplonej pary.

– Nie mam ochoty – odpowiada niemrawo.

– Co? Przez tego sukinsyna? – Denzil patrzy na szklanę i ocenia jej zawartość. Czy da się ją przenieść do jego niemal pustego naczynia.

– Możesz wypić – mówi Dai, dostrzegając jego zainteresowanie. – Naprawdę przestało mi smakować. – Dokłada kamień do kamienia Denzila.

– Dureń z ciebie, Daiu Jones. Chyba nie mówisz serio, że ciągle masz problem z tym idiotą, po tylu latach? Daj spokój, stary, weź się...

– Denzil – przerywa mu Dai, mierząc go przeszywającym spojrzeniem, jakim posługiwał się kiedyś na sali rozpraw. – Z całym szacunkiem, nie masz bladego pojęcia o tym, co zaszło między mną a jego rodziną. Niektórych rzeczy nie można wybaczyć. Powiedzmy sobie, że zupełnie nic o tym nie wiesz, dobrze?

– No to mi opowiedz. – Denzil odchyła się na krześle, bardziej zaciekawiony pikantnymi szczegółami z przeszłości Daia niż partią domina i piwem.

– To za długa historia. – Dai ze zniecierpliwieniem macha ręką.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Może innym razem, nie teraz. – Dai czuje obecność zwalistej postaci Idrisa zaledwie kilka metrów za sobą. – Nie jestem w nastroju.

– Jak sobie chcesz. – Denzil pochyła się nad stolikiem, kładzie następny kamień i wzdycha. – W każdym razie, skoro mowa o Idrisie, pewnie nie widziałeś tej apetycznej babeczki, która wprowadziła się do jego dawnej obory, co? Widziałem ją raz, jak szła na spacer z psem. Uuaa – od wielu lat nie widzieliśmy w okolicy takich smakowitości.

– Ma na imię Rachel. – Dai stanowczo daje mu do zrozumienia, że absolutnie nie interesuje go przrzucanie się tego rodzaju aluzjami. – Owszem, poznałem ją. Jest bardzo miła. Przyjechała z Londynu. Wydaje mi się, że ma za sobą jakieś ciężkie przeżycia. Jest... bo ja wiem. – Milknie i zamyśla się, skubiąc czubek nosa kciukiem i palcem wskazującym. – Jest jakaś smutna.

Denzil prychnął rehotliwym, szyderyczym śmiechem.

– Taki z ciebie czuły dureń, że ludzie zawsze wydają ci się smutni. Dobrze ci radzę, lepiej przestań słuchać tych drętwych starych płyt. Zamartwianie się przy tych ckliwych gniotach nikomu nie poprawiłoby humoru. Zresztą, chłopie, spójrz prawdzie w oczy, wszyscy jesteśmy cholerne smutni – jacy mamy być, jeżeli mieszkamy w tej dziurze i mamy taką pogodę?

Dai wtóruje mu śmiechem i odzyskawszy apetyt, unosi szklanę i wypija tęgi łyk.

– Pewnie masz rację – przyznaje w końcu, przygląda się swoim kamieniom przed następnym ruchem i ocierając usta wierzchem dłoni, z rozmachem dokłada klocek do końca łańcucha.

– Miałeś jakieś wiadomości od Anthony'ego? – Przypominając o synu Daia mieszkającym po drugiej stronie globu, Denzil przywołuje obraz zalanych słońcem piaszczystych plaż. – Postanowiłeś już, czy polecisz?

Odgłos palców bębniących o bar sprawia, że mężczyźni zapominają o swojej rozmowie. Odwracają się równocześnie i widzą ogromną sylwetkę Idrisa w podartej kurtce i butach oblepionych błotem.

– Co musisz zrobić, żeby ktoś cię tu obsłużył? – dudni, trzymając w gigantycznej łapie szklanę, którą zdążył błyskawicznie opróżnić. – Jeszcze jedno. – Wskazuje Trevorowi kran. Właściciel pubu, który nie należy do ułomków, wydaje się drobny przy tym tytanie o zepsutych zębach, który zrasza swoją prośbę kropelkami śliny pryskającej na kontuar.

– Ma tupet. – Denzil wstaje, by wychylić resztkę piwa, a jego kości trzeszczą przy tym jak takielunek żaglowca. – Jeszcze po jednym? – Wskazuje na szklanę Daia, wyraźnie szukając pretekstu, by podejść

do baru.

– Dobra, dla mnie małe. Ale może lepiej zaczekaj, aż tamten siądzie.

– Odczep się, ja się go nie boję – obrusza się Denzil.

Dai odprowadza go wzrokiem. Słyszy, jak rozmawia z Trevorem, nie dając po sobie poznać, że w ogóle zauważył Idrisa, który nadal stoi przy barze. Idris chwieje się pod ciężarem własnego ciała i z gracją wychodzącej na brzeg foki odsuwa się od kontuaru. Ochlapując sobie piwem buty, człapie do najdalszego zakamarka pubu.

Zadowolony Denzil zostawia Trevora, który nalewa zamówionego double dragona, po czym na zeszywniały od starości nogach kuśtyka do toalety korytarzem pomalowanym lśniąca czerwoną farbą. Tymczasem Dai odwraca się do stołu, stara się nie myśleć o Idrisie i chcąc się czymś zająć, sięga po dzisiejsze gazety na stojaku przy drzwiach. Wyjmuje „Daily Express” i unosi, aby przeczytać nagłówki. Spoglądają na niego twarze już dwóch zamordowanych kobiet, którym wyrazistość odebrała kiepska jakość druku. Issy Lake. Wendy Denny. Nazwiska rzucone obojętnie, jak ich ciała, kiedy biedaczki zostały uduszone. Obie to blondynki, uderzająco piękne. Dai głęboko nabiera powietrza i poruszając ustami, bezgłośnie czyta czarne litery: ŚLEDZTWO POLICJI UTKNĘŁO W MARTWYM PUNKCIE. Ależ bezbronne są te młode kobiety, powtarza w duchu, a jego myśli wracają do Beth, jak zwykle, odkąd stodoła została sprzedana.

Uznano, że za mało znaczy, aby wolno jej było kontynuować naukę w szkole po śmierci matki. Że za mało znaczy, aby wolno jej było mieć przyjaciela. Dai myśli o ich sekretnych spotkaniach w stodole pół wieku temu. W jej schronieniu wertowali ciężki atlas, od którego bolały ręce, a ich rozmowy kipiały od pomysłów: mówili o przygodach i eskapadach, o życiu, które dałoby im więcej niż dotychczasowe. Beth była głodna wszystkiego. Dai pamięta książki do matematyki i lektury z przyrody, które pakował do plecaka razem ze smakołykami przygotowanymi przez matkę. Jak szalony pędził rowerem przez pastwiska, dygocząc ze strachu, że ktoś może go zobaczyć, pędził, żeby jej opowiedzieć, czego nauczył się tego dnia w szkole. Choć nie pragnął niczego więcej, jak pogłodzić miękką skórę na wewnętrznej stronie jej ramion i zajrzeć w głębokie jeziora jej oczu, szukając tam jedynej odpowiedzi, jakich szukał.

Była znacznie bystrzejsza i wszystko chwytiała w lot, Dai musiał więc ciężko pracować w szkole, żeby go nie wyprzedziła. Zaczął się mocno koncentrować, siedząc wyprostowany w ławce w pomalowanych na szaro klasach Ysgol Dewi-Sant. Przestał spoglądać przez okno na zalane deszczem boiska do rugby, martwić się tym, co będzie, i po raz pierwszy uważnie słuchał tego, co mówili do niego nauczyciele. Ku radości rodziców zaczął zbierać lepsze oceny, a dzięki Beth i jej wilczemu apetytowi na wiedzę dyrektor – przyznając, że Dai nigdy nie zostanie gwiazdą na boisku – zachęcał go, by bardziej pożytecznie spędzał czas. Kiedy więc jego rówieśnicy bronili się przed naporem siekającej ulewy i ataków przeciwników z innych szkół, Dai ćwiczył na trąbce w pracowni przyrodniczej, uczył się na pamięć nazw żółtawych kości szkieletu naturalnych rozmiarów albo wnętrzości rozmnażających się żab.

Stał się niewidzialny, unikając radarów silniejszych chłopaków, którzy zapomnieli o nim i znaleźli sobie kogoś innego do dręczenia. Kiedy dali mu spokój, zaczął kiełkować niczym roślina, która nie jest bez przerwy wdeptywana w błoto. Popijając piwo, myśli o nacięciach na framudze kuchennych drzwi, które widać do dziś. Dumny głos matki, kiedy kazała jedynakowi stać bez ruchu, dopóki nie zmierzy go od stóp po czubek głowy: „Rośniesz wysoki jak topola”. W miarę jak malał jego strach przed pobiciem, zaczęły mu znikać pryszczki, cera się oczyściła i Dai nabrał pewności siebie. Do tego stopnia, że w swoje szesnaste urodziny poprosił Beth o rękę. Tego dnia go pocałowała. Nie było to zwykłe cmoknięcie w usta, ale długi i czuły pocałunek. Który sprawił, że stali się sobie tak bliscy jak nigdy dotąd, tak bliscy jak nigdy później, ponieważ stało się to w przededniu ostatniej, jak się potem okazało, wyprawy do wesołego miasteczka w Porthcawl.

Dai wraca do terażniejszości i śliniąc palce, odwraca stronice gazety. Cztery strony dalej jego uwagę przykuwa zdjęcie urodziwej młodej kobiety. Jest pewien, że zna tę twarz. Po chwili dostrzega pojawiające się w artykule nazwisko John Blundell oraz słowa: rada do spraw zwolnień warunkowych... odbył karę... zostanie zwolniony na okres próby. No tak, oczywiście... już się domyśla. Gazety rozpiszywały się o tej sprawie mniej więcej w tym samym czasie, gdy zginęła księżna Diana. Liczy lata, które upłynęły od września 1997 roku. Naprawdę aż tyle? Pamięta to bardzo dobrze, bo w prasie ukazało się też zdjęcie Anthony'ego. Napisany przez niego wiersz zdobył pierwszą nagrodę w krajowym konkursie, więc jako dumni rodzice, którzy nie chcą przegapić ani jednej wzmianki o oszałamiającym sukcesie syna, przez cały tydzień chodzili z Elsie na stację Esso i z powrotem. Przynosili do domu naręcza gazet i tabloidów, które potem skrupulatnie przeglądali w poszukiwaniu informacji o swoim wybitnym dziecku. Nie mogli nie zapamiętać szczegółów tych brutalnych przestępstw. Czytali, jak kowal zatłukł żonę na śmierć, bo nieoczekiwanie zjawiła się w domku letniskowym remontowanym przez męża, który przetrzymywał tam porwaną dwiętnastoletnią dziewczynę. Dai jeszcze raz przygląda się jej fotografii. Już rozumie, dlaczego twarz młodej kobiety wydała mu się znajoma, nadal jednak potrzebna mu odpowiedź reportera, żeby przypomnieć mu, jak się nazywała: Sarah D'Villez. Nietypowe nazwisko, brzmiące trochę z francuska. Przypomina sobie więcej. No tak, biedactwo. Po ponad tygodniu bicia i gwałcenia udało się jej uwolnić. Musiała przeżyć niewiarygodny koszmar. Owszem, uciekła, ale co ją czekało? Trudno sobie wyobrazić, aby po takim doświadczeniu można było w ogóle mieć jakiś życie. A teraz ten człowiek wychodzi na wolność – co to dla niej będzie oznaczało?

– Skurwiel zmył się, zanim tam doszedłem. – Do stolika wraca Denzil z dwiema szklankami w rękach. Dai widzi, że jego prośba o małe piwo została zignorowana, ale nie komentuje tego, tylko składa gazetę.

– Byłeś tam kiedyś? – Denzil wskazuje na nagłówek.

– Gdzie? Dzięki za piwo, stary.

– W Westburn-on-Sea. – Denzil siada, przysuwa do siebie gazetę i pilnie wpatruje się w twarze zamordowanych dziewczyn. – Zapadła dziura. Pojechałem tam raz na jeden dzień z babcią. Autobusem z wycieczką emerytów. Kiedyś nasz kościół organizował takie wyjazdy, dzisiaj już im się nie chce. Pomyślałem, że to dobry pomysł wysłać kwękających staruchów na wycieczkę. Zwłaszcza do zaplutech miejscin nad morzem. – Pociąga łyk świeżo nalanego piwa, po czym głośno beka, nie przeprasząc. – Po powrocie do domu przestawali marudzić – cieszyli się, że mieszkają tu, gdzie mieszkają.

– Nie umiem za tobą nadążyć. – Dai przewraca oczami, co często mu się zdarza w towarzystwie Denzila, i wypija reszkę poprzedniego piwa.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – zauważa Denzil. – Westburn, byłeś tam kiedyś?

– Nie, nie byłem.

– Nic dziwnego – chichocze. – Nie ma mowy, żeby starzy puścili cię do takiego grajdołu, byliście za bardzo wielcy państwo.

– O co ci teraz chodzi? – Dai w roztargnieniu rysuje esy-floresy z kółek skroplonej pary na blacie stolika. Wygląda na to, że partia domina została przerwana, zanim się na dobre zaczęła.

– Aj, o nic. – Denzil unosi rękę, po czym pokazuje na gazetę. – Ile tych dziewczyn już zabito?

– Dwie – odpowiada Dai.

– Jak zginie jeszcze jedna, nie będzie miał już kogo dymać.

– O co ci chodzi, Denzil?

– O niego. O Idrisa. Tam przecież jeździ swoją ciężarówką, no nie? Do West Country.

– No, chyba tak. – Dai kiwa głową, choć właściwie go nie słucha i palcem wciąż kreśli wzory na stole.

– Myślisz, że zapuszcza się aż do Westburn?

– Nie wiem, może sam go spytasz?

– Jasne, bardzo śmieszne. – Denzil siorbie piwo. – Podobno kiedy jest w trasie, bzyka non stop.

– Nie pleć bzdur, chłopie. Jaką kobietę pociągałby taki typ?

– Może taką, która nie ma węchu i ma kiepski wzrok? – sugeruje Denzil i tłumi śmiech, ale szybko milknie, dostrzegając poważną minę Daia. – Mówię ci tylko to, co ludzie gadają. Podobno obrabia parę babeczek w Somerset.

– Ha! – Dai odrzuca głowę i spogląda w sufit. – Jeżeli wierzysz w te brednie, to jesteś bardziej stuknięty, niż przypuszczałem.

– To ty nie wiesz? Panienki z tych stron mogą być inne. – Denzil szczyrzy zęby w uśmiechu. – Ten zapach obory może na nie działać jak jakiś afrodyzjak czy coś. No i nie zapominaj. – Prycha i unosi palec. – Wydaje mu się, że w tym swoim tirze jest prawdziwym magnelem dla dupeczek.

– Raczej magnelem na lodówkę – wtrąca Dai, chichocząc z własnego żartu.

– Na lodówkę, ha, a to dobre! – Denzil śmieje się i wali dłonią w blat. – Masz rację. – Znowu tłucze w stolik. – Do takiego gościa, wszystko jedno, za kogo się uważa, żadna kobieta nie przyjdzie z własnej woli. Pewnie sam rozpuszcza te plotki.

– Cii. Nie krzycz tak, co? – Dai kręci się na krześle, obawiając się, że Idris usłyszy, co wygaduje Denzil. Denzil, który z każdym piwem staje się coraz bardziej hałaśliwy.

– No i co, że skurwiel mnie usłyszy, kogo to, kurwa, obchodzi?

Dai krzywi się na soczysty język Denzila i zerka na niego z ukosa; na jego drobną sylwetkę, przedwcześnie przygięty kręgosłup, spuchnięte palce. Patrzy na siebie. Na swoje okazałe, miękkie ciało.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie wiesz, do czego jest zdolny: trzęśliśmy przed nim portkami jako smarkacze, ale teraz... sam popatrz, mógłby nas zmiażdżyć jedną ręką.

– Tak myślisz? – Denzil wypina ptasią pierś. Ten gest sprawia, że zanosi się starczym kaszlem. – Hm. – Poprawia się na krześle. – Tylko tak mówię, poza tym tak się składa, że nie skończyłem jeszcze mówić tego, co chciałem powiedzieć...

– No to mów, zamieniam się w słuch – odpowiada z westchnieniem Dai.

– Chyba słabo myślisz, stary. Idris? Idris i Westburn? Kapujesz?

– Co mam kapować?

– Wysil się trochę, co? Podobno to ty masz być tym łebskim gościem w okolicy. To on morduje te kobiety, no nie?

– Och, Denzil, w ogóle słyszysz, co wygadujesz? Somerset to duże hrabstwo. Idris pewnie w ogóle nie jeździ do Westburn.

– Oczywiście, że jeździ, do cholery. Idę o zakład, że to on. – Denzil, nie zważając na Daia, uczepia się swojej hipotezy i naciąga ją do granic wytrzymałości. – Te dziewczyny to dla niego nic: popatrz tylko. – Znowu wolno i rytmicznie dźga gazetę artretycznym palcem, który pod wpływem siły włożonej w ten ruch zgina się jeszcze bardziej.

Dai woli nie patrzeć, instynktownie odwracając głowę w stronę najdalszego zakątka pubu, gdzie Idris rozsiadł się w najgłębszym półmroku jak wielka ropucha i złowrogo łypie w ich stronę.

– Policja twierdzi, że obydwa morderstwa popełniła ta sama osoba, na dowód ma DNA. – Denzil wydaje się bardzo zadowolony z siebie.

– To naprawdę zmyślne. DNA powiadasz? – Dai mówi z typową dla siebie ironią w głosie i palcami ściska czubek nosa. – Szkoda tylko, że nie mają nikogo, od kogo pochodziła ta próbka.

Przez chwilę siedzą w milczeniu; Dai dalej miętosi czubek nosa, Denzil niepewnie zerka w kierunku Idrisa.

– Wszystko jedno. I tak myślę, że ma z tym coś wspólnego – dorzuca Denzil. – Te dziewczyny pewnie ważyły mniej niż jego ręka; nie miałyby z nim szans. Mówię ci, stary, wiem, że się nie mylę. Popytam tu

i tam. Dowiem się, dokąd jeździ, co robi, szczegółowo. A potem dorwiemy sukinsyna, za wszystko.

Jasne, myśli Dai, doskonale wiedząc, że ta cała gadanina to tylko pijackie chojractwo.

– Och, tak, przyjacielu – kończy Denzil i wysoko unosi szklankę w toaście, ochlapując się piwem. – Wypijmy za to, żeby raz na zawsze przyskrzynić tego tłustego skurwiela.

Noc zapada nagle. Chociaż Tÿ Haf ma ogród od południa i jest zalane blaskiem, gdy zza chmur ukaże się słońce, to wewnątrz domu jest ponure jak jaskinia. Główne źródło światła w niskim budynku stanowią szklane drzwi, a reszta wpada do środka przez wąskie szczeliny wydrążone w grubych kamiennych ścianach ponad sto lat temu. Ostatnio, kiedy wybija w pół do czwartej, Rachel zaczyna zapalać lampy. Unika ostrych górnych światel, woli mieszkać otoczona matową mgiełką. Nigdy nie przepadała za jaskrawo rozświetlonym życiem miejskim. W przeciwieństwie do matki. A także Spencera. Człowieka, który w chwili powrotu do domu zapalał wszystkie światła. Zawsze sądziła, że chciał wszystko wyraźnie widzieć, by pokonywać przeszkody w ich burzliwym związku. Każdy aspekt jego życia wymagał tej samej szpitalnej precyzji, co jego skomplikowane badania laboratoryjne, nigdy nie udało się jej go przekonać, że ten rodzaj chłodnej analizy nie wpływa korzystnie na ich układy rodzinne.

Raz odwiedziła Spencera w pracy. Jeszcze w czasach przed porwaniem. Kiedy ich rodzące się uczucie było jeszcze pełne obietnic i nadziei. W recepcji wręczono jej zalaminowaną kartę z wypisanym czerwonymi literami słowem GOŚĆ, którą posłusznie przypięła do klapy, wpisała się do książki, a potem zgodnie ze wskazówkami ruszyła po schodach na górę. Laboratoria znajdowały się nad wschodnim skrzydłem sal wykładowych, tak wysoko, że muskały amorficzne niebo Hatfield i górowały nad estakadą autostrady M1 oraz brzydkim betonowym kolosem centrum handlowego, multipleksu i wielopoziomowego parkingu. O tym ostatnim często mówiono w miejscowych wiadomościach. Było to popularne miejsce wśród mieszkańców Hatfield, którzy uznając, że dłużej nie zniosą życia w tak okropnym otoczeniu, z zatrważającą częstotliwością rzucali się ze szczytu wysokiego budynku.

Laboratoria, ciąg długich pomieszczeń lśniących od szkła i zlewów, zalatywały niebieskimi ręcznikami papierowymi i gryzącymi chemikaliami, co bardzo ją irytowało. Ściany zastawiały szafki pełne słoików, gumowych rurek, metalowych zacisków i probówek. Wyglądały nawet ciekawie, dopóki nie zobaczyła ośmiornic. W ogromnym zbiorniku podzielonym na pięć segmentów, który zajmował całą długość ściany w głębi laboratorium i cicho bulgotał rozjarzony turkusowym światłem. Pamięta, jak długo im się przyglądała zahipnotyzowana zmysłowymi ruchami tych głowonogów. Wpatrywały się w nią taksującym spojrzeniem pozbawionych powiek oczu, po czym śmigły przez wodę głową naprzód, falując czterema parami ramion i popisując się gracją ruchów. Wydawało się, jakby kryła się w nich niewykorzystana pradawna inteligencja i Rachel ze współczuciem pogładziła szklaną tafłę, pytając:

– Nie tęsknią za morzem?

W odpowiedzi usłyszała poważne ostrzeżenie od jedynej kobiety, która pracowała ze Spencerem. Dziewczyna była ogromna i Rachel nie mogła nie zauważyć, że fałdy tłuszczu wokół kostek wylewają się nad brązowymi butami na płaskich obcasach.

– Nie wolno ich drażnić; uczestniczą właśnie w eksperymencie. – Dziewczyna pokazała jej plakietkę z nazwiskiem, którego Rachel nie chciało się nawet przeczytać, i z ważną miną zaszeleściła wykrochmalonym kitem. – Sprowokowanie zachowań odstrasających to ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie teraz życzyli.

W tym momencie interweniował Spencer. Bokiem odsunął się od stołu i błyskawicznie znalazł się przy

Rachel. Z łagodnością, która towarzyszyła mu w początkach ich związku, delikatnie odgarnął jej kosmyk włosów za ucho i oderwał palce od szyby.

– Jak się nazywa ta? – zapytała, wskazując ośmiornicę i udając małą dziewczynkę, ponieważ wiedziała, że to lubił. Wybrała tę najładniej ubarwioną, z błogą świadomością, że to jedyne obdarzone urodą stworzenia, z którymi musi konkurować. Że armia olśniewających i błyskotliwych kobiet w okularach, którą wyobrażała sobie jako otoczenie swojego nowego chłopaka w pracy, nie istnieje.

– To nasza największa gwiazda. – Spencer rozpromienił się w uśmiechu, dumny jak ojciec. – Herby to nasz jedyny przedstawiciel rodzaju *Hapalochlaena*. Tak zwanej ośmiornicy niebieskoobrączkowej.

No jasne, pomyślała i odwróciła się, by wymyślić coś oryginalniejszego dla intrygującego stworzenia o bajecznych turkusowych pierścieniach na jasnożółtej skórze.

– Niewiarygodne – powiedziała tylko, z przyjemnością patrząc na reakcję Spencera. – Widziałam, jak zmienia kolor na moich oczach. Jeszcze chwilę temu wyglądała tak zwyczajnie, że można było nie zwrócić na nią uwagi.

Spostrzeżenie wywołało znaczące chrząknięcie ogromnej młodej kobiety, a Spencer otoczył ramieniem talię swojej dziewczyny, by zaprowadzić ją do swojego stołu laboratoryjnego.

– Lepiej się z nią nie zaprzyjaźniać – przestrzegł ją, starając się zachować lekki ton. – Malakologia potwierdziła, że Herby jest śmiertelnie niebezpieczny dla człowieka.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała to słowo. Dziwne i obco brzmiące. Starła się je zapamiętać, powtarzając je bez końca, by wyryć je w głowie. Ale mimo wysiłków ciągle jej umykało; zapamiętywanie słów nigdy nie należało do jej mocnych stron. Kiedy przy okazji towarzyskich spotkań chciała poinformować innych, czym się zajmuje jej chłopak, Spencer uznawał, że powinien zabrać głos, i wtrącał się do rozmowy, stawiając ją w głupiej sytuacji. Widziała w wyobraźni to słowo ślislike jak macki bezkręgowców i czuła się kimś gorszym, kiedy nie umiała wyłowić go z pamięci w ciągu wszystkich lat spędzonych ze Spencerem. Zabawne więc, że sprytnie zakamuflowane słowo dziś tak gładko przechodzi przez jej usta. Ciekawe, co by pomyślał o tym Spencer.

Środowisko w pracy miał tak jałowe, że wysychały w nim oczy i pękały wargi. Papierowa sztywność, sterylność i jasność, w której nie było miejsca na odrobinę cienia. Widzi siebie w wieku dziewiętnastu lat siedzącą obok niego w ten zimny dzień lutego. Trudniej jest rozpoznać tamten dreszcz przebiegający po plecach, ilekroć się dotykali w pierwszych porywach namiętności. Tu musi polegać na swojej pamięci. Odczucie przeminęło, myśli z lekkim smutkiem. Podobnie jak czarujący sposób, w jaki udawała, że słucha go z zaciekawieniem, gdy opowiadał o zawiłościach i kierunku swoich badań. Kiedy poszli na kawę do bufetu dla pracowników naukowych, roztoczył przed nią perspektywę wyjazdu na wschodnie wybrzeże Ameryki, gdzie uczelnie Nowej Anglii z otwartymi ramionami przyjmowały biologów morskich z Wielkiej Brytanii, którzy chcieli się specjalizować. Temat był poważny. Do którego wówczas nie przywiązywała szczególnej wagi. Za bardzo pochłaniały ją jego oczy w obramowaniu ciemnych rzęs i trzymając łokcie na lepkiem laminacie stolika, a głowę podpierając dłońmi, myślała, że pojedzie za nim wszędzie. Znaczenie tej rozmowy miała pojąć dopiero później. Wiele lat później.

Na samą myśl o tym do jej oczu cisną się łzy. Odgaduje to pies i błyskawicznie przypada do jej boku. Jego i jej źrenice odbijają się w taflach oszklonych drzwi. Znajduje jej dłoń, wciska w nią mokry nos. W ten sposób się porozumiewają, za pomocą gestów i spojrzeń. Cadno nie potrafi nic więcej. Rachel niczego więcej nie chce. Otwiera lewe skrzydło oszklonych drzwi i patrzy, jak wymyka się na dwór. Mrok połyka jego ciemną puszystą sylwetkę, która wolno znika w głębi żwirowej ścieżki. Rachel czeka przez chwilę, nie zważając na chłód wpełzający pod ubranie. Strumyk płynący w dole za polem wezbrał po deszczach i jego potężny huk brzmi w ciszy jak odgłos samochodów pędzących autostradą. Dziwne skojarzenie, skoro w promieniu wielu mil nie ma żadnej autostrady.

Rachel unosi twarz ku sierpowi księżycy. Chłonie go. Czuje ostrość jego konturów wyciętych w aksamicie nocy. Są też gwiazdy. Miliony gwiazd. Nigdy tylu nie widziała. Lśnią jak guziki munduru groźnego policjanta i wydają się tak bliskie, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby je oberwać. Oszałamia ją ogrom walijskiego nieba – zupełnej, prawdziwej czerni, której nie znają miasta. Nagle rozlega się długi i drżący krzyk sowy płomykówki, a potem, kiedy brzmi jeszcze echo jej głosu, odpowiada na niego jej towarzysz. Porozumienie pary ptaków przypomina jej o towarzystwie, jakie spotka jutro rano na kawie u Carole Deacon – osób, z którymi miała nadzieję się zaprzyjaźnić. To miłe uczucie stawać się częścią tego świata i od swojego przyjazdu Rachel coraz bardziej czuje, że zaczyna do niego należeć.

Cadno pojawia się nie wiadomo skąd i wbiega do domu, a ona zamyka drzwi i unosi klamkę, aby je zablokować.

Twarz przy szybie.

Po sekundzie znika. Rachel krzyczy. Para jej oddechu osiada na szkle. W domu czy na zewnątrz? Nie ma pojęcia. W popłochu obraca się i rozgląda przez ramię. Nic. Trwało to tak krótko, że nie ufa własnym zmysłom i nie wie, czy w ogóle cokolwiek widziała.

Pies szczeka. Rzuca się do drzwi, żeby znowu go wypuścić. Serce łomocze jej głucho w panice, palce odmawiają posłuszeństwa. Porusza się za wolno i Cadno zostaje pozbawiony okazji, by obronić dom i sprawdzić, kto wtargnął na jego teren.

Kto to mógł być? Na pewno ktoś tam był, ale jest tak ciemno, nie ma żadnych latarni, nie przejeżdżają tędy żadne samochody; nikt by się nie dowiedział, gdyby miała jakieś kłopoty. Świadomość tych nagich faktów jest straszna, lecz Rachel stara się nie dopuścić do siebie lęku, choć jest przekonana, że kiedy Blundell zostanie zwolniony, przyjdzie po nią. Zaszyła się w głębokim zakątku Walii, zmieniła nazwisko i kolor włosów, ale to nie wystarczy, żeby go powstrzymać, zwłaszcza że trafił za kratki za sprawą jej zeznań. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by ją odszukać i dokonać zemsty.

Nie chce dać się ponieść wyobraźni, więc nakazuje sobie spokój, przekonując się, że nic podobnego nie może się zdarzyć. Blundell jeszcze nie wyszedł na wolność, wiedziałaby o tym, co pięć minut sprawdza wiadomości w internecie. Poza tym sierżant Blackwood przyrzekła jej, że ścisły nadzór służby kuratorskiej uniemożliwi mu swobodę ruchów. Czyli to nie on kręcił się pod jej domem, czekając na odpowiedni moment, by dokończyć to, czego nie zrobił przed siedemnastu laty i na pewno tego żałuje. Na pewno nie on.

Widok dużego i zadbanego domu Carole Deacon, stojącego z dala od centrum wioski, jest czymś zupełnie niespodziewanym. Rachel cieszy się, że znalazła się wśród ludzi, ponieważ gwar ich rozmów każe jej zapomnieć o strachu przed Blundellem. Źle spała tej nocy, wstrząśnięta widokiem twarzy w szybie; myśli za bardzo kłębiły się jej w głowie.

Przygląda się, jak ogromny szylkretowy kot przechadza się po lakierowanych drewnianych podłogach, jedyne żywe zwierzę wśród setek wypchanych i zakonserwowanych ptaków, owadów i ryb. Dowody zainteresowań męża Carole, Walforda Deacona, są wszędzie – w korytarzach, na schodach, w jego pokoju do pracy, upchnięte na mahoniowych regałach, ustawione na wielkim biurku naprzeciw okna z widokiem na łagodne wzniesienie trawnika i ostre grzbiety Brecon Beacons. Nie ma go, ponieważ przez większą część tygodnia pracuje poza domem. Wybitny bankier w Barclays, szepnęła jej Tracy, choć nie wdawała się w szczegóły.

– Wally – wyjaśnia Carole, biorąc Rachel pod rękę i oprowadzając ją po wszystkich pokojach – zaczął tworzyć swoją kolekcję w wieku dziewięciu lat i powiększa ją do dzisiaj.

– Naprawdę fascynujące – zapewnia ją Rachel. – Nie powiedziałabym, że to mnie szczególnie interesuje, ale u twojego męża widać wielkie wyczucie.

– Cieszę się, że tak sądzisz, nie wszyscy w tym gustują. – Carole lekko marszczy delikatną twarz. – Ale jeżeli to mu daje radość, ja też jestem zadowolona – poza tym mam swoje konie.

– Konie? Masz konie? Tutaj? – dziwi się Rachel.

– Owszem. – Carole wydaje się lekko zaskoczona: przecież wszyscy mają konie, prawda? – Właśnie z ich powodu przeprowadziliśmy się do Walii, no i też dlatego, żeby mieć większy dom na kolekcję Wally’ego, rzecz jasna. – Ze stukiem odstawia filiżankę na spodek.

– Macie dużo ziemi?

– Piętnaście akrów. Zmniejszyłam stan posiadania, odkąd pojawiły się dzieci. Teraz mam tylko dwa konie, kuca Connemara i huntera irlandzkiego, nazywa się Snapdragon⁹.

– Snapdragon – powtarza Rachel. – Ile ma w kłębie?

– Sto siedemdziesiąt centymetrów.

– Miałam huntera irlandzkiego, dawniej, kiedy mieszkałam w Northamptonshire.

– Naprawdę? Cudowne tereny jeździeckie.

– Rzeczywiście, chociaż krótko z nich korzystałam. – Rachel śmieje się nerwowo i głośno. – Musiałam sprzedać konia. Rozpad małżeństwa. – Carol posępnie kiwa głową, jak gdyby świetnie ją rozumiała. – Całe wieki nie jeździłam konno, nie licząc wypadu z Tracy kilka tygodni temu, ale to był jeden jedyny raz.

– Przecież można to powtórzyć?

– Nie sądzę – odpowiada Rachel, unosząc dłonie. Przed oczami znów stają jej okropne obrazy z przeszłości. – Moja jeździecka przygoda chyba się już skończyła.

– Nonsens. – Carole uśmiecha się perfekcyjnie umalowanymi ustami. – Mogłabyś pojechać na Molly; to złoto nie koń. Dam ci mój numer.

Rachel idzie za Carole korytarzem, czując zapach jej perfum, a kiedy po chwili stoją przy stoliku z telefonem, patrzy, jak gospodyni pisze na okrągłej zielononiebieskiej karteczce wyjętej z ozdobnego puzderka. Dostrzega uźdę z czarnej skóry zawieszoną na haku przy drzwiach wejściowych, gdy jej wzrok przyciąga błysk wędzidła. Nie wiadomo dlaczego wyciąga rękę, by jej dotknąć, co sprawia jej nieoczekiwaną przyjemność.

– No dobrze, właściwie czemu nie – mówi, zmieniając zdanie. – Dzięki, Carole.

Później, już w Tÿ Haf, Rachel myśli o uździe, która wisiała na kołku w korytarzu domu Spencera, długo po tym, jak jej gniada klacz została sprzedana. W głębi duszy podejrzewa, że powiesiła ją, żeby go rozdrażnić, wiedząc, jak bardzo nie cierpi tej pamiątki dawnych czasów, przez które stało się z nimi to, co się stało.

– Po co to w ogóle trzymasz? – brzmiało jego pierwsze pytanie, gdy tylko wkładał klucz do zamka i wchodził – regularnie jak w zegarku, w przeciwieństwie do różnych godzin jego powrotów do domu. Było to jego cierpkie powitanie wypowiedziane zirytowanym tonem, którego nie próbował kryć, odkąd zostali małżeństwem. Zwalniało go z konieczności szukania usprawiedliwień dla swoich ciągłych spóźnień, wiedział bowiem doskonale, że nigdzie nie była i z nikim się nie spotykała. Pytanie wystarczało, by odwrócić się do niego plecami, kryjąc łzy i tłumacząc ścianie: trzymała uźdę w domu na dowód, że zanim wszystko zostało stracone, były kiedyś lepsze czasy.

Po koszmarze, który zaczął się tamtego ciepłego wrześnieowego popołudnia, Rachel uznała, że nie może wrócić do Pinkton Grange. Tamtego dnia, gdy uwaga świata skupiała się gdzie indziej, na spowitej we flagę królewskiej trumnie sunącej ulicami Londynu. Trumnie, którą zabrano z Westminsteru duszącego się w smrodzie gnijących kwiatów i zawieziono autostradą M1 do Althorp. Czarny kondukt przejechał zaledwie kilka mil od osiedla Great Billing, gdzie mieszkali ze Spencerem, i skręcił na skrzyżowaniu z drogą numer 16, by pokonać ostatni odcinek podróży.

Rachel oglądała pogrzeb tylko w telewizji. Płakała razem ze wszystkimi, słuchając serdecznej mowy brata księżnej i ballady Eltona Johna ze zmienionym tekstem. Widziała, jak tragedię przeżywają mali książęta, niezgrabni w męskich garniturach, których wyuczono ukrywać za kamienną maską ból po stracie biednej mamy. A później, ponieważ była sobota, było cudowne popołudnie, a kiedy skończyły się kwiaty, dziewczyny na znak szacunku zamknęły kwaciarnię wcześniej, pojechała do stajni, zamierzając zabrać Trinket na przejażdżkę przed wieczorem. Okazało się, że była tam po raz ostatni. Rachel w ogóle nie wsiadła na konia – nie zdążyła nawet zabrać z tylnego siedzenia samochodu siodła, świeżo wyczyszczonego i nasmarowanego olejem lnianym.

Miała potem zeznać policji, że nie poznała kowala, który pracował samotnie. Tylne drzwi jego brudnoniebieskiego forda transita były szeroko otwarte, a na pustym dziedzińcu buchał zapach spalenizny z przenośnego paleniska. Z daleka widziała, jak usiłuje uspokoić szpakowatego konia pełnej krwi angielskiej. Ze zwierzęciem wszystko było w porządku, mówiła detektywowi, który miał ją przesłuchiwać jedenaście dni później, po prostu nie podobały mu się pęta, a ponieważ w pobliżu nie było nikogo więcej, gdy kowal przywołał ją gestem, aby mu pomogła, w ogóle się nie zastanawiała, co robić. Nie zdążyła.

Pracując w bocznym wietrze wiejącym od strony wzgórza, Idris z entuzjazmem leniwca przemieszcza swoje cielsko po śliskim od łajna gospodarstwie. Odtrąca nogą stadko umorusanych kur i dźwiga na plecach bele siana oraz worki paszy, które wynosi ostatnim owcom, jakie mu zostały. Od czasu do czasu przerzuca je przez ogrodzenia z drutu kolczastego, a nerwowe i mokre owce rozbiegają się, uciekając jak najdalej od niego i zerkając kreskami źrenic. On zaś rozmyśla nad wydarzeniami poprzedniego wieczoru: o swoich niespodziewanych odwiedzinach pubu The Bear. Wypił kilka szklanek double dragona i zamienił kilka słów z Trevorem, którego zawsze interesowało wyłącznie zgarnianie pieniędzy, a potem zasiadł w ciemnym kącie, by spędzić tam resztę wieczoru.

Doświadczenie rzeczywiście okazało się tak przykre, jak pamiętał z młodości, i potwierdziło, że życie na tej prowincji jest tak skostniałe, jak zawsze było. Nie wie, co go opętało, żeby w ogóle iść do pubu. Jak gdyby wkroczył do jaskini lwa. Nie żeby Idris bał się czegoś w materialnym świecie, strach budzą w nim tylko plotki. Czuje je w sobie jak konkretną, namacalną substancję, która zapycha mu żyły i osadza się na ścianach serca. W oczach Idrisa Bryngwyn przypomina ścierwo owcy toczony przez robactwo, wije się i drży od wystrzępionych języków mieszkańców wioski: jest martwe, choć wydaje się żywe. Miniony wieczór nie należał do wyjątków; gdy stał odwrócony do nich plecami i odliczał drobne, czuł na sobie ich wzrok. Dotyk ich oczu, okrągłych i nieruchomych jak kropki na kostkach domina, w które grał Dai Jones i ten drugi palant, jak mu tam. Nie słyszał treści ich całej rozmowy, co denerwowało go do tego stopnia, że omal nie rzucił się do ich stolika, żeby z nich wszystko wytrząsnąć. Powstrzymał się jednak. Nie chciał im sprawić satysfakcji ani dawać bronii do ręki, potwierdzając opinię, jaką o nim rozprowadzają. Nie było wątpliwości, co o nim mówili; zasłaniając się i udając, że grają w to swoje głupie domino, oceniali go, krytykowali jego wygląd. Może i nie ma takiego wykształcenia jak ten cwaniak Jones, ale nie jest skończonym idiotą, a tak go zawsze traktowali.

– Pieprzyć ich! – woła prosto w chłoszczący wiatr. Niech sobie szydzą. Jego wzrok na moment zatrzymuje się na jedynej rzeczy, na której mu zależy – nie licząc beretty – jego wspaniałej scanii. Ciężarówka stoi zaparkowana w specjalnej wysypanej żwirem zatoczce, którą dla niej zrobił. Potężne chromowane zderzaki błyszczą jak bombki na choince. Wóz to jego największa duma i radość. Kabina, w której spędza noce, jest wyposażona lepiej niż salon w jego domu, w najnowocześniejszy telewizor, zestaw stereo i odtwarzacz DVD. Urządzenia do gotowania wody do zupek błyskawicznych. Minilodówka na dole po stronie pasażera, w której chłodzi się zapas kupowanej na stacjach benzynowych wieprzowiny w cieście Melton Mowbray w szeleszczących opakowaniach. Kiedyś ciemnogrnatowe, a dziś wypłowiałe od słońca zasłonki w półksiężycy, którymi odgradza się od świata, by mieć trochę upragnionej prywatności na samotnych parkingach przy stacjach na autostradzie, gdzie nocuje. Raj. Tak to nazywa. Wolność w drodze. Poczucie mocy, które mu daje prowadzenie tak olbrzymiej bestii. Uśmiecha się na wspomnienie śmiertelnie bladej kobiety za kierownicą, którą niemal zmiótł z drogi. I kilka dni później na A40, gdy przez niego jeździec na koniu ruszył prosto w stronę nadjeżdżających z przeciwka samochodów. Co za zabawa. Te gnidy obrabiające mu tyłek w pubie nie znają takich przygód jak on; podróżuje po kraju incognito, zalicza kobiety, które nie spodziewają się od

niego niczego w przyszłości. Żałuje tylko, że nie założył tej firmy wiele lat wcześniej.

Idris podnosi i mocuje na miejscu gigantyczne stalowe drzwi, które spadły z zawiasów – do tego trzeba zwykle dwóch ludzi – a potem ostrzem sprężynowca rozcina worek suchej karmy i sypie do dwóch metalowych misek z zaskorupiałą obwódką brudu tyle, żeby wystarczyło na trzy dni. Chociaż psom ślina kapie z pysków, wolą trzymać się od niego z daleka i przyczajone w cieniu czekają, aż odejdzie. Doprowadza je do kresu wytrzymałości, waląc miotłą w ścianę z pustaków. Cofając się, nadeptuje kurczaka.

– Spieprzaj mi spod nóg! – krzyczy przy akompaniamencie skrzekliwego protestu, a psy się kulą jeszcze bardziej. – Z drogi, pierzasta cholero! – I kopie utuczonego ptaka, który wlatuje nad pokancerowane gospodarstwo wyżej, niż kiedykolwiek uniosłyby go podcięte skrzydła. Kura przypomina mu o jajkach do zebrania, więc rusza ich szukać, wyciągając przed siebie ręce, podniecony jak dziecko, które próbuje w Wielkanoc odnaleźć schowane czekoladowe jajka. Kilkanaście niosek nie ma swoich kojców; żyją zdane na łaskę i niełaskę lisa, który, mając rodzinę do wykarmienia, w chudsze miesiące zakrada się tu ze swoich mięciutkich leśnych kryjówek, ryzykując, że trafi go któraś z kul posyłanych od czasu do czasu przez dubeltówkę Idrisa.

Dobrze już zna ich ulubione miejsca, szybko więc natrafia na parę jaj nakrapianych drobnymi rdzawymi plamkami, podobnie jak jego skóra, i pokrytych skamieliną brudu, taką samą jak na jego palcach. Na tyle ostrożnie, na ile pozwalają mu niezgrabne ruchy, wkłada je do mokrych kieszeni sztormiaka i rusza na dalsze poszukiwania. Chce jeszcze przed dzisiejszym wyjazdem podrzucić kilka dziewczynie ze stodoły. Chociaż ostatnim razem nie wyglądała na wdzięczną, kiedy tak stała naburmuszona, z rękami założonymi na piersi. Odsuwa jednak od siebie wątpliwości, czy może go nie lubi, uznając, że powodem lodowatego przyjęcia było zaskoczenie na jego widok. Kobiety to przedziwne stworzenia, które często maskują bezbronność nadętą bezczelnością. Nie rozumieją, że tylko marnują energię i że byłoby dla nich o wiele lepiej, gdyby po prostu się poddały?

Psy czekają dalej w ciszy i bezruchu. Ich smutne oczy w czerwonych obwódkach są utkwione w miskach. Wreszcie pochyłe plecy Idrisa znikają za drzwiami chałupy. Nie interesuje go żaloszny widok na wpół zagłodzonych kundli, które nerwowo i wolno wychodzą na resztki dziennego światła, by zabrać się do nędznego posiłku. Idris ma na głowie ważniejsze rzeczy. Na przykład, jak wkraść się w łaski tej apetycznej sztuki mieszkającej obok niego. Jak ją skłonić, żeby go do siebie zaprosiła.

John Blundell wyszedł na wolność. To oficjalna wiadomość. Rachel, przeprowadzając regularny internetowy rekonesans, nie musi szukać daleko. Ekran wypełnia fotografia jego twarzy – tej samej, która prześladowa ją we śnie. Dalsze poszukiwania przynoszą zaskakująco skąpe informacje: najwyraźniej nie rozmawiał z żadnymi dziennikarzami. Nigdzie nie ma ani słowa o warunkach zwolnienia ani o tym, gdzie będzie mieszkał, tylko znowu bezmyślnie powtarzano historię jego przestępstw, i chociaż oddycha z ulgą, nie dostrzegając nigdzie swoich aktualnych zdjęć, znajduje fotografie jego nieżyjącej żony.

Poruszona drapie bliznę na rękę. Niewyraźną rozgwieżdżoną. Pod opuszkami palców czuje pomarszczoną i zgrubiałą skórę. To zły nawyk, który przypomina jej o ciasnych kajdankach, którymi skulił jej rękę w ciemności zimnej jak Antarktyda. Od czasu do czasu blizna czerwienieje i staje się gorąca, współgrając z jej mózgiem, ponieważ mimo przeprowadzki do Walii i nowego nazwiska, którego nie zna nawet jej matka, strach wciąż ścisną jej serce.

Uśmiecha się na myśl o tym, jak na przekór matce wyjechała bez słowa. Uśmiech znika jednak równie nagle, jak się pojawił, i Rachel pochmurnieje, przypominając sobie, jak się przeraziła, kiedy jej się zdawało, że zobaczyła ją na świątecznym jarmarku. Przecież jest tu bezpieczna, nikt jej nie znajdzie, prawda? Gdyby był jakiś przeciek i dziennikarze odkryliby jej nowe nazwisko i adres, na pewno pojawiliby się w okolicy i zaczęli węszyć, a w internecie nie ma żadnych świeżych informacji na jej temat. Dobrze zna ich *modus operandi* i nie miałyby siły stawić im czoła. Przeróżający jak sfora wściekłych psów czyhali na każdy strzęp informacji i chcieli wiedzieć w najdrobniejszych makabrycznych szczegółach, co czuła, widząc, jak jej porywacz rzucił się z młotkiem na żonę, kiedy nieoczekiwanie pojawiła się w domu i zastała go z młodszą i atrakcyjniejszą kobietą. Zazwyczaj gazety szybko nudzą się taką historią; zainteresowanie podsycą tylko lista pytań bez odpowiedzi. Ostatnio zostało pobudzone wieścią o jego zwolnieniu, która mogła zaostrić apetyty na aktualne zdjęcia i pikantne plotki o tym, co dzisiaj robi uprowadzona przez niego śliczna dziewczyna.

– Wybieram się do miasta – informuje psa, widząc, jak zaogniła się blizna. – Muszę znaleźć aptekę.

Przed wyjazdem przypomina sobie o praniu, które wcześniej powiesiła na dworze, zachęcona łagodnym blaskiem słońca zagląającego przez okno o poranku. Woła Cadno i przytrzymując kosz na bieliznę przy biodrze, tak jak kiedyś nosiła Laurę, wychodzi na podwórko, gdzie rozciągnęła sznur między stajnią a drewnutnią. Dotyka koszuli nocnej i stwierdza, że jest prawie sucha, ale nie może ryzykować i zostawiać jej tu, może jeszcze spaść deszcz.

Zbiera rzeczy i składa je równo w koszu postawionym na ziemi. Dżinsy, skarpetki, polary, swetry, kilka bluzek. Rękaw do rękawa, brzeg do brzegu. Ciepły podkoszulek. Wykończone koronką biustonosze. Chwileczkę. Wstrzymuje oddech. Nie – to chyba niemożliwe? Puste miejsce na sznurze tam, gdzie rano powiesiła swoją ulubioną parę frywolnych majtek z czarnej satyny. Przenika ją chłód. Strach. Rozgląda się na wszystkie strony, patrząc na pole, podjazd, drogę, spodziewając się ujrzeć czyjeś oczy. Nic. Ani śladu człowieka. Tylko ledwie słyszalny szelest wiatru kołyszącego gałęziami pobliskich drzew. Przenikliwe krakanie wrony; wysoko na tle kopuły nieba rysuje się jej czarna sylwetka. Rachel wzdryga się od dreszczu niepokoju, który przebiega jej po skórze. Na myśl, że ktoś tu był i zabrał coś z jej ubrania,

czuje się bezbronna wobec zagrożenia, jak jeszcze nigdy od czasu przyjazdu.

Nowy nabytek Rachel, toyota RAV 4, bez trudu pokonuje wzniesienia i zakręty drogi B4299. Sunie tak wysoko nad asfaltem, że potoki wody spływające z okolicznych pól nie stanowią żadnej przeszkody, a do przyhamowania zmusza ją tylko wolno jadący traktor. Kiedy ciągnik wreszcie włącza lewy kierunkowskaz, by skręcić w wysypaną kamieniami dróżkę, i Rachel znów ma drogę tylko dla siebie, mocno wciska pedał gazu. Za oknami śmigają bezlistne zarośla i żywopłoty, odbarwione przez deszcz. Na drogę wystają wehniaste zady rocznych jagniąt poznaczone szarozielonymi plamami. Są za grube, by precyzyjnie się z powrotem na swoje pole, więc skubią trawę na poboczu. Co jakiś czas jej wzrok przyciąga myszołów siedzący na słupie telegraficznym albo pustułka zniecka spadająca na ofiarę, której sylwetka na tle garbatych chmur niebezpiecznie ją dekoncentruje.

Nagle widzi jadącego z naprzeciwka tira. Wielkie okrągłe światła przeciwmgielne i maskę w kolorze strażackiej czerwieni. Zupełnie obojętna wobec wszystkiego, co ma na drodze, zbliża się z potwornym hukiem z grzbietu drogi. Jest jednak za szeroka, koła zajmują więcej miejsca, niż im się należy, i sięgają daleko w głąb jej pasa. Rachel zaciska dłonie na kierownicy, nie może oddychać. Ryk klaksonu każe jej gwałtownie skręcić wprost w kolczasty żywopłot, ciernie szorują ze zgrzytem po całej karoserii. Czując niebezpiecznie rozmokłe pobocze pod kołami, otwiera usta w krzyku. To był Idris, czy wszyscy kierowcy ciężarówek tak tutaj jeżdżą? Gdzież, u diabła, jest jakiś cholerny radiowóz, kiedy mógłby się przydać? W ciągu pół godziny minęły ją dwa.

Idris – niedługo będzie musiał za coś odpowiedzieć.

„Na pewno jeszcze dzisiaj wyślemy tam naszego pracownika”, zapewniła ją dziewczyna z infolinii RSPCA^{10*}, dziękując jej za sygnał. Rachel musiała się jakoś zemścić na tym obleśnym sukinsynu, bo to na pewno on zwędził jej majtki ze sznura. Na początek złożyła zawiadomienie o nieludzkich warunkach, w jakich żyją jego psy – wolałaby, żeby go wykastrowano, ale wszystko w swoim czasie, myśli, zginiatając w ciasną kulkę obraz jego brudnej twarzy, który ma przed oczami.

Włącza radio, które ożywa równocześnie z wycieraczkami, i trafia na sygnał czasu zapowiadający serwis informacyjny o pierwszej. Niemal spodziewa się usłyszeć nowe doniesienia na temat Blundella, lecz zaraz po skrócie wiadomości i wydarzeń dnia odzywa się korespondent BBC z Westburn-on-Sea. Mikrofon wzmacnia głos podinspektora Colina Bradleya z komendy policji hrabstwa Somerset.

– Zdajemy sobie sprawę z zaniepokojenia opinii publicznej. – Jego terkoczący akcent z West Country brzmi w uszach Rachel, jak gdyby brnął przez sięgające piersi błoto. – Zwłaszcza po tym drugim zabójstwie... i zalecamy kobietom w mieście wzmoczoną czujność...

– Jak pan skomentuje przypuszczenia, że grasuje tu seryjny morderca... oraz zarzut, że policja nie traktuje dostatecznie poważnie takiego założenia? – zażywa go reporter o piskliwym głosie.

– Mogę pana zapewnić, że dokładamy wszelkich starań, aby znaleźć sprawcę – gasi go podinspektor. – Owszem, ślady DNA wskazują, że zabójstw dokonała jedna osoba, muszą jednak podkreślić...

Rachel wyłącza radio. Uderza dłonią w kierownicę. Cholerni dziennikarze, co do jednego są tacy sami.

Każdą złą sytuację potrafią pogorszyć. Naginają wszystko do własnych potrzeb – byle była sensacja, pieprzyć prawdę. Powinna o tym wiedzieć.

Droga B4299 obniża się do poziomu morza, a w oddali rysuje się prostopadła symetria zamku Llandafen, wyglądająca tu osobliwie. Zaczyna się wypogadzać i spomiędzy fortyfikacji przebijają fragmenty błękitu. Redukując biegi, Rachel postanawia skrócić na rondzie w lewo, dokąd kieruje ją tablica z napisem CANOL Y DREF, co jak wie, oznacza po walijsku centrum miasta. To odstępstwo od jej zwyczajów – zwykle wybiera zjazd do Tesco i galerii handlowej na obrzeżu miasta, zupełnie unikając centrum – ale ponieważ deszcz ustał i z wolna ukazuje się słońce, ma ochotę pozwiedzać. Może nawet znajdzie jakieś miejsce, gdzie będzie mogła posilić się kanapką i herbatą.

Miasto tętni życiem i nic dziwnego, skoro trwa odliczanie dni do Bożego Narodzenia. Rachel nieskończenie długo czeka na zielone światło przed mostem, po czym, kierując się znakami, parkuje przy kościele Świętego Dawida. Wrzuca do parkometru drobne, które trzyma w samochodzie, dębiejąc na widok kwoty, jaką władze miasta liczą sobie za zaledwie kilka godzin postoju, następnie wkłada ciemny wełniany płaszcz, zmienia mokasyny do jazdy na pantofle na wysokich obcasach i przechodzi przez całą Queen Street. Na bruku zderzają się z nią tłumy ludzi obładowanych torbami z zakupami. Ich radosne i różowe od chłodu twarze upodabniają się do Mikołajów i bałwanów, którymi udekorowano witryny sklepów.

Wyszło słońce i Rachel patrzy na obce żółte ciało, jak gdyby nie można mu było ufać. Wisi nisko na zimowym niebie i rzuca długie cienie na zamkniętą dla ruchu część miasta. Właściwie niczego stąd nie potrzebuje oprócz olejku na bliznę, pudełka farby do włosów i czegoś jeszcze, by jakoś ochrzcić dom, choć zupełnie nie ma pojęcia, co to może być. Przyjemnie jest spacerować po ulicach bez konieczności poszukiwania prezentów. Oprócz Tracy, Hywela i ich synów, być może Daia, nie ma ich komu kupić. Rachel nie zna domowego adresu pani Pepper, a wiele tygodni temu postanowiła, że nie będzie sobie zawracać głowy matką. Jest tak zajęta swoim okropnym towarzystwem i imprezami charytatywnymi organizowanymi przez kościół, że w ogóle nie zwróci na to uwagi. A jeśli nawet zwróci, co z tego? Czy to nie pora, by w końcu zdobyły się na szczerłość i przestały udawać, że się nawzajem obchodzą?

Czując burczenie w brzuchu, Rachel znajduje herbaciarnię, która w dużej witrynie w wykuszu reklamuje swoje specjalności na lunch. Wchodzi i natychmiast tego żałuje, ale ponieważ dość stanowczo zostaje posadzona przy niewielkim stoliku obok kontuaru, mówi sobie, że już za późno, by zmienić zdanie. Klienci odwracają głowy w jej stronę, nie wie dlaczego, zsuwa z ramion płaszcz i usiłuje skupić uwagę na zalaminowanym menu, które wciśnięto jej do ręki. Ponura kelnerka wraca po kilku minutach. Trzyma w pogotowiu długopis i bloczek i kołysze się niecierpliwie, przyjmując zamówienie Rachel na kanapkę z ciemnego pieczywa z wędzonym łososiem i herbatę Earl Grey.

– Bez masła? – Kobieta patrzy na nią z niedowierzaniem, czubkiem długopisu dźgając notesik wielkości dłoni. Ma na palcach ślady niebieskiego tuszu, a na fartuchu plamę z zupy, którą musiała się zachłapać w pośpiechu podczas dużego ruchu w porze lunchu. Rachel ma nadzieję, że to nie ona będzie przygotowywać jej posiłek.

Kanapka zostaje podana z sałatką coleslaw i chipsami, ale jest prawie bez smaku. Rachel zmusza się do żucia i przełykania, czując w nozdrzach zapach przypalonego sera i mdłych perfum dolatujący od stolika, przy którym cztery starannie umalowane kobiety z pokolenia jej matki głośno i ze swadą rozmawiają po walijsku. Nie spodziewała się, że w sali pełnej nieznanymi będzie się czuła tak skępowana, żałuje, że nie kupiła kanapki w Marks & Spencer. Lokal nie ma w sobie ani krzty uroku kawiarenek w paryskim stylu, do których zabierała ją Alice. Wtedy to była dla Rachel przygoda i nauka. Piętrowe kanapki podawane z najcieńszymi na świecie frytkami. Opieczone kromki chleba spięte drewnianymi patyczkami,

które były zwieńczone fantazyjnymi ozdobami, a potem gałki lodów tutti frutti. Co by pomyślała o tej kafejce? Rachel nie wyobraża sobie ciotki o płomienistych włosach siedzącej przy tym stoliku, srebrnego pierścionka połyskującego na jej kciuku przy akompaniamencie syku parowara pracującego na pełnych obrotach. Jej kolczyków migoczących jak ozdoby choinkowe na tle pretensjonalnie głośnych rozmów. I kolejny raz się zastanawia, jak to możliwe, żeby Alice była spokrewniona z jej matką krążącą po ciemnych pokojach w Muswell Hill. Kobieta, która bardziej przejmowała się duszami swoich zmarłych dzieci niż jedyną córką, która przeżyła.

Nadgorliwość personelu, który bez końca roznosi niezliczone zamówienia, powoduje, że Rachel ma coraz bardziej nieodparte wrażenie, że sprawia tu kłopot. Podobnie jak odgłosy płaczu jakiegoś dziecka. Zostawiając więc mniej więcej połowę herbaty w dzbanuszkach, podchodzi do lady i płaci, dorzucając garść miedziaków na talerzyk przy kasie przeznaczony na napiwki. Dziewczyna, która ją obsługiwała, beznamiętnie życzy jej wesołych świąt i kilka sekund później Rachel wychodzi na ulicę.

Chwiejąc się na bruku w butach na obcasach, co pewien czas przystaje, by zajrzeć do rozświetlonych mrowiem lampek eleganckich sklepików i delikatesów. Nic nie porusza jej do tego stopnia, by zdecydowała się wejść. „Sklepy na diecie”, mówił o takich miejscach jej ojciec i miał rację, bo guzik mają do zaoferowania. Zawsze ją zastanawia, jakim cudem taki biznes może się opłacać, pamiętając, jakiej sztuki musiała dokonywać, aby wystarczyło na miesięczny czynsz, samochód dostawczy i pensje dla garstki pracowników, których zatrudniała w kwiaciarni. Szkoda, że nie mogła jej dalej prowadzić, kiedy firma zaczynała się stawać małą żyłą złota. Ale to też zniszczył John Blundell. Przez niego straciła wszystko. Nie mieli prawa go wypuścić. Po siedemnastu latach odsiadki? Sukinsyn o wiele za mało wycierpiał.

Nagle ktoś naprzeciwko przyciąga jej spojrzenie. Tracy. Wychodzi z Dinefwr Arms, hotelu z oliwkowym frontem. Nie sposób jej z nikim pomylić, mimo zaskakująco wytwornej kurtki z mieszanki wełny w kolorze coli, mocno ściśniętej paskiem, skórzanych butów do kolan i świeżo umalowanych ust. Ale kim jest ten elegancki mężczyzna u jej boku? Rachel go nie zna. Chowa się w cieniu wejścia do sklepu i obserwuje, uważając, by się nie pokazać. Widzi, jak wymieniają przelotny pocałunek. Muskają się opuszkami palców, po czym się rozłączają, znikając w przedświątecznym tłumie. Zaintrygowana Rachel podchodzi do hotelu i patrzy do środka przez wykuszowe okna, widząc przykryte białymi obrusami stoliki, wykwintne serwetki z adamaszku, srebrne sztuce, stojaki z przyprawami i świeczniki. Co za miejsce, myśli, uchylając szerokie skrzydło zewnętrznych drzwi i zaglądając do wyłożonej pysznym dywanem recepcji, wypełnionej cichą muzyką Mozarta i przyjemną wonią pieczeni wołowej i czerwonego wina. Co za miejsce na romantyczną randkę.

Zostawia za sobą bruk i roztrząsając setkę scenariuszy, które mogły się kryć za tym, co widziała albo czego nie widziała, przystaje przed ładnie oświetloną wystawą galerii sztuki i po kilku sekundach wahania wchodzi. Dźwięk dzwonka nad drzwiami zawiadamia o tym ciemnowłosego mężczyznę, który siedzi przed ekranem komputera w przeciwległym rogu.

– Dzień dobry – wita ją radośnie. – Świetnie, że przestało padać. Zapraszam, proszę się rozejrzeć, śmiało. – I wraca do przerwane zajęcia.

Rachel uśmiecha się, podciąga torebkę wyżej na ramieniu i natychmiast stwierdza, że dużo tu przede wszystkim tego, co zwykle. Całe ściany pejzaży malowanych farbami olejnymi, które prosto z tuby wyciskano na płótno. Krajobrazy z wielkimi sterczącymi płytami skał, prawdopodobnie przedstawiającymi szare łupki walijskie, niebem i morzem, którym mimo malowniczości tematyki brakuje wyrazistych linii i perspektywy. Chce się czymś zachwycić, tak jak w dzieciństwie, gdy zabierano ją na wycieczki do National Gallery w Londynie, ale tutaj to rzadkość. Wzdycha w duchu na widok cokołów rozstawionych na podłodze galerii, na których prezentują się rzeźby z brązu i gliny; one też ją

rozczarowują. Szkoda, mogłaby się zainteresować jakimś końskim łbem albo zajęcem o wielkich oczach, wyobrażając sobie, że coś w tym rodzaju wyglądałoby całkiem dobrze na półce w jej domu. Oczywiście jest tu też jak zwykle wybór mącących wzrok abstrakcji, czyli dodatków do pizzy, jak je nazywa. Jaskrawe płótna, mieniące się syntetycznymi barwami, które przywołują wspomnienie dzieł Laury. Wieszła je na drzwiach lodówki w domu przy Heron Way, a w miarę jak córka rosła, przykrywały je kolejne obrazki. Być może były infantylne, mimo to jednak zdradzały większą wrażliwość niż niektóre z tych malunków.

Pociąga nosem i sięga do kieszeni po chusteczkę, słysząc nagle w głowie sygnał poświęconego sztuce programu telewizyjnego dla dzieci *Take Hart*. Po chwili unosi wzrok – nie ma pojęcia, jak mogła wcześniej nie zauważyć – na wspaniałą rzeźbę samolotu myśliwskiego, zawieszoną na srebrzystych żyłkach u sufitu, który został pomalowany, by wyglądał jak letnie niebo: błękitne z pierzastymi białymi chmurkami. Tyle że samolot to nie samolot. Nie ma w nim żadnej sztucznej kanciastości, nie ma metalowej powłoki, srogich śmigieł ani podwozia. Jego sylwetka jest miękka i łagodna, dzięki okrywającej go puszystej wełnie, a dziób, kadłub i skrzydła wyglądają równie niegroźnie jak owieczka.

– Ach... – wrywa się jej bezwiednie. Zażenowana szybko zerka na mężczyznę za biurkiem. Na szczęście nie słyszał, nadal wpatruje się w ekran. Rachel czyta notkę artysty na ścianie pod wełnistym samolotem, myśli o przesłaniu kryjącym się w jego miękkiej powłoce. W pamięci staje jej obraz martwo urodzonego cielęcia utopionego w łożysku, które zobaczyła na zboczu wzgórza. Leżące na grzbiecie wzdęte ciało martwej owcy. *Myśliwce*. Kompozycja intryguje, jest ilustracją nieopisanych szkód wyrządzonych przez samoloty nawet tu, wśród łagodnych wzgórz Walii, gdzie hasają do woli. Każde widzowi pytać o głębsze skutki i sytuację wszystkich tych, dla których te maszyny wojenne stanowią prawdziwe zagrożenie.

– Pomysłowe, prawda? – odzywa się mężczyzna, nie poruszając głową. Jego dłoń nadal trzyma bezogonową mysz i zapamiętałe klika. – Ten artysta to trochę ekowojownik – taki antywojenny. Praca raczej nie na sprzedaż, bardziej coś w rodzaju deklaracji, protestu przeciwko zamieszaniu, które wywołują nisko przelatujące samoloty... mamy tu petycję, jeżeli to panią interesuje. Tam. – Prawie niedostrzegalnym gestem wskazuje sąsiednią salę, której jeszcze nie widziała. – Przyda się każdy podpis, jaki uda się zdobyć, ale oczywiście nie ma żadnego obowiązku.

Rachel odnosi wrażenie, że mężczyzna się rumieni, i nieśmiało kiwa głową, po czym pochyła się, by przez niskie drzwi wejść do drugiego pomieszczenia o białych ścianach. Od razu czuje się swobodniej, uciekając przed wymagowanym spojrzeniem przystojnego właściciela. Znajduje tu kilka intrygujących dzieł. Jej uwagę przyciąga wyjątkowo piękna akwarela zawieszona na wysokości wzroku. Poznaje to miejsce ze swoich spacerów. Rdzawa paproć orlica czerwienieje na tle rosochatych, bezlistnych drzew, które wydają się sine z zimna. Na horyzoncie rozpycha się ciężka chmura, jak zwykle w tej części świata. Ledwie zaznaczone sylwetki krów w barwach szarobiałych kamyków, garstka owiec rozrzuconych na stokach wzgórz jak koraliki. Dostrzega także znajomy łuk rzeki Sawdde przepływającej obok cementarza przy kościele, gdzie ostrym sierpem wcina się w dolinę. Zdaje sobie sprawę, że na pewno istnieje kilkadziesiąt wyglądających podobnie miejsc i wiele z nich utrwalono na płótnach, które wystawiono w tej galerii. Ale ten obraz przemawia do niej w tak szczególny sposób, że postanawia spytać o więcej.

– Przepraszam – mówi do mężczyzny za biurkiem. – Kto jest autorem tych pejzaży?

Właściciel galerii ma intensywnie niebieskie, prawie fioletowe oczy. W obramowaniu pięknych ciemnych rzęs, długich jak u dziewczyny. Rachel wcześniej tego nie zauważyła. Kiedy kierują się w jej stronę, wysychają jej usta.

– Keith Hunter – odpowiada tonem zdradzającym, że jej wybór sprawił mu przyjemność. – Świetny malarz, jeden z moich najlepszych. Popularny w tych stronach i nie tylko, wysoko ceniony przez

kolekcjonerów... – Urywa w połowie zdania, by parsknąć śmiechem. – No proszę, zawsze wyjdzie ze mnie sprzedawca.

– Ależ nie. – Rachel chce go uspokoić. – Naprawdę mnie interesuje. Widzę, że jest bardzo utalentowany. Zastanawiałam się...

– Tak? – Znowu zwraca na nią oceaniczną głębię oczu.

Rachel waha się przez chwilę, myśli o krajobrazie wzgórz porośniętych kasztanowymi paprociami, z żółtymi cętkami kolcolistów.

– To miejscowy artysta?

– Keith? Tak, wydaje mi się, że tak. – Niebieskooki obraca skórzane krzesło i wstaje. Kiedy zamyka coś, co robił na komputerze, Rachel zwraca uwagę na jego dłonie o długich palcach i zadbanych paznokciach. Poza tym ładnie pachnie. Gdy podchodzi bliżej, Rachel wyczuwa zapach jego płynu po goleniu, widzi kępkę ciemnych włosów wystającą spod rozpiętej pod szyją świeżo wypranej koszuli indygo. Przystojny, myśli, zastanawiając się, kiedy ostatni raz miała okazję tak powiedzieć o mężczyźnie.

Idą w głąb galerii, on kilka kroków za nią, a kiedy stają przed tym obrazem i Rachel się odwraca, zauważa, jaki jest wysoki. Patrząc na połysk kruczoczarnych włosów ze śladami siwizny na skroniach, przypuszcza, że ma pewnie niewiele ponad czterdziestkę. Nosi lekki zarost jak Spencer: świadomość tego podobieństwa nieco podcina jej skrzydła.

– Właśnie ten mi się spodobał – oznajmia zdecydowanie Rachel. – Jestem pewna, że widzę to miejsce podczas spacerów niedaleko swojego domu.

– *Y Llwybr Briallu* – czyta Niebieskooki na tabliczce pod akwarelą, wymawiając walijskie słowa tak samo płynnie jak Dai.

Rachel zapomina się i w podnieceniu klaszcze w dłonie.

– Wiedziałam, poznałam od razu. Różana Droga, przebiega przez moją wioskę.

– Wie pani, co to znaczy. – Mężczyzna uśmiecha się, jak gdyby zrobiło to na nim wrażenie. – Ależ ma pani szczęście, że mieszka w takim ładnym zakątku.

– Tak – odpowiada, znowu czując się okropnie niezręcznie. – Jest ślicznie... naprawdę ślicznie.

– Jak dla mnie trochę za głęboka wieś – oświadcza mężczyzna. – Nie zdecydowałbym się na bardziej zapadłą prowincję niż ta.

– Mieszka pan tu w mieście?

– Nad galerią.

– Czyli to pan ją prowadzi?

– Tak, już od czterech lat.

– A gdzie pan mieszkał wcześniej?

– Przy granicy z Anglią, w Monmouthshire.

– Właśnie tak mi się zdawało, że nie mówi pan jak ktoś stąd. – Rachel uśmiecha się szeroko. – Raczej jak ktoś z wyższych sfer.

– Jej, z wyższych sfer? Dobrze, że nie słyszy tego moja matka. Jest porządną dziewczyną z dolin na południu.

– Ten Keith Hunter – Rachel wraca spojrzeniem na obraz – maluje tylko tutejsze krajobrazy?

– Tak, kiedy już wychodzi na otwartą przestrzeń, co nie zdarza mu się często. – Mężczyzna cofa się o krok, patrząc po kolei na dzieła artysty. – Pejzaże to raczej nie jest jego specjalność, zwykle skupia się na studiach martwej natury. A to... – zatacza ręką szeroki łuk, wskazując może pięć płócien – ...dla niego rodzaj odskoczni.

– Ten naprawdę mi się podoba, ale ma pan inne, które mogłabym zobaczyć? – pyta Rachel.

– Nie w galerii, ale mogę pani pokazać więcej w internecie.

Rachel kiwa głową, a mężczyzna odwraca się i schylając się w niskim przejściu, wraca do biurka. Idzie za nim i patrzy, jak siada, aby otworzyć stronę internetową galerii.

– Proszę, te sprzedał, a te... – Rachel pochyła się tak blisko, że czuje ciepło bijące od jego skóry – ... to część zbioru, który mam w magazynie.

Rachel najwyraźniej go nie słyszy. Wraca do sali z pracami Keitha Huntera, chcąc jeszcze raz obejrzeć obraz. Niezrażona ceną oznajmia:

– Chciałabym go kupić. – Przyciska mocno do piersi dużą i nieporęczną torebkę. – Właśnie czegoś takiego szukałam.

– Świetnie. Doskonały wybór. Jak mówiłem: jest ceniony przez kolekcjonerów, bardzo popularny. Na pewno sprawi pani dużo przyjemności. – Mężczyzna milknie, spuszcza wzrok i ogląda sobie ręce, jak gdyby zamierzał ją zapytać o coś jeszcze, zupełnie niezwiązanego z obrazem. Ale nie pyta. Po chwili wraca do rzeczywistości. – Załatwiła już pani swoje sprawy w mieście czy mam zapakować obraz, żeby odebrała go pani później?

– Nie, wezmę go teraz, jeżeli można. Wstąpiłam tu już w drodze do samochodu.

– O – mówi, patrząc na zegarek – jest później, niż myślałem. Jeżeli chwilę pani na mnie zaczeka, chyba już mogę zamknąć. Gdzie zaparkowała pani samochód?

– Na początku Queen Street, koło kościoła.

– Wspaniale, sam idę w tamtą stronę, chętnie zaniosę pani obraz. – Milknie i przeczesuje dłonią gęste jak melasa włosy. – Właściwie wybieram się do Eagle Arms, na wczesnego drinka dla odprężenia po pracy, i pomyślałem sobie... mam nadzieję, że nie potraktuje pani tego jako bezczelność z mojej strony, ale... może chciałaby pójść ze mną? Żeby uczcić pani zakup? – Unosi brwi i uśmiecha się wyczekująco, ukazując rząd równiutkich białych zębów.

Zaproszenie jest tak niespodziewane, że Rachel posyła mu z ukosa spłoszone spojrzenie.

– Och, hm... na drinka... hm. Chyba naprawdę nie mogę – jąka się i stara zapanować nad wyrazem twarzy. Chociaż jest miły, propozycja pada zbyt nieoczekiwanie. – Ale innym razem? – dodaje szybko, wymawiając to jak pytanie, kiedy widzi, jak jego uśmiech przygasa. – Chodzi o to, że spędziłam tu strasznie dużo czasu, a mam w domu psa i muszę się nim zająć.

W drodze do samochodu rozmawia im się bardzo dobrze. Omijają kałuże, a potem wpadają na siebie nawzajem. Robią między sobą miejsce dla ludzi obładowanych zakupami i wymieniają się najważniejszymi faktami ze swojego życia. Właściciel galerii mówi chętnie, lekko chropawym głosem. Przedstawia się jako Graham. Patrząc na niego, Rachel dochodzi do wniosku, że imię do niego pasuje, i słucha, jak w wieku dziesięciu lat stracił ojca, a jego matka, choć jest w pełni sprawna psychicznie, ma słabe zdrowie i mieszka w domu opieki w Monmouth. Na pytanie o innych członków rodziny Graham odpowiada, że ma siostrę, Eleanor. Wymienia jej imię jakby po namyśle, Rachel przypuszcza więc, że stosunki między nimi są dalekie od ideału. Opowiada jej, że została samotną matką i od rozstania z mężem kilka lat temu Eleanor musi samodzielnie wychowywać dwóch niesfornych synów. Tak, myśli Rachel, to zwykle matka wychowuje dzieci po rozpadzie małżeństwa. Ale nie ona. Kiedy przestała być żoną, przestała też odgrywać rolę matki. Więż między Laurą a jej ojcem była zbyt silna. Córeczka tatusia – to była chyba jedyna cecha łącząca Rachel z jej dzieckiem i dlatego straciła Laurę na zawsze.

Odsuwając od siebie urazy, opowiada Grahamowi o swojej niedawnej przeprowadzce z południowego wschodu i dodaje, że była mężatką i do niedawna prowadziła własny biznes. O wyjeździe do Walii – miejscu beztróskich wakacji z czasów dzieciństwa – przesądziła śmierć ojca i fakt, że znalazła się na życiowym rozdrożu. Nie, rozwiedli się dziesięć lat temu i nie mogą wymieniać nazwiska Spencera, mówi, że były mąż mieszka za granicą, i ani słowem nie wspomina o swoim dziecku.

Mogłaby się czuć swobodnie w towarzystwie Grahama, lecz ciągle gdzieś niedaleko czai się strach, który nie pozwala jej ulec emocjom. Co pewien czas przypomina jej, że nic nie wie o tym człowieku, przypomina o straszliwych błędach popełnionych przez nią w przeszłości, kiedy uznała, że może komuś zaufać, chociaż nie powinna. Omal nie straciła przez to życia. To może wyglądać na zupełnie niewinne spotkanie – huczy jej w głowie głos rozsądku – ale przecież nie zna jego intencji. Nie sposób oczekiwać, żeby podczas jednej rozmowy ulotniło się uczucie trwogi, które ją nawiedza, ilekroć znajdzie się sam na sam z nieznanym mężczyzną, ten lęk dręczący ją od lat. Towarzyszy jej już tak długo, ma wpływ na wszystko, co robi, i pewnie zostanie z nią na zawsze. Czy można się temu dziwić? Po tak traumatycznym przeżyciu ma wielkie szczęście, że ten strach w ogóle pozwala jej na jakąkolwiek normalność.

[10](#) *Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals* – Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

Dziś wieczorem jest spokojnie. Pewnie dziewczynom nie pozwala wyjść pogoda, która jest okropna. Mimo to na wypadek gdyby ktoś okazał się na tyle szalony i wyruszył na ulicę, czekam dalej, rysując trójkąty na zaparowanej szybie i słuchając bębniącego w dach deszczu. Daję sobie spokój z radiem, w którym nie można znaleźć żadnej muzyki do słuchania. Poza wiadomościami, a przez najbliższą godzinę żadnych nie będzie, jest już za późno na cokolwiek więcej.

Lubię wiadomości, zwłaszcza te ostatnie. Przyjemnie jest słyszeć nazwę miasta, które zyskało rozgłos z mojego powodu. Myśleć, że ludzie w samochodach, salonach i kuchniach słuchają szczegółowych opisów moich dokonań. Korci mnie, żeby zgłosić się na policję i podać swoje nazwisko. Czekalaby mnie sława. Wszystkie media w kraju wysłałyby moją twarz na orbitę.

Tyle że to jeszcze nie koniec. Nie zamierzam zawiesić butów na kołku. Za bardzo podnieca mnie poczucie dominacji, kiedy uda mi się tu zwabić śliczną dziewczynę. Zwłaszcza kiedy myśli, że ma jeszcze szansę uciec, kiedy błaga o darowanie życia. Wcześniej trudno było sobie wyobrazić, jakie to będzie uczucie mieć nad kimś taką władzę. I muszę przyznać, jeżeli jeszcze tego sami nie spróbowaliście, że nie ma chyba większej przyjemności. Dlatego nie, nie sądzę, że należałoby z tego rezygnować, skoro przede mną jeszcze tyle dobrej zabawy.

Przed zgaszeniem światła Rachel ostatni raz patrzy na nowo nabyty obraz zawieszony na ścianie naprzeciwko łóżka i zastanawia się, co porabia jej matka. Czy po śmierci męża i zniknięciu córki poświęca dni na coś innego niż dotąd? Chodzi po domu, którego obraz ma w głowie, i nie widzi w nim nic bardziej zachęcającego niż szereg zamkniętych drzwi. Wie, że gdyby odważyła się je otworzyć, poczułaby tylko zapach mokrych jesiennych liści i zgnilizny.

Szkoda, że Rachel straciła kontakt z przyjaciółmi, powiedziałoby wielu. Po porwaniu, a później rozstaniu ze Spencerem odcięła się od zewnętrznego świata, ponieważ nie знаła innego sposobu, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Może i szkoda, myśli, licząc zmarnowane lata, które spędziła w tym domu, ale brak więzi emocjonalnych ułatwił jej decyzję o porzuceniu życia w Londynie i rozpoczęciu wszystkiego od nowa w Walii. Nie twierdzi, że tęskni za przyjaciółmi. Podobnie jak ciocia Alice nie rozumieli, że przeżycie tej gehenny bardzo ją zmieniło, denerwował ich też fakt, że najwyraźniej nie potrafi przestać o niej myśleć. Rachel nie potrzebowała ludzi, zawsze najbliższą jej osobą był ojciec, który okazał się bardziej lojalny i wyrozumiały niż inni.

Przez całe jej dzieciństwo ojcu wolno było mieć własny pokój. Tak bardzo się on różnił od reszty domu, paskudnej szkoły i świata za jego oknami, że Rachel często szukała w nim schronienia. Piękny pokój pełen niespodzianek. Albumy w grubych, miękkich okładkach pełne sepiowych fotografii jego rodziny z Kanady, dziadka i babci oraz wujków, których nigdy nie miała poznać. Wytworne poduszki z frędzlami w rogach, które wracały do poprzednich kształtów, kiedy się z nich podnosiło. Trzeszczenie wiekowych płyt obracających się na talerzu gramofonu.

– Zatańcz dla mnie, aniołku – gruchał, obracając w jej stronę beżowy fotel. Jego przystojną twarz rozświetlały skośne promienie lata. I tańczyła, żeby sprawić radość. Chciała zasługiwać na imię, jakim ją obdarzał. Kołysała się i wirowała przy wyciskających łzy z oczu dźwiękach wiolonczeli w *Łabędziu* Saint-Saënsa. Palce u stóp zagłębiały się w gęstym runie dywanów, dając jej wrażenie, jak gdyby chodziła po piasku na plaży w Westburn. Udawała, że tańczy cudownie jak Anna Pawłowa, kobieta tak doskonała, że na jej cześć nazwano beżę.

Gdy to wspomina, w pokoju zawsze jest lato. Przez szeroko otwarte oszklone drzwi wpada ptasi śpiew, słońce i słodki zapach wiciokrzewu. A ojciec, może dlatego, że sam nigdy nie mógł tego zrealizować, wykladał jej swoją filozofię życiową.

– Żyj chwilą, *carpe diem* – mówił swoim francusko-kanadyjskim akcentem, dopóki nie dostał udaru, który omal nie pozbawił go mowy. Rachel słyszy go teraz, gdy w wyobraźni dotyka dziecięcą rączką tapety w jasnożółte lilijki na soczyście zielonym tle, także skąpanej w wiecznym lecie. Lecie, które naprawdę istniało w jego ogrodzie, miejscu rozbrzmiewającym śpiewem miodnych pszczół i zalanym paletą kolorów.

Odbiega myślą od tego wspomnienia, obraca się na bok i zamyka oczy... „żyj chwilą”, słyszy. Wryty w pamięci głos przemawia do niej szeptem, który pulsuje w rytmie snu Cadno leżącego na kołdrze obok niej. Jest teraz tutaj, zmieniła nazwisko – droga ku przyszłości stoi przed nią otworem i spotka ją wiele rzeczy, na które warto czekać. Na przykład jutrzejsza przejażdżka konna z Carole, nie mówiąc już

o Grahamie, przystojnym właścicielu galerii, który dzwonił dziś, chcąc umówić się z nią na kawę.

W szybę okna sypialni stuka garść gradu. Dai budzi się ze snu, który jeszcze na dobre się nie zaczął, i słucha bębniącego seriami zamarzniętego deszczu, który atakuje jego dom. Pod kołdrą, gdzie jest mu całkiem ciepło i przytulnie, wyobraża sobie stworzenie zgrzytające kłami, które miażdży wszystko na swojej drodze. Ściera w proch to, co zostało z warzywnych grządek, jego drogocennych różanych krzewów, pierwszych delikatnych płatków przebiśniegów. Dai po raz enty obraca się na drugi bok. Przeprasza nieżyjącą żonę, zapominając na chwilę, że nie ma jej w łóżku. Jego bezbronna ręka w cienkiej jak papier skórze wyciąga się w ciemności, żeby poczuć ciepło jej ciała.

Na mgnienie oka pokój wypełnia liliowy blask błyskawicy i Dai liczy, tak jak uczyła go matka, a gdy dochodzi do trzech, rynny domu z brzękiem dygocą od potężnego grzmotu. Przy następnym rozbłysku oddycha z ulgą, bo udaje mu się doliczyć do piętnastu. Na łóżko wskakuje jego kot, Gabriel, i Dai uśmiecha się w ciemności, czując nacisk jego łapek, które ugniatają kołdrę, by wydeptać wygodne gniazdko.

– Boisz się, co? – Wyciąga rękę nad pościelą i głaszcze kota. – Wszystko w porządku, burza już przechodzi. Możesz sobie przy mnie zrobić *cwtch*.

Dai, który nie ochłonął jeszcze po ujrzeniu tamtego zwalistego draba w The Bear, zupełnie rozbudzony myśli o tym, jak trudno było mu wyciszyć drwiny Denzila. Wgnieść je w lepką od drinków wykładzinę pubu, obawiając się, żeby Idris go nie usłyszał. Dai wciąż się go boi. I nie bez powodu. Cięgi, jakie przed laty dostał od niego i jego braci po wizycie policji w ich domu, każdemu utkwiłyby w pamięci. Oskarżyli Daia, że doniósł na nich po tym, jak zniknęła ich siostra, i omal nie zatłukli go na śmierć. Był tak poturbowany, że musiał zostać zbadany przez lekarza i przez dwa tygodnie nie chodził do szkoły. Roztrzęsiona matka, przynosząc mu zupę i termofory, przez wiele miesięcy dręczyła go pytaniami o nazwiska sprawców, ale był zbyt przerażony, żeby je ujawnić. Takich rzeczy nigdy się nie zapomina, próbował wytłumaczyć Denzilowi. Chociaż dobry z niego kompan, w świecie Denzila wszystko jest tak czarno-białe, że w żaden sposób nie potrafił zrozumieć historii łączącej Idrisa i Daia. Wzartej w niego głęboko jak brud między fałdy podgardla tego bydlaka.

Denzilowi udało się go jednak rozbawić, gdy powiązał Idrisa z morderstwem tych dwu dziewczyn. Zgadza się, bywa regularnie w Somerset, ma i środki, i możliwości, by podejmować damy w tej swojej wielkiej ciężarówce. Z tego co widział, kabinę ma w stylu iście buduarowym, z sypialnianymi zasłonkami i zapewne bogatym wyposażeniem. Podczas wyjazdów nocuje w samochodzie; nie ma wątpliwości, że urządził sobie tam przytulne, cuchnące gniazdko. Analizując jednak sprawę swoim prawniczym umysłem, Dai dochodzi do wniosku, że to raczej nieprawdopodobny scenariusz. Owszem, drab jest na pewno zdolny do przemocy, ale to niezbyt przekonujące, nic więcej niż pobożne życzenie. Jeżeli więc jeździ do Somerset... nawet do Westburn, to jeszcze nie oznacza, że jest mordercą. Dai ani przez sekundę nie wierzy, by Idris mógł zdobywać jakiegokolwiek kobiety, nie mówiąc już o tych młodych ślicznotkach. Uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Nie, sama myśl tylko podsyca fantazję Denzila, a może jego własną. Ponieważ Bogiem a prawdą niczego nie pragnąłby bardziej niż winy tego sukinsyna, żeby resztę życia spędził w pudle. Za to, co zrobił Beth, właśnie tam jest jego miejsce.

Dai znowu przewraca się na łóżku. Wydaje jęk rozpaczony, nie mogąc zapaść w błogi sen. W głowie wirują mu obrazy w jasno oświetlonej scenerii, krążąc jak na błędnej karuzeli. „Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą”. Ulubione powiedzenie jego matki i powód, dla którego robiła, co tylko mogła, piekła biszkopty i dawała Beth pachnące mydełka – drobiazgi, by miała trochę lepsze życie. Nie obwinia swoich rodziców; byli dobrymi ludźmi żyjącymi w rozterce: wiedzieli to, co wiedzieli, ale nie mieli pojęcia, co z tym zrobić. W latach sześćdziesiątych nie znano czegoś takiego jak zgłaszanie przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci, nikt nie wtrącał się w prywatne sprawy innych, nawet gdy w grę wchodziło życie dziecka.

Deszcz zelżał i z ciemności i ciszy dobiega go jakiś zgrzytliwy odgłos. Jak gdyby ktoś pocierał papierem ściernym klocek drewna. Dai uświadamia sobie, że to on go wydaje i że płacze. Nic dziwnego, że nie potrafi się zmusić, by przekroczyć próg tamtej stodoły, choćby przeszła najbardziej niezwykłą metamorfozę. Ciągle będzie tam wyczuwał jej obecność – ducha swojej ukochanej z dzieciństwa.

Carole Deacon, zgrabna i szykowna w tweedowej kurtce do jazdy konnej i bryczesach, czeka na Rachel na progu domu. Stoi pod srebrnoszarym niebem i rozpływa się w uśmiechach.

– Myślę, że się nie rozpada, co?! – woła, wsuwając nogi do wysokich butów, które wyglądają na dość drogie.

Rachel, po przygodzie z Tracy nie do końca przekonana, że to dobry pomysł, czuje się zażenowana swoim wiekowym strojem: pośpiesznie zreperowanym rękawem kurtki, staroświeckim toczkiem. Jest tylko zadowolona ze starannie wyglansowanych sztylp. Idąc za Carole brukowaną ścieżką, która biegnie między domem a trawnikiem, uśmiecha się, kiedy mijają malowniczy zestaw kamiennych gargulców: miło, że są na świecie ludzie o równie dziwnym guście jak ona. Padoki, mimo pory roku, są dobrze osuszone i zielone, otacza je porządne drewniane ogrodzenie. Niewielkie kwadratowe podwórze jest okolone kilkoma budynkami gospodarczymi z takimi samymi dwuspadowymi dachami jak dom.

– Ślicznie – zbudowaliście je specjalnie? – pyta Rachel, kiedy Carole otwiera pierwsze drzwi po prawej.

– Wally projektował.

– Naprawdę świetnie to wygląda.

– To jest stajnia, a tam pracownia, w której Wally przygotowuje swoje eksponaty – pokazuje Carole.

– Ach, tak. Jasne, przecież do tego wszystkiego potrzebuje specjalnego miejsca, prawda?

– Zgadza się. – Carole chichocze. – Nie ma mowy, żebym pozwalała trzymać w domu wnętrzości martwych zwierząt.

– Nie sądzę, żebyś zgodziła się na coś takiego. – Rachel robi stosowną minę.

Carole już przygotowała i wyszczotkowała konie, założyła im ogłowie i siodła. Ale dopiero gdy zostają wyprowadzone ze stajni, Rachel może w pełni ocenić, jak nieskazitelnie wyglądają. Trudno jej nie zauważyć, że są też świetnie podkute, podoba się jej, że Carole nasmarowała im kopyta takim samym błyszczącym olejem, jakim ona pielęgnowała Trinket. Zapach lukrecji przenosi ją prosto do Pinkton Grange, ale tym razem wracają tylko miłe wspomnienia.

– Zanim wjedziemy na wzgórze, mamy do pokonania krótki kawałek A40 – informuje ją Carole, gdy już obie siedzą w siodłach. – Są przyzwyczajone do samochodów, ale staraj się prowadzić Molly poboczem. Na tym odcinku auta często pędzą pełnym gazem.

Oślabł wiatr, zrobiło się przyjemnie, a spoglądając spod toczka, Rachel dostrzega na niebie optymistyczne pasma błękitu. Pochyliła się w siodle, by pogłodzić miękką ciemną sierść Molly, i patrząc, jak klacz strzyże uszami, nie zauważa granatowej ciężarówki, która z karkołomną prędkością pędzi prosto na nie. Rozlega się ryk klaksonu, syk uruchamianych hamulców, klacz wymyka się spod kontroli i ponosi. Wszystko to dzieje się w mgnieniu oka i zupełnie zaskakuje Rachel, której stopy błyskawicznie wysuwają się ze strzemion, a twarde metalowe pałaki uderzają ją w delikatne kostki. Molly dalej gna w kierunku nadjeżdżających samochodów, Rachel w panice widzi kątem oka tylko rozmazane kontury świata i szukając po omacku wodzy, nie potrafi się utrzymać, aż wreszcie zostaje wyrzucona z siodła prosto na drogę.

Nie może się ruszyć i leży na boku, słysząc metalowy stukot kopyt i odgłos samochodów przerażająco blisko ucha. Oszołomiona spogląda między pniami nagich drzew na przecierające się niebo. A potem słyszy krzyki. Wyławia z nich swoje imię. Nadal jednak nie potrafi się ruszyć. I nie ma odwagi. Boi się, że będzie bolało.

– Rachel... Rachel... – Carole, przekrzykując hałas mknących samochodów, klęczy przy niej, trzymając w ręce zebrane paski cugli. Rachel zerka w bok i widzi, że jej eleganckie kremowe bryczesy są zabłocone. – Nic ci się nie stało? Dlaczego nikt się nie zatrzyma? – I bezradnie wymachuje rękami.

– Nie wiem. – To odpowiedź na obydwa pytania; Rachel zdaje sobie sprawę z bólu w nodze i ręce. – Nie wiem. – I zaczyna płakać. Ze wstydu. Z żalu za tak cudownie zapowiadającym się popołudniem w malowniczym walijskim plenerze na pięknym koniu w towarzystwie nowej przyjaciółki. – To przeze mnie... – mamrocze. – Mnie chce zabić...

– Co, co powiedziałaś, kochanie?

– ...mnie... chciał wciągnąć i ciebie... podły... nie powinni go wypuszczać... jest niebezpieczny... nie cofnie się przed niczym...

– Kto, Rachel? O kim ty mówisz?

Rachel ma nieprzytomny wzrok i wygląda jak oszołomiona.

– Nie zrobił ci krzywdy, prawda? Spadłaś z konia? – majaczy ledwie słyszalnym głosem, dzwoniąc zębami.

– Nie, skarbie, udało mi się utrzymać w siodle. Pośliznęłam się tylko, kiedy goniłam Molly. – Carole czułym, matczynym gestem gładzi poblądłe jak wosk policzki Rachel.

– Molly nic się nie stało? – szłocha.

– Wszystko w porządku – nie martw się o nią, musimy się zająć przede wszystkim tobą.

Wreszcie jakiś samochód zwalnia i zatrzymuje się po przeciwnej stronie drogi. Co za szczęście. To Tracy w swoim land roverze, ubrana w swój wiśniowy płaszcz.

– Carole? – piszczy przez otwarte okno, w zdumieniu obserwując rozgrywający się dramat. – Boże, co się stało? To Rachel? Co z nią? – Wyskakuje z samochodu i podbiega do nich z niezwykłą zwinnością jak na osobę na szpilkach.

– Nic mi nie jest. – Rachel udaje się usiąść. – Chyba niczego sobie nie złamałam – możecie mi pomóc wstać?

Carole i Tracy wymieniają spojrzenia, po czym stawiają ją na nogi.

– Biedactwo, co to był za okropny upadek. – Carole patrzy na Rachel ze łzami w oczach. – Cholerni idioci, jak oni tędy pędzą... mógł nas zabić.

Tracy nie słucha; całą uwagę skupia na Rachel, która, dotykając zdartego materiału bryczesów na kolanach, szuka oznak poważnych obrażeń.

– Chodź, *cariad*, odwiezę cię do domu. – Tracy stoi na tyle blisko, że Rachel czuje zapach jej lakieru do włosów i zastanawia się, czy znowu była gdzieś z tamtym mężczyzną. – Poradzisz sobie sama z końmi, żeby je odprowadzić? – zwraca się do Carole. – Może zadzwonić po Hywela?

– Boże, nie. Dam sobie radę – zapewnia ją Carol i dłonią w rękawiczce głaszcze chrapy Snapdragona. – Pojadę na Molly i będę go prowadzić, wszystko będzie dobrze. Już to robiłam.

– Na pewno?

– Na pewno. Zabierz Rachel do domu; porządnie najadła się strachu.

– Obie się najadłyście. – Tracy na moment przytula Carole do siebie. – Dobrze, słuchaj, zadzwonię później, żeby zapytać, czy wszystko gra.

Ludzie są źle zaprojektowani. Kilka godzin później Rachel ogląda w kąpieli swój nadgarstek,

wyczuwając palcem wypukłość gwiazdzistej blizny, stale przypominającej jej o przeszłości, którą naprawdę wolałaby wyrzucić z pamięci. Ogląda też sieć żyłek, niebieskozielonych dopływów, biegnących pod delikatną skórą wewnętrznej strony rąk. Jesteśmy tacy wąтли i słabi, że nie znaczymy prawie nic. Błysk młotka, krew, wrzask tamtej kobiety walczącej o życie. Zostawia to – nie może ciągle do tego wracać – i zamienia tamten koszmar na obraz Laury. Laury w kąpieli, wesołej i rozbrykanej wśród piany i zabawek. Rachel zachwycała się jej doskonałym ciałkiem, liczyła wyrostki kręgosłupa, paluszki u rąk i nóg. To bolesne wspomnienie, z różnych powodów: jej dziecko jest teraz tak daleko. Straszne, ile czasu już minęło, martwi się, czy w ogóle umiałaby ją dzisiaj rozpoznać w tłumie.

Mydli gąbkę, myje się pod pachami, między palcami stóp. Ma ciało posiniaczone od upadku, lecz woda działa kojąco. Dziwne, ale dzisiejsze dramatyczne zdarzenie dodało jej energii. Oczywiście, lepiej byłoby nie spadać z konia, ponieważ jednak nie stało się jej nic poważnego, a kierowcą był prawdopodobnie Idris, i miejsce jej pobytu nadal jest tajemnicą, dochodzi do wniosku, że dla odmiany dobrze jest coś naprawdę poczuć. W dzieciństwie miała wrażenie, że nie pasuje do swojego miejsca na świecie, i z tego powodu miała ochotę tłuc pięścią w ścianę albo ciskać w nią szkolnymi książkami – w jakiś jednoznaczny fizyczny sposób udowodnić, że jednak coś znaczy. Nie żeby takie gwałtowne wybuchy leżały wtedy w jej naturze, pojawiły się dopiero później. Kiedy tkwiła uwięziona w idealnie uporządkowanym domu Spencera, z pianą wściekłości na ustach wyładowywała na nim frustracje, które narosły w niej przy Grand Avenue. Nic dziwnego, że był nią przerażony, że bała się jej Laura. Bo w ciągu lat po narodzinach ich córki te wybuchy przerodziły się w coś znacznie gorszego. Do tego stopnia, że nie mogła zaufać samej sobie i kiedy Spencer był w pracy, często wybiegała z domu, zatrząskując z hukiem drzwi, nie mogła bowiem sprostać wymaganiom małej Laury, skoro sama czuła się tak niedojrzała.

Czy udało jej się to pokonać – czy minione lata i doświadczenia wyleczyły ją z tego rozchwiania? Trudno mieć pewność. Dostrzegając swoje odbicie w zaparowanym lustrze, myśli, że od tego czasu nie zdarzyło się jeszcze nic, co poddałoby ją podobnej próbie. Pozostaje więc tylko mieć nadzieję – musi wierzyć, że nie jest już tamtą osobą.

Jennifer przygląda się z drzwi salonu, jak pani Pepper taszczy odkurzacz po schodach na górę, po czym odważa się wyjść do przedpokoju, aby przejechać palcem po listwie do wieszania obrazów, a nie widząc na niej śladów kurzu, usatysfakcjonowana kiwa głową. Idzie dalej korytarzem, sprawdzając inne zakamarki, które mogły umknąć uwagi, gdy zatrzymuje ją jej własne odbicie w ozdobnym owalnym lustrze ukazującym głowę i ramiona. Stara, ocenia. Zawsze surowa dla siebie. Naciąga dłońmi boki twarzy i mówi:

– Tak kiedyś wyglądałam.

Potem, klęcząc w zimnym kościele, będzie prosiła o rozgrzeszenie za to i za inne słabości ciała. Niedoskonałości i defekty, przez które w wieku rozrodczym nie wywiązało się ze swoich zadań, co z kolei zniszczyło jej małżeństwo i relację z jej jedynym dzieckiem. Bez względu na to, jaką osobą jest Jennifer, dobrze zna samą siebie i jest świadoma własnych mankamentów. Pod wieloma względami jest swoim największym wrogiem.

Wracając do czystutkiej kuchni, otwiera szafkę z różnymi drobiazgami i szuka znaczków pocztowych. Zapomniała, że ciągle to trzyma. Album z wycinkami. Fioletowe strony są szorstkie pod opuszkami palców i kiedy go pociera, jak dżin z butelki wyskakują zdjęcia jej córki. Powinna przekazać album Derekowi Barnesowi, mógłby mu się przydać. Detektyw nie może jednak dostać tego, co znalazła w pokoju Donalda. Na myśl o rzeczach, które trzyma upchnięte w głębi szuflady w biurku matki, robi się jej zimno w brzuchu. Nie, postanawia, trzeba najpierw poczekać, aż Barnes odnajdzie Sarah, i porozmawiać z nią, zanim cokolwiek z tym zrobi. Tyle jest jej winna.

Ważąc w dłoni album, zdaje sobie sprawę, że jest za ciężki, by nadać go pocztą, i byłoby jej o wiele łatwiej podejść do jego biura w Highgate i oddać go osobiście. Zerka z ukosa na kartkę, którą napisała do Sarah i położyła na pojemniku na pieczywo. Na czystej lewej stronie zanotowała garść wiadomości, ale ponieważ mimo nieustających wysiłków prywatnego detektywa nadal nie zna adresu, koperta jest wciąż otwarta i jej skrzydełko lekko trzepocze, ilekroć do kuchni wpadnie powiew wiatru.

W ekspresie Cuisinart zaparza arabicę zmieloną przez swojego ulubionego baristę z Highgate Village, nalewa kawę do śnieżnobiałej porcelanowej filiżanki ze spodkiem do kompletu i zabiera do urządnego z przepychem salonu, siada, po czym zapala mentolowego papierosa i otwiera album na kolanach. Ziarniste zdjęcia Pinkton Grange z gazet sprzed siedemnastu lat. Zygzakowate krawędzie wycięte jej nożyczkami krawieckimi. Ładna fotografia Sarah zaraz po skończeniu szkoły. I te zrobione kilka lat później, na których hasała z mocno umalowanymi oczami i w bluzce z głębokim dekoltem. Na innym śmiała się, trzymając w ręku szklanicę piwa. Piękna Sarah. Olśniewająca Sarah. „Twarz na okładkę”, jak mówią dziennikarze. Nic dziwnego, że nie chcieli zostawić jej w spokoju, dzięki tej twarzy sprzedawały się gazety. I dzięki zdjęciom Blundella. Wszystkie zostały obramowane ząbkowanymi ostrzami nożyczek i wklejone, jak gdyby całe to smutne wydarzenie było powodem do dumy. Karnacja i włosy szalonego kowala przywodzą Jennifer na myśl piaszczystą plażę w czasie odpływu. Według wyciętych artykułów praca pozwalała mu polować na młode kobiety, chociaż, myśli, wydmuchując dym z papierosa, nie zgłosiły się żadne młode kobiety, by potwierdzić prawdziwość tego zarzutu. Tabloidy wyssały to z palca

i przyczepiły tę etykietkę do jego i tak już podejrzanego reputacji. Ci sami dziennikarze chętnie informowali czytelników, że Blundell ma szczególną skłonność do rozpieszczonych bogatych dziewczyn, które dobrze wyglądają w bryczesach i długich blond włosach. Ten człowiek nawet nie lubił koni i według anonimowych źródeł czasem traktował je brutalnie i okrutnie. Te same anonimowe źródła od razu przypięły mu łatkę samotnika, który lubił pracować na ustronnych dziedzińcach przy stajni, gdzie w pobliżu nie było nikogo oprócz dziewczyny i konia.

Jennifer, marszcząc brwi tak samo jak wówczas, kiedy czytała te materiały po raz pierwszy, spogląda na kawę i nie próbując jej, uważa, że jest jeszcze za gorąca. Te wszystkie twierdzenia nie wytrzymały dokładniejszej analizy wtedy, nie wytrzymują i teraz. Wystarczy dmuchnąć, żeby rozsypały się jak domek z kart. Ale najlepiej sprzedają się sensacje, więc jakie znaczenie ma prawda? Najwyraźniej niewielkie, skoro tych kilku szczegółów nie mógł potwierdzić nikt oprócz jego nieżyjącej żony Lindy, którą zatłukł na śmierć młotkiem, oraz dziewczyny, która w momencie składania zeznań miała kilkanaście lat. Świadomość tego faktu sprawia, że treść tych artykułów niepokoi ją jeszcze bardziej. Zwłaszcza że jest matką dziewczyny, która wyrzucona z samochodu na końcu ulicy, zdezorientowana i przerażona, bezwiednie przyniosła do jej domu fragmenty czaszki pani Blundell, które utkwiły jej we włosach i resztkach ubrania.

Wzdryga się ze wstrętem na wspomnienie tego człowieka, którego obraz ma przed oczami. Myśl o jego robociarskich łapskach na ciele jej pięknej córki jest wprost nie do zniesienia. Czyta dalej i słyszy głos swojej Sarah powtarzający wydrukowane słowa cytowane przez gazetę jako jej wypowiedź: „broniałam się”... Jennifer przypomina sobie głębokie i nierówne skaleczenia, które Sarah miała na przedramionach, pośladkach i udach, tamtą paskudną pięcioramienną szramę, która została na wewnętrznej stronie nadgarstka – „ale był za silny... powiedział, że mnie zabije, jeżeli będę próbowała uciekać... nóż do gardła... na zupełnym pustkowiu... z zawiązanymi oczami... kajdanki... nie mogłam się ruszać, zupełnie bezradna... zgwałcił mnie... potem zjawiała się jego żona... wpadł we wściekłość... nie mogłam jej pomóc... straszne... straszne...”.

Jennifer z trzaskiem zamyka album i gasi papierosa. W pokoju jest tak cicho, że słyszy tykanie zegara podróźnego – jednego z wielu prezentów, jakie dostał Donald, kiedy przeszedł na emeryturę. Szkoda, że na swoje wyjazdy do Somerset zabierał tylko Sarah. Noclegi w pensjonatach w uroczych nadmorskich miasteczkach. Byłoby przyjemnie, może nawet romantycznie, bo zostając w domu sama, wyobrażała sobie przeróżne rzeczy. Bała się jednak ich spojrzeń, gdyby odważyła się zaproponować, że się do nich przyłączy, więc nie prosiła. Unosi filiżankę i powoli pije. Kawa dostatecznie już przestygła w białej jak welon filiżance i smakuje doskonale. Jennifer zauważa, że zostawia na porcelanie ślady szminki. Krwistoczerwone i niepokojące. Wywołują wspomnienia bzdur wypisywanych przez te sępy, jakoby Sarah zakochała się w swoim porywaczu. Wywalali te brednie w swoich szmatławcach, podpierając się opiniami psychiatrów, by udowodnić, że to całkiem częste zjawisko. Jennifer czuje, jak na nowo gotuje się w niej gniew. Bezradny, bezgłośny gniew, dokładnie taki sam, jaki ogarnął ją wtedy. Jak w ogóle śmieli? Odstawia filiżankę na spodek z głośnym stukiem, aż stolik się chwieje i potraça oparcie fotela. Jak gdyby ktoś serio mógł przypuszczać, że dziewczyna na poziomie Sarah zakocha się w takim dzikim brutalu. Sama sugestia była potworna.

Wstaje i podchodzi do drzwi patia, aby spojrzeć na ogród. Na pana Antonellego, który ryje w jego zmarzniętych pozostałościach, wygrabiając liście i ściółkę, zaśmiecające kwiatowe grządki jej nieżyjącego męża.

– Przeklęty idiota – szydzi przez szybę wymalowaną przez mróz we wzory. – Kiedy skończysz, po godzinie będą z powrotem.

– Dobrze się pani czuje, pani D’Villez? – pyta pani Pepper ubrana w fartuch, którego kieszenie są

wypchane kluczami, zapasowym pojemnikiem ze środkiem do pielęgnacji mebli i mnóstwem innych rzeczy potrzebnych do pracy w domu Jennifer.

– Nic mi nie jest. – Zirytowana odgłosem gumowych podeszew jej pantofli depczących gęsty włos puszystego dywanu z mieszanki jedwabiu odwraca się do kobiety i jak zawsze opryskliwie pyta: – Jeszcze pani tu jest? Myślałam, że dawno pani wyszła. – Śledzi wzrokiem panią Pepper, która krząta się po salonie; fachowo odkurza gzyms nad kominkiem, parapety, opróżnia kosz na śmieci.

– Zostało mi jeszcze tylko tutaj, pani D’Villez. – Jak zwykle niewzruszona niegrzecznością swojej pracodawczyni pani Pepper odwraca wzrok i wraca do zajęcia, za które bierze pieniądze. – Za momencik dam pani spokój.

– Zrobiła pani w pokoju Sarah to, o co prosiłam?

– Słucham... w pokoju Sarah? – Pani Pepper przestaje wycierać kurze i zasepia się za grubymi szklami okularów.

– Mówiłam, żeby zdjąć zasłony, wynieść jej rzeczy i rozłożyć płachty na meblach. Słyszała pani? – Cisza. Jennifer teatralnym gestem wyrzuca ręce nad głowę. – W środę z samego rana przychodzą malarze.

– Czyli jednak zdecydowała się pani, nie sądziłam, że mówi pani poważnie. – Pomoc domowa nie przerywa krążenia po salonie, z wprawą podnosząc bibeloty i przecierając półki pod nimi ściereczką w radośnie żółtym kolorze.

– Nie sądziła pani, że mówię poważnie?! – powtarza Jennifer. – Nie zatrudniam pani, by decydowała, kiedy mówię serio, a kiedy nie; wydałam pani proste polecenie...

Pani Pepper się nie odzywa. Stoi zwrócona tyłem do Jennifer, w przestrzeni między nimi unosi się mgiełka preparatu do mebli, słychać brzęk i stukot przedmiotów odstawianych na miejsce. Jeśli mają jeszcze dzisiaj rozmawiać, to Jennifer będzie musiała przerwać ciszę.

– Jeżeli ma pani teraz czas, zajmie się pani tym? – Głos Jennifer łagodnieje. – Mogę pomóc.

– Nie, nie trzeba, pani D’Villez, mam czas, zrobię to przed wyjściem.

Jennifer słucha człapania oddalającej się wolno pani Pepper, odgłosów odkładania rzeczy do szafki ze środkami do sprzątnięcia, zwijania kabla odkurzacza. Po chwili rozlegają się jej kroki, kiedy wchodzi po skrzypiących schodach na górę, przemierza korytarz na piętrze i otwiera drzwi dawnego pokoju Sarah. Jennifer zostaje na dole, trzymając kciuki i modląc się w duchu, aby się okazało, że wszystko dokładnie sprawdziła. I że jej pomoc domowa nie znajdzie więcej okropieństw takich jak te, które ona odkryła w pokoju Donalda.

Jest wigilia Bożego Narodzenia i Rachel nigdy nie widziała takiego deszczu. Wydaje się, jakby nie padał z nieba, ale tnie zakosami z wiatrem; to coś zupełnie nowego. Przed przyjazdem tutaj nigdy dotąd nie była tak narażona na działanie pogody i teraz uczy się jej zwyczajów. Podczas spacerów do wioski z Cadno na wyprężonej smyczy widzi kobiety, które niosą do domu jodełki i gałązki ostrokrzewu obsypane jasnoczerwonymi jagodami. Balansują w kapciach na szczeblach drabinek, rozwieszając kolorowe lampki pod śliskimi od mchu deskami okapów. Wyobraża sobie ich dzieci, które siedzą przy stołach w kuchni i piszą listy zaczynające się od „Drogi Mikołaju”. Myśli o Laurze i o tym, jak mdły i bezbarwny jest ten czas w roku, i liczy Boże Narodzenia, które spędziły osobno.

Próbując się pocieszyć, idzie na Garn Goch w Brecon Beacons. Pogoda z pewnością pomaga zapomnieć o wszystkim – szaleje wiatr, skotłowane niebo garściami pochłania ziemię. Po powrocie do domu jest przemoczona do bielizny. Jest już prawie całkiem ciemno, ale w Cwm Glas nie pali się ani jedno światło. Nie ma prądu w całej dolinie, więc Rachel próbuje wskrzesić ogień za pomocą nowego narzędzia drewna, które nie jest zupełnie suche. Polana żałośnie dymią w palenisku, tłą się i zmieniają w smętne zwęglone kawałki, nie dając prawie żadnego ciepła. Rachel zapala świece, z przyjemnością wdychając zapach topionego wosku, który wypełnia pokoje, a potem siedzi pod kołdrą z psem zwiniętym w kłębek obok siebie i patrzy na wąż, pełgające płomyki.

Przed pójściem do łóżka, czując taką potrzebę, wypija dwa kieliszki sherry, którą kupiła z myślą o gościach, a później wychodzi na dwór, aby popatrzeć na gwiazdy przebijające zza pędzącej po niebie postrzępionej zasłony chmur. Myśli o ciągnących się przez wiele mil murach, które rozpadają się pod ciężarem mchu, i o ciemnościach na wzgórzu. O wychudzonych krowach, stojących w bezlitosnych trzęsawiskach i trzcinach, oraz o ich nowo narodzonych cielętach parujących w chłodzie nocy. I o tym, że nazajutrz rano – w poranek Bożego Narodzenia – niebo znów będzie szczelnie wypełnione falującymi chmurami i trzeba będzie wykorzystać dzieńne światło do ostatniej minuty.

– Powinnaś pokazać Daiowi, co zrobili z twoim domem. – Tracy, wyglądająca dziś inaczej niż zwykle w domowym zaciszu, ze szminką na ustach i tuszem na rzęsach, które ożywiają jej twarz, podaje Rachel naparstek sherry i wskazuje miseczkę chipsów przygotowaną dla gości. Zwracając się do Daia, mówi: – Słowo daję, nie poznałbyś tej stodoły.

Rachel nie słucha. W napięciu obserwuje synów Tracy, Llewa i Toma, siedzących na podłodze i rozpakowujących prezenty, które im kupiła. Widzi, jak unoszą je w blasku światełek na choince i uśmiechają się kpiąco. Rachel wychyla duszkiem sherry. Czuje się zażenowana.

– No dobrze... – Tracy wyczuwa ich bliźniaczą drwinę, dostrzega ich nieme spojrzenia, które wyrażają tylko jedno: nieudolność dorosłych. Stara się to jakoś jej wynagrodzić. – Prześliczne. Nie zapomnijcie ładnie podziękować Rachel, chłopcy, dobrze?

Posłusznie spełniają prośbę matki. Kłamią chórem, przez co Rachel czuje się dwa razy bardziej beznadziejna, więc machnięciem ręki zbywa banały wygłaszane przez dobrze wychowanych chłopców. Nie zdawała sobie sprawy, jacy są rozwinięci. Wyglądają dość niepozornie, kiedy widuje ich przelotnie na przystanku szkolnego autobusu, dokąd podwozi ich ojciec. Ale to młodzi mężczyźni, znający się na najnowszych gadżetach, którymi bawi się dzisiaj młodzież, i gustujących w nich. Czuje się stara. Wyrzucona poza krąg wtajemniczonych. I tak oczywiście jest. Sama tego chciała.

Rachel rozsiada się wygodniej na miękkiej kanapie i w roztargnieniu strzepuje psią sierść z czarnych spodni, wyciągając maleńki kieliszek do Tracy, która nalega, żeby jej dolać. Za wychodzącą z kuchni gospodynią dolatują zapachy sosu pieczeniowego i brukselki, a kiedy Tracy ponownie znika w parującej otchłani, nie chcąc skorzystać z oferowanej przez gości pomocy, Rachel poświęca kilka sekund na obejrzenie pokoju. Jest zastawiony niemodnymi meblami i niemiłosiernie nagrany. Za szklanymi drzwiami piecyka trzaskają pomarańczowe płomienie, w pokoju jest zdecydowanie zbyt jasno. Ostry blask stuwatowej żarówki u sufitu gasi jakiegokolwiek ślady przytulności. Rachel wstaje i podchodzi obejrzeć choinkę, przygląda się swojemu odbiciu w wielkiej srebrnej bombce i ziewa. Zniekształcona twarz z grubym podbródkiem i wydętymi ustami przypomina jej gabinet krzywych luster na bulwarze w Westburn. Musiała mimowolnie wydać jakiś dźwięk, bo chłopcy, siedzący po turecku w morzu papierów z rozpakowanych prezentów, trącają się łokciami i chichoczą. Uśmiecha się do nich, chcąc pokazać, że jest po ich stronie, podejrzewa jednak, że z rozciągniętymi ustami wygląda jeszcze dziwniej. Zostawia ich w spokoju i wraca na kanapę, pociągając za golf pod szyją. Jest tak gorąco, że żałuje wyboru stroju na dziś; włożyła ciepłą bieliznę. Czego się spodziewała? Wie, że Tracy lubi ciepło, mając w pamięci jej samochód rozgrzany jak piekarnik. Ale ubrała się tak, ponieważ kiedy zbudziła się po pogodnej, rozgwieżdżonej nocy, za oszronionymi oknami ujrzała ściśnięty mrozem świat. Nie mogąc skupić się na niczym, łowi uchem fragmenty rozmowy między Daiem, Hywelem i jego matką, ale nie czuje potrzeby, by się do niej włączyć. Wobec hałasu grającego w tle telewizora – jakiś melodramatyczny spaghetti western – każda próba przyłączenia się do rozmowy wydaje się zadaniem ponad siły. Obserwuje więc tylko przekomarzanki między bliźniakami, którzy droczą się i podszczypują pod czujnym okiem ojca i zostają natychmiast przywołani do porządku, jeśli go naruszają.

Gdy wreszcie zostają zaproszeni do kuchni na posiłek, Rachel widzi stół nakryty czerwonym świątecznym obrusem, zapalone świece i drogie marszczone serwetki wsunięte do wysokich kieliszków. Wydaje stłumiony okrzyk uznania, widzi pełen dumy uśmiech Tracy. Na każdej podkładce pod nakrycie położono na ukos kolorowy świąteczny cracker z niespodzianką. To podkładki, jakie można zobaczyć w pubach, ukazujące sepiowe sceny z dawnych czasów. Młode kobiety w sztywnych białych bluzkach i spódnicach do kostek opierają się o słupki bram i pługi, uśmiechając się kokieteryjnie do dżentelmena robiącego im zdjęcie. Czy życie na wsi naprawdę kiedykolwiek tak wyglądało? Rachel wątpi w to, spoglądając na Hywela otwierającego wino rękami zniszczonymi od pracy na farmie. Ten człowiek nie zna odpoczynku i aż do dziś zawsze widziała go tylko w gumiakach i ogrodnickach.

– Może być czerwone? – pyta ją, uśmiechając się między ogorzałymi policzkami. A Rachel dziękuje mu skinieniem głowy.

Tracy opróżnia piekarnik. Podaje gorące talerze, trzymając je przez rąbek sukienki i ostrzegając:

– Nie dotykać.

Chłopcy chichoczą, szturchają się w zębra, rozbawieni ze znanego tylko sobie powodu. Rachel stara się nie myśleć, że to ona jest powodem ich wesołości, i patrzy, jak Hywel otwiera usta, by coś powiedzieć, może żeby się opanowali. Powstrzymuje go spojrzenie Tracy, którego Rachel nie potrafi odczytać. Język małżonków, myśli i pociąga łyk merlota. Wino oblewa jej język i gardło łagodnym ciepłem. Pamięta to spojrzenie. Ma w sobie coś z jej rodziców. Coś z niej i Spencera. Zdaje sobie sprawę, że to kiepskie przykłady, ponieważ obydwie duety składały się z osób mówiących innym dialektem, mimo złudzeń, jakim wtedy mogła ulegać. W przeciwieństwie do tych dwojga. Sprawiają wrażenie wyjątkowej pary i na myśl, że Tracy mogłaby go zdradzać z tym mężczyzną, z którym widziała ją w mieście, Rachel ogarnia smutek. Patrzy, jak uśmiechają się do siebie – Hywel Morgan, bardzo przystojny w nowym świątecznym swetrze, Tracy, która wygląda uroczo w wełnianej sukience i śliwkowych zamszowych czółenkach. I z naszymi.

– Prezent od Hywela – wyjaśniła, odpowiadając na pytanie Rachel, i zarumieniona dotknęła kamienia księżycowego.

Chciałaby doświadczyć choć części tego, co znalazło tych dwoje. Tracy igra z ogniem, jeśli prowadzi ryzykowną grę i naraża swój związek. Rachel nie odważyłaby się na to na jej miejscu, gdyby kiedykolwiek miała szczęście stworzyć taką więź z drugą osobą. Przez sekundę rozmyśla nad zaletami Grahama. I zastanawia się, jak spędza święta u siostry w Monmouth. Kiedy w zeszłym tygodniu pierwszy raz byli na kawie, powiedział, że jedzie do niej i wraca jeszcze dzisiaj. Oczywiście jest za wcześnie, by ją zaprosił, ale może w przyszłym roku. Gdy karcie się w duchu za takie fantazjowanie, słyszy matkę Hywela, która prosi, by jej podała brukselkę.

– Też nałóż sobie łyżkę, kochana – skrzeczy mechanicznym głosem staruszek z radiowych *Archerów*. – Tracy jak zwykle ugotowała cały worek, a jak znam tę bandę, tylko się zmarnują.

Po korowodzie potraw z jarzyn podawanych wzdłuż i w poprzek stołu, kiedy crackery zostały otwarte i każdy włożył sobie na głowę tradycyjną papierową czapkę, Rachel czuje, jak na jej twarz wraca ciepło. Rozluźnia się i z apetytem zajada pyszne dania. Wypija kolejne kieliszki wina. To cudowni ludzie o wielkich sercach. Myśli o tym, rozglądając się i patrząc na wszystkie twarze po kolei. Naprawdę pomogli jej poczuć się częścią tego świata, w sposób, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Patrzy na Tracy, jak samymi gestami mówi do synów. Chce uwierzyć w ten obraz rodzinnego szczęścia, dlatego na razie odpędza od siebie wspomnienie Tracy w mieście z tamtym mężczyzną.

Rozlegają się oklaski, kiedy Hywel wychyla chyba połowę butelki brandy i z dumą oznajmia, że podany właśnie pudding jest dziełem jego matki. Unoszą kieliszki do sufitu i nawet zaróżowieni chłopcy zapominają się na chwilę i zdobywają na uśmiech. Tracy znów zrywa się na nogi i przygasza światła.

Trzaska zapalka i po chwili obserwują z podziwem bajeczny pokaz wirujących żółto-niebieskich płomieni, które pełzają po kopule skórki przetykanej rodzynekami. Świąteczny pudding jest pyszny, tak bogaty w owoce i alkohol, że przy stole zapada cisza przerywana tylko pomrukami uznania między jednym a drugim kęsem oraz skrobaniem łyżeczek o dno naczyń.

– Zdawało mi się, że panią poznaję. – W przerwie rozmowy Rachel zwraca się do matki Hywela. – Spotkałyśmy się już. Miała pani stoisko na jarmarku świątecznym.

– Ty mi też wyglądasz znajomo. – Bridget Morgan rozpromienia się w uśmiechu. – Nie mów... nie mów... – Starsza pani szpera w pamięci. – Miałaś na sobie śliczny niebieski sweter i coś kupiłaś... strasznie długo nie mogłaś się zdecydować.

– Boże, ależ pani spostrzegawcza. – Rachel jest pod wrażeniem. – Rzeczywiście, kupiłam malutki pudding, też był pyszny. Zjadłam go któregoś wieczoru.

– Cieszę się, że ci smakował, *bach*¹¹.*

– Hywel! – woła Rachel przez stół. – Twoja mama jest niesamowita, uwierzyłbyś, że mnie zapamiętała? Powiedziała do niej może ze dwa słowa.

– Każdy cię zauważa, Rachel – odpowiada jej z uśmiechem Tracy. – Wywołałaś spore poruszenie w wiosce.

– Naprawdę? Boże, nie wiem, czy mi się to podoba.

– Ciesz się tym, *bach* – wtrąca znów Bridget. – Taka śliczna dziewczyna jak ty ma już pewnie na oku jakiegoś miłego chłopaka, co?

Rachel nagle staje się nieśmiała i spogląda na nią spod długich ciemnych rzęs.

– Może rzeczywiście kogoś poznałam. – Czuje, że się rumieni, dotyka palcami policzka. – Oczywiście to dopiero początek, ale w zeszłym tygodniu byliśmy na kawie w mieście.

– Och, ależ jesteś tajemnicza; nic nie powiedziałaś. – Tracy, która wstaje, aby zaproponować gościom dodatkę puddingu, macha łyżką. – Kto to jest, gdzie go poznałaś?

– Przystojny? – szepcze z boku Bridget i uśmiecha się żadna nowin.

– Ma na imię Graham i jest właścicielem galerii sztuki w mieście.

– Co – tej eleganckiej galerii w Llandafen? – W głosie Hywela brzmi nuta podziwu. – Nieźle.

– Ale proszę, naprawdę nie ma się czym emocjonować. – Rachel bardzo chce poskromić ich ciekawość, nie wiedząc właściwie, jak to się stało, że w ogóle powiedziała im o Grahamie. – Szczerze mówiąc, spędziliśmy razem nie więcej niż dwie godziny.

– Ach, przecież tak zaczynają się wszystkie wielkie romanse – mówi Bridget Morgan pewnym głosem.

– Możesz mi wierzyć, skarbie, żaden facet, który ma przynajmniej odrobinę rozsądku, nie pozwoli się wymknąć takiej wystrzałowej dziewczynie jak ty.

Choć miał to być komplement, jej słowa ścinają krew w żyłach Rachel.

– Opowiedz mi o dziewczynce, która bawiła się kiedyś w mojej stodole – prosi Rachel Daia, gdy wracają do domu pod okapem stalowo lśniących gwiazd.

– Masz na myśli Beth?! – Dai przez chwilę wydaje się zaskoczony. – Rety, a gdzieżeś ty o niej usłyszała?

– Od Tracy, kiedy pytałam jej o przeszłość domu. Poradziła mi, żebym spytała ciebie.

– No, tak... od czego tu zacząć? Beth, hm... miała pieska. Jack Russell terriera, który wabił się Tiny – mówi w końcu, a Rachel słyszy chrzęst kręgów w jego szyi, kiedy Dai unosi twarz ku niebu.

– Grała na trąbce? – Rachel uważa, żeby nie pośliznąć się na oblodzonej drodze, więc rozkłada ręce, by utrzymać równowagę.

– Na trąbce? – dziwi się Dai. – Boże, skąd o tym wiesz? Nie, to ja grałem, ale dawno temu, wątpię, czy

udałoby mi się dzisiaj wydobyć czystą nutę.

– Znalazłam w szopie nuty. I atlas. – O zdjęciach nie wspomina w obawie, że Dai mógłby poprosić o ich zwrot.

– Znalazłaś mój atlas. – Jest wyraźnie zachwycony. – Myślałem, że przepadł. – Milknie, aby odetchnąć i szczerzej owinąć szyję szalikiem, który dostał od bliźniaków. – Mogę go zobaczyć? – pyta tonem, w którym czai się obawa, że mogła go wyrzucić.

– Oczywiście, przyniosę ci. Jest oblepiony pajęczynami i dostała się do niego wilgoć, ale jeszcze całkiem czytelny.

Dai wzdycha i pogrąża się we wspomnieniach.

– Uwielbialiśmy z Beth przeglądać ten atlas – zaznaczaliśmy wszystkie miejsca, do których chcieliśmy pojechać, gdy będziemy dorośli.

– I co? – pyta Rachel. – Pojechaliście?

Dai parska śmiechem. Tym razem to smutny, głuchy dźwięk, który natychmiast rozplywa się w mroźnym powietrzu wieczoru.

– Nie. Nie. Nie było szans nigdzie wyjechać. W każdym razie nie razem – i nie dalej niż do wesołego miasteczka w Porthcawl.

– Szkoda. – Rachel jest naprawdę przykro. – Beth jest siostrą Idrisa, prawda?

– Siostrą? – Dai błędzi myślami gdzieś daleko. – Owszem, była siostrą Idrisa.

– Była? – powtarza Rachel.

– Jest? Była? – szybko poprawia się Dai. – Nie wiem, straciliśmy kontakt wiele lat temu.

– Przykro mi. – Rachel uświadamia sobie, że pod wpływem bólu, jaki przynosi to wspomnienie, łamie mu się głos. – Byliście parą?

– Kochałem ją, jeśli to masz na myśli – odpowiada Dai z prostotą i zaskakującą szczerością.

– Na górze znalazłam wycięte litery. Czy D to ty? – Rachel jest ostrożna; nie widzi jego twarzy i cieszy się z tego.

– Uchowały się? Boże, kto by pomyślał.

– Litery B i D w małych serduszkach. Urocze. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że to mogliście być wy.

– Skąd mogłabyś wiedzieć? – Jego głos brzmi łagodnie. – Beth i ja... to wszystko się działo, zanim jeszcze przyszałaś na świat.

– Powinieneś przyjść i sam to zobaczyć – mówi Rachel, czując się swobodnie w towarzystwie tego miłego, nieco przygaszonego człowieka, który w ogóle nie pyta o nią. – Wiem, Tracy powiedziała, że nie poznałbyś tego miejsca, ale moim zdaniem poznałbyś – na pewno nie wydałoby ci się takie inne.

– Nie. Chyba nie powinienem – ucina Dai.

Chwila ciszy.

– Z powodu twojej żony? – nieśmiało kieruje pytanie w ciemność. – Jest za wcześnie?

– Dziwna z ciebie dziewczyna – mówi Dai i Rachel raczej wyczuwa, niż dostrzega jego uśmiech. – Wydajesz się za młoda, żeby cokolwiek wiedzieć o takich sprawach, a jednak wiesz, prawda?

Rachel milczy, słucha chrzęstu jego kroków na lodowej skorupie nocy – aksamitna ciemność jest tak gęsta, że mogłaby w niej zagłębić palce. Czeka, aż znowu odezwie się Dai.

– Nigdy nie potrafiłem o niej zapomnieć. Miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, kiedy jeszcze żyła Elsie, a teraz, po jej śmierci... ta zdrada... to coś gorszego. Może ci się to wydać głupie, ale czuję, jak gdybym wystawił ją do wiatru. – Słucha oddechu Daia, który powoli się uspokaja. – Dlatego tak, chyba rzeczywiście uważam, że postąpiłbym nielojalnie wobec jej pamięci, gdybym uległ ciekawości i przyszedł zobaczyć miejsce, w którym byłem z Beth.

– Ależ to musiało być całkiem niewinne, prawda? Z tego co mówiłeś mi o Elsie, nie wierzę, żeby to jej mogło przeszkadzać. Wszyscy mamy jakąś przeszłość, ona prawdopodobnie też miała. – Rachel przez moment myśli o małych kwadratowych zdjęciach, które znalazła w szopie. – Przecież byliście tylko dziećmi.

– Niewinne? Tak, byliśmy niewinni. – Dai nie wydaje się do końca pewien. – Co zresztą znaczy niewinność? Od dzieciństwa łączyła nas głęboka więź. Kiedyś myślałem, że to kwestia podobieństwa – oboje mieliśmy przykre doświadczenia, znęcano się nad nami, a Beth przeżywała w domu przeokropne rzeczy. Ale gdy mieliśmy po kilkanaście lat... – prychna krótkim drwiącym śmiechem – ...wiem, że trudno to sobie wyobrazić, kiedy słyszysz to od takiego ramola jak ja, ale przeżyliśmy piękne chwile... spędziliśmy razem mnóstwo czasu w twojej przytulnej stodole.

Rachel, zdumiona jego szczerością, chce wiedzieć więcej. Co miał na myśli, mówiąc, że Beth przeżywała w domu przeokropne rzeczy, co się z nią stało – gdzie dzisiaj jest ta urocza dziewczynka z fotografii? W jej myśli wdziera się wydęta twarz Idrisa i kolejny raz każe jej wyobrazić sobie, jaką krzywdę mógłby wyrządzić ten neandertalczyk z wielkimi łapami zamiast rąk. Tymczasem Dai trwa w głębokim zamyśleniu, choć więc pytania cisną się jej na usta, Rachel nie chce go do niczego ponaglać i zaczyna opowiadać o swoim krępującym i zabawnym występie w ośrodku jeździectwa. Bardzo chce przedstawić swoją wersję wydarzeń, na wypadek gdyby Tracy wspomniała mu o jej dziwnym zachowaniu.

Po kilku minutach dochodzą do skrętu do Tÿ Haf i Dai, kładąc dłoń na jej ramieniu, zapewnia, że nie powinna się czuć zmuszona do zwierzeń, by mogli zostać przyjaciółmi.

– Wolno nam mieć sekrety – dodaje, a ona rumieni się po uszy, sądząc, że czyta jej w myślach. Blask księżycy prześlizguje się po grzbiecie jego nosa, po szlachetnym sklepieniu czoła. – Szkielety w szafie, oto co przynosi nam życie. W moim przypadku... – chichocze i klepie się w pierś – ...za długie życie.

– Za długie?! – Wtórkuje mu śmiechem. – Wcale nie jesteś stary. – Cmoka go w gładko ogolony policzek i czuje zapach ojca: pianka do golenia, naftalina; jego pokój z tapetą w lilijki. – Wesołych świąt – mówi, ciesząc się, że tak dobrze się nawzajem rozumieją. Wyjmuje z kieszeni klucz i wchodzi do domu, gdzie czeka na nią Cadno, radośnie merdając ogonem.

[11](#) *Bach* (walijski) – mała.

„Przez większą część życia szukałem Beth Tudor, ale kiedyś mieszkała zaledwie dwa pola ode mnie i spotykaliśmy się w twojej starej stodole...”

Kilka dni później Dai siedzi w swoim ulubionym fotelu z kubkiem herbaty pod ręką i zastanawia się, co powinien odpowiedzieć na pytanie Rachel, kiedy wracali do domu w wieczór Bożego Narodzenia. Zamiast się wykręcać, pleść o kompletnie nieistotnych szczegółach, takich jak rasa psa, z którym tworzyli w trójkę taką świetną paczkę. Popija herbatę i wraca myślą do najwcześniejszych wspomnień o Beth z czasów, zanim zostali przyjaciółmi... z czasów, gdy przez dziury w płocie obserwował jej niewielką, brązową jak kura karmazyn główkę podskakującą na pochyłym betonowym podwórku szkoły podstawowej w Bryngwyn. Dziury powstały w miejscach sęków w sztachetach, które wypchnęły palce poprzednich pokoleń. Beth w dziwny sposób skupiała na ludziach wzrok i Dai nie rozumiał dlaczego, dopóki nie zauważył, że ma odrobinę krzywe lewe oko. Miało się wrażenie, że to poważne, uporczywe spojrzenie przewierca cię na wylot.

– Wrodzona ambliopia – poinformowała go, jak gdyby zapytał o prognozę pogody. Zawsze szczerza i rzeczowa, kazała mu powtarzać słowo, dopóki nie wymówił go poprawnie: „am-bli-o-pia”. Nie zamierzała mu zdradzać, skąd zna taki termin, nie oczekiwała też współczucia. Miała dziwne oko i co z tego? Szybko się nauczył, że Beth funkcjonuje na znacznie wyższym poziomie, nieczuła na słodkie słówka i podstępny – to właśnie podobało mu się w niej najbardziej.

Pierwszy raz zaczęli rozmawiać w dniu, w którym Beth zaczęła się o płot. Wyciągając szyję, by zajrzeć na stronę chłopców, zahaczyła wełnianym rękawem za dużego kardigana o złamaną sztachetę i poprosiła Daia o pomoc. Udzielił jej bez wahania, mimo drwin i szyderczego śmiechu z tego, że rozmawia z dziewczyną.

– Co chciałaś zobaczyć? – spytał ją po szczęśliwie zakończonej próbie uwolnienia guzików z potrzasku.

– Chciałam sobie popatrzeć na was, nie? – Rozpromieniła się w uśmiechu.

Potem spotykali się regularnie na dole pochyłego podwórka. Ogródzenie było tam niższe, co oznaczało, że gdy oboje stanęli na palcach, mogli na siebie popatrzeć. Oznaczało to także, że mógł się ukryć przed wzrokiem innych w dziko rosnących malinach i malinojeżynach oraz gęstym krzewie wawrzynu, którego wiecznie zielony okap chronił go przed szyderstwami silniejszych chłopaków.

– Masz szczęście, że urodziłeś się chłopcem – powiedziała pewnego popołudnia, spoglądając na wielki *Atlas świata*, który buchnął z regału ojca. – Przede wszystkim, nie musisz nosić rzeczy po matce. – I roześmiała się, pokazując drobne ząbki, a potem wszystkie miejsca, do których zamierzała pojechać, kiedy będzie dorosła, podczas gdy on oglądał w wyobraźni miejsce o wiele bliższe. Farmę Tudorów. Dochodząc do wniosku, że stanowi zupełne przeciwieństwo jego domu: szczęśliwego miejsca pachnącego ciastami wypiekany przez matkę, gdzie zawsze mógł liczyć na to, że ktoś go przytuli. Zaczął rozumieć, jakie to szczęście, kiedy przekonał się, jak wygląda życie Beth. I kiedy myślał o tym ze zgrozą, leżąc w ciepłym, bezpiecznym łóżku dostawce, coś gniotło go w żołądku i dostawał bólów brzucha jak wtedy, gdy zjadł za dużo agrestu z krzewów taty.

Farma Cwm Glas była niewiele lepsza od dziury w ziemi i dlatego przed śmiercią matki Beth ciągle odwiedzała rodzinę Daia. Przychodziła do nich, człapiąc drogą w wielkich butach, które w każdym wieku zawsze byłyby na nią za duże. Wstydziła się wejść do ogrodu, więc zaglądała tylko zza muru. Patrzyła, jak Dai w gumiakach stoi okrakiem nad grządką buraków, rzodkiewek czy marchwi i uczy się tajemnic ziemi od ojca, z którym rozmawia, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Sam ten fakt musiał wydawać się jej dziwny. Że dziecko może coś znaczyć w rodzinie, potrafiącej mu okazać, że urodziło się z miłości i nie jest tylko popychadłem albo workiem treningowym, na którym wszyscy mogą się wyżywać.

Ich matki też były inne. Mama Daia uśmiechała się i mierzwiła mu włosy. Na taki czuły gest, jeżeli kiedykolwiek okazywała jej uczucie, Beth kulila się pod jej ręką i oczy zachodziły jej łzami w oczekiwaniu na lanie, na które zawsze była przygotowana. Potrzebowała czasu, by zaufać jego rodzicom, kilku miesięcy, aby odważyć się przekroczyć furtkę, nie mówiąc o gościnnych progach kuchni, w której matka Daia chciała ją poczęstować ciastkiem z rodzynkami prosto z piekarnika. Nerys Tudor natomiast była niechlujną i krzykliwą babą w kapciach i brudnym fartuchu. Podłoga w jej zimnej i odpychającej kuchni była zawsze zachlapana błotem, a kuchenka resztkami jedzenia. Dai nie widział ani razu, żeby cokolwiek przecierała ścierką, tak jak nigdy nie widział żadnych oznak uczucia wobec córki. Kiedy wpuszczano go do domu, krzyczała na Beth z dołu, każąc jej oskrobać górę ziemniaków piętrzących się w zlewie albo worek marchwi. Raz kazała jej przyjść, wejść na stołek i mieszać w wielkiej kadzi coś, co miało być dżemem pomarańczowym, który Nerys Tudor postanowiła rozdać we wsi na Boże Narodzenie. Breja okazała się niejadalna, choć Dai nigdy nie powiedział o tym Beth, która i tak miała dość powodów do wstydu za swoją rodzinę. Pod jego domem zatrzymywał się autobus szkolny i Daiowi szczególnie utkwiał w pamięci jeden dzień. Rok przed tym, jak zabroniono jej chodzić do szkoły, pewnego letniego poranka Dai, siedząc na schodku przed drzwiami, uniósł wzrok i zobaczył stojącą przed nim Beth. Świeciło ostre słońce i nie widział jej twarzy, więc uniósł rękę, by przysłonić oczy. Trwali tak przez minutę czy dwie, patrząc na siebie nawzajem. Często tak robili, a ich myśli biegły w różnych kierunkach.

– Zastanawiałaś się kiedyś, skąd się wzięliśmy? – zapytał, przerywając w końcu ciszę.

– Widziałam kiedyś byka z krowami – odpowiedziała jak zwykle rzeczowym tonem. – Matka kazała mi patrzeć. Mówi, że u ludzi jest tak samo.

Zawsze potrafiła zaskoczyć niezwykłą wiedzą, okazując się bardzo dobrze poinformowaną osobką. Jej nieśmiały uśmiech, zawsze pełen optymizmu i wdzięczności za wszystko, co dostawała, choć naprawdę było tego niewiele; ten uśmiech kazał mu się zastanowić, zanim zaczął narzekać z jakiegoś błahego powodu. Jeżeli ktoś taki jak ona, ktoś, kto nie ma nic, może być pogodny, to tym bardziej on.

– To dla ciebie. – W następnych latach przekazywał jej wiadomość od swojej matki. Wiadomość towarzyszącą kawałkom mydełka o zapachu bzu, opakowanych w ładną różową bibułkę, które wcisnął jej do rąk. Rąk jak u starszej kobiety, za dużych i zbyt zniszczonych jak na tak filigranową istotkę. Wyrwały się jak spłoszone ptaki spod wystrzępionych mankietów swetra po matce i przytknęły do nosa kostki o słodkim zapachu, od którego poczuła się leciutka jak trzepoczące motyle. Tak przynajmniej powiedziała.

Kiedy patrzył na Beth, zawsze ogarniał go smutek. Wiedział, że te mydełka to dla niej jedyna odrobina luksusu w życiu. Nawet on jednak się nie domyślał, jakie były dla niej cenne. Przekonał się dopiero później, kiedy wrócił do stodoły, by sprawdzić, czy nie zostawiła dla niego jakiejś wiadomości, i znalazł je na górze ukryte między stęchłymi belami siana a pleśniejącymi workami z paszą. W kryjówce oprócz zapasu mydełek w delikatnych jak płatki opakowaniach schowała czarny plastikowy grzebień, w którym tkwiły jeszcze rude włosy jego matki, srebrny napastrzek oraz cienki tomik wierszy R.S. Thomasa

zachowany z czasów, gdy chodziła do szkoły. Niewiele wolno jej było mieć, nawet jej ubrania nie należały z początku do niej i były tak przesiąknięte smrodem farmy, że choćby je prała i tarła z całych sił, nie mogła go usunąć. Tylko raz miała nową sukienkę i buty. Dostała w prezencie od jego rodziców. Gdzieś jest jej ładne zdjęcie w białej bawełnianej sukience i płaskich brązowych sandałkach, które miała na sobie podczas ich wspólnego wyjazdu do Porthcawl.

Beth wolno było opuścić farmę tylko raz w roku, w dniu wyprawy do wesołego miasteczka w Porthcawl. Wyjeżdżali zawsze w tym samym tygodniu, w którym Dai miał urodziny, w środku lata. Widzi ich dwoje, jak płyną z falą innych uradowanych wycieczkowiczów, by, jak się potem okazało, bawić się tam ostatni raz. Beth uwielbiała karuzelę, prosiła o drugą i trzecią przejażdżkę, dopóki w końcu nie dała się namówić na kolejkę duchów, samochodziki albo może Szalony Dom. Postanowili, że Szalony Dom będzie ostatni, aby zostało im jeszcze pieniędzy na watę cukrową na powrót do domu i ściskając w małych dłoniach odliczone drobne, przyglądali się człowiekowi z obsługi wesołego miasteczka, jak wyciera wielkie, twarde ręce poplamione czarnym smarem w kamizelkę, brązową i szorstką jak pod nią jego skóra.

– No to wskakujcie – powiedział, mrużąc obrzydliwe oczka w wąskie szpary. – Na pewno się wam spodoba.

A Dai odczytywał imiona wytatuowane na całej długości krzepkich, opalonych ramion: imiona dziewczyn ozdobione ptaszkami i różami; wyglądało to jak kolekcja zbierana przez całe lata. Kolekcjonował ludzi, jeżdżąc ze swoim lunaparkiem od miasta do miasta. Daiowi przypominało to ścianę pamięci w Llandafen. Upamiętniała dwie wojny światowe i umieszczono na niej listy z nazwiskami ofiar.

Szalony Dom wcale im się nie podobał. Wyrzucało ich wysoko w górę i czuli się jak walone młotkiem blachy, a gdy gwałtownie się zatrzymali, Dai zobaczył, jak te same ogromne dłonie, które brały od nich pieniądze, sięgają do środka, aby odblokować barierkę i ich uwolnić. Znaleźli skrawek trawy i osunęli się na nią, dygocząc, dopóki się nie uspokoili. Dai sięgnął do kieszeni po drobne, a Beth zerknęła na jego zegarek.

– Mam już dosyć. – Uśmiechnęła się, szybko licząc monety. – Lepiej chodźmy poszukać twoich rodziców.

Podeszli do najbliższej budy zwabieni powiewającą na wietrze markizą w czerwone pasy i stanęli w kolejce, obserwując, jak wirujący cukier zmienia się w watę pod okiem kobiety w grubym gumowym fartuchu i o włosach podobnych do serwowanego przez nią smakołyku. Dai jeszcze drżał, biorąc od niej wielką różową chmurę na patyku, która wydała mu się za ciężka, więc odwrócił się, żeby oddać ją Beth...

Ale jej nie było.

Nie, tylko nie on. Rachel przestaje czyścić listewki żaluzji i patrzy na Idrisa Tudora, który ogromny jak wół toczy się po żwirowym podejździe, by załomotać do jej solidnych drewnianych drzwi. Pies szczeka, skrobie, domaga się, żeby go wypuścić. Otworzyć? Udawać, że jej nie ma? Nic z tego, na pewno widział jej samochód i nie da za wygraną; już wcześniej próbowała go ignorować.

Ostentacyjnie demonstruje, jaki to dla niej kłopot, i głośno wzdycha, po czym, zostawiając psa w środku, uchyla drzwi wejściowe i wygląda na zewnątrz, stojąc w kapciach na rozchybotanych płytkach z terakoty na ganku. Zauważa, że starannie uczesał włosy koloru tytoniowych liści i przynajmniej raz włożył czystą koszulę. Jego wysiłki idą jednak na marne, bo na skórze nadal widać brud, a smród bije pod samo niebo i uderzona jego falą Rachel marszczy nos.

– Znowu jajka? Co za radość – mówi Rachel głosem przesyconym drwiną.

– Pomyślałem, że pewnie już się jej skończyły. – Masywną ręką podaje jej karton.

Rachel jeży się na słowo „jej” i nagle przychodzi jej do głowy straszna myśl – niewykluczone, że te grube, oblepione brudem paluchy gładziły zmysłową czerń jej zaginionych majteczek. Ma ochotę mu powiedzieć, żeby stąd spływał. Że „ona” nie cierpi jajek. Że nie cierpi jego. Że „ona” nie będzie jadła niczego, co pochodzi z jego zgniłej nory.

– Dziękuję – odpowiada tylko, żałując, że nie potrafi być władcza i obcesowa, żeby choć raz zachować się tak, jak zachowałyby się jej matka.

– Dobrze sobie pani radzi tak sama, co? – Szczurze oczka prześlizgują się po jej twarzy, po kołnierzu bluzki, po czym zanurzają się głęboko w rowku między piersiami.

– Tak, całkiem nieźle, dziękuję. – Ogarnia ją wstręt, gdy dostrzega filuterne błyski w jego oczach, słyszy nacisk na słowie „sama”, więc wypręża kręgosłup, by wyglądać na wyższą.

– Ale to odludne miejsce jak na taką kobietę, nie? – Wciąż się na nią gapi.

– Wcale nie odludne. – Parska wymuszonym śmiechem, żeby pokryć zirytowanie, jakie budzą w niej ludzie mówiący w kółko te same oczywistości. – Spotykam się z Tracy i Hywelem, na końcu drogi mieszka Dai. – Z zaciekawieniem obserwuje rumieniec, który pojawia się na szarobiałej jak kit twarzy Idrisa. Znamię na policzku czerwienieje niczym indyjskie korale.

– Tak? – Idris, dygocząc ze złości, odwraca się w stronę swojej żółtej jak rzygowiny toyoty zaparkowanej na poboczu przy jej domu. – No... bo... – jąka się, sapie i rzezi. – Lepiej na niego uważać, słyszy pani... wcale nie jest taki miły, na jakiego wygląda... powinienem się domyślić... i lepiej niech pani nie wierzy w nic, co gada.

Po tych słowach odjeżdża. Nigdy by nie uwierzyła, że potrafi zniknąć tak szybko. Błyskawicznie wciska swoje cielsko za kierownicę. Słyszy pisk gumy. Chwilę później rozwiewa się czarny obłok, który po sobie zostawił, i jej oczom ukazują się pasma bladego błękitu na niebie.

Po powrocie do domu, wciąż czując ciarki na plecach, Rachel przysięga sobie, że już nigdy nie otworzy mu drzwi. Następnym razem nie ustąpi, a on nic jej nie zrobi, jeżeli nie będzie mu wchodziła w drogę. W przeciwnym razie będzie bezbronna, a czuje się zupełnie bezbronna, ilekroć on się tu pojawia, by

węszyć.

Znowu przychodzi jej na myśl, że nie tylko Idrisem Tudorem powinna się przejmować. Zanim nawet Tracy zwróciła na to uwagę przy stole podczas lunchu w Boże Narodzenie, przypuszczała, że jest tematem rozmów ludzi we wsi. Plotkarze zmyślają przeróżne historie, by wypełnić luki w jej życiu, o którym nie mają pojęcia. Opowiadają na przykład, że cała jej rodzina nie żyje, a ona wygrała na loterii i dzięki temu kupiła starą stodołę. Inni klną się, że nikomu nie zawdzięcza swojego majątku, że jej mąż donżuan uciekł z inną kobietą i złamał jej serce. A późnym wieczorem w pubie The Bear było już powszechnie wiadomo, że nowa dziewczyna w wiosce szuka sobie nowego mężczyzny. Chce urodzić dziecko, dopóki ma na to jeszcze czas. Rachel słyszy to wyraźnie, jak gdyby sama stała przy zapluty barze, a oni zakładają się, grając w domino, unoszą do ust szklanki z piwem i snują domysły, który z nich spłodzi jej potomka albo, co gorsza, próbują odgadnąć prawdziwy powód, dla którego tu przyjechała, i przed kim się ukrywa.

Idris wciąż słyszy matkę. Jego sny kapryśnie i z uporem wyławiają z głębi nieświadomości jej odgłosy i ciskają na bury brzeg śliskiej puchowej kołdry, by tam miały się i lśniły jak łososie o srebrzystych grzbietach, którym przypatrywał się w dzieciństwie, kiedy wyskakiwały z Tywi; wyobraża sobie, że są ośliżę w dotyku i kásają w kostki palców, więc broni się przed nimi.

Kaszel matki – dźwięk, który stał się jej znakiem rozpoznawczym w ciągu miesięcy umierania – budził go, gdy był chłopakiem, podobnie jak teraz. Sprawia, że ściska mu się żołądek, całe ciało sztywnieje. Leży zupełnie rozbudzony w ciemności, która zawsze okrywała go jak druga skóra; wsuwa ogromne łapy pod kołdrę i ciężkie jak kamienie przyciska do boków. Jak chora owca, myślał wtedy Idris. Chora, z wytrzeszczonymi oczami, zaatakowana przez motylkę, bo ojciec pożłował pieniędzy na odrobaczenie stada. Choroba pochłonęła mnóstwo ofiar na farmie, więc kiedy usłyszał ten kaszel, od razu wiedział, że już po matce.

Znowu go słyszy. Wolno snuje się szarym oparem jak mgła ścieląca się jesienią. Przykrywa duszącym całunem wszystko, co spotka na swojej drodze. Ale Idris nie chce słuchać, powtarzając sobie, że ten dźwięk dobiega gdzieś z zewnątrz. Że to któraś z jego owiec na przesiąkniętym deszczem polu za drogą. Zamyka oczy, aby się od niego odgradzić. Umysł nie zamierza mu jednak na to pozwolić. Dręczy go i wygania z łóżka, bosego i mrugającego niewidzącymi oczami, na korytarz i w dół po schodach wyobraźni. Chce, aby zobaczył ją taką, jaka kiedyś była. Dumną, przewiazaną fartuchem. Z chmurą włosów barwy pieprzu kajeńskiego, która powiewała wokół jej ramion. Uśmiechającą się jak wtedy, z jaśniejącym w oczach ogniem, który płonął jej w duszy i nie pozwalał się stłumić. Strażniczka na warcie. Zaciekle broniącą swojego królestwa i kanciastego zlewu, przy którym stawała rankiem, by napełnić czajnik. Tyle że nigdy tu nie mieszkała. Jej duch dołączył do niego, kiedy sprzedano Cwm Glas. Został uwięziony w fałdach jej fartucha; wisi teraz za kuchennymi drzwiami w domu, który należał tylko do jego ojca. Potem do Wynna. A potem do niego. Oglądając w wyobraźni fartuch zza zamkniętych powiek, lepkich od niedokończonego snu, widzi kwiaty. Piękne jak w letnim ogrodzie. Kiedy pochowali matkę, przywiązali nim Beth aż do tamtego sierpniowego dnia pięćdziesiąt lat temu, gdy ich życie przewróciło się do góry nogami.

Bardzo się cieszył, że mamy już wtedy nie było. Że nie widziała zamieszania wywołanego przez tę niewdzięczną szmatę. Funkcjonariusze z Heddlu Dyfed-Powys pojawili się w środku nocy, żeby zasypać ich pytaniami i oskarżeniami. Oszołomiony Idris i jego bracia musieli stać w swoich marnych piżamach, dygocząc z zimna i przecierając zaspane oczy, a tymczasem chłopcy w granatowych mundurkach uwijali się na śliskim od deszczu podwórku, na stryszku, w oborach. Warknęli, że mają nakaz rewizji, i z niesmakiem zabrali się do przetrząsania domu. Od szuflad ze sztućcami po materace – zajrzeli w każdy zakamarek. Jego, ojca i braci przesłuchiwali po kolei osobno, żeby ich zastraszyć. „Pomagacie nam tylko w śledztwie”, powiedzieli w jego języku. Co spodziewali się znaleźć, co ich zdaniem miało się tu wydarzyć? Przez wiele lat huczało od plotek, podsycanych przez ujawnione raporty policji. Pojawiały się

przy okazji każdej rocznicy. „Spytajcie tego sukinsyna Daia Jonesa, co z nią zrobił – z nim była, nie z nami!”, wrzeszczał zasapany i czerwony na twarzy ojciec do detektywa, który zgiął mu kark i wpakował go do czekającej suki. Detektywa z pewnością uzbrojonego w plotki usłyszane od miejscowych gadułów.

Ojciec miał rację, że bał się poczty pantoflowej we wsi. Wielu chętnie złożyłoby fałszywe zeznanie, gdyby dzięki temu RONALDA TUDORA miała czekać bardzo długa odsiadka. Kogo obchodziło, kto jest winny zniknięcia Beth? Liczyło się tylko to, że biedna dziewczyna zaginęła. Oczywiście, że w domu dochodziło do przemocy, każdy coś wiedział o tym, jak wyglądało jej życie pod okrutną tyranią ojca. Trzeba było go ukarać, to był dzikus, zwierzę nie lepsze od stworzeń, które pasły się na jego łąkach. Znienawidzony ciężar dla tych, którzy widzieli, do czego jest zdolny, nawet jeśli sami osobiście nie doświadczyli jego agresji. Ale Idris, choć nie cierpiał ojca i chętnie zobaczyłby go za kratkami, znał prawdę – wiedział, że winne jest każde z nich. Mama, ojciec, Emyr, Rhys, Wynn i on. Wszyscy mieli w tym swój udział. Nawet jeżeli ich wina polegała tylko na tym, że zmusili ją do ucieczki. Chociaż Idris nie wierzy, by tak się stało, tak jak wtedy nie wierzyli miejscowi gliniarze. Pamięta ten zamęt tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Gdy jako nastolatek z oburzeniem patrzył z okna na piętrze domu, który dzisiaj należy do Morganów, jak policjanci zabierają się do roboty z psami o borsuczej sierści i ryją dziury wielkości grobów w grząskich padokach i porośniętym kolcolistami zboczu jego cennego dziedzictwa. Wszystko tylko z jej powodu. Wszystko po to, żeby znaleźć jej szczątki. Mógł im powiedzieć, gdyby raczyli go zapytać, że marnują czas. W ten sposób nie mogli jej znaleźć.

Wracając do terażniejszości, Idris myśli o apetycznej laluni mieszkającej w jego stodole. Ta dopiero ma tajemnice. Widzi jej delikatne ramiona i idealnie krągłe, nieskrępowane biustonoszem piersi, poruszające się swobodnie pod cieniutkim T-shirtem, który włożyła dla niego, mógłby przysiąc. Na pewno ktoś z przeszłością. Bo po co postanowiłaby zamieszkać w takiej zapadłej dziurze? Sama. Gdzie wiecznie leje deszcz i wali grad. Przecież nie było jej pisane urodzić się tutaj tak jak jemu; na pewno pochodzi z jakichś lepszych stron. Pociąga nosem. Nozdrza wypełnia mu octowy odór niemytych nóg, który unosi się w czarnej jak atrament ciemności. Kobieta na pewno przed czymś ucieka. Albo przed kimś. Jest gotów założyć się o swoją ciężarówkę.

Idris poprawia się w łóżku, szukając wygodniejszej pozycji. Czuje, jak jego ciało jeszcze długo się kołysze, mimo że przestał się poruszać. Unosi na wysokość oczu obraz jej twarzy, który ma w pamięci, i wpatruje się w nią tak, jak czasem patrzy w księżyc. Wystarczyłby jej byle pretekst, żeby zajrzeć do niego jak wtedy, gdy uciekł jej ten głupi pies, a na pewno by ją wpuścił. I gdyby raz już ją wpuścił, przychodziłaby w kółko, a potem... – дума nad tym, jak niewiele wie o przebiegu takich sytuacji – ... byłyby kłopoty. Jedna chciałaby kubek cukru, druga pożyczyć łopatę. Jedna przyszłaby po pomoc w rozbiciu lodu w korytach, druga po pomoc w naprawie ogrodzenia.

Mając w głowie takie odłamki scenariuszy, które rozbijały się jak fale o brzeg pólśnu, Idris czuje nabrzmiewającą wypukłość w kalesonach po ojcu. Jego ostatnio ulubiona rozrywka nabiera kształtu i wysuwa się na zewnątrz, a on mocno przyciska do niej dłoń zaciśniętą w pięść, by ten dreszczyk przebiegł przez całe krzepkie, nakrapiane piegami ramię. Ale kobieta byłaby straszną zawadą. Czerwieni się na myśl o jej opacznie pojętym zainteresowaniu. Poczłaby zapach jego skarpetek i kazałaby mu regularnie brać kąpiel. Kazałaby mu myć ręce, zanim siądzie do stołu. Kazałaby mu zostawiać buty na ganku. Marudziłaby, jak niewiele uwagi jej poświęca, narzekając, że nie ma szans w rywalizacji z jego owcami. Zmuszałaby go, żeby woził ją nad morze, ilekroć na niebie pokazałoby się słońce. Zabierałaby na piknik kanapki z kurczakiem i pomidorami, różowe jabłka i domowe babeczki w tych pomarszczonych papierkach. Albo jeszcze gorzej. Kazałaby mu wydawać pieniądze na kartony chipsów. Na lizaki, które plamiłyby jej usta, kiedy znudziłoby ją nakłanianie go, by scałowywał jej szminkę z warg. Pytałaby go o wszystko: dokąd chodził, podczas gdy najciekawszym miejscem, jakie odwiedzał, był Spar, w którym

kupował opakowanie bekonu. Jego życie przestałoby do niego należeć. Domagałaby się, żeby zabierał ją w trasy, oglądała jego kołnierzyki w poszukiwaniu śladów pudru i obwąchiwała bieliznę, a potem oskarżała, że używa płynu po goleniu. Tego chce? Bo jeżeli się z nią zwiąże, właśnie coś takiego go czeka. Nie, myśli, po co miałby cokolwiek poświęcać? Związki to nie jego broszka. Dobrze wie, czego chce od kobiety, i bierze to, gdy tylko ma okazję.

Minęła północ i parkuję w długim pasie ciemności pod zamkniętym Sainsbury, zajmując punkt obserwacyjny obok pojemników na śmieci na kółkach, których zawartość wysypuje się na ulicę. Czasami tu podjeżdżam; prowadzi tędy trasa, którą wiele z nich wraca do domu w tygodniu, kiedy kluby są zamknięte, a puby przy bulwarze wyrzucają je przed północą.

Wyłączam silnik. Gaszę światła.

Nie muszę czekać długo i wypełniać sobie czasu śpiewaniem tego, co akurat nadają w radiu.

Oto i one. Dzisiaj naprawdę niezła mieszanina zbłąkanych maruderek. Uśmiecham się, widząc, jak ostrożnie badają się nawzajem, żeby ustalić hierarchię. Tanie szpilki stukają na mokrym od deszczu chodniku. Nerwowe, impulsywne ruchy przypominają mi kurczaki, a to stadko to naprawdę pstrokata zbieranina skąpych strojów i odsłoniętych ciał, o włosach we wszystkich odcieniach tęczy. Paradują tam i z powrotem wzdłuż krawężnika, jak gdyby płyty chodnikowe były jakimś perwersyjnym wybiegiem. Jakby wiedziały, że tu jestem, że obserwuję, i chciały się przede mną popisać.

Ale nie mogą mnie zobaczyć. Siedzę w ciemności jak za weneckim lustrem i mam okazję obejrzeć najróżniejsze okazy. W tym momencie patrzę na jedną z nich, która kuca i siusia za przewróconym kubłem na śmieci. Jest tak zamroczona, że pewnie nic by jej nie obchodziło, gdyby wiedziała, że ją widzę. Bo spójrzcie tylko, jak wyslizguje się z majtek i wystawia goły tyłek na blask księżyca. Naprawdę żenujące; to wstyd, że wieczór w wieczór doprowadzają się do takiego stanu. Słyszę ją, jak woła do koleżanek, żeby poczekały, ale czynność zajmuje jej za dużo czasu, nie potrafi znaleźć właściwych współrzędnych, by wcisnąć się z powrotem w bieliznę. Czy one czymkolwiek się przejmują? Przecież widać, że prawie w ogóle się nie szanują. Właśnie to napawa mnie coraz większym obrzydzeniem, im dłużej je obserwuję. Trudno mnie nazwać osobą pruderyjną, ale nie mają w sobie za grosz przyzwoitości.

Zawsze fascynowało mnie ich zachowanie w grupie. Całe ich marne, żalotne życie obraca się wokół jednego celu: zdobyć zainteresowanie i akceptację mężczyzn. Nie lepszych niż ten zbereźnik mój ojciec.

Jeszcze garstka ostatnich, zaczekam, nie ma pośpiechu. Być może dopisze mi szczęście; możliwe, że zauważę jedną samotną, która odłączy się od reszty. Nigdzie nie muszę wracać, nie mam w domu nikogo, kto by mnie wypytywał, co się ze mną działo przez tyle czasu.

Miłość.

Znaczenie tego słowa unosi się na horyzoncie myśli Rachel jak kłęb zeschniętych liści. Spencer pierwszy przed laty wypuścił ją na wolność i jak drozd, który lubi tłuc o szyby jej oszklonych drzwi, zostawiła pierzaste ślady w jej sercu. To stworzenie od pewnego czasu nie trzepocze skrzydłami, ale Rachel czuje, że przycupnęło gdzieś niedaleko. Na rękawie płaszcza, o który otarł się Graham, kiedy mijali szereg sklepów jubilerskich i małych butików, rozplływając się nad pięknymi, błyszczącymi dekoracjami wystaw. Na jej policzku, gdy pocałował ją na dobranoc po ich ostatnim spotkaniu w Llandafen. Na dachu jej samochodu, gdzie jego ręce pomagały umocować fotel bujany, który kupiła za trzydzieści funtów w sklepie charytatywnym z używanymi rzeczami. Mebel przywiązany niebieskim nylonowym sznurkiem, znalezionym w magazynie galerii, przypominał jej huśtawkę, którą ojciec zainstalował dla niej w ogrodzie, gdy była mała i miała włosy długie jak syrenka.

Rachel nie wierzyła, że kiedykolwiek nadejdzie chwila, w której słowo „miłość” znów do niej przyfrunie. Załopocze skrzydłami tuż pod jej nosem, aby je zauważyła. Ale wróciło, każąc jej powtarzać bez końca jego imię: Graham, Graham, Graham. Podoba jej się ten stan. Ścisła ją w żołądku jak kiedyś, gdy miała kilkanaście lat. Nie może spać. Nie może jeść. Snuje się po domu, z utęsknieniem odliczając godziny do następnego spotkania.

Spotykają się w mieście. W umeblowanych antykami herbaciarniach, przy stolikach przykrytych pretensjonalnymi obrusami. W barach pod czarnymi belkami niskich sufitów, w wybrukowanych częściach Llandafen. Potem bierze ją za rękę i prowadzi po schodach do swojego mieszkania nad galerią, żeby się kochać z nią po południu w świeżo wypranej pościeli. Odbywało się to regularnie, odkąd kupiła tamten pejzaż. Lubi myśleć, że to krajobraz, który ogląda na spacerach z Cadno. Rozmawiają przez telefon. O tej porze roku w galerii jest niewielki ruch, więc Graham ma wolne całe godziny. Kiedy musi zająć się jakimś klientem, gęsto się usprawiedliwia, przeprosza ją szeptem i kończy rozmowę, by znowu zadzwonić pół godziny później. Rachel zdaje sobie sprawę, że kręci się przy telefonie i wybucha złością, jeżeli odezwie się akwizytor albo okaże się, że to pomyłka. Warczy do słuchawki, słyszy w swoim głosie głos matki i nienawidzi się za to.

Tak więc po tylu latach w lustrze ukazuje się inna kobieta. Nakłada krem na twarz, wygładzając początki zmarszczek, które zaczynają się rysować na czole, tak samo jak u matki. Z radością przyjmuje miłość, którą dostała jak noworoczny prezent przyniesiony przez wiatr. Bo ze styczniem nadchodzi wiatr. Wieje dzień po dniu. I jak ta nowo odnaleziona miłość kąsa ją w najwrażliwsze miejsca. W odsłoniętą część nadgarstka, gdzie kończy się rękaw skafandra, a zaczyna rękawiczka. Szczypie ją w uszy, kiedy słucha jego szumu w nagich gałęziach drzew. Wiatr rywalizuje z głosem Grahama, który brzmi jej w głowie, gdy Rachel z trudem wspina się na wzgórze albo schodzi drogą, by porozmawiać z pracującym w ogrodzie Daiem. W taką pogodę wkłada rajstopy pod dżinsy. I ciepły podkoszulek, który ma od czasów szkolnych, i nie może wyjść ze zdumienia, że nadal się w nim mieści. A wiatr hula dalej. Tłucze w okna, unosi dachówki. Jak nocny gość, który sprawia, że Rachel, leżąc w ciemności i myśląc o Grahamie, spręża wszystkie mięśnie. Boi się, że lada chwila zdmuchnie jej dom i wyda ją na pastwę żywiołów, jak

wilk z bajki o trzech świnkach, którą czytała jej przed snem ciocia Alice, udając głosy wszystkich bohaterów.

Styczeń nie przeszkadza jej tak jak zwykle. Wyostrzyły się jej zmysły, a duszę ogarnia tak przemożna radość, że Rachel staje się wręcz nietykalna. Mniej przeszkadza jej też ten okropny facet mieszkający niedaleko, który staje u jej drzwi i dotyka się przez kieszenie spodni. Nastrój poprawił się jej do tego stopnia, że nawet podziękowała mu za następny cholerny karton jajek. Cierpliwie wysłuchuje jego opowieści o niedoli i kłopotach z hodowlą zwierząt. Nie przejmuje się już tak bardzo częstotliwością, z jaką pędzi swoją olbrzymią ciężarówką obok jej domu. Koła wielkości planet wrzynają się w pobocza po obu stronach drogi, wyrywając zawiązki pierwiosnków i żonkili. Ponieważ ostatnio zaczęła wszystko oglądać z bliska, przypatrując się im, zauważa, że chyba nie ma na świecie nic drobniejszego i bardziej wątłego.

Odkąd jest Graham, ma wrażenie, jakby patrzyła na świat przez szkło powiększające. Na spacerach przystaje, by ostrożnie ująć w dłonie delikatne, jeszcze zamknięte zielono-białe główki przebiśniegów. Pod jej badawczym spojrzeniem pączki przypominają uszy pierwszych narodzonych w tym roku jagniąt, które matki przyciskają do kolczastej tarniny, by ochronić je przed chłodem. Ogląda miejsca, gdzie wśród nagich gałązek dzikich róż i jasnoczerwonych owoców powiewają suche ogonki bazi. Zostały schwytane w potrzask przez zimę i spływają po nich łzy deszczu, w których odbija się dzika okolica.

Natura, podobnie jak Rachel, wstrzymuje oddech w oczekiwaniu wiosny. Chociaż surowa zima nieraz jeszcze będzie się srożyć, w powietrzu wyczuwa się jakiś optymizm, a Rachel, która mimo upływających tygodni wciąż jest bezpieczna, myśli, że ostrożnie zaczyna w niego wierzyć. Przyplływa do niej w obsypanych kroplami deszczu pajęczynach, rozpiętych jak brylantowe naszyjniki w osłoniętych miejscach. Lśniące znaki rozpoczynającego się roku – jeszcze zbyt kruche, by można ich dotknąć – niosą jej nadzieję na wszystko, co ma nadejść. Jak Graham, który nieśmiało ofiarowuje jej miłość, wiosna czeka w pełnej gotowości, by rozbłysnąć.

Jajka najwyraźniej nie poskutkowały. Ciągłe go nie zaprosiła. Raz udała, że nie ma jej w domu, i nie otworzyła drzwi. Ale była i zajmowała się tym, czym zajmują się kobiety. Uprawianiem ogrodu, jak chyba nazywają to miastowi. Śmiechu warte jego zdaniem, bo tylko dlatego, że kupiła parę rękawic roboczych i łopatę w sklepie rolniczym Gwynfelin, nagle doszła do wniosku, że jest jakąś cholerną Charlie Dimmock. Co taka dziewczyna w ogóle może wiedzieć o pracy na roli? Z tego co widział przez szpary w żywopłocie, kiedy parkował na drodze, żeby ją obserwować – gównu wie.

Idris myśli o tym żywopłocie. Pamięta, jaki gęsty robi się wiosną i latem. Gdy nadejdzie kwiecień, nie będzie już mógł stać w ciemności i patrzeć, jak krząta się po domu. Co wtedy ze sobą pocznie wieczorami, kiedy nie będzie w trasie? Życie znowu będzie się toczyć jak dawniej, zanim tu przyjechała, myśli, jęcząc w duchu pod ciężarem grożącej mu pustki. Będzie musiał coś wymyślić, żeby mieć uzasadniony powód do odwiedzin. Pomysł podrzucenia jej owiec był niezły, ale pozwolił mu złożyć tylko jedną wizytę – trudniejsza sprawa, jak ją skłonić, żeby wpuściła go do domu. Mógłby spróbować przywozić paszę, tylko po pół worka, mówiąc jej, że musi wrócić i sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku. Ani w ząb nie zna się na owcach, a ponieważ nie ma pod ręką nikogo, kogo mogłaby zapytać, oprócz tego idioty Hywela Morgana, niczego się nie dowie.

Może by się udało, ale przede wszystkim musi jej dawać prezenty. Nie żadne głupie drobiazgi jak tamte śmierdzące mydełka, które Dai przynosił jego siostrze, a on znalazł je w stodole po jej zniknięciu – powinien jej przynosić coś praktycznego, coś do jedzenia, jakieś niespodziewane smakołyki. Jajek chyba nie lubi, a owce sprawiają mało przyjemności. Może byłoby inaczej, gdyby były oswojone, bo z tego co widział, lubi głąskać zwierzęta. W każdym razie ciągle się bawi z tym swoim cholernym kundlem. Momencik, Idris; jego mózg skrzypi z wysiłku jak koło taczki, którą często pcha przez pełne dziur podwórko. A te wnyki, które zastawił parę dni temu na łące w dole – jak nic złapały się tam ze dwa króliki, które mógłby jej podarować. Świetny pomysł. Idris, sądząc, że znalazł doskonałe rozwiązanie, poklepuje się w duchu po plecach, rzuca wszystko i rusza sprawdzić.

Otwiera furtkę prowadzącą na drogę i z powrotem zawiązuje zniszczony przez deszcze sznurek, który rozpada mu się w palcach, a po chwili czuje, jak rozmokły grunt ugina się pod butami. Brnie przez powstałe po nieustającym zalewie deszczu bajoro, w którym odbija się niebo. Nie wyobraża sobie, że ziemia kiedykolwiek obeschnie na tyle, że będzie mógł wypędzić na nią zwierzęta: jeżeli taka pogoda się utrzyma, będzie po nim. Ziemia nie będzie się nadawać nawet do wydzierżawienia. Staje na szeroko rozstawionych nogach, które zapadają się w grząskiej mazi. Może się pożegnać ze sporą częścią dochodów, wzdycha, a przez przetarte szwy butów po ojcu przenika wilgoć, więc ma zupełnie mokre skarpetki, kiedy dochodzi do miejsca niedaleko wezbranego dopływu Tywi, gdzie zastawił wnyki.

Oplaciło się bardziej, niż się spodziewał. Odnajduje metalowe sidła z zabójczo skutecznymi zapadkami, którym poświęcił sporo pracy. Tak, są króliki. Aż trzy. Na widok złapanych w pętle skręconych, mokrych od krwi ciał i martwych oczu utkwionych w obojętnym niebie z radością zaciera ręce. Ale we wnykach jest jeszcze kot. Duży i czarny, z białą łapą, która uwięzła w pętli. Idris patrzy, jak się szarpie, jak otwiera pysk, by wydać niemy jęk bólu, a stalowozielone oczy zasnuwają się żółtą mgłą

od rozpaczliwych prób uwolnienia się z pułapki.

Idris, nie mrugnawszy okiem, znajduje kamień pod ciernistym krzewem, pochyla się i przedziurawia kotu głowę. Na rękaw roboczej kurtki bryzga mózg i odłamki kości, które przyklejają się do bruzd i tak już brudnych dłoni.

Rachel, która wygląda świetnie w nowej jedwabnej bluzce i obcisłych dżinsach, wkłada kurtkę i spogląda przez okno sypialni na deszcz. Czy kiedykolwiek przestanie padać? Chyba nie ustaje od wielu tygodni, a jednak musiał zelżeć, skoro wykonała tyle prac w ogrodzie, odkąd skończył się grudzień i na dobre zapanował wietrzny styczeń.

Może zmarznąć, myśli, jeszcze raz taksując swoje odbicie w lustrze; nigdy nie jest pewna, czy dobrze się ubrała, a to nie są najcieplejsze rzeczy z szafy. Za to najbardziej seksowne, stwierdza, podziwiając się, warto znieść odrobinę zimna, by zobaczyć minę i wzrok Grahama. A często na nią spogląda. To miłe uczucie, gdy jego spojrzenie przesuwają się po całej jej sylwetce. Ona też lubi na niego patrzeć. Na doskonały łuk brwi, delikatny zarys kości policzkowych. Na idealnej wielkości uszy, mocno przylegające do głowy, wokół których swobodnie wiją się czarne włosy, miękkie jak u dziecka. Posągowy, tak określiłaby Grahama, gdyby ktoś ją poprosił, by go opisała. Elegancki i dostojny. Jest dumna, pokazując się w jego towarzystwie, nawet jeśli czuje się nieswojo, widząc pożądlive zainteresowanie, jakie budzi w innych kobietach. Przystojny facet, musi się z tym pogodzić; wykluczone, żeby tym razem miała ulec obawom i niepewności.

Cóż to było za odkrycie, kiedy go poznała tamtego ponurego dnia, włócząc się po ulicach Llandafen, dręczona myślami o matce i dotknięta przedświąteczną melancholią. A mało brakowało, żeby skreśliła w drugą stronę i poszła do centrum. Często o tym myśli i rozmawia z Grahamem. Analiza szczęśliwego przypadku, dzięki któremu doszło do ich spotkania, to ich ulubiona rozrywka. Rachel przypuszcza jednak, że prawdziwym zrzędzeniem losu nie był jej przyjazd do Llandafen i wejście do galerii, do której i tak w końcu by trafiła, ale decyzja o opuszczeniu Londynu i przeprowadzce do Walii. Oczywiście bez pieniędzy zaoszczędzonych przez ojca, który zapisał jej wszystkie, nie mogłaby niczego zrobić. Zostałaby na zawsze uwięziona w domu matki, żyjąc według jej zasad, dzień po dniu widząc, jak kryje dezaprobatę pod maską pobożności.

Rachel zachowała skrawek papieru, który pani Pepper szczęśliwie dla niej wycięła z niedzielnego dodatku do gazety. Trzyma go w szufladzie z bielizną, skąd wyjmuje go od czasu do czasu i ogląda. Żałuje, że nie może jej napisać, jak pomyślna okazała się jej troskliwość. Napisałaby, gdyby miała jej adres.

Całuje głowę psa, po czym idzie na ganek zmienić kaptcie na mokasyny do jazdy samochodem. Szybko pryska coco chanel na nadgarstki, włosy i dekolt. O mały włos zapomniaby torby z butami, które zamierza włożyć na spotkanie z Grahamem.

Zapach uderza ją w nozdrza.

Śmierć.

Tellurowa woń, która błyskawicznie przenosi ją prosto do ciemnej i wilgotnej chatki, gdzie spędziła jedenaście dni z Blundellem.

Otwiera drzwi wejściowe. Wydają się jej cięższe niż zwykle, a po chwili w szoku łapie się za gardło na widok jaskrawej plamy krwi rozmazanej na lśniącej białej farbie na wysokości oczu. Dwa króliki o ciemnoszarej sierści przypominają martwe natury Chardina, które kiedyś widziała w książce o sztuce

francuskiej. Mokra i poznaczona śladami rzezi, z zeszywniałymi brzuchami, które przeczesuje wiatr wiejący od strony wzgórza, wiszą głowami w dół na gwoździu, który przybiła do drzwi, aby powiesić na nim piękny wieniec z ostrokrzewu kupiony tamtego radosnego dnia na świątecznym jarmarku. Nie takie było jego przeznaczenie. Co to ma być?! krzyczy w duchu z przerażeniem, jakaś pogańska ofiara?

Wstrząśnięta zdejmuje biedne puszyste stworzenia, które wydają się dziwnie ciężkie, i w wyprostowanej ręce wynosi je na drogę. Nie bardzo wiedząc, co innego ma z nimi zrobić, wpycha je, nie dotykając sztywnych ciał, jak najgłębiej pod gęstą tarninę i kępę nagich buków. Później, jadąc do Grahama, od czasu do czasu przypomina sobie o nich, mając nadzieję, że kiedy wróci do domu, już ich nie będzie, i wącha swoje palce, wyobrażając sobie pozostawiony przez nie zapach ich duchów. Dołącza je do duchów, z którymi już mieszka, i choć wydaje się jej, że radzi sobie coraz lepiej, zawsze będą na nią czekać w domu, by wpełznąć do łóżka i wziąć ją za rękę, ilekroć zamknie oczy przed snem.

Dai włącza radio. W pokoju rozlega się program *In Our Time* Melvyna Bragga. Jest zaskoczony, nie zdawał sobie sprawy, że to już czwartek. Przerywa polerowanie mebli i zgniata żółtą ściereczkę w ciasną kulkę, licząc miesiące, które minęły od śmierci Elsie. Czas upływa w szokującym tempie. Nie ma przy sobie żony, która jak zegarek odmierzała każdy kolejny dzień jego emerytury prostymi zadaniami do wykonania, dlatego brak dyscypliny grozi mu zupełną utratą poczucia czasu.

Przez chwilę słucha programu, w którym nieznanne głosy dyskutują o Arystotelesie z taką swobodą, jakby mieszkał dwa domy dalej i należał do grona ich najbliższych kumpli. Dai wybucha śmiechem. Wyłącza radio. Nastawi którąś z płyt Elsie. Coś lekkiego. Na przykład Doris Day. Przerzuca kolekcję, nadal ułożoną w porządku alfabetycznym, którego ściśle przestrzegała jego dobrze zorganizowana żona. Dotyk lśniących czystością okładek uświadamia mu, że jego palce są lepkie od sprayu Mr Muscle, którego przed chwilą używał. Wyciera więc dłonie w nogawki łososiowych sztruksów i wybiera longplay *Bright and Shiny* – przecież sprząta, więc piosenka z jasnością i blaskiem w tytule będzie jak najbardziej na miejscu.

Pomija tytułowy utwór i ustawia igłę na następnym rowku. Zaczyna się *I Want to be Happy*, jedna z ulubionych piosenek Elsie, a on zaczyna wtórować Doris Day. Przechodzi w potężne crescendo... „Naprawdę żyć warto... tobie też chcę szczęście dać...”, po czym włącza do kontaktu odkurzacz i zaczyna sunąć zwawo ssącą końcówką po krętych wzorach dywanu w salonie. Kończy pracę, zanim na dobre ją zaczął, ponieważ odkurza codziennie. Słuchając słodkiego głosu Doris Day, zaciska usta i się uśmiecha. Oczy zachodzą mu łzami, pokój wiruje i Dai widzi Elsie i siebie, jacy byli. Podczas miesiąca miodowego. Tańczących bosko na maślanym piasku plaży w Saundersfoot w Pembrokeshire. Przy akompaniamencie piosenki nuconej przez Elsie mezzosopranem, który był na tyle mocny, że zawdzięczała mu miejsce w miejskim chórze w Llandafen. Tej piosenki. Melodia przynosi obraz ich butów ustawionych w równiutkim szeregu na piasku, ze skarpetkami wciśniętymi do środka, jak w czasach kiedy byli dziećmi. Dai marudził, strasznie długo sprawdzając, czy są wystarczająco daleko, by nie dosięgnął ich łapczywy jęzor przyływu. Elsie trzymała go za rękę, zapewniała, że nic im nie grozi, i piszczala z entuzjazmem, biegnąc razem z nim na spotkanie falom.

Tamtego lata morze porwało z brzegu chłopców bliźniaków. Wzburzona woda. Tabliczki ZAKAZ KĄPIELI. Tłumy ludzi przeszukujących zatoczki, klify i skały. Funkcjonariusze straży przybrzeżnej narażali życie, wypływając na fale huczące jak rozdygotana pralka. Policyjny helikopter do późnej nocy przeszukiwał morze białym snopem światła. Razem z Elsie bezsilnie i bezradnie obserwowali dramat rozgrywający się za oknami apartamentu dla nowożeńców w pokrytym kamyczkowym tynkiem budynku pensjonatu na St Bride's Head.

Wiedział, że nigdy ich nie znajdą, tak jak nigdy nie odnaleziono Beth. Starał się jednak zatrzymać tę wiedzę dla siebie, podczas gdy Elsie nalegała, by codziennie przed kolacją chodzili do kościoła pomodlić się o szczęśliwy powrót chłopców do domu. Czuwała przez ten ciągnący się w nieskończoność czas, zanim wreszcie cztery mile od brzegu wyłowiono z wody ich rozdęte ciała. Wyraźnie widzi we wspomnieniach kościółek o prostych, piaskowych nawach. Rzędy bratków na sprzedaż i doniczek

z lawendą ustawionych w przedsionku oklejonym ogłoszeniami, na których przeróżni rzemieślnicy z miejscowej parafii reklamowali swoje usługi. Przypomina sobie, jak gładko wszedł w rolę męża, w sposób, który sugerował gruntowne przygotowanie teoretyczne, jak gdyby wcześniej przeczytał podręcznik z instrukcjami krok po kroku, co i jak należy zrobić. Siedział obok Elsie, czując jej długie udo przyciśnięte do boku, i była jedyną pociechą w przygnębiającym, bielonym wnętrzu kościoła. Wpatrywał się w jedyny interesujący punkt, witrażowe okno, tak przytłoczone pnączami bluszczu, że nie wpuszczało ani promyczka dziennego światła. Zapalali po kolei świece, przytykając knoty do tych, które już płonęły. Zapalił jedną dla Beth, po cichu, by Elsie myślała, że obojgu chodzi im o to samo. Ukłękł tak jak ona na obitym tkaniną podnóżku, złożył ręce do modlitwy i mamrotał o nadziei, że Beth jest bezpieczna i szczęśliwa, prosząc, aby się z nim skontaktowała, jeśli to tylko możliwe, bo to zupełnie nieważne, że jest żonaty. Czuł do siebie odrazę za to, że okłamuje piękną, czarnowłosą, świeżo poślubioną żonę, klęczącą obok niego. W błysku jej ciemnych oczu widział wiarę w to, że jego ofiara tak jak u niej jest wolna od ukrytych motywów czy własnej korzyści, że prosi Boga tylko o bezpieczny powrót bliźniaków, których żadne z nich nie poznało. Że nie chodzi mu o ducha miłości, o której wszystko wiedziała. O ten wielki łopoczący biały żagiel, którego zarys dostrzegała w oczach męża i miała nadzieję, że przywiąże go do swojego masztu, lecz nawet w tych pierwszych miesiącach błogiego szczęścia zaczynała podejrzewać, że jego trzepot będzie towarzyszył im przez wszystkie małżeńskie lata.

Dai pamięta rybaka, który odnalazł chłopców. Mówił miejscowemu reporterowi, że zaniepokoiły go rytmiczne uderzenia w kadłub łodzi. Sądził, że to wieloryb, dopóki nie wychylił się za burtę. Najgorszy połów życia, jak zacytował go „Evening Star”, dbając o to, by wyglądał odpowiednio smutno przed obiektywem w ulotnej chwili, gdy leciutko otarł się o sławę, choć Dai wątpi, czy ktokolwiek mu tego gratulował.

Zwija kabel i wzdycha, pochylając się nisko pod belką, by schować odkurzacz, po czym znowu bierze ściereczkę ze stolika, który jest już wypolerowany jak lśniąca trumna jego żony. Właśnie w ten sposób chce ocalić jej pamięć. Oddaje cześć żonie, utrzymując w domu taki porządek, o jaki dbałaby sama, bo inaczej nie może już jej tego wynagrodzić. Dlatego przed snem czyści nitką zęby. Dlatego codziennie rano goli się, wkłada wyprasowaną koszulę i dobiera do niej sweter w takim samym kolorze. Nie zamierza niczego zaniedbać; nie zna innego sposobu, żeby jej podziękować.

Rachel stara się nie gapić na telefon, błagając go w duchu, by zabrzęczał. Kiedy tuż przed południem dzwoni Graham, Rachel z trudem panuje nad sobą. Od ich ostatniego spotkania, szczególnie pamiętnego z powodu biednych martwych królików zawieszonych na drzwiach, minęły aż cztery dni. Randkę spędzili wtedy w uroczej kawiarence w pobliżu zamku, w której oprócz tradycyjnych gorących i zimnych napojów, kanapek i babeczek, sprzedawano chrupiące ekologiczne pieczywo, plasterki pieczonej szynki w goździkach, kubeczki świeżych oliwek oraz inne delikatesy, tak wyszukane, że zrobiłyby wrażenie nawet na jej matce mieszkającej w Londynie. Rachel, która dała się namówić, przy aprobacie Grahama, na zakup kawałka miejscowego sera, skusiła się jeszcze na pudełko ręcznie robionych czosnkowych krakersów oraz buteleczkę niedorzecznie drogiego syropu z owoców czarnego bzu. Zakupy zapakowane w brązowy papier spoczywały obok nich, kiedy przy stole trzymali się za ręce i znowu rozmawiali o zbiegach okoliczności i przypadkach, które musiały się zdarzyć, aby się spotkali. Zupełnie pochłonięci sobą nawzajem, zapominając o kawie, nie zwracali uwagi na armię pracowników, którzy chcieli już zamknąć lokal. Zorientowali się, jak jest późno, kiedy zostali wyproszeni i zobaczyli, jak w żółknącym zmierzchu zapalają się latarnie.

Rachel bardzo długo bierze prysznic i układa włosy, po czym maluje się i wybiera strój. Kiedy zamyka dom, dzień już dogasa i jeszcze zanim wjeżdża na A40, musi włączyć długie światła. Przynajmniej deszcz trochę zelżał, więc przełącza irytująco skrzypiące wycieraczki na tryb pracy przerywanej, odnotowując w pamięci, by koniecznie zabrać parasol. Jeżeli zmoczy świeżo ufarbowane włosy, to przy ilości żelu, jaką je spryskała, będzie miała na głowie dżem.

Parking przy Queen Street jest prawie pusty. Rachel nie ma żadnych problemów ze znalezieniem miejsca, a ponieważ minęło już w pół do szóstej, parkowanie jest za darmo. Zamienia mokasyny do jazdy na czarne kozaczki na koturnach i zasuwa zamki cholewek. Ładnie wyglądają z obcisłymi džinsami, myśli, dostrzegając swoje odbicie w dużej witrynie salonu Specsavers. Stawia drobne kroki; nie może ryzykować i przyspieszyć na niebezpiecznej nawierzchni. Podeszwy jej butów nie mają żadnej przyczepności na mokrych i oblanym miedzianym światłem latarni chodnikach Llandafen, które są śliskie jak lód. Z daleka dostrzega sylwetkę Grahama. Postać, którą uczy się już rozpoznawać, zamyka drzwi galerii. Rachel wydaje ciężkie westchnienie, usiłując utrzymać równowagę, i przyciska dłoń do trzepoczącego serca, które podskakuje aż do gardła i odbiera jej mowę.

Nie mogąc go zawołać i patrząc bezradnie, jak odchodzi, widzi, jak omal nie zderza się ze stadkiem rozchichotanych dziewczyn. Wszystko wskazuje na to, że wyszły się zabawić, mienia się i połyskują jak bożonarodzeniowe światełka, które jeszcze tydzień temu wisały rozpięte wzdłuż tej ulicy. Sześć czy siedem dwudziestoparolatek, ubranych w szalone i mikroskopijne ciuchy, widocznie zdążyło już gdzieś poszaleć, sądząc po rozkołysanym kroku, jakim paradują po chodniku, ale Rachel widzi, że są raczej nieszkodliwe. Słyszy gwizdy i okrzyki, jest jednak za daleko, by zrozumieć treść rozmowy, a najwyraźniej dochodzi do jakiejś wymiany zdań i słowa Grahama studzą ich doskonały nastrój. To, co mówi, błyskawicznie je otrzeźwia. Radosny jazgot zamiera im w gardle. Kiedy ją mijają, po

oszołomieniu malującym się na ich twarzach poznaje, że zupełnie straciły animusz. Jedna z nich czuje się tak dotknięta, że wychodzi na jezdnię, wystawia środkowy palec i krzyczy za Grahamem:

– Wal się! Nie musisz być taki wredny, chcieliśmy tylko trochę pożartować. Możemy złożyć na ciebie skargę za takie groźby!

Riposta bez żadnej reakcji odbija się od lśniących ciemnych włosów Grahama, który nawet się nie odwraca. Boże, myśli Rachel, zaniepokojona tym, czego przed chwilą była świadkiem. Chciały się tylko pośmiać, większość facetów w takiej sytuacji przyłączyłaby się do zabawy, to by im pochlebiało. Spencerowi na pewno. Nie miała pojęcia, że z Grahama taki świętoszek.

Rachel dalej idzie za nim w milczeniu i na tyle dobrze pamięta, gdzie jest winiarnia, w której zaproponował jej spotkanie, że nie wpada w panikę, kiedy traci go z oczu. Znajdzie ją, jeśli będzie się kierować w stronę centrum, oddalając się od zamku i brukowanych ulic. Rozpoznaje nazwę lokalu na fasadzie i zatrzymuje się tuż przed drzwiami z przyciemnioną szybą, ale zaraz unosi ją hałaśliwa gromada ludzi o wyglądzie pracowników biura, którzy mają ogromną ochotę zacząć świętowanie początku weekendu. Wepchnięta do środka czuje się nieswojo i przestępuje z nogi na nogę, przyglądając się twarzom i szukając Grahama. Nareszcie. Dostrzegają się nawzajem w tym samym momencie. Przelotny całus w policzek i Rachel spuszcza oczy, odgarniając kosmyk włosów za ucho.

– Czego się napijesz? – pyta Graham. – Wiem, że jesteś samochodem, ale jeden nie zaszkodzi.

– Mają tu budweisera? – Rachel rozgląda się po barze.

– Duże? – Uśmiecha się, najwyraźniej aprobując jej wybór.

– Chętnie, skoro tak nalegasz.

– Czyli duże – potwierdza. – Znajdź nam stolik, tamte kanapy są wygodne. Zaraz wracam.

Podchodzi do baru, a ona z przyjemnością przygląda się jego szczupłej sylwetce w granatowych dżinsach, ciemnej koszuli i marynarce. Jest taki wysoki, że nawet w swoich kozaczkach nie mogłaby go przytłoczyć, tak jak przytłoczyłaby Spencera. Spencera, który nie pozwoliłby jej pić ani nosić koturnów.

Winiarnię wypełnia tłum piątkowych imprezowiczów i kiedy przez chwilę obserwuje ich entuzjazm i energię, jej mózg zaczyna dzielić ich na fragmenty, na których łatwiej się skupić. Fascynują ją tak, jak mogliby fascynować przybysza z dalekiej planety, ich poruszające się wargi, szminka, zęby, twarda różowa patyna dziąseł. Wszystko w zwolnionym tempie, obce i dziwne – to świat, do którego ona nie należy, do którego weszła z nienacka, gdzie nawet sącząca się z góry muzyka brzmi nieznajomo.

Sadowi się w rogu na dużej pasiastej kanapie w kolorze miętówki i opiera się wygodnie, by obejrzeć ściany, udekorowane szeregiem czarno-białych ślubnych fotografii znanych i bogatych. Rozpoznaje Elizabeth Taylor z Richardem Burtonem, którzy ze śmiechem kroją tort. Inne zdjęcie przedstawia Marilyn Monroe i Arthura Millera ściskających się za ręce z takimi minami, jak gdyby za moment mieli dać nura do głębokiego basenu. Księżę Karol i Diana Spencer, z uśmiechem zakłopotania, wcale się nie dotykają. Rozpoznaje inne twarze, ale nie potrafi przypomnieć sobie nazwisk. Niektóre pary są tradycyjnie upozowane na schodach kościołów i obsypane deszczem confetti. Inne machają z lśniących chromem kabrioletów ozdobionych tabliczką **NOWOŻEŃCY**.

– Kiedyś tu był bank. – Graham wraca z baru i stawia na stoliku szklanki. – Teraz jest ładniej. Podoba ci się?

– Bardzo, ma wspaniały klimat. – Czuje, jak kanapa lekko się ugina, gdy siada obok niej.

– Wiedziałem, że przypadnie ci do gustu.

– Dzięki za drinka – sobie zamówiłeś to samo?

– Zamówiłem – nie ma to jak budweiser z beczki, co?

Rachel pociąga łyk i kolejny raz myśli, ile mają ze sobą wspólnego. Czując w ustach zimne bąbelki, chichocze.

- Mhm. – Przełyka piwo i rozjaśnia twarz w uśmiechu. – Wyśmienite.
- Jestem tego samego zdania – odpowiada i też się uśmiecha.
- Graham? – Jej palce powolutku przesuwają się po blacie w jego stronę. – Szłam za tobą z galerii. – Wskazuje na swoje kozaczki. – Próbowałam cię dogonić, ale w tych butach... – Uśmiecha się ukradkiem.
- Co zaszło z tymi dziewczynami?
- Jakimi dziewczynami? – Przechyliła szklanę.
- Tymi, które na ciebie krzyczały, była ich cała gromada.
- Mówisz o tamtych zdirach? – Prycha, odrzucając do tyłu głowę. – Powiedziałem im tylko, że powinny się bardziej szanować. I cholernie się wstydzić takiego zachowania.
- Przecież nic złego nie zrobiły; były tylko rozbawione. Nie możesz mieć za złe młodym dziewczynom, że zaczepiają takiego przystojniaka jak ty.
- Pomyślałabyś co innego, gdybyś usłyszała, co do mnie powiedziały. – Dość gwałtownym ruchem stawia szklanę na stoliku. – Obrzydliwe... wszystkie są jak suki w rui.
- Rozumiem. Naprawdę było aż tak źle? – pyta Rachel, unosząc brwi.
- Nie umiem ci powiedzieć, jak się brzydzą takimi dziewczynami.
- Rachel postanawia dać spokój i nie chcąc dłużej drażnić tego tematu, żeby nie zepsuć całego wieczoru, dochodzi do wniosku, że to, co powiedziały mu dziewczyny, zapewne uzasadniało taką reakcję. Po chwili milczenia zaczynają rozmawiać o innych sprawach i zanim się zorientowali, minęła godzina.
- Jeżeli chcesz, możesz zostać na noc – mówi później Graham, wychylając resztę drugiego piwa. – Moglibyśmy coś przegryźć, wypić butelkę wina?
- Zostać? Chybabym mogła. – Rachel sama jest zaskoczona swoją odpowiedzią.
- Nachyla się i zniecka ją całuje. Rozchyła jej wargi, odnajduje język. Kiedy w końcu odrywa usta, Rachel nie może złapać tchu.
- Jesteś cudowna, wiesz? – mówi Graham, odgarniając jej włosy z twarzy czułym i delikatnym gestem.
- Masz ochotę na jeszcze jedno? – pyta i wstaje, wskazując na jej szklanę.
- Czemu nie, chętnie. Dzięki. Zadzwońię do Tracy – zapytam, czy będzie mogła wypuścić rano Cadno.
- Świetnie. – Graham wygląda na uradowanego. – Zadzwoń, za chwilę wracam.

Rachel budzi się w nocy, czując ciepły zapach ich ciał. Słucha oddechu Grahama i dobiegających z ulicy za oknem sypialni hałasów ostatnich maruderów wracających do domu. Potem naciąga kołdrę na nagie ramiona, obraca się na bok i przytula do jego pleców.

- Myślałem, że śpisz – szepcze Graham, kiedy ona przesuwa czubek języka po kremowej gładkiej skórze między jego łopatkami.
- Mam spać, kiedy leżysz obok mnie? – Jej pieszczotliwy, przydymiony głos przeplata się z szelestem pościeli, gdy Rachel przyciąga go do siebie, odwraca na plecy i sadowi się na nim okrakiem.
- Jesteś nienasycona, naprawdę.
- Nie masz pojęcia jak bardzo – odpowiada cicho.

Ulice wokół Muswell Hill wciąż ściska styczniowy mróz, ciekawe więc, jak Jennifer doszła pieszo i wróciła z agencji detektywistycznej Barnes i Lee w Highgate, mając na sobie tylko dzinsy Armaniego i kaszmirowy sweter. Bardzo zależało jej na wiadomościach o córce i miała nadzieję, że już dziś przekaze jej jakieś informacje, z rozczarowaniem dowiedziała się jednak, że obecnie pan Derek Barnes jest nieobecny w biurze. „Wyszedł w związku ze śledztwem”, poinformowała ją puszystym i ciepłym głosem równie puszysta asystentka, a Jennifer, wręczając jej album z wycinkami, podkreśliła, że to niezwykle ważny materiał.

Kiedy otwiera drzwi numeru siedemdziesiąt siedem, w nozdrza uderza ją zapach świeżej farby i wchodząc po schodach, by wsunąć zaróżowiony od chłodu czubek nosa do dawnego pokoju Sarah, wciąż nie dowierza. Zupełnie przeobrażony. Pozbawiony rzeczy córki stał się jeszcze jednym pokojem gościnnym, już trzecim w jej domu. Jennifer siada na łóżku, które pani Pepper przykryła platynowoszarą pościelą kupioną na wyprzedaży w domu towarowym John Lewis. Gratuluje sobie w duchu, widząc, jak świetnie pasuje do srebrzystej tapety i szronowo połyskliwych zasłon, imitujących barwą posiwiałe niebo, które nadal niepodzielnie panuje nad miastem. Subtelny w swojej neutralności, niczyj i pozbawiony osobowości pokój doskonale odzwierciedla jej nastrój. Pani Pepper bardzo starannie usunęła stąd cały majdan Sarah, jej zbiór książek, pocztówki ze zdjęciami Walii, którymi były obwieszane ściany. Nie znosiła ich widoku, który nie pozwalał jej zapomnieć. Pluszowy lisek od Donalda też zniknął.

Wciąża powietrze i stwierdza, że woń farby już jej nie przeszkadza, kiedy jest nią otoczona. Na pewno jest lepsza od zapachu jej dziecka, który zawsze potrafiła rozpoznać, ledwie przekroczyła próg. Właśnie dlatego tak skrupulatnie dbała o to, aby drzwi pokoju były zamknięte. Nie chciała wyczuć najmniejszej odrobiny pozostałości zapachu jej dezodorantu, leśnego aromatu emulsji do ciała. A może, zamykając te drzwi na głucho, chciałaś ją tu zatrzymać? odgryza się inny, donośniejszy głos w jej głowie. Żałujesz teraz tego? naciska dalej ten sam głos. Żałujesz, że pozbyłaś się wszystkiego ze swojego ponurego domu?

Bo w tym domu powinna królować radość, powinna go wypełniać po brzegi. Od pewnej śnieżnej nocy w lutym, gdy wreszcie szczęśliwie przyszła na świat zdrowa dziewczynka. Wyczekiwane, ukochane dziecko, zrodzone z tyłu niepowodzeń i cierpień. Cierpień, których nawet Donald nie potrafił w pełni zrozumieć, gdy każda kolejna klęska stopniowo ścinała lodem serce Jennifer. Pamięta odwiedziny sióstr w ciągu lat przed narodzinami Sarah i po nich, pamięta, jak drażniła ją ich obecność i widok ich mlecznych piersi. Jak mogły zrozumieć, skoro w domach czekały na nie ich rumiane dorodne dzieci?

Tylko Alice – o cerze ich matki, bladej, pokrytej drobnymi zmarszczkami jak skórka na stygnącym puddingu mlecznym – dodawała jej otuchy na przyszłość, powtarzając, że nie powinna sobie rujnować życia, dążąc do nieosiągalnego celu. Jennifer przestała informować innych, wtedy gdy uskrzydłona nadzieją przeżywała upojny początek nowej ciąży, i potem, gdy oczekiwania prysły jak bańka mydlana i dziecko się nie urodziło.

– Nie jest ci to przeznaczone, Jen. – Alice, współczująca i pragmatyczna. Jej kolczyki: srebrzyste ptaszki, migoczące jak mikroskopijne race w poszarzałym świetle salonu. – To coś ci mówi, żebyś

skupiła się na rodzinie, którą masz.

Jennifer naprawdę starała się nie przejmować, że nigdy nie będzie miała córeczki, o jakiej marzyła. Która pozwoli jej ubierać się w piękne rzeczy i będzie bawiła się lalkami, posypując im pupy talkiem i zaglądając pod spódniczki, sprawdzając, czy mają czyste, białe majteczki, jak robiły córki jej przyjaciółek. Jeżeli Donald się cieszył, ona też cieszyła się jego szczęściem. Cieszyła się, patrząc na jego nieskrywane uwielbienie dla dziecka, siedzącego po turecku na trawniku i wtykającego paluszki w ziemię, do której miał takie zamiłowanie. Naprawdę starała się nie martwić tym, że jedyne dziecko odebrało jej męża. Czy to jej wina, że nie potrafiła nie zważyć na własną zazdrość?

Czy w dzieciństwie była aż tak różna od Sarah – na tym polegał problem? Spytała o to Alice.

– Nie, nie byłaś. – Uśmiechnęła się. – Mówisz, że jest taka podobna do Donalda, a ja widzę w niej ciebie – ciebie, kiedy byłaś w tym wieku.

Jennifer chciała dowodu, więc zaczęła wertować rodzinne albumy ze zdjęciami. Wspomnienia oprawione w drogą skórę, które ojciec postanowił zapisać jej w spadku. Przynosiła je ze strychu, gdy Donald wyjeżdżał na wybrzeże sprzedawać słodycze, i odwracając sztywne stronicie oraz gładkie przezroczyste przekładki, nie mogła wyjść ze zdumienia, na jakich szczęśliwych wyglądają na fotografiach. Ale, jak mówił Donald, „kto robi zdjęcia smutnym rzeczom?”. I miał rację. Ojciec Jennifer, który owdowiał w wieku czterdziestu pięciu lat, utrzymywał tylko rzeczy, które chciał zapamiętać. Dlatego w albumach nie było ani śladu tamtej zagubionej i samotnej dziewczynki, którą stała się po śmierci matki. Tamtego dziecka, które zwykle z nikim się nie bawiło, mimo że miało wiele sióstr, i z tupotem uciekało do swojego pokoju, by pocieszyć się ukrytym tam skarbem. Tym, co stało się jej najulubieńszą rzeczą – znalezionego w ogrodzie utopionego kreta o zapachu gnijących owoców, którego trzymała pod łóżkiem w pudełku po butach. W pudełku, gdzie biło jej serce. Wieczorami zdejmowała pokrywkę i głaskała twardą bryłkę okrytą miękkim czarnym futerkiem, dopóki nie straciła czucia w palcach. Składała w duchu przysięgi w zamian za przyrzeczenia, że jej mamusia wróci. Być może Alice miała rację i Sarah rzeczywiście ma w sobie coś z Jennifer.

Dość już grzebania w przeszłości, wzdycha, słuchając odgłosów domu, w którym panuje cisza zakłócana tylko szelestem jej ubrania i dudnieniem w rurach, kiedy włącza się bojler. Nagle doznaje olśnienia jak błysk fajerwerku: a może Sarah jest u Alice i Pete’a w Nowym Jorku? To jest jakaś myśl. Zadzwoń do nich, zapyta. Z satysfakcją klepie się po udach, zrywa na nogi i wybiega z pokoju, by przystąpić do działania. Na schodach wzdryga się gwałtownie, zaskoczona dźwiękiem telefonu. Odbiera po trzecim dzwonku i przyciska do ucha słuchawkę.

– Halo, słucham? – mówi Jennifer trochę zbyt surowym tonem i wstrzymuje oddech, czekając, kto się odezwie.

– Pani D’Villez. – Spokojny głos prywatnego detektywa. – Mówi Derek Barnes, pomyślałem, że powinna pani wiedzieć. Mam wiadomość, trafiłem na ciekawy trop dotyczący miejsca pobytu pani córki.

Chwileczkę. Pochyliam się na kierownicy i przestaję śpiewać. Zgadza się, patrzcie, jest, czeka na przystanku autobusowym. I całkiem ładna – spod wąskiego paska spódniczki widać niezłe nogi. W pobliżu nie ma nikogo, więc zwalniam i przystaję obok niej, opuszczam szybę po stronie pasażera i wychylam się w kierunku chodnika.

– Paskudna noc, skarbie – mrużę łagodnym głosem, widząc, jak jej twarz tężeje w chłoszczącym od morza zimowym wietrze. – Podrzucić cię gdzieś?

Wyniosła i napuszczona dziewczyna smukłymi palcami odgarnia z twarzy długie włosy i pochyła się do mnie.

– Nie, dziękuję – cedzi z pogardą. – Czekam na autobus.

A to nowina, myślę i próbuję jeszcze raz.

– Widzę, słoneczko – mówię, posyłając jej najbardziej promienny uśmiech. – Ale wyglądasz na przemarzniętą, więc pomyślałem, że dobrze by ci zrobiło posiedzieć trochę w ciepłe.

– Czekam na autobus.

Odczytuję znaczenie gestu, którym otula cienkim i leciutkim kardiganem równie cienką bluzeczkę.

Nic u niej nie wskóram, nie warto ryzykować. Widocznie nie jest tak wstawiona, jak mi się wydawało, a nie mogę wysiąść i siłą wpakować jej do samochodu. To, co robię, udaje się tylko wtedy, gdy same otworzą drzwi i wsiądą z własnej woli, przynajmniej na początku.

– No dobrze – mówię, zamykając okno. – Jak sobie chcesz.

Styczeń płynnie przechodzi w luty, a zaróżowiona od zimna Rachel, która pracuje w ogrodzie pod potarganym błękitem nieba, jest zmieniona niemal nie do poznania. Jej sylwetkę zniekształcają liczne warstwy ubrań chroniących ją przed zimnymi podmuchami wiatru, ale ma zadowoloną minę. Pies, z głową wspartą na łapach, przygląda się jej, jak z łopatą u boku i rękami oblepionymi ziemią przycina kawałki sznurka i dopasowuje je do desek przywiezionych z miejscowego sklepu z materiałami budowlanymi.

Zaznacza miejsce przyszłej grządki warzywnej, co pewien czas zaglądając do szczegółowo rozrysowanego planu, który wyjmuje i chowa do ubłoconej kieszeni starej kurtki do jazdy konnej. Rysunek, z którym zmagala się przez najciemniejsze zimowe wieczory, okazuje się bardzo użyteczny. Rachel chce jak najszybciej zabrać się do pracy, a pomyślne krótkie roz pogodzenie pozwala jej zaplanować, jak najlepiej podzielić ziemię, gdzie co ma się ostatecznie znaleźć. Niebawem będzie mogła zacząć siać i sadzić, myśli, zachęcona widokiem kiełków nieznanych roślin, które przebijają już spod ziemi. Może żonkile albo tulipany, będzie musiała zaczekać, żeby się przekonać. Radość z tej perspektywy wzmagają jeszcze dwie rdzawe kanie baraszkujące wysoko na niebie. Poznaje ptaki po głęboko wciętych ogonach i białych plamach przy końcach wyjątkowo długich skrzydeł oraz charakterystycznym tii-tii-tii ich krzyku. Przygląda się z zachwytem, jak majestatyczne drapieżniki zakreślają nierówny krąg wokół księżycy, który ukazuje się w szczelinie między chmurami. Na ich widok nabiera głęboko do płuc powietrza, w którym wyczuwa esencję wiosny, i czuje się lekko i swobodnie, jak para ptaków szybujących wysoko w chmurach. Myśli o Grahamie. Chciałaby go namówić, by od czasu do czasu wyszedł z galerii i przyjechał do niej do Tÿ Haf. Położyć się obok niego w łóżku pod ciemną dębową belką u sufitu. Błądzić palcem po jego kępce włosów rosnącej aż od pępka i razem z nim słuchać bębnienia deszczu o dach. Chociaż wiedziała, że nie będzie umiała zasnąć. Że roztrzepotane serce będzie łomotać jej w uszach jak zawsze, ilekroć się dotykali.

Bywały chwile, kiedy cieszyła się, że go tu nie ma. Kiedy nakłada na twarz i szyję krem na noc, od którego świeciła w ciemności. Budzi się nad ranem, żeby sprawdzić fazę Księżyca, zajrzeć do piecyka. Chodzi po domu w nocnej bieliźnie i wędkarskich skarpetach po ojcu. Podlewa fikusy letnią czarną herbatą, której resztki zawsze zostaje na dnie ogromnego kubka. Ściera kurz rękawem szlafroka albo parą majtek, zanim wrzuci je do kosza na pranie. Czasem rano nie chce jej się za bardzo myć ani ujarzmiąć splątanych włosów grzebieniem. Szybko się ubiera, wsuwa stopy do butów i nie myjąc zębów, wyprowadza psa na spotkanie szalonej walijskiej pogody.

Ptaki przelatują za grzbiet wzgórze, a Rachel, wracając do przerwanej zajęcia, w skupieniu marszczy brwi i zagląda do rysunku, zanim podejmie trud przygotowania pierwszej z podwyższonych grządek. Wcina łopatę w obrzydliwie lepka ziemię, wbijając ją stopą, ale trafia na kamień, więc przesuwa się dalej i próbuje jeszcze raz. Tu grunt ustępuje od razu, poddając się metalowemu ostrzu z przyjemnym mlaśnięciem, ilekroć wyjmuje łopatę, by znów ją wepchnąć. Nagle przerywa pracę. W ziemi tkwi jakiś odwrócony bokiem przedmiot. Kiedy się pochyła, by go podnieść, czuje, że jest lżejszy od kamienia. Ostukuje go z ziemi o stylisko łopaty i jej oczom ukazuje się dziecięcy bucik. Trudno z czymkolwiek

pomylić skórzany wierzch, mimo że jest już w marnym stanie. Chyba go poznaje, odsuwając paznokciem kawałek paska krzyżujący się z drugim w kształcie litery T. Tamto zdjęcie, które znalazła. Mała dziewczynka w białej bawełnianej sukience, trzymająca małego pieska. Mała dziewczynka, prawdopodobnie Beth.

Dziwne, marszczy brwi Rachel, oglądając bucik, który prawie mieści się jej w dłoni. Znalezisko wytrąca ją z równowagi i znowu każe wrócić myślą do tego, co Dai jej powiedział i czego nie powiedział. Nie wspominał o okropnych rzeczach, jakie przeżywała w domu? Biedactwo, molestowano ją, to miał na myśli? Nietrudno to sobie wyobrazić, znając jej brata. Boże, ma nadzieję, że ryjąc dalej, nie znajdzie więcej pamiątek po niej. Mróz przechodzi jej po plecach i chcąc wrócić do kopania i uciszyć niepokój wzbudzony zagadkowym odkryciem, Rachel odkłada bucik na ścieżkę.

Praca na świeżym powietrzu pachnącym ziemią przywołuje wspomnienie ojca. Jak gdyby kątem oka dostrzegła jego ducha. Widzi go stojącego okrakiem nad grządką warzywną i pazurkami ogrodniczymi przeczesującego rzędy szalotki o spiczastych zielonych źdźbłach ze skrupulatnością szkolnej higienistki szukającej wszy. Jego obraz każe jej przyłożyć się do pracy i pół godziny później pierwsza z podniesionych grządek nabiera kształtu.

Pochłonięta kopaniem Rachel nie słyszy szelestu opon zwalnających na żwirze. Ciężkiego łoskotu zatraskiwanych drzwi samochodu. Chrzęstu gumiaków na dywanie zeszlórocznych liści otaczających jej gospodarstwo.

– Halo!

Podskakuje na dźwięk tego głosu. Pies podrywa się i szczeka. Ucisza go, kładąc palec na ustach, przerywa pracę i oboje nasłuchują. Dłoń Rachel przesuwają się tam i z powrotem po jedwabistej sierści Cadno.

– Halo!

Tym razem rozpoznaje lekko świszczący głos. Natychmiast psuje jej nastrój. Czego tym razem chce? Naprawdę ma już go serdecznie dosyć.

Myśląc gorączkowo, schyla się, żeby zniknąć mu z oczu. Jest bezpieczna. Na pewno nie widać jej od frontu, ale wcale by się nie zdziwiła, gdyby ruszył drogą, żeby powęszyć. Widzi go w wyobraźni: zawzięty i ponury, skoro widział jej samochód, nie odpuści; guzik go obchodzi, że ona nie ma ochoty zostać znaleziona. Rachel nie rozumie jego oślego uporu, przecież wcale go nie zachęca. Unosi głowę, wyczuwa jego wzrok przebijający splecione gałęzie tarniny i rachityczne dzikie róże i kuca jeszcze niżej, przytrzymując się rękami, by nie stracić równowagi. To śmieszne – kiedy się nie rusza, zdaje sobie sprawę, jak jest zimno. Cholera jasna, żeby się chować we własnym domu to nie fair. Wszystko miało tu wyglądać inaczej. Te głupstwa ze skradaniem się, znikaniem innym z oczu zostawiła przecież w Londynie.

– Czego pan chce? – pyta najbardziej asertywnym tonem, na jaki ją stać, prostując się i otrzepując ziemię z kolan.

– Przyniosłem paszę dla owiec. – Między zaroślami widzi jego obwisłą twarz o konsystencji surowego ciasta, która zwraca się w jej stronę.

– Niech pan w takim razie zostawi ją przed domem, dobrze? Jestem zajęta – potem je nakarmię.

– Ja mógłbym...

Rachel, głęboko zaniepokojona, zdaje sobie sprawę, jak jej wali serce.

– Ale muszę pokazać, co i jak.

– Musi mi pan pokazać? – Zirytowana zaciska usta w wąską kreskę, odrzuca na bok łopatę i kłębek sznurka. – Przecież to żadna filozofia.

– Mogę wpaść później? – proponuje głos przypominający brzmieniem rzeźącą harmonię.

– Nie ma mowy. – Wściekła odpowiedź pada na tyle cicho, by jej nie słyszał.

Rachel brnie przez śliski ogród i kieruje się do bocznej bramy prowadzącej na podwórko. Idris już tam jest i trzyma zarzucony na plecy plastikowy worek, w którym grzechocze granulowana karma. Kiedy stawia paszę na ziemi, jak gdyby to była torebka cukru, pies szczeka na niego.

– Ma pani gdzie to trzymać? – brzmi jego powitanie i Rachel przygląda się, jak ociera nos rękawem zjedzonego przez mole swetra.

– Proszę za mną. – Krzywiąc się, rusza przodem do szopy. Wewnątrz jest ciemno, więc wyćwiczonym ruchem sięga do włącznika. Zapala się jarzeniówka, a odwracając się, Rachel widzi, że Idris tarasuje jej drogę. Stoi tak blisko niej, że czuje stęchły odór jego ubrania. – Może pan położyć tutaj. – Wskazuje i odsuwa się od niego. – W tej tacze.

– Nie nadaje się. – Mówi z silnym akcentem, na nierównym oddechu. – Trzeba schować do czegoś z pokrywą. Żeby szczury się nie dobrały – nie mam zamiaru karmić cholernych szczurów. Podrzucę coś jutro.

– Hm, nie. Przepraszam... – Rachel usiłuje coś wymyślić, by nie dawać mu pretekstu do kolejnej wizyty. – Coś znajdę. Mam tu mnóstwo rzeczy – na pewno gdzieś się poniewiera jakiś kubeł na śmieci.

Idris chrząka, przenosząc ciężar ciała z jednego pnia nogi na drugi.

– Ma pani coś, z czego można je paść, wiadra czy coś takiego? – Jego oczy prześlizgują się po niej od czoła po czubki palców u nóg, a przez twarz przemyka uśmiech zadowolenia z tego, że wykombinował nowy powód, by ją odwiedzić.

– Wiadra?! Wiadra?! – Myśli kotłują się jej w głowie, chce, żeby jak najszybciej się stąd wyniósł. – Mam starą brytfannę i wielki rondel. To kiedy mam je karmić?

Idris pociąga nosem, po czym z przepastnych głębi spodni wyjmuje nóż sprężynowy i wprawnym ruchem wciska guzik zwalniający ostrze.

– Przydaje się, nigdzie się bez tego nie ruszam. – Rozcina worek, wymachując sprężynowcem dłużej, niż to konieczne. Na widok zimnego błysku stali, w której odbija się blask świetlówki, Rachel powraca do dni spędzonych z Blundellem. W panice odchyła do tyłu głowę. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może być potrzebny, nie? – Łypie z ukosa, mierząc ją przeciągłym i lubieżnym spojrzeniem.

– Ile paszy potrzebują? – Rachel czuje łomotanie pulsu pod blizną, nie zamierza jednak ulec fali paraliżującego strachu. Wyrzuc go, wyrzuc go. Galopujące serce ostrzega ją przed niebezpieczeństwem, kiedy Idris się pochyła i oczom Rachel ukazuje się szeroki i muskularny tors kogoś skorego do bijatyki.

– Mniej więcej tyle, nie więcej. – Nabiera w olbrzymie dłonie niewielką ilość karmy, aby jej pokazać. – Lepiej, żeby nie dostały laksy.

– Laksy?! – Gwałtownie kręci głową, nie rozumie.

– Żeby nie miały sraczki, bo mogą. – Uśmiecha się szeroko, widząc jej reakcję. – Przeczyści je na glanc.

Rachel widzi stąd jego owce. Zaczęła się im przyglądać z bujanego fotela ustawionego przy oknie na podeście schodów. Polubiła widok ich dużych wełnistych sylwetek, łagodnych i miękkich jak puszyste chmurki. Wydawało się jej, że dostrzega różnice w ich osobowości, a ze sposobu, w jaki oddziaływały na siebie, bodły się i przytulały, wynikało, że są w wielkiej przyjaźni. Na pewno u niej żyje im się lepiej; Rachel nie ma ochoty go prosić, żeby je zabrał. Nawet bez swoich owiec znajdzie inne preteksty, by ją odwiedzać.

– No dobrze, skoro to wszystko... – mówi swoim najbardziej buńczuczny tonem. – Mam coś do zrobienia, muszę wracać do pracy.

– Do pracy? – Idris z wyraźnym powątpiewaniem wynurza się z powrotem na światło dzienne i czeka, aż Rachel sięgnie do szopy, by zgasić światło. – Pomyślałem sobie... – Podchodzi do niej tak blisko, że

owiewa ją jego rybi oddech. Rachel robi wszystko, by się nie cofnąć. – Chciałaby pani skoczyć na drinka? Do The Bear, jak będzie quiz?

– Hm, nie, nie sędzę – przerywa mu, mając nadzieję, że pod tyloma warstwami ubrań nie zauważy jej dygotu. – Z kimś się spotykam.

– Spotykam – powtarza jak echo. – A z kim?

Ty wścibski palancie, myśli Rachel, odwracając się w stronę drzwi domu.

– Z kimś z Llandafen.

– Z Llandafen? Aha.

Rachel przygląda mu się, jak podchodzi do swojej toyoty, a potem przystaje i obraca się w jej stronę.

– W każdym razie moje drzwi są zawsze otwarte, gdyby miała pani jakieś kłopoty czy coś.

Kłopoty... co ty wygadujesz, człowieku?

– Nie będę miała, dzięki – odpowiada, marząc tylko o tym, żeby wreszcie się wynieść.

– Taka pani pewna?

Wzdryga się na tę zawołaną groźbę. Nie podoba mi się to, bardzo mi się to nie podoba. Tracy może sobie myśleć, że zbyt emocjonalnie reaguje na tego człowieka, ale jej Idris nie grozi; nie odważyłby się w pobliżu Hywela.

– Może pan już jechać? Proszę. – Rachel w panice ślizga się na stromiźnie stopni przed drzwiami i uderza udem w potężne ramiona swojego kamiennego gargulca. Zgodnie z informacją na metce z ceną pięćdziesięciu funtów miał odpędzać złe duchy. Coś nie wywiązujesz się z obowiązków. Spogląda na niego z ukosa i odzyskuje równowagę. W kilka sekund zrzuca buty z takim pośpiechem, że zostawia w nich skarpetki, i syczy z zimna, stając na lodowatych płytkach posadzki na ganku. Nie przystaje jednak, by zabrać skarpetki. Znacznie pilniejszą sprawą jest zamknięcie drzwi na klucz przed Idrisem Tudorem.

W ciągu tych gorączkowych sekund przychodzi jej na myśl, żeby zadzwonić na policję. Wstukać 999 i powiedzieć, jaka czuje się bezbronna. Że mieszka samotnie we wsi na uboczu i prześladowa ją sąsiad. Zastanawia się nad tym. Prześladowa... naprawdę? Owszem, ma z nim utrapienie, ale czy coś więcej? Przecież to nie przestępstwo, jeśli ktoś jest nieokrzesany i brzydki, nawet jeśli wygaduje dziwne rzeczy. Co takiego właściwie zrobił? pyta ją jakiś głos. Głos wyimaginowanego policjanta, który przyjedzie ją przesłuchać w związku z jej oskarżeniami. Rozsądny, racjonalny głos, który będzie ją przekonywał, że nie można nikogo aresztować, bo po prostu ma złe przeczucia wobec tej osoby albo podejrzewa, że podkrada jej bieliznę ze sznura. W każdym razie nie sądzi, by chciała zwracać na siebie uwagę funkcjonariuszy Dyfed-Powys. Mogliby ją rozpoznać, skojarzyć fakty i prędzej czy później rozeszłaby się wiadomość i zjawiliby się dziennikarze w poszukiwaniu sensacji.

Z bezpiecznego wnętrza domu przez żaluzje w salonie patrzy, jak Idris odjeżdża. Zadowolona, że wreszcie zniknął, opuszcza dzinsy, by obejrzeć nogę. Siniak. Duży. Już go widać. Ma kształt małża i pozwala się domyślać, że rozkwitnie jaskrawą żółcią jak pączki kolcolistów porastających wzgórze. Naciska go i krzywi się z bólu. Będzie olbrzymi, postanawia obserwować jego rozwój w ciągu najbliższego tygodnia. Dziwne, myśli potem, że Graham w ogóle nie zapytał, skąd go ma. Gdyby zauważył, może by mu zdradziła. Opowiedziałyby o facecie mieszkającym przy tej samej drodze. Nie żeby wiedział, jaki z niego dziwak, ale by mu dać do zrozumienia, że inni też się nią interesują. Nie zaszkodziłoby.

60

Zauważywszy oznaki roz pogodzenia, Dai nie siedzi beczynie. Po śniadaniu złożonym z grzanki i herbaty wyłącza radio – przerywając prezenterowi BBC szczegółową relację z prowadzonych poszukiwań zabójcy dwóch kobiet w Westburn – i w kaloszach włożonych na sztruksy staje pod niebem pokrytym cętkami chmur. Utyka na moment w ciemnej szopie i nie mogąc znaleźć własnych, wkłada rękawice ogrodnicze Elsie. Są zeszywniałe ze starości i szwy zaczynają się rozchodzić, ale czując gładkie rowki wyżłobione jej palcami, dopasowuje je do swojej dłoni, aby stały się jego własnością.

– Dzień dobry.

Wracając do światła, Dai unosi wzrok i widzi stojącą przy furtce Rachel. Ma na sobie to, w co zwykle ubiera się na spacer, przy boku psa, coś jednak się w niej zmieniło. Wygląda weselej?

– Dzień dobry. – Cieszy się na jej widok. Dziewczyna da się lubić, już przy pierwszym spotkaniu wyczuł jej wrażliwość. W ogóle nie przypomina mieszkańców wioski, wśród których mieszka, nie interesuje jej paplanina o głupstwach. – Co słyszeć w Tÿ Haf?

– Dzięki, wszystko świetnie. – Wciąż się uśmiecha, a Dai, widząc jej zaróżowione od zimna policzki, myśli, że wygląda jeszcze ładniej niż zwykle. – A u ciebie?

– W porządku. Korzystasz ze słońca?

– Cudowne, prawda? Też mogłam popracować na dworze. – Rachel tryska radością, wyraźnie pewniejsza siebie niż zwykle. – Chociaż ostatnio pogoda była okropna – zawsze tyle pada?

– Niestety. – Dai chichocze. – Chyba jednak mamy szczęście, że mieszkamy po tej stronie. Dilys mówiła... znasz Dilys? – Rachel przecząco kręci głową. – Na pewno ją poznasz. – Znowu parska śmiechem. – W każdym razie na drugim końcu wsi rzeka ma już taki poziom, że sypią piasek do worków. Napijesz się kawy? – zmienia temat. – Chodź – zachęca, widząc jej wahanie – możesz zrobić sobie przerwę w spacerze, żeby poświęcić mi chwilę.

– To raczej ja ci coś przerwałam. – Rachel z uśmiechem otwiera furtkę i wchodzi do ogrodu.

– Nonsens – uspokaja ją. – Mam cały dzień. Przyda się nam coś ciepłego – trochę tu chłodnawo. – Klaszcze w dłonie. – A może masz ochotę na kawałek ciasta? Dilys upiekła.

– Ta Dilys piecze dla ciebie ciasta? – żartuje Rachel i idzie za nim do drzwi, zatrzymując się przed stopniem. – Czyżby coś pan przede mną ukrywał, panie Jones?

– Jak już ustaliliśmy – Dai prycha z rozbawieniem – nie poznałaś jeszcze uroczej Dilys Roberts, prawda?

Napełniając pospiesznie czajnik, Dai oblewa sobie rękę wodą. Potem nastawia czajnik i jak zwykle starannie przygotowuje tacę. Kiedy unosi wzrok, rozpakowując ciasto od Dilys, widzi, jak Rachel spaceruje po ogrodzie. Przystaje, by przyjrzeć się podniesionym rozsadnikom i zajrzeć przez zaparowane szyby do szklarni. Woła psa, który właśnie podnosi nogę pod ścianą szopy. Posyła spłoszone i zmieszane spojrzenie w stronę okna, w którym odbija się światło, więc nie może zobaczyć, jak Dai się uśmiecha.

– Gdzie twój śliczny kot, Gabriel? – pyta Rachel, kiedy Dai staje w drzwiach.

– Nie wiem, nie widziałem go od tygodni.

– Dziwne.

– Staram się nie martwić. Wiem, że koty tak się zachowują, ale to nietypowe dla niego. Raz na jakiś czas znika na noc, poza tym jednak ciągle jest przy mnie.

– Ktoś w Bryngwyn go widział? Jeżeli chcesz, popytam w wiosce, za chwilę będę szła w tamtą stronę.

– Mogłabyś?

– Nie ma sprawy. Pewnie właśnie smali cholewki do jakiejś ślicznej kotki, zobaczysz, pewnie niedługo wróci. – Rachel bierze od Daia talerz. – Mm, pyszne. – Energicznie kiwa głową, przełykając kęs ciasta. – Naprawdę... bogate. – Gładzi głowę Cadno, który oparł ją o jej kolana, jak zawsze licząc na okruchy.

– Och, nasza Dilys to mistrzyni kuchni. – Dai nadgryza kawałek ciasta i szeroko się uśmiecha.

– Mężatka?

– Dilys? – Przywołuje w myślach jej twarz. – Nie, nigdy nie wyszła za męża.

– W takim razie ktoś dużo stracił – konstatuje Rachel, oblizując palce.

Dai wydaje cichy pomruk.

– Wydaje mi się, że ten cały cyrk z małżeństwem polega na czymś więcej niż talent do pieczenia, nie sądzisz?

– Pewnie tak. – Rachel bierze szczyptę okruchów dla psa i wysypuje sobie na kolana. – Mój były mąż bardzo kiedyś lubił moją kuchnię, a mimo to prysnął. – Wybuch krótkim, nerwowym śmiechem.

– Nie wiedziałem, że byłaś mężatką. – Dai ostrożnie wchodzi na grząski grunt.

– Było, minęło. – Macha ręką. – Nie będę udawać, że nie było trudno, ale teraz to przecież nie ma żadnego znaczenia.

– Mimo to szkoda – mówi z zakłopotaniem Dai.

– Pewnie tak, ale sam wiesz – wzrusza ramionami – życie toczy się dalej.

– Ja i Elsie mieliśmy mały kryzys. Mieszkaliśmy w Cardiff, Anthony był mały. Elsie nie znosiła tego miasta, ciągle próbowała mnie namówić na powrót tutaj... ale nie chciałem wracać.

– Nie? – dziwi się Rachel. – Oszalałeś? To takie spokojne miejsce. I te widoki... – Dai słyszy, jak wzdycha, i podąża za jej spojrzeniem skierowanym na malowniczy łuk doliny i nieznane pastwiska na błękitnym horyzoncie Walii.

– Elsie mówiła, że mamy największe szczęście na świecie, że codziennie rano możemy to oglądać.

– Chyba polubiłabym twoją Elsie – odpowiada.

Dai ściska koniuszek nosa.

– A ona na pewno polubiłaby ciebie. – Wypija łyk z kubka i zerka z boku na Rachel. Coś się jej przydarzyło, myśli. Coś dobrego.

– Poznałam kogoś. – Rozpromienia się, pokazując piękne białe zęby.

– Tak. – Dai przełyka resztę ciasta. – Pamiętam, że wspominałaś w Boże Narodzenie o tym chłopaku, który prowadzi galerię sztuki. Graham... Graham... Parnell?

– Znasz go? – W oczach Rachel pojawia się błysk zaintrygowania.

– Poznaliśmy się... – Enigmatycznie kiwa głową. – Piękna galeria. – Ugniata czubek nosa kciukiem i palcem wskazującym. Rachel już zna ten nawyk. – Czyli często się widujecie?

– Tak, od Nowego Roku. No i... wiesz. – Rumieni się i przysłania oczy rzesami. – Rzecz się rozwija.

– Naprawdę ci się podoba, co? – Ależ jest słodka, myśli Dai.

– To widać? – Wstydliwie wbija wzrok w szybko stygnący kubek.

– Zauważyłem, że coś się zmieniło. – Wydycha cierpki kawowy posmak w rześkie powietrze. – Naprawdę promieniejesz.

– Promienieję? – Dotyka dłonią policzka. – To krępujące.

– Dlaczego krępiące? Przecież nie ma ważniejszej rzeczy na świecie. Jasne, że nie chcesz być sama: taka śliczna dziewczyna. – Czułym gestem poklepuje ją po ręce. – Bardzo się cieszę, Graham Parnell to prawdziwy szczęściarz.

– To ja jestem szczęściarą. – Rachel głaszcze czoło psa. – Mam tylko nadzieję, że tym razem uda mi się tego nie schrzanić, bo na ogół wszystko psuję.

– Na pewno nie. Uwierz mi, to uśmiech losu. Jeżeli kiedyś ci się nie powiodło, to tylko dlatego, że nie spotkałaś właściwej osoby.

– Dzięki, Dai. – Rachel nachyla się i całuje go w świeżo ogolony policzek. – Dam ci znać, jak mi idzie.

– Dai przygląda się, jak znanym mu już gestem odgarnia włosy z twarzy. – Dziękuję za kawę i ciasto, nie będziemy ci dłużej przeszkadzać. – Woła na psa i badawczo spogląda w niebo. – Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu może się rozpadać, trzeba korzystać z każdej chwili.

– Rachel?! – woła Dai, zatrzymując ją przy wyjściu. – Ty i Graham...

– Tak? – Unosi idealne łuki brwi.

– Korzystaj z tego, nie dręcz się żadnymi wątpliwościami. Spotkaliście się nie bez powodu. Ułoży się wam, na pewno.

– Dzięki, Dai. Cieszę się, że tak mówisz, to dla mnie bardzo ważne.

– Do zobaczenia.

– Dasz mi znać, jeżeli pojawi się Gabriel?

– Dam.

I Rachel wychodzi. Skrzypi zamykana furтка, a on czeka przez chwilę, ciesząc się wiadomością, którą właśnie od niej usłyszał. Wspaniale, dziewczyno, myśli i rusza zająć się przycinaniem krzewów. Wspaniale.

Wnętrze kabiny ciężarówki Idrisa cuchnie niewietrzoną sypialnią i stęchlými bąkami. Dziewczyna, którą tu przyprowadził, drobna tleniona blondynka, przedstawiająca się jako Pauline, z niesmakiem krzywi przebite kolczykiem usta. On też czuje ten zapach, ale w odróżnieniu od tej nadętej dziwki nie znajduje w nim niczego przykrego.

– Kurwa, ale tu jedzie.

Chce jej powiedzieć, żeby się nie wyrażała, żeby okazała trochę szacunku. W końcu to tutaj mieszka, kiedy jest w trasie, więc co z tego, że trochę czuć? To jedyne miejsce, w którym może się schronić, żeby wyładować frustracje. Zresztą kto to mówi? Sama cuchnie jak trawler pełen dorszy, ma rozdarte rajstopy i obgryzione paznokcie. Nie dorównuje nawet tym, które zwykle tu przyjmuje, o krągłych kształtach i skórze miękkiej jak sukienki matki. Jeżeli nie liczyć żółtych włosów, w ogóle nie jest w jego guście. A na widok przekłutego ucha, nosa i wargi – dostrzega też błysk kolczyka w języku – robi mu się niedobrze.

– No to jak, chcesz czy nie? – Jej akcent też jest inny. Głos brzmi ostro i nieprzyjemnie. Przemyka mu w myślach obraz bystrookiej lisicy, do której strzelał na wzgórzu. Chce to oglądać – inne, które mówiły z miękkim, przeciągłym akcentem z Somerset, nie zwracały się do niego w ten sposób, kiedy je zwabił. – Bo czeka mnie długa nocka.

– No to... – Sapie, bo choć robił to wiele razy, nadal nie bardzo wie, jak powinno się zaczynać. – Zdejmuj to z siebie. – Niezgrabnie zaciąga zasłonki na przedniej szybie i odgradza ich jeszcze szczelniej, zamieniając niezbyt gęsty mrok pochmurnego nadmorskiego wieczoru na wyobrażenie atramentowej północy usianej mnóstwem maleńkich półksiężyców.

– Chyba, kurwa, żartujesz. Nie ma mowy, koleś. Przed nikim nie robię striptizu. Znasz cennik, mówiłam ci, na co możesz liczyć – a jak będziesz chciał coś ekstra... – Wpycha pięść do ust i zaciska zęby na kikutach paznokci.

– Musisz to robić? – Olbrzymią łapą odtrąca jej dłoń. – Obrzydliwe.

– Miło, że akurat ty to mówisz. – Przestaje obgryzać paznokcie, kładzie ręce na kolanach. Skruszona jak mała dziewczynka, z której dużo w niej jeszcze zostało. – Umówiliśmy się: siadam na tobie i to wszystko, nie? Tak chciałeś. Za trzy dychy.

– Dobra. – Idris przesuwa cielsko w kabinie. Wbija wielkie kolana w tablicę rozdzielczą, jest za duży na ciasne wnętrze, w którym ich zamknął. Zaczyna rozpinać pasek spodni.

– Daj – mówi dziewczyna, bez trudu obracając w jego stronę chuderławą sylwetkę. W kilka sekund zrzuca plastikowe białe szpilki i klęka na siedzeniu obok niego. Odkryty mizerny dekolt przyciska się do podgardla Idrisa, który wydaje cichy jęk. Żałosny, mizerny i płytki, jak zwierzę na pastwisku. Poddaje się i drży z przyjemności, gdy ręka, dla odmiany nie jego, rozpina guzik i rozsuwa rozporek. Dziewczyna nie ma żadnych oporów. Niezła jest, myśli, patrząc, jak rośnie we wprawnej dłoni. Warta tych pieniędzy? Zaraz się przekona.

– Masz kondom? – dyszy tuż przy jego uchu; jej oddech pachnie gumą balonową. Po chwili sięga za siebie w stronę schowka, który wskazuje gruby brudny palec. Gibkie biodra pozwalają jej odchylić się

do tyłu bez odrywania od niego ręki. Idris znowu jęczy, tym razem pomruk wydobywa się gdzieś z głębi. Jest sztywny i twardy, miło mu, że tak na nią reaguje.

Przygląda się, jak dziewczyna rozrywa foliowy kwadracik zębami – równym rządkiem bieli i oklejonym różową warstwą gumy do żucia. Na moment przerywa działanie i cofa dłoń, pamiętając, by zastąpić ją drugą, po czym fachowym ruchem nakłada prezerwatywę na purpurowy hełm, który starannie omija wzrokiem.

– No to wskakuj. – W białkach oczu Idrisa odbijają się światła rozpięte wzdłuż pustej promenady Westburn, które w jakiś sposób przebiły się do kabiny pod brzegiem zasłonek. Ku jego zdziwieniu dziewczyna posłusznie wykonuje polecenie. Te zaćpane dziwki dla kasy zrobią wszystko. Opiera głowę o miękki zagłówek, zamyka oczy. Mijają minuty. Dziewczyna, o figurze cienkiej jak u Beth, robi swoje.

– Kurwa, to na nic! – wrzeszczy Idris, bo wydawało mu się, że słyszy ciche westchnienie „no już, pospiesz się”. – Złaż ze mnie, szmato! – I zrzuca z siebie dziewczynę, żałując, że pomyślał o Beth.

Skrzypnięcie siedzenia, szelest ubrań. Dziewczyna poprawia się i pyta:

– Co z tobą, przecież tak dobrze szło?

– Chyba coś z tobą jest nie tak. – W jego głosie pobrzmiwa brutalny ton. Na jego dźwięk dziewczyna wzdryga się, znów wpycha pięść do ust i słysząc zgrzyt zębów o paznokcie.

– To nie moja wina, że ci nie chce stać.

– Stul pysk.

– Lepiej mi zapłać – kwili, przechylając się w jego stronę, żądając tego, do czego jej zdaniem ma prawo. – Była umowa, powiedziałaś, że trzy dychy.

Dziewczyna nie wydaje żadnego dźwięku, kiedy pięść Idrisa uderza ją z boku w twarz. Ze srebrnego kolczyka w różowo lukrowanej wardze wypływa krew i spływa strużką po brodzie w kościsty rowek między piersiami. Wpatruje się w niego przez kilka niepewnych sekund, a potem próbuje rzucić się do ucieczki, nie dowierzając własnym oczom, w które zajrzał paniczny strach.

Dai w typowy dla siebie metodyczny sposób wyciera blaty w kuchni. Ściereczka, podobnie jak myśli, starannie omija wysoki jak góra biskopt królowej Wiktorii, który przyniosła mu dzisiaj Dilys Roberts. Wziął spocone ciasto zawinięte w folię z jej wyciągniętych rąk, nie dziękując jej ani nie zapraszając do środka, jak zwykle robił.

To nie było grzeczne ani uprzejme i teraz ganił się za to w duchu, wtedy jednak zupełnie nie był w nastroju. Chciał być sam ze swoimi myślami, a ta kobieta wprowadza za dużo zamętu. Widział, że poczuła się obrażona, i wie, że pobiegnie opowiedzieć o tym maksymalnie wielu mieszkańcom wioski. Obsmaruje go przed innymi kobietami, które nazwą go niewdzięcznikiem, będą wychwalać pod niebiosa jej troskliwość i uświadamiać jej, że szkoda zachodu dla indywiduów pokroju Davida Jonesa.

Zaparza sobie kubek herbaty i zanoszą do salonu. Nie ukroi sobie kawałka biskoptu od Dilys; poćwiczy powściągliwość i zamiast objadać się słodkościami, pograży się w lekturze którejś książki z serii Penguin Classic. Grahama Greene'a, którego połowę ma już za sobą. W *Brighton*, ostatniej książki, którą przeczytała Elsie. Chociaż chyba jej nie skończyła, ponieważ znalazł wewnątrz skrawek papieru z jej charakterem pisma, którego używała jako zakładki, a on zostawił go między kartkami.

Czytał tę powieść w młodości, ale wracając do niej jako sześćdziesięciosześcioletek, lepiej pojmuje jej zawilgość. Lepiej rozumie wyrachowanie, z jakim Pinkie wyrządzał zło, oraz sprytny chwyt polegający na pozornie prostym założeniu, że jako katolik wierzy, iż kary za popełnione winy nie może mu wymierzyć człowiek. Dlatego staje się bezbronny wobec niejednoznacznego i moralnego świata Ida Arnold. Wszystko by oddał za takiego anioła zemsty jak Ida Arnold. Kogoś przywiązanego do życia, do tu i teraz, osobę, która gdyby była rzeczywista, wzięłaby na siebie zadanie wymierzenia ziemskiej sprawiedliwości przekłętemu Idrisowi Tudorowi. Żałuje, że nie ma siły i odwagi, by dokonać tego samemu, ale nie może tego zrobić, tak jak nie potrafi wsiąść do samolotu, polecieć do Brisbane i zobaczyć nowo narodzonego wnuka.

Kiedy siedzi w fotelu, a przez okna sączy się coraz mniej światła, właśnie w takich chwilach najbardziej brakuje mu towarzystwa kota. Mniej więcej o tej porze Gabriel byłby już w domu i ogrzewał się na jego kolanach albo wciskał się do swojego wyłożonego futerkiem kosza, który pusty od trzech tygodni wciąż stoi obok grzejnika. Uwielbiał domowe wygody, Dai nie ma więc pojęcia, czym się żywi i co robi, żeby mu było ciepło. Liczy tylko na to, że ktoś go przygarnął i dał mu nowy dom.

Zamyka książkę i obraca ją na kolanach. Nie chce się zastanawiać nad losem Gabriela i najwyraźniej nie potrafi skupić się na powieści, myśli więc o historii, którą nosi w sobie. O dziewczynce, którą kiedyś znał i która pomimo wszystkiego, co zrobił, i pomimo wszystkich złożonych obietnic pewnego dnia rozplynęła się w powietrzu jak obłoczek oddechu w mroźny poranek. Nie umie sobie wyobrazić tej milczącej istoty o cerze jasnej jak śnieg i posiniaczonych rękach jako dorosłej kobiety o pełnych piersiach, biodrach i udach. Spacerującej po nieznanach ulicach pod rękę z mężem, z rodziną gdzieś niedaleko. Wie, że właśnie tak przeszłość zastawia na niego sidła. Mami go jakimś mglistym i drżącym złudzeniem optycznym, przez które wydaje mu się, jakby ją widział, ale po chwili jej obraz znika. To gorsze niż okrucieństwo.

Dai wstaje, idzie do kuchni i starając się odsunąć od siebie niedowierzanie, że Beth mogła zniknąć z własnej woli, choć mieli takie śmiałe plany, otwiera tylne drzwi i woła Gabriela. Wymachuje pudełkiem karmy Go-Cat tak jak zawsze, kiedy chce go zwabić do domu.

Ta jest taka młoda, że należałoby ją chyba zapytać, co tu robi tak późno w dzień powszedni, skoro jutro idzie do szkoły, należałoby kazać się jej wytłumaczyć, skąd wzięła alkohol, bo w żadnym pubie nie obsłużą nieletniej. Widząc, w jakim jest stanie, nie mam wątpliwości, że się urznęła. Ale o nic nie pytam, to nie moja sprawa, zresztą jest teraz tutaj, usiadła na miejscu pasażera, jakby na mnie czekała.

Tylko jedna sunęła wzdłuż ogrodzenia pustego parku za klubem Sandpiper. Mała słodka zbłąkana maruderka, której koleżanki już wszystkie poszły do domu – mój wyczekany cel. Szeleści pod nami foliowa płachta, którą rozkładałam, żeby ochronić cenną skórzaną tapicerkę. Dziewczyna siedzi nieruchomo. Spódniczka podjechała jej aż do majtek, skóra na nogach bieleje w żyłce zimnego blasku księżyca.

„...te twoje długie blond włosy i błękitne oczy...¹²”

Nie wiem dlaczego, ale mam w głowie tę piosenkę przez cały dzień, więc śpiewam jej fragment, obracając się na siedzeniu, żeby się do niej uśmiechnąć. Mała tleniona blondynka nie odpowiada jednak uśmiechem; nie ma ochoty się zaprzyjaźnić. Nerwowo obgryza paznokcie. Ten dźwięk przenika mnie dreszczem do szpiku kości, więc odtrącam jej rękę od twarzy, ale po kilku sekundach znowu pakuje palce do ust i chrupie zawzięcie jak chomik.

Kiedy już siedzi obok mnie, widzę, że ma rozmazany tusz na rzęsach, a na policzkach czerwone plamy. Wygląda, jakby płakała, na bluzce są ślady krwi. Jeżeli zaczniesz mi się tu mazać, dam jej prawdziwy powód do płaczu, powtarzam w myślach mniej więcej to, co mówił kiedyś ojciec, zanim sprzął mnie na kwaśne jabłko. Wiem, że to przez niego jestem tym, kim jestem, jak gdyby coś kazało mi dowodzić swojej wartości; że jestem kimś ważniejszym niż te ładne dziewczyny, które wolał bardziej niż mnie. I kiedy je zmuszam, żeby robiły to, czego chcę, czuję, że to ja mam władzę.

Wiozę ją na koniec promenady, sądząc, że spodoba się jej widok rozkołysanych fal pod księżycem. Najwyraźniej jednak nie zwraca na nie uwagi, patrzy przed siebie szklanym wzrokiem, milczy i obgryza paznokcie. Nagle zauważa chyba jakąś zmianę na mojej twarzy, bo przestaje i opuszcza rękę.

Wygląda przez to jeszcze młodziej.

A ja czuję się przez to źle. Ale nie aż tak źle.

Wydaje się jakaś inna – z bliska nie wygląda na taką bezwstydnicę jak te, które tu wcześniej gościły. Owszem, ma na twarzy masę tynku i długie żółte włosy, ale jest nędznie, tandetnie ubrana i ma brudne kolana. Trudno to było zauważyć wcześniej w ciemnej ulicy.

Niezbyt ładnie też pachnie. Nic jednak nie mówię na ten temat.

– Czemu masz krew na bluzce? – pytam tylko. – Powiesz mi, co się stało?

Ale nie odpowiada; lekko wzrusza ramionami i znów zaczyna gryźć paznokcie.

No i tak siedzimy, dziewczyna i ja, spoglądając na czarną jak ropa wodę, falującą kilka metrów przed maską samochodu, która odbija srebrzyste pasma chmur snujących się na tle ospałego księżyca.

¹² Fragment piosenki *Sorrow* autorstwa B. Feldmana, J. Goldsteina i R. Gottehrera, wykonywanej przez The McCoys, a także między innymi The Merseys i Davida Bowiego.

Graham przywozi Rachel nad zimowe morze. Do Llansteffan. Nad brzegiem trzyma wartę zamek, który czujnym okiem wypatruje zagrożeń na sinoszarym horyzoncie i szerokich płaszczyznach plaż, tak samo jak od stuleci. Na tablicy ZAKAZ WYPROWADZANIA PSÓW nie wspomina się nic o miesiącach między październikiem a majem, więc spuszcza ją ze smyczy Cadno, a on, niezgrabnie jak to szczeniak, galopuje przez płycizny, których nigdy nie widział.

Śmieją się we wzbijanych przez niego obłokach wodnej mgiełki, trzymając się za ręce pod pochmurnym niebem. We włosach połyskują im kropelki mżawki. Widząc radosną parę, macha do nich przypadkowy spacerowicz idący po zmarszczkach na piasku pozostawionych przez odpływ. Wyglądają jak małżeństwo, które wyszło wyprowadzić psa. Rachel podoba się obraz, jaki pokazują światu, i mocniej ściska dłoń Grahama okrytą wełnianą rękawiczką.

Kupują rybę z frytkami z furgonetki na parkingu przy plaży i jedzą na stojąco palcami, otoczeni kwaśnymi aromatami smażeniny. Popijają z puszek letnią colę, która burzy się i musuje im w ustach, a potem dyskretnie czkają, przysłaniając usta dłonią i odwracając się w stronę morza. Graham ma na nosie rozmazany keczup, ale Rachel nie zatrzymuje go, kiedy idzie do furgonetki po słabą herbatę w styropianowych kubkach. Mówi mu dopiero później. Wykonuje kilka tanecznych kroków, po czym nachyla się i ściera mu czerwoną plamę. Słony wiatr i niebo pełne mew przenoszą ją w czasy Westburn i wywołują ukradkowy uśmiech. Który powoduje jego zainteresowanie.

– Czemu się uśmiechasz?

– Do wspomnień – odpowiada. – Przypominam sobie, jak tato zabierał mnie ze sobą do pracy nad morzem, kiedy byłam mała.

– Miałaś szczęście – mówi z ustami w jej włosach, a ciepło jego oddechu sprawia, że dostaje gęsiej skórki pod kurtką przeciwdeszczową.

– Bo jeździłam nad morze?

– Głuptasie. – Przyciąga ją do siebie i otacza ramieniem w pasie. – Bo masz takie wspomnienia o tacie. Ja nie mam wesołych wspomnień. – Całuje ją, żeby poprawić nastrój, żeby znowu się uśmiechnęła. Widzi, że jego słowa trochę ją zasmuciły, ale chwilę później podmuch wiatru znowu rozwiewa jej włosy, więc łapie go za rękę. Śmiejąc się jak dzieci, biegną przez grzbiety wydm, przez piasek, prosto do gęstej piany u brzegu morza.

Gdy deszcz gęstnieje, chronią się w czarnym wozie terenowym Grahama. Siedzą przytuleni do siebie na szerokich skórzanych siedzeniach i patrzą przez zaparowaną szybę. Skrzypią grube kurtki nieprzemakalne, spowija ich ciężki zapach mokrego psa wypełniający starannie wyczyszczone wnętrze samochodu. Rachel podoba się dbałość Grahama o różne rzeczy, na przykład takie samo jak u niej zamiłowanie do porządku. Uśmiecha się, nie widząc tu ani jednego rzuconego na podłogę papierka po cukierku ani chusteczki. Przyjemnie jest myśleć, jak są do siebie podobni, jak wiele ich łączy.

Wygodnie rozparci na miękkiej tapicerce, słuchają łomotu deszczu o dach. Jest za głośno, aby rozmawiać, chociaż Rachel słyszy, jak Graham nuci pod nosem, kiedy obserwują niewyraźne

i bezpłciowe sylwetki zakapturzonych spacerowiczów. Widzą odwróconą do góry dnem łódź rybacką. Jej wyblakły brzuch bezbronny jak Cadno, kiedy obraca się na grzbiet, by go podrapać. Widzą ścianę pułapek na homary, których pręty rdzewieją za splotem postrzępionych na końcach nylonowych sznurków, furkoczących na wietrze. Znowu wraca myślą do niebieskiego nylonowego sznurka z dzieciństwa. Do huśtawki w ogrodzie, która jeszcze nigdy nie była tak daleko.

– Kocham cię – mówi Graham. Jego głos dosięga ją przez bębnienie ulewy. Wyławia ją z przeszłości i wciąga w teraźniejszość. Tak po prostu. Deklaruje to tak jasno i bezpośrednio, że Rachel nie umie na niego spojrzeć. Patrzy tylko na jego dłoń, na ich palce splecione ze sobą.

Mogłabym być z tobą szczęśliwa, myśli, ale nie mówi. Miło, że nie zapytał o bliznę na nadgarstku, którą zauważył i gładzi opuszką kciuka. Nie mogę mu powiedzieć, nie mogę ryzykować. Z takim bagażem pewnie by jej nie zechciał. Nie mogę ryzykować, że go stracę. Przecież jest najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego poznała. Z pamięci wynurza się twarz ojca. Chyba się do niej uśmiecha, choć nie jest pewna, bo obraz wyłania się z głębi morza.

– Polubiłbyś mojego tatę – mówi wreszcie. – Żałuję, że go nie poznałeś. – To wszystko, na co w tym momencie może się zdobyć.

– Ja też – odpowiada, jak gdyby usłyszał odpowiedź, na którą czekał, i jest zadowolony. Ściskając jej dłoń, nachyla się, by ją pocałować, nie zważając na niebezpieczeństwo, że dźwignie zmiany biegów i ręcznego hamulca mogą rozdzielić ich ciała. – Ja też – szepcze, a ona czuje smak soli.

Pozostawiona sama sobie w biurze z jednym oknem, gdzie urzęduje Derek Barnes, czując słodki zapach świeżo upieczonych ciastek sączący się z piekarni na dole przez gołe deski podłogi, Jennifer zauważyła kilka zdjęć w ramach ustawionych na przepelnionym regale za biurkiem. Wstaje, aby lepiej im się przyjrzeć, chcąc trochę poznać przeszłość tego człowieka, skoro ujawniła mu tyle własnej. Jej zainteresowanie wzbudza zwłaszcza jedna fotografia, więc bierze ją z półki. Przedstawia Dereka z jakąś kobietą, tuż obok mężczyzny w szkarłatnej bluzie mundurowej i szerokoskrzydłym kapeluszu, trzymającego za cugle okazałego gniadosza.

– Był pan w Kanadzie? – pyta, słysząc za sobą, jak Barnes otwiera drzwi gabinetu i wchodzi.

– Słucham? – odpowiada, przerzucając papiery.

– Mówię o tym zdjęciu. – Pokazuje mu, co ogląda. – To mundur RCMP... policji konnej, prawda?

– Ach, tak. – Derek Barnes kiwa głową, przesuwając dłoń po lśniącej łysej czaszce i siadając. – To Gus, brat mojej żony; a to moja żona – wskazuje, gdy Jennifer podaje mu fotografię.

– Mój zmarły mąż był Kanadyjczykiem. Z Quebecu.

– Och, to wyjaśnia pochodzenie pani nazwiska. – Barnes rozpromienia się w uśmiechu. – Moja żona jest z Montrealu.

– To wyjaśnia, dlaczego tak dobrze wymawia pan moje nazwisko. – Jennifer odwzajemnia uśmiech.

– Nadzwyczajny kraj, prawda? – wzdycha z pewnym smutkiem. – Francine marzy o powrocie; staramy się znaleźć sposób, żeby spędzić tam emeryturę.

– Choć to może dziwnie zabrzmieć – mówi Jennifer – ja nigdy tam nie byłam. Nie wiem dlaczego, ale mąż nie chciał tam wracać. – Wzrusza ramionami, myśląc, jak kiedyś zanudzała Donalda prośbami o wyjazd, ciekawa informacji o jego pochodzeniu, o nazwisku, które przyjęła i którym się podpisywała.

Dzwoni telefon stojący między nimi. Barnes zerka na niego, zastanawiając się, czy odebrać.

– Pozwoli pani? – pyta w końcu, a kiedy Jennifer kiwa głową, podnosi słuchawkę.

Nie słuchając rozmowy prowadzonej przez prywatnego detektywa, odpływa myślami w stronę Kanady, która ją fascynowała, zanim jeszcze w jej życiu pojawił się Donald. Różnorodny i malowniczy kraj zawsze był na jej liście planowanych podróży. Donald jednak kategorycznie odmówił, spokojnie, bez podnoszenia głosu. W odróżnieniu od Sarah Jennifer nigdy nie wiedziała, jak go podejść. Ani w pierwszych latach małżeństwa, ani z pewnością w schyłkowych, kiedy coraz bardziej pogarszał się stan jego zdrowia. Pamięta, ile wysiłku kosztowało nakłonienie go do jedzenia. Sadzała go na fotelu na kółkach w jego pokoju wyklejonym wymyślnymi tapetami, wiązała mu pod szyję serwetkę w wesołych kolorach, brała łyżkę i cierpliwie karmiła go soczystymi i pożywnymi pysznościami przygotowanymi przez panią Pepper. Ale nawet przy tych najprostszych zajęciach udawało się jej go rozdrażnić. Kiedy narastało w nim zniecierpliwienie, czerwieniał jak żarniki elektrycznego grzejnika. Po drugim ataku, który odebrał mu mowę, milczący i uparty Donald okazywał niezadowolenie znacznie mocniej niż wcześniej, gdy jeszcze mógł się posługiwać głosem. Niezdolność poruszania się i formułowania słów nie wpłynęła na mózg; doskonale wiedział, co robi. Wobec takiego zachowania jego żona była zmuszona wezwać Sarah. Dla niej był gotów jeść. Była osobą, dla której warto zostać przy życiu i strzec sekretów.

Jego niebieskooka córeczka, która siedziała przy nim godzinami, zagłaskiwała go, trzymała za rękę i wyskrobywała miseczkę do ostatniego kęska. Nie Jennifer. Od dawna już nie Jennifer.

Musiła bezwiednie wydać jakiś dźwięk, ponieważ Derek Barnes odwraca się do niej, a potem kończy rozmowę i odkłada słuchawkę.

– No dobrze – mówi, porządkując notatki i wracając do niej. – Najserdeczniej za to przepraszam. Na czym to skończyliśmy? – Zaciera pulchne dłonie. – Ach, tak... Kanada... pani nazwisko, D’Villez. Tak. – Spogląda prosto na nią. – Jak można się było spodziewać, nie znalazłem takiego nazwiska; wszystko wskazuje na to, że Sarah go nie używa. Nie domyśla się pani, pod jakim jeszcze mogłaby występować?

– Przypuszczam, że może używać nazwiska po mężu, Moran. Przepraszam, powinnam je panu wcześniej podać. – Jennifer patrzy, jak detektyw je zapisuje.

– Dobrze, dobrze. – Barnes unosi wzrok. – Jak pani wiadomo, wstępne poszukiwania skoncentrowałem na środkowej Walii, w popularnych wśród turystów okolicach, które pani zdaniem Sarah bardzo lubiła, i jak dotąd natrafiłem na kilka nieruchomości, które zostały sprzedane bądź wynajęte samotnym kobietom mniej więcej w tym czasie, gdy pani córka wyjechała z Londynu – a nie jest ich wiele. Tak więc... – Głośno wypuszcza powietrze w aromaty ciast, które wypełniają małe biuro – ...to ważny trop. Na razie najbardziej obiecujący – jeżeli rzeczywiście wyjechała do Walii. – Uśmiecha się powściągliwie, nie angażując w to oczu. – Teraz powinienem odwiedzić te miejsca – ciągnie, obracając w palcach ogryziony długopis. – Ale są dość oddalone od siebie, więc będzie to wymagało czasu. – Po krótkiej pauzie dodaje: – I pieniędzy. Dlatego pytanie brzmi, czy chce pani, żebym to kontynuował, pani D’Villez? Biorąc pod uwagę, że tropy mogą doprowadzić nas donikąd. Że mogła wyjechać wszędzie, za granicę... może nawet do Kanady – mówi tonem, z którego Jennifer odgaduje, że właśnie w tym momencie przyszło mu to do głowy. – Pamiętam, że mówiła pani, jak bliscy byli sobie z ojcem, a przy tych związkach rodzinnych... nie można tego wykluczyć.

Jennifer przytakuje.

– Rzeczywiście, zastanawiałam się, czy nie wyjechała z kraju, nie mogłam znaleźć jej paszportu. Zadzwoiłam nawet do swojej siostry – mieszka z mężem w Nowym Jorku. Wspominałam o tym? – Barnes kręci głową. – Pomyślałam, że warto sprawdzić, czy nie pojechała tam, ale nie. W ogóle nie myślałam o Kanadzie, prawdopodobnie dlatego, że nie utrzymujemy kontaktów z żadnymi krewnymi męża – ale owszem, to możliwe.

– Właśnie o tym mówię. – Derek Barnes dalej bawi się długopisem. – Przypuśćmy, że przecucie panią myli i Sarah wcale nie jest w Walii? Wówczas to dość kosztowny sposób, żeby się o tym przekonać. – Parska krótkim, dudniącym śmiechem, który wydobywa się z głębi ciała. – Wiem, że zapewne sam pozbawiam się zarobku, ale może najpierw powinienem sprawdzić inne możliwości? Bez konieczności wychodzenia z biurka.

– Cieszę się, że jest pan ze mną taki szczerzy. – Jennifer mruży oczy w chmurze drobin kurzu unoszących się w smudze światła. – Ale naprawdę chciałabym, żeby sprawdził pan także w Walii. Muszę ją koniecznie odnaleźć i jestem prawie pewna, że właśnie tam wyjechała, jej ojciec uwielbiał tę okolicę.

– Rozumiem. – Detektyw ma poważną minę. – Zgoda, ale podsunę pani ponadto jedną myśl, zastanawiałem się jeszcze nad czymś.

– Ach, tak. – Jennifer spogląda mu w oczy.

– Sądzi pani, że Sarah może być w Walii, ponieważ przypuszcza pani, że ruszyła śladem wspomnień, szczęśliwych wspomnień o ojcu?

– Zgadza się.

– A czy wspomnienia mogły zaprowadzić ją do Westburn-on-Sea? Wspominała pani, że często

odwiedzali to miasto.

W drodze powrotnej na Grand Avenue Jennifer rozmyśla nad możliwością, że Sarah mogła wyjechać do Westburn. Świetnie, że o tym pomyślał, bo ona kompletnie zapomniała. A jeżeli faktycznie tam jest? Ta myśl jest bardziej niepokojąca niż w pierwszej chwili, kiedy sobie przypomina, że grasuje tam morderca. Który według dziennikarskich relacji upodobał sobie ładne blondynki. Boże wielki, przyciska do czoła dłoń w rękawiczce z cielejącej skórki, jakby miała mało powodów do stresu. Proszę, żeby to nie była prawda. Sarah, błaga w duchu; twoja uroda sprawiła ci dość kłopotów w przeszłości.

Deszcz nie pozwala Rachel zasnąć. Pada bez przerwy przez cały dzień. Kiedy Graham ją podwiózł, parking na końcu Queen Street był zalany, musiała więc przemykać pędem od samochodu do samochodu, niosąc psa i uważając, żeby nie przemoknąć do suchej nitki. W drodze z Llansteffan, przy akompaniamencie tępego stuku wycieraczek, Graham mówił o swojej matce. Opowiadał Rachel o tym, jak umieścił ją w domu opieki, biorąc na siebie całą winę, bijąc się w piersi tak mocno, że łomot zagłuszał nawet ulewę. Otwarcie mówił o ponurym zdarzeniu, które przesądziło o jego decyzji. Kiedy ze zgrozą znalazł matkę leżącą na linoleum w kuchni z pianą na zsiniałych wargach.

– Ale od tego czasu kłócę się z Eleanor.

Przypominając sobie mgliście to imię, Rachel domyśla się, że Eleanor to jego siostra. Tylko tyle wiedziała o jego rodzinie, ale nie zamierzała prosić go o wyjaśnienia, chciała, żeby on mówił.

– Ledwie zainstalowaliśmy tam mamę, a ona chce ją znowu przeprowadzać.

Jego głos brzmiał mocniej niż zwykle, by pokonać potężny szum zacinającego deszczu, lecz słysząc w nim było też zdenerwowanie.

– Czasami wychodzi z niej taki cholerny egoizm.

Rachel starała się go pocieszyć, ale wyczuła narastające w nim rozdrażnienie, więc zapadła niezręczna cisza.

– Dlaczego to śpiewałaś? – spytał, przerywając nagle milczenie.

– Śpiewałam? Wcale nie śpiewałam. – Była tego pewna.

– Śpiewałaś. – Uśmiechnął się, po czym zanucił urywek: „Te twoje długie blond włosy i błękitne oczy...”.

– Nie zdawałam sobie sprawy, przepraszam. – Zaśmiała się. – Ale to przez ciebie. Sam to wcześniej śpiewałaś.

– Naprawdę?

– Tak. Zawsze coś śpiewasz, nie wiedziałaś?

– Ktoś mi to mówił. – Wyciągnął rękę, ucisnął jej dłoń i puścił. – Ale umówmy się, że tej piosenki nie będziemy już śpiewać. Nie cierpię jej.

W obawie, by znowu nie zacząć, włączyła radio, szukając w nim wsparcia. Po sygnale czasu zapowiedziano wiadomości i prezenter bezosobowym głosem zaczął psuć im i tak kiepski nastrój: „... dziś na niezagospodarowanym terenie w Westburn-on-Sea znaleziono zwłoki młodej kobiety, prawdopodobnie zaginionej osiemnastoletniej Pauline Keene... jej zaginięcie zgłosiła siostra, gdy Pauline nie wróciła do domu...”.

Ubiegając ją, wcisnął wyłącznik. Idealnie zgodni; Rachel przypomina sobie, jak uśmiechnęła się na myśl, jacy są do siebie podobni. W drodze powrotnej nie miała ochoty słuchać o morderstwie po tak cudownym dniu spędzonym razem na plaży w Llansteffan. Dlatego zupełnie nie ma pojęcia, po co podjęła ten temat długo po tym, jak umilkło radio.

– To już trzecia – powiedziała, patrząc na profil Grahama. Utrwalała w myślach jego linię, aby potem oglądać go w wyobraźni. – Straszne, prawda? Biedne ich rodziny.

Graham milczał, nie odrywając skupionego wzroku od środkowej linii na drodze, jedynej rzeczy widocznej przez ścianę deszczu.

– Byłeś kiedyś w Westburn? – Ucieszyła się, że znalazła inny wątek, choć wciąż związany z tymi makabrycznymi zabójstwami, który mógł skierować rozmowę na przyjemniejsze obszary.

– Nie, nie byłem – odparł łagodnie, mrużąc oczy, by dojrzeć coś przez parę, która nie chciała zniknąć z szerokiej przedniej szyby. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu, po prostu pojechałam tam kilka razy z tatą. Kiedy wyjeżdżał służbowo. Wydaje mi się, że już mówiłam.

– Mówiłaś o jego służbowych wyjazdach, ale nie powiedziałaś, że byliście w Westburn.

– Nie? Chciałam ci powiedzieć. Llansteffan przypominało mi Westburn.

– Llansteffan?! – W jego tonie zabrzmiało tyle pogardy, że zrobiło się jej głupio. – Żartujesz? W ogóle nie można go porównać z Westburn. – Zaśmiał się sztucznie.

Chciała go zapytać: skąd byś o tym wiedział, skoro nigdy tam nie byłeś? Ale nie spytała. Aż tak nie zależało jej na obronie miasteczka ani powodów, dla których przyszło jej do głowy to skojarzenie, powiedziała więc tylko:

– Masz rację, nie można. Szczerze mówiąc, kiedy byłam mała, Westburn wydawało mi się trochę dziurą, boję się nawet pomyśleć, jak dzisiaj wygląda. Zresztą chyba byłam tylko na plaży. – I z kolei ona parsknęła wymuszonym śmiechem.

Ponieważ pies zajmuje więcej miejsca, niż mu się należy, Rachel dochodzi do wniosku, że chyba dobrze się stało, iż Graham nie skorzystał z jej propozycji, by spędzić noc u niej – nie zmieściłby się w łóżku. Czując, jak Cadno zmienia pozycję, zwijając się wygodnie w kształt przypominający skorupę ślimaka, przewraca się na bok i widzi, jak przez pozbawione zasłon okna wkrada się już szaroniebieski świt. Deszcz musiał osłabnąć na tyle, że w końcu zasnęła, a myśli o Grahamie płynnie przeobraziły się w sny, dopóki fundamentami stodoły nie wstrząsnął potężny huk, który ją obudził. Donośny dudniący grzmot. Na którego dźwięk pies zrywa się na równe nogi, zeskakuje na podłogę i zaczyna dziko ujadać.

Żadna zagadka – to ta kreatura mieszkająca nieopodal. Z pierwszym brzaskiem wyrusza w drogę swoją ciężarówką. Wrzyna się kołami w pobocza, terroryzuje faunę i florę, gna na złamanie karku. Niech Bóg ma w opiece każdego, kto jedzie tym odcinkiem drogi w przeciwną stronę. Rachel przypomina sobie przejażdżkę z Carole. Myśli też o tamtym spotkaniu z Daiem, kiedy oboje omal nie zostali rozjechani, i mogłaby przysiąc, że w kabinie za brudnymi granatowymi zasłonkami dostrzegła wtedy uśmiechniętego Idrisa. Co za ofiara. Tyle że siła jest po jego stronie – udało mu się już doprowadzić ją do białej gorączki.

Kiedy Rachel budzi się po raz drugi, jest już ranek. Leżąc jeszcze przez chwilę w łóżku, wraca myślą do opowieści Grahama z poprzedniego dnia o tym, jak znalazł matkę, która przewróciła się na podłogę w kuchni. Relacja przypomina jej inne zdarzenie, gdy ojciec drugi raz otarł się o śmierć. Tamtego lata, kiedy Spencer ją wyrzucił i przeprowadziła się z powrotem do rodziców. Ocknęła się w środku nocy obudzona przez dziwny dźwięk roznoszący się po korytarzu. Cichy zwierzęcy odgłos, jakby rannego stworzenia. Nie jest pewna, jak go usłyszała, ale natychmiast zrozumiała, co to jest, i wiedziała, co zrobić. Kiedyś w szkole widziała, jak jedna dziewczyna dostała ataku, i ten obraz utkwiał jej w pamięci. Rachel szybko przystąpiła do działania, krzycząc do matki, która wydawała się zupełnie nieporadna: „Weź się w garść, do cholery, i wezwij karetkę!”. Nie pamięta, by kiedykolwiek przedtem czy potem zwracała się do niej w ten sposób, panika była dobrym pretekstem, by wydać jej polecenie, co sprawiło jej wielką przyjemność.

– Tato. Tato – powtarzała, chcąc, żeby zachował przytomność. Przypominała sobie, jak panna Fenton udzielała pomocy Jane Hames. Jane wyglądała na w pełni świadomą, ale wywróciła białka oczu i zupełnie nie kontaktowała. Z kącików ust sączyła się spieniona ślina. Miała na brodzie krew, która spływała na szkolny mundurek. Krew jak u jej taty. Rachel zrobiła więc to samo co wtedy nauczycielka, włożyła mu coś między zęby, żeby przestał gryźć własny język. W błyszczącym korytarzu szkoły Najświętszego Serca Pana Jezusa był to podręcznik, tym razem brzeg puchowej kołdry. Czekala, głaskała ojca po głowie i przemawiała do niego czułym, macierzyńskim głosem, czując spazmatyczne drgawki jego ciała. Jej matka, bezradna, bezużyteczna, z przygnębioną miną miotala się pod ścianą ze słuchawką telefonu w dłoni.

Atak minął jeszcze przed przyjazdem karetki. Obrzęk nieco ustąpił, gdy ciało ojca przestało się mimowolnie wić i dygotać, po czym opadło na materac. Ratownicy pogratulowali Rachel szybkiej reakcji i znajomości zasad pierwszej pomocy. Mówili, że to, co zrobiła, niewątpliwie pomoże ojcu wrócić do zdrowia. Przypomina sobie nienawistną minę matki, jeszcze raz odczytuje jej niemy wyrzut: To przez ciebie, to ty sprowadzasz na ten dom nieszczęście – jeżeli on umrze, ty będziesz temu winna. TY ze swoją niezwykłą urodą i miodowymi włosami.

Ojca nie było przez całe trzy tygodnie, kiedy to monitorowali mu tętno i wkładali do tomografów, by zrobić serię zdjęć, dzięki którym mogli zajrzeć do mózgu. Rachel zamykała się w pokoju ojca, aby czuć jego zapach. Słuchała jego starych płyt, kręciła się na jego skórzanym fotelu i modliła się, aby żył. I kiedy siedziała tam sama, postanowiła zgromadzić część swoich najbardziej prywatnych i cennych rzeczy, które nie powinny się dostać w ręce jej wścibskiej matki. Schowała je bardzo głęboko w szafce, gdzie ojciec na pewno nigdy nie sięgał. Jak mogła być taka głupia, żeby je zostawić? Może to tylko przypisywać własnej niecierpliwości, żeby jak najszybciej opuścić Londyn. Chyba byłoby lepiej, gdyby je zniszczyła, ponieważ istnieje ryzyko, że zostaną znalezione. Ale wie, że nigdy nie mogłaby tego zrobić, nie pozwoliłaby na to jej próżność; to rzeczy, które musiała mieć, gdy będzie starsza, aby jej przypominały, jaka kiedyś była i co potrafiła zrobić. A ponieważ są teraz w miejscu, z którego nie może ich zabrać, czasem budzi ją strach, oblewając ją zimnym potem.

Kiedy ojciec wrócił, nie mógł mówić. Bała się, że atak uszkodził go bardziej, niż z początku sądziła. Ale pod koniec pierwszego tygodnia spędzonego w domu, kiedy siedział na swoim obrotowym fotelu z kraciastym kocem na kolanach, zwierzył się jej z czegoś. Być może uległ słabości, gdy znalazł się z powrotem w pokoju z tapetą w lilijki, otoczony swoimi książkami, płytami gramofonowymi i zapachem kawy.

– Ugryzłem się w język, przegryzłem go na wylot. – I się rozpłakał. Wtulił twarz w jej ramię i szlochał. – Ale nie mów nic matce – dodał, kiedy trochę się uspokoił. – Nie chcę, żeby wiedziała, że umiem mówić.

– I jak, dobrze ci się układa z nowym chłopakiem? – Tracy, ubrana dziś w strój do pracy na farmie, hamuje przy Rachel, która wraca ze spaceru. Przez uchylone okno z wnętrza land rovera na mokrą drogę bucha rozgrzane powietrze. – Ja i Hywel... – Chichocze, żując coś. – Nie żebyśmy byli tacy ciekawscy, ale tak sobie pomyśleliśmy, bo widzieliśmy jego SUV zaparkowany pod twoim domem.

– SUV?! – Rachel wbija w nią zdumiony wzrok spod daszka wełnianej czapki. Nie jest pewna, co oznacza ten skrót ani czy dobrze usłyszała, ponieważ pies szczeka i szarpie smycz, usiłując przepędzić tego idiotę, który właśnie z łoskotem przemknął obok nich swoją ciężarówką.

– Tak, ten wielki, czarny, nowiutki mitsubishi shogun – to jego samochód, prawda? Pomyśleliśmy, że to na pewno jego, za bardzo luksusowy wóz jak na kogoś stąd. Przypomnij mi, jak on się nazywa?

– Graham – odpowiada cicho. Myśli kłębią się jej w głowie. Rzeczywiście ma mitsubishi? Chyba nie wie, jak wygląda taki samochód, poza tym nie zwróciła szczególnej uwagi na to, czym jeździ, kiedy wybrali się do Llansteffan. Podejrzewa, że była zbyt pochłonięta samym Grahamem, chociaż nigdy nie radziła sobie z rozróżnianiem marek i modeli. W każdym razie jego wóz był czarny i chyba na tyle duży, by można go nazwać SUV-em. Na pewno był większy od jej toyoty RAV4.

– Właśnie. Graham. – Oddech Tracy ma wyraźny zapach toffi. – Jest właścicielem tej ekskluzywnej galerii w mieście, prawda? Akurat ktoś dla ciebie.

– Kiedy widzieliście ten samochód? – Rachel pociąga nosem i przetrząsa kieszenie skafandra w poszukiwaniu chusteczki.

– No... stał tu wczoraj wieczorem. Tak, na pewno. Wracaliśmy z Llanybydder. Późno, jakoś o szóstej, było już ciemno.

– Jesteś pewna, że to był on?

– A kto inny? Nikt w okolicy nie ma takiego wozu, możesz mi wierzyć. Prawdziwe cacko. A skoro wiedzieliśmy, że jest zaparkowany przy drodze pod twoim domem, nie wiem... – ściąga ramiona – po prostu się domyśliliśmy.

– Nie, Tracy, musieliście się pomylić. – Rachel patrzy na nią wyczekująco szeroko otwartymi oczami.

– Pomylić się? W czym?

– Graham nigdy tu nie był – prosiłam go, ale ma opory, żeby zostawić galerię. Chodzi o bezpieczeństwo, rozumiesz, tyle tam obrazów. – Unosi ręce i po chwili opuszcza. – W każdym razie woli być w centrum wydarzeń... a ta okolica jest chyba dla niego zbyt senna. Dlatego proszę cię, żebyś się zajęła Cadno – nocuję u niego w mieszkaniu nad galerią.

– No dobrze. – Z twarzy Tracy spęła radosny uśmiech. – To kto, do cholery, parkował przed twoim domem?

Pauza.

– Nie wiem, to mógł być każdy. – Ta myśl niepokoi ją bardziej, niż daje po sobie poznać. Przypomina sobie tamten wieczór, kiedy zdawało się jej, że widzi twarz w oszklonych drzwiach z tyłu domu, i jarmark, na którym mogłaby przysiąc, że widziała matkę. Może to jest odpowiedź. Matka wynajęła kogoś, żeby ją odnalazł. Chociaż taki pomysł wymagał wyobraźni, a ponieważ Rachel nie sądzi, by jej

matka miała jej przynajmniej odrobinę, skreśla tę możliwość jako zbyt nierealną. Potem spogląda na Tracy, przypominając sobie eleganckiego mężczyznę, z którym widziała ją za rękę w mieście. Pewnie ten ktoś przyjeżdża zobaczyć się z tobą i parkuje obok mnie, żebyś mogła się z nim spotkać daleko od farmy, myśli, ale nic nie mówi i obraca twarz w stronę wiatru. Ten ktoś to ta sama osoba, z którą się wykradasz taka wystrojona.

– Ktokolwiek to jest, za cholerę nie ma nic wspólnego ze mną – oznajmia w końcu ze stanowczą miną.

Z dołu dobiega szcęknięcie skrzynki na listy, potem zgrzyt żwiru i skrzyknięcie ogrodowej furtki. Dai podchodzi do okna i spogląda na okrągłą łysą głowę listonosza Evansa. Lśniaca czaszka ma kształt dorodnej brukwi. „Niezła głowa na zupę”. Wśród drobin kurzu rozbrzmiewa pamiętny chichot Elsie. Zapomniał już, jak mu go brakuje.

To właśnie Evans przyniósł Elsie perukę. Tego wietrznego dnia w styczniu stał w progu, ociągając się z odejściem i chcąc wiedzieć, co jest w środku. Może odgadł to z opieczętowanego logo na paczce albo drzwi otworzyła mu Elsie, łysa jak sam Evans, kiedy jeszcze mogła chodzić? Widząc jego zaciekawioną minę i biorąc od niego przesyłkę, Elsie, która od czasu do czasu lubiła szokować, powiedziała: „Oo, już są moje włosy?”. Biedak nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

Dai wraca do wycierania kurzu. Podnosi przedmioty, pryska sprayem, czując, że żółta ściereczka jest już całkiem mokra. Przerywa, kiedy dochodzi do toaletki. I kolekcji zdjęć w ramkach, zrobionych w latach, zanim Elsie straciła włosy. Nie pozwalała się fotografować w ostatnich miesiącach życia, była na to zbyt dumna. „Zaczekaj, aż odrosną”. Zakrywała dłonią wycelowane w siebie oko aparatu, kiedy czuła się na tyle dobrze, że wychodzili z domu, chociaż takie dni zdarzały się rzadko. Dai zabierał ją samochodem pod zamek Carreg Cennen, wkładając do bagażnika prowiant, na który nie miała ochoty. Albo do Mumbles, gdzie w restauracji udawała, że bardzo smakuje jej lunch, który tylko trącała widelcem. „Naprawdę, skarbie, w ogóle nie widać, że to peruka” – przekonywał ją jak potrafił, widząc jej konsternację, gdy dostrzegła swoje odbicie w okropnych obcych lokach. „Dziękuję, kochanie”. Odpowiadała mu zdawkowym pocałunkiem i pocieszającym uściskiem dłoni. „Wiem, głupia jestem, przecież to tylko włosy – nie wiem, dlaczego to takie ważne”.

Martwiła się jedynie o niego. Jak sobie poradzi, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy jej zabraknie. „Nie mów tak”. Dai był zdeterminowany, jak gdyby do uratowania Elsie miała wystarczyć tylko jego siła woli. Ona jednak wiedziała, mając równie bliski kontakt ze swoim ciałem, jak i z otaczającą ją naturą. Wiedziała od chwili, gdy dostała wyniki badań w zatłoczonej szpitalnej sali. Wokół jej łóżka stał tłum studentów medycyny ściskających podkładki do pisania, gotowych dokumentować jej reakcję. Dowiedziawszy się o tym później, Dai poszedł się rozmówić z lekarzem specjalistą o dziecinnej twarzy. Przygwoździł go do ściany całym gradem terminów i faktów medycznych, o których pochodzeniu nie miał dotąd pojęcia. Nacierał na niego, dopóki zadowolony z siebie doktor nie dał za wygraną i unosząc różowe, wyszorowane dłonie chirurga, przyznał się do porażki i przeprosił za swoje zachowanie.

Elsie zniosła pół roku chemioterapii, po której nastąpiło osiem sesji intensywnej radioterapii. Obrzmiała i gruba od sterydów, które musiała przyjmować, w ostatnich tygodniach zmieniała się nie do poznania i nie dawała rady wyjść z salonu. Wcale się jednak nie skarżyła; uwięziona w czterech ścianach przez słabnące ciało, patrzyła, jak krząta się po ogrodzie, który uwielbiała tak samo jak on. Dai jest niemal przekonany, że zniosła agresywne leczenie i jego wycieńczające skutki uboczne tylko po to, by dać mu nadzieję, której potrzebował.

Trzask. Zapomniał, że wciąż trzyma w ręku oprawione zdjęcie. Zacisnął dłoń tak mocno, że szybka pękła na dwie części. Odłamki szkła przebijają mgłę jego wspomnień i skórę na kciuku, odrywa rękę

i widzi krew. Patrzy, jak jej krople wolno kapią na kremowy dywan w sypialni.

Rachel przygląda się Grahamowi. Jest przepasany ręcznikiem, a drugim wyciera włosy. Nawet przez chwilę nie stoi w miejscu. Krąży bosy z pokoju do pokoju w swoim *pied-à-terre*, jak nazwała jego mieszkancko, czym go rozbawiła. Podoba się jej śmiech Grahama. Zmarszczki wesołości w kącikach jego niebieskich oczu kojarzą się jej ze śródziemnomorskim niebem i radosnymi wakacjami. Mokry też jej się podoba. Jego skóra lśni w blasku halogenowych reflektorków w małej kuchni, by po chwili zniknąć w sypialni, skąd rozlega się szum suszarki do włosów.

Chce skorzystać z łazienki, więc wchodzi do pozostawionej przez niego pary, zapachu pianki i płynu po goleniu. Rękawem ściera wilgoć z lustra i wpatruje się w swoje odbicie, sprawdzając stan makijażu.

– Skończył się nam chleb! – woła do niej, zamykając lodówkę. Musiał się ubrać w kilka sekund. – Nie ma sprawy, zaraz za rogiem jest czynny sklepik. Za momencik wracam. Dasz sobie radę, mam ci coś kupić?

– Nie, dziękuję – mówi, wchodząc do salonu, żeby się do niego uśmiechnąć. – Będę grzeczna, przejrzę gazety.

Słyszy odgłos wsuwanych butów, zgrzyt zamka błyskawicznego i patrzy, jak zamykają się za nim drzwi. Po raz pierwszy zostaje sama w tym mieszkaniu, które wydaje się inne, pełne cieni. Poruszając się w sztucznej niedzielnej ciszy, bierze kubek herbaty, którą nalał Graham, zanim się zorientował, że musi wyjść. Wypija łyk, znowu ciesząc się, jacy są do siebie podobni. Herbata bez mleka. Ciemny dżem, nie z cytrusów. Pełnoziarnista grzanka bez masła. Nawet chleb trzyma w lodówce tak jak ona.

Podchodzi do dużego okna wykuszowego, przy którym stoją kanapy. Wielkie białe puchate bezy, nic dziwnego, że nie chce, żeby przyprowadzała tu psa. Obraca listewki żaluzji i wygląda na ulicę. Mokre chodniki Llandafen, ciemne wnętrza sklepów i pasaż z czerwonej cegły prowadzące w mrok. Dziwne uczucie budzić się z takim widokiem za oknem. Tęskni za swoim. Za Cadno, który spędził noc z psami Hywela w owczarni w Cwm Glas. Powie, że musi wracać po śniadaniu. Do towarzystwa podczas spaceru na wzgórzu wystarczy jej tylko to, co wie o Grahamie: jego nawyk wymyślania piosenek i bezwiednego śpiewania, jego mina, kiedy uważnie wpatruje się w nią takim wzrokiem, że Rachel zapomina o oddychaniu. W samotności ma okazję odtwarzać w myślach spędzony z nim czas i oddawać się udrękom, o jakie przyprawia ją tęsknota za nim.

Ma ochotę na jeszcze jeden kubek herbaty, więc staje przy blacie i czekając, aż zagotuje się woda, rozkłada „The Mail on Sunday”, robiąc miejsce na gazetę wśród torebek herbaty, słoiczków z dżemem i okruchów chleba z pustej torebki. Kolejne informacje o trzech dziewczynach zamordowanych w Westburn. Nie czyta tego, chce uniknąć uczucia przygnębienia, jakie wywołuje widok ich melancholijnych twarzy. Wybiera strony poświęcone sławnym i bogatym, pełne ich połyskliwego, idealnie skrojonego życia, garniturów idealnie białych zębów w uśmiechach księcia i księżnej Cambridge, całej wiernej świty. Wszystko cudowne i niedorzeczne. Nagle jedno zdjęcie sprawia, że Rachel kamienieje. Twarz z przeszłości. Choć nigdy jej nie zapomniła, zawsze wywołuje szok.

John Blundell.

Wstrzymuje oddech i przygotowuje się na jakąś niesłychaną niespodziankę, mocno przyciskając biodro

do krawędzi blatu. Wyławia pojedyncze słowa: „Rada do spraw zwolnień warunkowych z satysfakcją... zwolniony na okres próby... udana resocjalizacja... odbył karę...”. Zdaje sobie sprawę, że nie ma tu nic nowego, i odrobinę się uspokaja.

Dzwoni telefon i Rachel opuszcza gazetę z artykułem, żeby na niego spojrzeć. Dotyka dłonią gorącej twarzy i zerka na drzwi. Lepiej odebrać. Podchodzi do oddalonego o kilka kroków aparatu i przyciska słuchawkę do ucha.

– Halo? – mówi jej głos, dźwięk, którego się nie spodziewała, brzmi, jakby dobiegał z daleka.

– Halo, przepraszam, że niepokoję w niedzielę... czy mogę rozmawiać z Grahamem Parnellem? – Kobieta. Starsza. Uprzejma.

– Przykro mi – odpowiada jej – właśnie wyszedł. Mam mu przekazać, żeby do pani oddzwonił?

– Jeżeli pani tak miła... mówi Valerie Lamb – będzie wiedział, ale wychodzę już z pracy, więc może podam numer mojej komórki.

– Tylko znajdę coś do pisania. Przepraszam... proszę o chwilę cierpliwości – dorzuca Rachel, przeszukując palcami zastawione przedmiotami blaty w zasięgu ręki. Po chwili dostrzega uchwyt szuflady w szafce, na której stoi telefon, i szarpie go wyciągniętą ręką. – Mam – oddycha z ulgą, natrafiając na kołonotatnik, a grzebiąc głębiej, odnajduje otwarty flamaster. – Dobrze, Valerie? – powtarza Rachel, notując, ale już po V flamaster się wypisuje.

– Zgadza się, Valerie Lamb z Pines – chodzi o jego matkę.

– O matkę? Boże. – Rachel przyciska wyschniętą końcówkę flamastra do języka, by ją reanimować.

– Nie, nie ma powodu do niepokoju – zapewnia ją kobieta. – Proszę mu tylko przekazać, że proszę o telefon, kiedy będzie miał chwilę. – I podaje jej numer.

– Nie ma sprawy. Przekażę mu wiadomość od pani, gdy tylko wróci.

– Dziękuję, kochana.

– Do widzenia.

Rachel odkłada słuchawkę na ładowarkę i zrywa kartkę ze spirali, sypiąc na podłogę drobinami papieru jak confetti. Z powrotem wkłada notes i pisak w paszczę szuflady, ale zanim ją zamknie, dostrzega – częściowo zagrzebany pod wyciągami bankowymi, garścią gumek recepturek i opakowaniami paracetamolu – spory folder w błyszczących okładkach ze zdjęciem szerokiej piaszczystej plaży pod nienaturalnym błękitem nieba. Wyjmuje go i widzi tytuł: Dom Opieki Pines. Myśli: właśnie stamtąd dzwoniła przed chwilą ta kobieta – tam jest jego matka. Czyta: Knightstone Road, Westburn-on-Sea, North Somerset.

Westburn-on-Sea. Westburn-on-Sea?! Przenika ją chłód. Graham powiedział, że nigdy nie był w Westburn, ale skoro jest tam jego matka, musiał odwiedzić to miasto. To jej pierwsza myśl, kiedy wkłada folder z powrotem do szuflady. Po co miałby kłamać, to bez sensu – w jakiej jeszcze sprawie ją okłamał? Z nieznośnym ciężarem niepokoju w żołądku Rachel rzuca pytanie za pytaniem, zbierając swoje rzeczy. Pospiesznie sprawdza, czy nic nie zostało w łazience, w sypialni, po czym przystaje na moment, aby wysychającym flamastrem napisać mu kilka słów, informując go, że musi wracać do psa. Litery, z początku mocne i wyraźne, zaraz bledną, nikną i tańczą jej przed zamglonymi od łez oczami. List jest ledwie czytelny, ale nic jej to nie obchodzi. Wrywa kartkę i kładzie obok wiadomości od Valerie Lamb. Rachel chce stąd jak najszybciej wyjść, nie chce go widzieć, nie chce wysłuchiwać kolejnych kłamstw. Potrzebuje samotności, żeby pomyśleć, co to wszystko oznacza, więc zbiega po schodach na ulicę i kilka sekund później przypada do samochodu.

Sekret pani Pepper pochodzi z dawnych czasów, zanim poznała swojego męża, Stana. Z czasów, gdy sama była jeszcze dzieckiem. Dała mu imię w ciągu tych kilku minut, kiedy pozwolili jej potrzymać go na rękach. Zanim wyrwali go z jej objęć, wiedziała, że ten niewysłowiony ból, który wtedy poczuła, nigdy jej nie opuści. Nawet teraz od czasu do czasu, kiedy siada przy kawie, bezwiednie opuszcza dłoń na brzuch, wyobrażając go sobie, myśląc o nim – jak gdyby nigdy nie przecięto pępowiny.

Na pierwszy rzut oka pani Pepper wygląda na najbardziej pogodną osobę pod słońcem. Tak sądzą wszyscy, którzy przewijają się przez kawiarnię, dokąd lubi wstąpić w drodze do domu. Witają ją skinieniem głowy, kiedy z zadowoleniem sadowi się w rogu z filiżanką kawy z pianką na stoliku i numerem „Evening Standard” na kolanach. Zwyczajna kobieta. Dość tęga, w budrysówce, praktycznych butach i malinowym filcowym berecie. Gdyby jednak ktoś poświęcił chwilę, by przyjrzeć się jej uważniej, zauważyłby, że w tej obszernej szarej kurtce, wiązanych półbutach i bereciku – w dziwnie wesołym kolorze – kryje się coś, co mogłoby sugerować, że ta kobieta postanowiła uciec. Że w każdej chwili może wstać, zabrać walizeczkę czekającą u jej stóp i wyjść w gęstniejący zmierzch, znikając bez śladu. W dodatku rumieni się, ilekroć w pobliżu przechodzi kelner. Jak gdyby znał jej straszną tajemnicę, której sama nie potrafi sobie wybaczyć.

Za dwoma dużymi oknami od frontu kawiarni w Grand Avenue Park w Muswell Hill rozciąga się widok na staw. Klienci, popijając rozmaite gorące i zimne napoje, kosztując ciastka z kremem wystawione w chłodzonej gablocie, mogą oglądać łabędzie, pardwy, a latem od czasu do czasu łódkę przepływającą obok porośniętej drzewami wysepki. Przez boczne okna widzą inną część parku, a w dole jest stragan z kwiatami. Widać stąd pasiastą markizę i wielobarwne falbany towaru wysypujące się z wiader, ale oprócz świeżych kwiatów można tam także kupić kwiaty w skrzynkach, fikusy o błyszczących liściach, miniaturowe drzewka iglaste i dorodne zielone palmy w donicach. Starsi mężczyźni, którzy je sprzedają, w staroświeckich fartuchach szorujących o chodnik jak krynoliny dam z czasów edwardiańskich, drepczą wokół straganu jak kraby, pochylając się i układając kwiaty. Pani Pepper często myślała, że nie trzeba szukać nigdzie indziej; wszystko działo się tutaj, wokół niej. Nawet aksamitna zasłona wykończona ciemnymi frędzlami, zawieszona nad ladą w kawiarni, sprawiała wrażenie, jak gdyby wszystko zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach, by stworzyć spójną całość. Czajniczki do herbaty z niekształtnymi pokrywkami, cukierniczki z grudkami zbrylonego cukru powstałymi od mokrych łyżeczek innych klientów, dzbanuszki na mleko, zaczytane gazety w drewnianym stojaku, klosze z marszczonego papieru na stolikach. Pani Pepper zwracała uwagę na wszystko i wyobrażała sobie, że to, co ogląda, jest częścią jakiejś wielkiej martwej natury, którą miała narysować. Tak innej niż jej dom, gdzie panował wzorowy porządek i wszystko było poukładane jak w pudełeczku, że lubiła tu przychodzić; tu było miejsce dla żywych.

Każdy dzień pani Pepper wygląda mniej więcej tak samo. Wstaje przed świtem, przygotowuje Stanowi śniadanie złożone z owsianki i herbaty, po czym wyprawia go do pracy z zapakowanym w folię lunchem.

Zanim sama wyjdzie z domu, sprząta w pokojach i nastawia pranie. Potem wkłada kurtkę i wyrusza do jednego z wielu miejsc, w których sprząta. A wieczorem, w drodze do metra po skończonej pracy u pani D'Villez przy Grand Avenue, zwykle wstępowała do kawiarni. Nie ma w tym nic szczególnego. Tylko ci bardziej spostrzegawczy zauważą drobne szczegóły, którymi ten wieczór różni się od innych. Że coś się nie zgadza. Po pierwsze, wybrała miejsce pod oknem od frontu. Po drugie, ma starannie ułożoną fryzurę, umalowane oczy i włożyła swoje najlepsze granatowe czółenka. Po trzecie, w dziwny sposób co pewien czas poklepuje kieszeń budrysówki, aby się upewnić, że coś, co tam schowała, nadal jest bezpieczne.

Nadchodzi straszna chwila, kiedy wydaje mi się, że mogli wpaść na mój trop.

Parkuję kawałek od Lamb and Flag, obserwując zbłąkane maruderki w lusterku wstecznym. Pojawiam się na tym odcinku ulicy po długiej nieobecności; z powodu zamieszania po moim ostatnim wyczynie rozsądek nakazywał mi unikać ulubionych miejsc.

W każdym razie słyszę stukanie w okno i kiedy się odwracam, widzę po drugiej stronie szyby twarz gliniarza ubranego w odblaskową kamizelkę. Tak blisko, że dostrzegam siatkę naczynek w białkach jego oczu. Skóra mi cierpnie. Policjant puka jeszcze raz, więc opuszczam szybę.

– Coś się stało? – Sprytny ruch, nie pozwalam mu odezwać się pierwszemu. – Zaraz odjeżdżam, chcę tylko zadzwonić. – I pokazuję mu komórkę, widząc, jak wyraz twarzy z komunikatu „mam cię” zmienia się w „no dobrze, to brzmi wiarygodnie”.

– W takim razie zaraz potem proszę stąd odjechać – mówi. – Dzisiaj wieczorem nie można tu parkować, ulice muszą być przejezdne.

– Oczywiście. – Kiwam głową. – Nie ma sprawy.

Po powrocie ze spaceru Rachel ogarnia chęć, by podnieść słuchawkę i zadzwonić do matki. To czuła po przeprowadzce do Northampton, gdy zamieszkała ze Spencerem. W pierwsze noce spędzone poza domem, kiedy miała dziewiętnaście lat. Ale tak samo jak wtedy opiera się tej pokusie, dochodząc do wniosku, że byłaby to tylko cisza przed burzą, obłana złotem jak chmura skąpana w promieniach słońca, która groziłaby jej powrotem do pokoi o zapachu kawy i mentolowych papierosów i do relacji z meczów krykietowych sączących się latem z telewizora. Co by się stało, gdyby zaufała matce i zwierzyła się jej ze swoich obaw związanych z Grahamem, wyznała jej prawdę o tym, jak straciła Spencera? Gdyby jej opowiedziała, jak po przyjsciu z pracy zobaczył na twarzy Laury siniaka wielkości dłoni, który był jej dziełem.

Wspominając to, dochodzi do wniosku, że powrót do Muswell Hill był błędem. Może nie za pierwszym razem, zaraz po porwaniu – to od początku miało być tylko tymczasowe – ale na pewno za drugim, siedem lat później, kiedy Spencer wyrzucił ją z domu. Powinna wtedy wyjechać, zacząć nowe życie, bo kiedy tam wróciła, a ojciec tak ciężko zachorował, nie znalazła w sobie odwagi, by go zostawić. To była wina Spencera. I jego planu, by wynająć dom w Northampton na czas wyjazdu naukowego na uniwersytet w Maine. Kiedy ją o tym poinformował, spadło to na nią jak grom z jasnego nieba, nie miała czasu poszukać innej możliwości. Rachel często myśli o niesprawiedliwości, jaka ją spotkała, uważa, że nie powinna pozwolić mu się potraktować w ten sposób. Ale wówczas nie miała siły walczyć, jak o wiele innych rzeczy. Przyznała sama przed sobą, że nie warto kruszyć kopii o to, co ich łączyło, bez względu na Laurę. „Nie martw się, wyjeżdżam” – powiedziała do niego, po czym poszła na górę, by spakować swój dobytek do jednej walizki. „Potrafię się zorientować, kiedy nie jestem mile widziana”.

Bała się pomyśleć, jak by skończyła, gdyby rodzice jej nie przyjęli. Gdyby nie było przy niej pani Pepper, której mogła się zwierzyć, niewątpliwie trafiłaby do jakiegoś szpitala psychiatrycznego. Dla Spencera mogłaby gdzieś gnić do końca swoich dni. Nie przypomina sobie, by wykazywał jakiegokolwiek zainteresowanie jej losem, poinformował ją tylko oschle o swoim zamiarze oddania na przechowanie rzeczy, których nie mógł zabrać ze sobą do Ameryki, więc jeżeli zdoła wziąć się w garść i znaleźć sobie jakieś mieszkanie, są do jej dyspozycji. Poza tym w ogóle się nie odzywał. Kiedy niósł jej walizkę do samochodu, odwożąc ją na dworzec, czuła się jak niegrzeczne dziecko. Ostatni raz poczuła jego dotyk, gdy przechylił się, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Na pewno za długo z tym zwlekała. Z tyłu trąbił jakiś samochód, ponieważ zatrzymali się na zakazie, więc niemal wypchnął ją na chodnik. Kiedy odjeżdżał, zobaczyła jeszcze przez zalaną deszczem szybę blady owal jego twarzy, jak zawsze nieprzeniknionej. Wtedy widziała go ostatni raz, Spencer postawił bowiem w trakcie rozwodu warunek, że nie będzie się z nim kontaktowała. Rachel podejrzewa jednak, że utrzymuje kontakt z jej matką. Że przysyła jej zdjęcia Laury. Gdyby ojciec był w lepszej formie, powiedziałyby jej o tej korespondencji, ale kiedy drugi raz wróciła pod numer siedemdziesiąty siódmy, ledwie mógł usiąść i jeść o własnych siłach.

Nie wie, czy matka kiedykolwiek poznała całą historię. Czy Spencer opowiedział jej o Chwili Szaleństwa swojej żony, jak to nazywała. Obiecał, że nie powie, podobnie jak obiecał, że nie wspomni o tym w pozwie rozwodowym, jeśli i ona dotrzyma umowy i nie urządzi żadnej awantury, oddając mu

pełną opiekę nad Laurą. „Przecież chyba nie chcesz – powiedział do niej obojętnym tonem naukowca, którym przekazywał złe wiadomości – żeby znowu rozgrzebywano twoje prywatne sprawy, prawda?” To było okrutne, ale miał rację; ta groźba wystarczyła, by zamknąć jej usta i uzyskać zgodę na wyjazd Laury z ojcem. A kiedy ból stawał się nie do zniesienia, kiedy przygniatała ją rozpacz, przypominała sobie, jaką broń tak niemądrze dała mu do ręki. Ilekroć jej mózg zaczynał snuć fantazje o proteście i powzięciu kroków prawnych, powstrzymywała go. Powtarzała sobie, że Spencer może przecież zgłosić policji to, co zrobiła, na wniesienie oskarżenia nie jest jeszcze za późno.

– Laurze o wiele lepiej będzie z ojcem. – Gdy oświadczyła to bez ogródek po przyjeździe do Londynu, matka przestała krzątać się nerwowo po swojej supernowoczesnej kuchni i skupiła na niej uwagę. – Sama popatrz, mamó. Jestem w proszku. Jak mogę jej zapewnić to, czego potrzebuje? – Matka usiadła po drugiej stronie prostokątnego sosnowego stołu. Milczała, wpatrując się w nią oszołomionym wzrokiem. Paliła papierosa za papierosem i wciskała do drżących rąk córki niezliczone kolorowe kubki mocnej czarnej kawy.

Rachel o wiele bardziej wolałaby, żeby ją przytuliła. Rozpaczliwie pragnęła bliskości, ciepła drugiej istoty ludzkiej. Wtedy mogłaby się rozpłakać, a płacz uwolniłby tyle napięcia. Ale matka nie praktykowała dotykania. Sięgając pamięcią do czasów dzieciństwa, stwierdza, że jedynym przejawem wylewnej miłości było okazywanie silnych emocji. Była tylko kawa i papierosowy dym, więc to musiało wystarczyć. Zagadką dla Rachel pozostaje jednak brak pytań, bo oprócz zwyczajowo wymierzanych klapsów w tym domu zawsze stawiano pytania. Dlatego wydaje się dziwne, że po jej szczerym wyznaniu nie było żadnej dyskusji. Nawet o powody, dla których wróciła do domu na bliżej nieokreślony czas. Kiedy Rachel pojawiła się na progu w podobnym stanie jak siedem lat wcześniej, matka powitała ją bez zmrużenia oka. W milczeniu wskazała Rachel jej dawny pokój, udzielając jej rzeczowych instrukcji, by przewietrzyła pościel i odpowietrzyła kaloryfer. Rachel wysnuła z tego tylko taki wniosek, że matka została uprzedzona; że od początku była w zмовie ze Spencerem.

Dlatego nie, stwierdza, nie łudźmy się. Nigdy nie przyjaźniła się z matką i nie może już nic zrobić, aby to zmienić. Zamiast więc dzwonić, sprząta cały dom. Klęczy na kamiennej podłodze, nie zważając na przenikający przez nogawki dżinsów ziąb, i szoruje, dopóki nie rozboleją jej ręce. Wyciera i myje parapety i okna. Czyści z włosów odpływ w wannie. Poleruje krany. Wlewa wybielacz do toalety, czyści ją szczotką i spłukuje. Myśli: powinnam się tego domyślić. I widzi Grahama, jakiego poznała w ciągu minionych kilku tygodni, gdy stoi w otwartych drzwiach galerii, a blade słońce odbija się w jego lśniących czarnych włosach. Kończy rozmowę przez telefon, mówiąc: „Miło, że zadzwoniłaś; niedługo znowu pogadamy”. Skubie dolną wagę, kiedy się skupia, i cały czas podśpiewuje.

Nie, nie uwierzyła mu, nie do końca. Rozmawiał z nią jak pierwszego dnia w galerii, mówił o miłości, choć prawie jej nie znał. Tylko po co kłamał, i to w tak błahej sprawie? Ludzie kłamią, gdy mają coś do ukrycia, powinna o tym wiedzieć. Nic tu nie miało sensu.

Pod wpływem podawanych w radiu ostatnich informacji o Pauline Keene, trzeciej zamordowanej kobiecie, Rachel postanawia nazajutrz rano pojechać do Westburn i dzwoni do Tracy z prośbą, aby zajęła się psem.

Jakby widziała to naprawdę – Dom Opieki Pines... długa promenada... szafirowa wstęga nieba. Miasto nie mogło się aż tak zmienić, chyba łatwo znajde, myśli, przyciskając dłoń do żołądka, bo na wspomnienie Grahama ogarniają ją mdłości.

Tego samego wieczoru Rachel stwierdza, że potrzebuje mleka z zamrażarki, i myśląc o jutrzejszej wyprawie do Somerset, wychodzi na dwór, zbiega po śliskich kamiennych stopniach i w ciemności

zderza się z czyjś ciałem.

Drogę tarasuje jej Idris. W świetle latarki upiornie błyskają białka jego oczu.

Rachel krzyczy i oplata go w pasie ramieniem, żeby nie upaść.

– Co pan tu robi?! Po co pan się czai pod domem, o mało nie umarłam ze strachu!

– Znowu widziałem tego dżipa – sapie w odpowiedzi.

– Co?! – Jej głos przebija otaczający ich pierścień mroku, czarny i gęsty jak opona. – O czym pan mówi?

– O tym czarnym dżipie. – Idris wyciąga ciężkie ramię w stronę drogi. – Ciągle tam stoi.

Rachel jest zaskoczona i obecnością Idrisa, i nieznanym zagrożeniem, które nadeszło skądinąd. Mimo że nie widziała tego samochodu na własne oczy, nie oznacza to, że mniej się go obawia.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! – krzyczy.

– To nie jest wóz stąd, co nie? Za bardzo wypasiony. Pewnie jakaś japońska marka. Kosztują kupę pieniędzy. Pani wielbiciel to musi być nadziany facet.

– Mój wielbiciel?! – woła Rachel. – Niech się pan wynosi spod mojego domu, dobrze?! – Nie obchodzi jej, że drze się jak potępieniec albo jak wariatka – takich określił lubił używać Spencer – bo ten człowiek naprawdę ją przeraża. Swoją masą, drzemiacą w niej siłą; znowu przebiega jej przez myśl, że gdyby zechciał, mógłby ją zatłuc jak komara.

– Przepraszam. – Idris obojętnie wypuszcza w chłód białe obłoczki oddechu. – Zobaczyłem i przyszedłem ostrzec – pomyślałem sobie, że powinna pani wiedzieć, że pałęta się tu jakiś gość.

– Co? Ktoś jest w tym samochodzie? – piszczy Rachel.

– A jak – siedzi w środku. – Idris posyła jej w ciemności szeroki uśmiech.

– Skąd pan wie, że ten człowiek ma cokolwiek wspólnego ze mną? Mógł tu przyjechać do każdego. – Wracaj do środka, wracaj do środka, gorączkowo powtarza w myślach. – W każdym razie za cholerę nie ma nic wspólnego z panem. – Nie czeka, aż Idris odejdzie. Rezygnując z mleka na jutrzejsze śniadanie, rzuca się z powrotem po schodkach do drzwi, wpada do środka i przekręca zamek.

– Co, znowu jest? Słuchaj, nic się nie bój. Przyślę do ciebie Hywela. – Dom w Cwm Glas jest pusty, a Tracy, która ma pełne ręce roboty w owczarni, rozmawia z nią przez komórkę opanowanym i rzeczowym tonem, podczas gdy w tle brzmi donośne, żalosne beczenie rodzących owiec. – Czekaj spokojnie; nie wychodź z domu.

Kiedy pojawia się Hywel, czarny samochód zdążył już odjechać i Rachel czuje się głupio, że zawracała im głowę.

– Przypuszczam, że to rzeczywiście mógł być Graham – przyznaje po wykluczeniu wszystkich innych logicznych możliwości. Ma w głosie niepewność, wie, że jest coś winna Hywelowi, który niecierpliwił się, chcąc wrócić do swoich owiec. – Trochę dziwne, prawda? Nie wyobrażam sobie, żeby miał jechać taki kawał drogi, żeby posiedzieć w samochodzie; przecież przyszedłby się ze mną zobaczyć.

– Może masz innego wielbiciela. – Hywel myśli już o swoim stadzie.

Chwila ciszy. Rachel wpatruje się w swoje palce; wygląda na zdenerwowaną.

– A jeżeli to nie miało nic wspólnego ze mną – mówi cicho. – Jeżeli ten ktoś przyjeżdża spotykać się z kimś innym?

– Z kimś innym? – Parska śmiechem i wyciera ręce w ogrodniczki. – Z kim na przykład?

– Bo ja wiem? – Rachel wciąż unika kontaktu wzrokowego. – Może to jakiś znajomy Tracy?

– Znajomy Tracy... znajomy Tracy... jaki znajomy Tracy?

– Słuchaj, pewnie i tak powiedziałam ci już za dużo – mówi, odsuwając się od niego.

– Za dużo? Przecież nic mi nie powiedziałaś. – Hywel, marszcząc podejrzliwie czoło, wlepia w nią

pytający wzrok. – Co mi chcesz powiedzieć?

– Och, sama nie wiem. – Rozkłada przed nim ręce. – Słuchaj, powtarzam, powiedziałaś ci już za dużo. Powinieneś o tym porozmawiać z żoną, ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

Spogląda w oczy Hywela, widzi malującą się na jego twarzy nieufność: nieufność skierowaną bezpośrednio wobec niej. Robi jej się nieswojo; zaczyna żałować, że próbowała mu pomóc zrozumieć, jak żona kpi sobie z niego w żywe oczy.

Przygotowana na śniadanie grzanka z dżemem leży na talerzu i powoli staje się gumowata, a tymczasem Dai wpatruje się w telewizor, pochłonięty obrazami zaniedbanego nadbrzeża Westburn i podupadłego centrum miasta.

– Policja ujawniła dalsze szczegóły dotyczące zabójstwa ostatniej ofiary, Pauline Keene... osiemnastoletniej fryzjerki z Londynu... – Wyraźnie zziębnięty, zapięty pod szyję reporter BBC musi podnieść głos, by przekrzyczeć tłum demonstrantów, którzy zebrali się przed komendą policji i wymachując transparentami, domagają się kary dla sprawcy.

Co za miasto. Biedne dziewczyny. Ekran wypełniają ich trzy nieruchome twarze. Do czerwono-nosiego dziennikarza dołącza w końcu podinspektor Colin Bradley z komendy policji hrabstwa Somerset. Ciemnooki, przedwcześnie siwiejący mężczyzna ma na sobie mundur galowy. Całkiem podobny do tego aktora, George'a Clooneya, myśli Dai, tyle że ten biedak ma pod oczami brzydkie worki jak hamaki i wygląda, jakby nie spał od kilku tygodni.

– Jeszcze raz apelujemy – terkocze podinspektor swoim akcentem z West Country, podnosząc głos, by przebić się przez szydercze gwizdy demonstrantów – do kierowcy granatowej ciężarówki z naczepą, którego widziano tamtego wieczoru w pobliżu miejsca odnalezienia zwłok Pauline Keene, aby jak najszybciej zgłosił się do nas i pomógł w dochodzeniu. Z otrzymanych przez nas informacji wynika, że numery rejestracyjne mogły zawierać litery E i J. To naprawdę bardzo ważne, aby ten kierowca się odnalazł. Jeżeli ktokolwiek może nam udzielić pomocy w tej kwestii...

– Co? Co? Granatowy? – Dai zrywa się na równe nogi, a nietknięte śniadanie spada na dywan. – E i J? E i J? Cholera, nie wierzę, przecież to numery Idrisa. – Idrisa, który ciągle wyjeżdża w trasy ciągnikiem siodłowym i przechwala się, jakie ma powodzenie; ile babeczek obrabia w Somerset. – Tylko mi nie mówcie, że Denzil miał rację... o Boże, powinienem pojechać na policję... jeżeli to ty, niech cię szlag, tym razem mi za to zapłacisz. I za to, co zrobiłeś Beth i mnie, sukinsynu.

Łapiąc skafander i kluczyki do samochodu, Dai nie wyłącza telewizora ani nie ratuje skromnego posiłku, który leży stroną z dżemem na podłodze salonu. Przystaje tylko na moment, żeby zamknąć drzwi, po czym wsuwa ramiona do rękawów kurtki i w kilka sekund wskakuje za kierownicę srebrnego fiata uno, odpalając silnik. Wciskając gaz do dechy, żałuje, że nie posłuchał Elsie i nie sprawił sobie nowego, mocniejszego wozu, kiedy nadarzyła się okazja.

Podczas dwugodzinnej jazdy do Westburn Rachel myśli o Laurze. O tym, jak lęki przed śmiercią łóżeczkową i uduszeniem osłabły, kiedy wyszła z niemowlęstwa, ale ustąpiły miejsca innym zmartwieniom, które pojawiły się, kiedy Laura zaczęła przejawiać pewność siebie, odkrywając zdolność do samodzielnego myślenia i dokonywania wyborów w życiu. Wybrała ojca. Zanosila się płaczem i małymi piąstkami odpychała matkę, odtrącając jej troskę i czułość, za każdym razem przedkładając miłość ojca nad uczucie matki. Rachel stwierdziła, że jest zupełnie nieprzygotowana na tę kiełkującą wojowniczość. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego córka ją odrzuca, uważała, że to irracjonalne, i zadawała sobie pytanie, czym Spencer sobie zasłużył na tak szczególne względy. Przecież to nie on nosił ją przez dziewięć miesięcy, nie on znosił bóle porodowe i przewrócił sobie do góry nogami całe życie. Co takiego złego zrobiła? Dlaczego nie wystarczała Laurze? Inne dzieci tak się nie zachowywały.

Wkrótce fundamentalna potrzeba Rachel bycia kochaną skrzepła w twardą skorupę urazy. Nigdy nie umiała sobie radzić z brakiem akceptacji, który ją dręczył i mącił rozsądniejsze rady bardziej doświadczonych matek w ośrodku na zajęciach o tworzeniu więzi z dzieckiem. Przekonywały ją, że jej córka po prostu przechodzi taki okres i z czasem z tego wyrośnie. „Dzieci tak mają”, powtarzały chórem, wyczuwając jej zgryzotę i pragnienie otuchy. „Robią to, żeby cię sprawdzić”.

Potem przyszedł dzień, kiedy pogoda uwięziła je w domu, a Rachel próbowała namówić Laurę, żeby usiadła do lunchu. Na talerzu z Piotrusiem Królikiem stygły jej ulubione paluszki rybne i groszek. „Chcę tatusia”. Tak się zaczęło. Od szczególnie przewrotnej prośby, ponieważ był dzień powszedni i „tatuś” był w laboratorium. Udręka Laury wzmagała się z szybkością pożaru buszu, by w ciągu kilku minut przeobrazić się w prawdziwy koncert wrzasku. Rachel, obawiając się sąsiadów, nie miała pojęcia, co począć. Z zaciśniętymi szczękami chodziła za dzieckiem jak cień od pokoju do pokoju. „Nienawidzę cię. Nienawidzę cię. Nie jesteś moją mamusią. Nienawidzę cię”.

Chwilę po tym, jak Rachel machnęła ręką, jej oczy stały się wielkie jak spodki. Uderzyła Laurę w policzek tak mocno, że ta się przewróciła. Żalony widok, na którego wspomnienie pieką ją oczy. Laura jednak nie płakała, była dziwnie cicha. Tak cicha, że Rachel mogłaby sobie wyobrazić, że w ogóle jej nie uderzyła. Gdyby nie ten rozkwitający siniak. Sierpowate rozcięcie tuż pod okiem, gdzie jej pierścionek zaręczynowy zderzył się z zarumienioną twarzą Laury.

Rachel nie wie, dlaczego właściwie o tym dzisiaj myśli. Jej wzrok błądzi po szarej krzywiźnie drogi bez oznakowań, krętej i otoczonej po obu stronach mokrymi pasami pobocza, gdzie jedynym barwnym akcentem wśród posępnych zimowych zarośli są skórzaste liście bluszczu. Na sekundę opuszcza szybę i próbuje wyrzucić tamto wspomnienie jak ogryzek jabłka, chcąc się skupić na czekającym ją dniu i pytaniach, które wymagają wyjaśnień. Po chwili zauważa, że niebo przejaśnia się i przerzedza, im dalej zmierza na południe, a potem na zachód, i nastrój zaczyna się jej poprawiać.

Podróż, która rozpoczęła się jeszcze przed świtem, przebiegała dość gładko aż do Newport, ale od Severn Bridge i wjazdu na M5 Rachel natrafiała na zator za zatorem. Nie poznaje drogi do Westburn, otoczonej mnóstwem nowej zabudowy, i orientuje się, że jest na miejscu, dopiero gdy odczytuje nazwę miasta na tablicy. Mija rozległe nowe osiedla z czerwonej cegły, podmiejskie centra handlowe i duży

budynek McDonalda dla zmotoryzowanych, nie widząc nigdzie ani źdźbła trawy. Westburn stało się kolejną przygnębiającą górą betonu. Nie do odróżnienia od tyłu miast, przez które dziś przejeżdżała. Dopóki nie zobaczy morza. Wstrzymuje oddech ze zdumienia. Jest przypyływ i błękitna tafla skrzy się w ostrym zimowym słońcu – blask wpadający przez szybę na moment ją oślepia. Na promenadzie nie ma leżaków w prążki, które pamięta z przyjazdów z ojcem, armii sprzedawców plażowych zabawek ani rozmaitych furgonetek z lodami w rożkach i hamburgerami w przeróżnych konfiguracjach. Tłoczy się na niej za to tłum spacerowiczów. Z psami. Idą z zaciśniętymi zębami, zmagając się z wiatrem.

Mapa, którą ma w głowie, podpowiada jej, że Royal Parade przechodzi w Knightstone Road, co oznacza, że Dom Opieki Pines powinien być po prawej. I jest. Widząc wypłowiwały szyld, włącza kierunkowskaz i wjeżdża na pochyły kwadrat asfaltu podzielony jaskrawożółtymi liniami na równe prostokąty. Pines, ze zdobioną sztukaterią fasadą z wykuszami, z której łuszczy się hiacyntowa farba, wyraźnie odcina się od otaczających go betonowych budynków z lat sześćdziesiątych. Te bardziej przypominają bloki czynszowe we wschodnim Londynie niż zabudowę nadmorskiego miasteczka. Tyle że są nieoszczędzone przez graffiti, a z pełnymi zieleni balkonami, które wychodzą na Kanał Bristolski, wcale nie wyglądają najgorzej. Jeżeli chodzi o widok z okien, Pines oferuje swoim pensjonariuszom panoramę ogromnej oranżerii w stylu wiktoriańskim, spoconej jak cieplarnia za wielkimi szybami.

Z tym wrażeniem gorąca Rachel wchodzi do przestronnego holu. Za automatycznymi drzwiami, które zamykają się za nią z sykiem, jest wilgotno jak na krytym basenie. Rachel natychmiast zrzuca kurtkę i czekając, aż recepcjonistka skończy rozmawiać przez telefon, bawi się kołnierzem bluzki i paskiem, ponieważ w ubraniu z syntetycznych materiałów jest jej wyjątkowo niewygodnie.

Rozlega się stuk odkładanej słuchawki i recepcjonistka spogląda na nią z uśmiechem.

– Mogę czymś pani służyć?

– Chciałabym spytać – zaczyna Rachel – czy mogę się widzieć z panią Parnell? Przepraszam, nie umówiłam się wcześniej, nie uprzedzałam... ale właśnie byłam w pobl...

– Z April? – przerywa puciołowata dziewczyna. – April Parnell z pokoju numer piętnaście?

Pytanie czy stwierdzenie? Na podstawie intonacji trudno ocenić.

Żadnej prośby o dokument, żadnych pytań o powód wizyty. Kiedy Rachel składa podpis we wskazanym miejscu w księdze gości, słucha instrukcji, by pójść w kierunku wskazanym przez pulchne ramię i skręcić w korytarz w lewo, a pokój April Parnell będzie tuż przed wejściem do wspólnej sali.

Rachel rusza w tę stronę, zakłopotana głośnym stukotem swoich obcasów. Po drodze analizuje jej imię, usiłując doszukać się w nim wskazówek co do Grahama. April. Ogląda je ze wszystkich stron, sprawdzając, czy między literami nie kryją się żadne pułapki ani miny. April. Kwiecień to pora szybko płynących chmur i nagłych ulew. W wyobraźni widzi nie w pełni rozkwitłe żonkile kołyszące się w ostrym żółtym blasku słońca. Dochodzi do wniosku, że osoba, której dano tak na imię, powinna być raczej nieszkodliwa.

Kilka sekund później staje przed drzwiami z numerem piętnastym, ale słysząc głosy z sąsiedniego pokoju, zagląda tam, by sprawdzić, co się dzieje. I zaraz żałuje, że to zrobiła. Jej oczom ukazuje się przygnębiająco pusta i nieprzytulna przestrzeń, oświetlona jaskrawo jak sala operacyjna. Na podłodze wyłożonej linoleum pod wszystkimi nagimi ścianami stoją rzędem krzesła. Dalej widać przeszklony dach i ściany spotniałej oranżerii, którą widziała z zewnątrz. Fu, otrząsa się, wciągając w nozdrza zapachy szkolnego obiadu przemieszane z kwaśnym odorem moczu, które sprawiają, że Rachel zakrywa dłonią usta.

Zwabiona głosem opiekunki, widzi szerokie plecy kobiety, która podśpiewując jakąś melodię rozbrzmiewającą jej w głowie, apodyktycznie rozpycha się wśród swoich podopiecznych. Surowa twarz, maska z grubej warstwy makijażu, blada jak wosk. W niemodnych martensach z brytyjską flagą

i z przyjemnością chłonąc jej śpiewną intonację. Splata na kolanach ręce, odnajduje i zaczyna skubać brzegi gwiazdzistej blizny. – Po prostu miło mi... że w końcu mogę panią poznać.

– Dziękuję, kochana. Mnie też miło cię poznać – i zobaczyć, jaka z ciebie piękna dziewczyna. Rozumiem już, dlaczego zrobiłaś takie wrażenie na moim Grahamie.

Rachel nie ma pojęcia, co powiedzieć. Niezupełnie wie, po co tu przyjechała. Na co liczyła, postanawiając ni stąd, ni zowąd pokonać taki kawał drogi? To śmieszne mieć nadzieję, że ta staruszka rozwieje jej wątpliwości związane z mężczyzną, którego chyba kocha, choć wydaje się, jakby prawie w ogóle go nie znała. Wątpi, by ci dwoje byli ze sobą blisko, bo dlaczego wywiózł ją aż tutaj, tak daleko od siebie? Do miasta, o którym rzekomo nic nie wiedział.

– Jak ci minęła podróż, kochanie? – Półprzezroczyta skóra pani Parnell pierzchnie w suchym jak pieprz powietrzu.

I Rachel opowiada. O swojej drodze przez wiejskie krajobrazy, o tym, że nigdy dotąd nie widziała takich deszczów. O wyprowadzce z Londynu, o powodach, dla których wybrała Walię, o swoim szczęściu w ślicznym nowym domu. O Cadno.

– Cadno... – April Parnell zamyśla się nad tym słowem. – Nie mów mi, nie mów... to znaczy „lis”.

– Tak – dziwi się Rachel. – Zna pani walijski?

– Teraz tylko trochę, w dzieciństwie byłam dwujęzyczna, jak wiele dzieci, ale cóż, organ nieużywany zanika. – Chichocze, układając usta w kształt litery O. – Śliczne imię dla psa, jaka to rasa?

– Border collie.

– Najlepsza. – Drobną postać pani Parnell ożywia się i klaszcze w dłonie w półmroku pokoju. – Świetnie radzą sobie z owcami. Mój ojciec je hodował, zanim sprzedał farmę. – I spogląda w przestrzeń, błędząc wspomnieniami daleko stąd.

Rachel uśmiecha się, ale nie zdradza przyczyny swojego rozbawienia i nie wtajemnicza pani Parnell w fakt, że umiejętności pasterskie Cadno pozostawiają wiele do życzenia. Odrywając na moment uwagę od gospodyni, omiata spojrzeniem pokój. Zauważa, że oprócz nocnego stolika, na którym stoi kilka oprawionych fotografii, w pokoju jest tylko łóżko, niewielka szafa, umywalka z lustrem oraz kilka pustych półek. Żadnych obrazów na ścianach, żadnych książek. Naprawdę smutne, że ta kobieta nie ma tu prawie nic swojego, a musi być już dobrze po siedemdziesiątce. Tylko to jej zostało z całego życia?

– Opowiedz mi, jak się poznaliście z Grahamem – prosi kobieta, której włosy przypominają resztki puchu na dmuchawcu.

Rachel pozostawia na chwilę pytanie w zawieszeniu, wracając myślą z przegrzanego pokoju do pierwszego spotkania w galerii.

– Kupiłam od niego obraz. Pejzaż okolicy, w której mieszkam. – Wspomnienie tego widoku wywołuje uśmiech i pozwala jej na moment zapomnieć o gorzkiej łyżce dziegciu. O jego kłamstwie, które ją tu sprowadziło.

– Och, wieś, cudownie – mówi pani Parnell. – Chociaż zdziwiłam się, że Graham chciał zamieszkać tak daleko w głębi łądu. Zawsze uwielbiał morze. Mówił, że jego szum działa na niego kojąco.

– Niedawno zabrał mnie nad morze; rzeczywiście bardzo mu się podobało – przytakuje Rachel.

– Czyli poznaliście się w galerii – podsumowuje April Parnell. – Mój syn ma głowę do interesów. Wykapany ojciec, po mnie na pewno nie ma żadnego talentu. Jego ojciec był muzykiem, Graham mówił? Graham jest taki sam. Ma śliczny głos – słyszałaś, jak śpiewa? Ciągłe śpiewa. W każdym razie jego ojciec był bardzo utalentowany. I przystojny... ooch, ależ był przystojny. – Wymawia te słowa powoli, na wdechu, a Rachel domyśla się, że myśli o nieżyjącym od dawna mężu. – Tak, on i Graham byli jak dwie krople wody; byliśmy załamani, kiedy odszedł, ale to Graham cierpiał najbardziej. I szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby do dziś otrząsnął się z tego szoku.

– Straszne. – Rachel kręci głową, spoglądając jej w oczy ze współczuciem. – Tak młodo pani owdowiała.

– Owdowiałam?! – April prostuje się jak struna na wózku i krztusi się ze śmiechu. – Któż ci tak naopowiadał? Och, nie, kochana, on nie umarł – on nas zostawił. Graham miał dziesięć lat, Eleanor osiem. Zwiął którejs nocy, nawet się nie pożegnał – zostawił nas właściwie bez środków do życia.

– Boże, to okropne. – Rachel nachyla się bliżej; nie chce uronić ani jednego szczegółu.

– Mieliśmy kiedyś smażalnię przy nabrzeżu, tu w Westburn. Och, wieki temu. Na początku lat osiemdziesiątych. To była nasza mała żyła złota. Firma mojego ojca, tato miał naprawdę zmysł praktyczny. Kupił dobrze prosperujący interes, kiedy sprzedali z mamą farmę. Po nich firmę przejęliśmy my... ja i... mój mąż... dziwne. – Pani Parnell znowu parska zduszonym śmiechem. – Nawet po tylu latach ciągle nie mogę się zmusić, żeby wymówić jego imię. W każdym razie podbierał pieniądze z kasy. Wycisnął nas jak gąbkę i kiedy zwiął, nic nie zostało. Nazywał to swoim kieszonkowym, które wydawał na zabawy w klubach. A ja przymykałam oczy, bo przecież mieliśmy rodzinę, cudowny dom. Ale byłam głupia. Strasznie, strasznie głupia.

– To znaczy, że był ktoś inny? – Rachel nie wie, co powiedzieć, analizując to, co Graham jej powiedział, a czego nie. „Wykapany ojciec”. Słowa April wirują jak karuzela, wywołują mdłości. Graham wystrychnął ją na dudka, tak jak jego ojciec matkę.

– Ktoś inny?! Och, tak, na pewno, a z tego, jak wydawał pieniądze, doprowadzając nas do ruiny, mogłam się domyślić. – Rachel z wyrazem konsternacji na twarzy przygląda się, jak April Parnell przetrząsa swoją przeszłość, szukając słów, by wyrazić to, co najwyraźniej koniecznie chce z siebie wyrzucić. – Co noc ktoś inny – oznajmia wreszcie. – Włóczył się po klubach, sypiał z dziewczynami o połowę młodszymi od siebie. Dzisiaj pewnie wsadziliby go za to za kratki. – Zdumiona jej szczerością i gniewem Rachel widzi, jak staruszka robi dziwną minę i wzdryga się na stojącym w półmroku wózku. – Nie masz pojęcia, jak to się odbiło na Grahamie. – Pani Parnell ze świstem wciąga powietrze do płuc. – Jego reakcja mnie przeraziła; był chory ze wstydu, zresztą chyba jest do dzisiaj. Naprawdę, kochanie, przysięgam, że gdyby był troszeczkę starszy, chybaby go zabił.

W jasnym jak lód słońcu, pod niebem, na którym kołują rozkrzyczane mewy, Rachel schodzi po schodach domu opieki i rusza w kierunku samochodu. Wyraźnie widać jej zdenerwowanie; idzie z opuszczoną głową, co chwila rozdrażnionym i gwałtownym ruchem odgarnia z oczu włosy, których tam nie ma. Zaniepokojona obrazem, jaki układa się jej w głowie, nie ma pojęcia, co ma z tym wszystkim począć. Czy powinna iść na policję – opowiedzieć o nieproporcjonalnie gwałtownej reakcji Grahama, gdy zobaczył tamte dziewczyny w Llandafen, o jego kłamstwie, że nic nie wie o Westburn? Czy informacje o jego ojcu, które przed chwilą ujawniła matka, mogą być jakimś perwersyjnym motywem? Musi coś zrobić. A jeżeli to on parkował pod jej domem w nocy i podejrzewa, że Rachel odkryła jego tajemnicę – może być jego następnym celem.

Rachel nie widzi dużego czarnego SUV-a zaparkowanego przodem do oszklonych drzwi Pines. Człowiek w środku przypatruje się jej z kamienną miną. Ma napiętą skórę na kostkach palców, które z bezlitosną siłą ściskają kierownicę.

Rzeczy, które Jennifer znalazła w pokoju Donalda przed Bożym Narodzeniem, zniknęły. Jest najzupełniej przekonana, szukając po omacku w panice, że włożyła trzydzieści kilka zdjęć zrobionych polaroidem do szuflady swojego biurka, chowając je dla bezpieczeństwa za listami od Spencera.

Oprócz tego wszystko wskazuje na to, że zniknęła także jej gosposia. Nie widziała pani Pepper od kilku dni. Dzwoniła pod jedyny numer, jaki od niej dostała, lecz nikt nie odbierał. Nie trzeba geniusza, żeby zrozumieć, co się stało, a gdy Jennifer kojarzy jedno z drugim, ogarnia ją dziwny spokój. Być może to lepiej, że zdradziła ją pomoc domowa, osoba, która podawała się za przyjaciółkę rodziny. Tylko po co – dla pieniędzy? Bo mało prawdopodobne, by z tym, co wyszło na światło dzienne, poszła na policję. Sprzedaż tego odkrycia gazetom gwarantowałaby natychmiastowy skutek i sowitą nagrodę.

Co za okropne rozczarowanie. Jennifer przymruża oczy i spogląda na zarys swojego odbicia w szybie okna gabinetu. Zawsze uważała poczciwą panią Pepper za rzetelną i uczciwą osobę. Na pewno nigdy nie podejrzewała jej o to, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Dlaczego akurat teraz, skoro od początku o to jej chodziło? Przecież mogła sprzedać wszystko prasie już dawno temu. Sępy czyhały od lat i chętnie zapłaciłyby niezłą sumkę za każdą ciekawostkę na temat codziennych spraw w domu D’Villezów. Niestety zainteresowanie jej rodziną nigdy nie wygasło, a wydawcy prasy przez lata szarpali tę dawną historię jak kawał padliny. Wciąż pozostawało zagadką, dlaczego John Blundell – zabójca własnej żony i gwałciciel – nie pozbył się Sarah, kiedy miał okazję. Dlaczego pozwolił jej żyć i zeznawać przeciwko sobie. Niewiele byłoby trzeba, aby na nowo rozpalić zaciekawienie czytelników. Obywatele Wielkiej Brytanii nie żałowałyby pieniędzy, by poznać szczegóły z życia Blondynki Blundella, jak nazwały ją tabloidy – o przykrych okolicznościach rozwodu, o powodach utraty prawa opieki nad jedynym dzieckiem. Tylko ta sensacja pozwoliłaby sprzedać kilka tysięcy dodatkowego nakładu. Nie wspominając o przedziwnej sytuacji rodzinnej, w jakiej się później znalazła. Musiała wprowadzić się z powrotem do rodziców, pozostała samotna, nie miała przyjaciół, straciła pracę i bała się wyjść z domu. Mogliby przyrządzić z tego naprawdę smakowite danie, zwłaszcza korzystając z pikantnych detali, w które była wtajemniczona pani Pepper.

Jennifer zdaje sobie sprawę, że bez względu na to, co się stało ze zdjęciami, niewiele może zrobić. Wszystko przez Sarah, przez jej głupotę, powinna zniszczyć je, gdy miała okazję. Po co, do cholery, je trzymała? To miała być jakaś chora pamiątka? Jennifer jednak wie, że Sarah nigdy by się ich nie pozbyła, charakter tych zdjęć wskazuje, że zapewne zaspokajały jej próżność i nieprzyzwoite skłonności. Jennifer może być pewna tylko tego, że nie będzie musiała zbyt długo czekać na wiadomości, najprawdopodobniej przeczyta o tym jeszcze w tym tygodniu. Reputacja jej rodziny znowu zostanie zszargana. Wzdycha – to akurat nic nowego. Przecież właśnie w ten sposób dowiedziała się o rzekomych rozwiązłych czynach, jakie spotkały jej córkę, kiedy więził ją porywacz. Sarah nie chciała opowiedzieć jej o tym twarzą w twarz. Jennifer powinna chyba być wdzięczna, że córka przynajmniej szanowała ją na tyle, by jej tego oszczędzić. Ciekawe tylko, jak to się stało, że pani Pepper nie natrafiła na zdjęcia wcześniej. Ale Donald od przejścia na emeryturę prawie nie opuszczał pokoju, a z pewnością nie w ciągu choroby, kobieta musiała więc sprzątać w jego obecności. Jedynie Sarah miała nieograniczony dostęp. Kiedy ręce

odmówiły mu posłuszeństwa, tylko jej pozwalał wyjmować swoje cenne płyty z kopert, kłaść na talerzu gramofonu i odtwarzać. Czytać mu, gdy nie potrafił już skupić oczu na druku. Nalewać kawę i karmić ciastkami imbirowymi, które maczała w swojej czarnej herbacie Earl Grey. Przykro pomyśleć, że jej mąż mógł pomagać ich córce ukryć istotne dowody, i choć nie bardzo wierzy, że mógłby zrobić coś takiego, wskazywałoby to przyczynę choroby – do ataków musiał doprowadzić stres. Jennifer nie mogła jednak nic na to poradzić, nie miała nic wspólnego z tym, co działo się za drzwiami tego pokoju. Donald dał jej to jasno do zrozumienia, domagając się prawa do posiadania własnej przestrzeni, więc zgodziła się i wcale tam nie wchodziła.

Odkrycie tych fotek odpowiedziało na wiele pytań Jennifer, która od początku podejrzewała, że wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, niż się wydawało. Pozostaje jednak jedno pytanie – kto naprawdę zabił żonę Johna Blundella? Przed oczami staje jej obraz Sarah i dreszcz przeszywa jej ciało. Widok jej córki tamtego ciepłego wrześniowego dnia jest dziś równie szokujący jak wtedy: jej histeryczny wrzask; cień jej pięści łomoczących w witrażowy panel drzwi wejściowych. Pamięta, jaka była zakrwawiona, kiedy Donald ją wpuścił. Na skąpym ubraniu i w pięknych blond włosach miała długie i nierówne czerwone lepkie pasma, gdy stała nieruchomo i zszokowanym wzrokiem wpatrywała się w dywan w przedpokoju, który później musieli wyrzucić.

Wstrząsa nią dreszcz. Zastanawiając się jeszcze raz nad obrazem Sarah, który nosiła w sobie przez tyle lat, Jennifer zaczyna się obawiać, że być może już zna odpowiedź.

Przyjeżdżają po Idrisa przed świtem. Niebieskie światła pulsują wraz z deszczem, rozbłyskując na grubym kamiennym murze jego domku. W pierwszej chwili myśli, że mu zimno i że światło dziwnie wygląda. Potem myśli o Beth. Widzi jej upiornie bladą twarz, która unosi się lekko jak piórko w nogach łóżka. Delikatną i zwiewną jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni. Pewnie znaleźli to, co z niej zostało. O to chodzi. Po pięćdziesięciu latach poszukiwań znaleźli jej ciało i przyszli po niego. Chcą wymierzyć sprawiedliwość jej ostatniemu żyjącemu krewnemu.

Po drobnej szamotaninie Idris stoi na drodze. Prawie nie dali mu czasu, żeby się ubrać, więc wciąga spodnie na kalesony, a także roboczą kurtkę, która cuchnie zdechłym kotem. Myślą, że potrzeba trzech ludzi, żeby go wsadzić do policyjnej furgonetki. Głupie sukinsyny. Nie widzą, że nie ma ochoty się wyrwać? Nie po takim czasie. Nie jest już nastolatkiem. Jeżeli znaleźli jego siostrę, zgoda, odpowie na ich pytania.

– Idris Geraint Tudor?

Wydaje potakujący pomruk.

– Musi pan pojechać z nami na komisariat. Samochód o numerach rejestracyjnych odpowiadających numerom pańskiej... widziano w Westburn-on-Sea... w pobliżu miejsca, w którym znaleziono ciało Pauline Keene... pytań... wykluczyć pana z kręgu podejrzanych...

Niezupełnie rozbudzony wyławia tylko niektóre słowa i przypuszcza, że chodzi im o Beth. Kurwa, kto to jest ta Pauline? Pewnie się kretyni pomylili. Wyczuwa na plecach pięść i słyszy trzaski w radiu zawieszonym na pasie młodego policjanta, który prowadzi go w kierunku radiowozu. Kiedy Idris spogląda na jego twarz, widzi, że to syn Neville'a Reesa – Neville'a, który pod sklepem zawsze chętnie opowiadał mu sprośne kawały. Idris wydaje niewyraźny, niezrozumiały dźwięk. Zamierza wierzgać? Reszta funkcjonariuszy szybko otacza go kołem, z rękami na pałkach i kajdankach, gotowi do stłumienia buntu. Nic. Rozczarowuje ich uległość i apatia Idrisa. Szykowali się do bójki, zamierzali mu wlepić nakaz aresztowania za czynną napaść na policjantów, ale wbrew zapowiedziom sąsiada, który im go wskazał, nie spotykają się z żadnymi oznakami agresji.

Idrisowi odbierają rzeczy osobiste, fotografują go i zdejmują mu odciski palców. Pobierają od niego próbki DNA z ust i wymaz ze skóry rąk i dłoni. Pytają go, czy chce do kogoś zatelefonować i czy ma adwokata, którego chciałby wezwać. W odpowiedzi na obydwa pytania kręci głową i zostaje poinformowany, że w takim razie znajdą mu prawnika. Kiedy popychają go i prowadzą z recepcji do celi, rozgląda się dookoła, przypominając sobie to miejsce z czasów, gdy zaginęła Beth, kiedy przywieziono go tutaj z braćmi na przesłuchanie. Może recepcja wygląda inaczej, mają tu teraz płaski monitor, kuloodporną szybę i kamerę monitoringu skierowaną na wejście do komisariatu policji w Llandafen. Szarocytrynowe płytki linoleum wyglądają jak unowocześniona wersja podłogi sprzed pięćdziesięciu lat, to samo dotyczy krzesel, plakatów, automatu z napojami. Ale zapach jest ten sam. Nie można go nie rozpoznać. Odór strachu, potu i gumy, jak w sali gimnastycznej w jego dawnej szkole po lekcjach WF-u.

Idris nigdy wcześniej nie był w celi. Zatrząskują się za nim drzwi, zgrzyta klucz w zamku. Panuje

dziwna cisza. Spodziewał się wrzasków innych więźniów, jak w telewizji, ale nikt się nie odzywa, jak gdyby nie było tu nikogo. W nozdrzach wierci go zapach rzygowin, który ledwie maskuje kwiatowy środek dezynfekcyjny. Widzi ich zaschnięte plamy na metalowych nogach łóżka z materacem cienkim jak kromka chleba, które jęczy pod jego ciężarem jak wiatr, kiedy napiera na kamienne mury jego domku. Spogląda na jedyne okno w celi, za wysoko, by do niego sięgnąć, przez które widać szary kwadrat nieba. Żadnych ptaków, chmur, żadnego ruchu. Patrzy na swoje ręce i nie mając nic innego do roboty, podwija rękawy do łokci. Światło jest tak ostre, że rdzawe kępki włosów porastające jego ramiona wyglądają obco, są bardziej widoczne i gęste, niż sobie uświadamiał. Im dłużej wpatruje się w zarośnięte brudem pory na mięsistych dłoniach, tym bardziej przypominają głębokie kratery.

– Tak, znam ją. – Idris, przyprowadzony pod eskortą kilka godzin później do pokoju przesłuchań o kremowych ścianach, dźga brudnym palcem fotografię twarzy Pauline Keene. Mówi to takim tonem, jakby się chwalił, ochoczo przyznając się do znajomości z trzecią z zamordowanych dziewczyn. Na zdjęcia Issy Lake i Wendy Denny, które także leżą na stole, nie zwraca uwagi. – I co z tego?

– Mógłby nam pan powiedzieć, jak ją pan poznał, panie Tudor? – Komisarz Nathan Watts. Na pewno godny przeciwnik dla Idrisa. Utrzymuje formę rugbysty na wypadek, gdyby jego dawny klub Felinfach RFC potrzebował lewego filara na mecz w sobotę, bo jeden z zawodników się rozchorował.

– Jej się podobało, mi też: to nie jest nielegalne. – Idris lubieżnie łypie na młodą i atrakcyjną sierżant Helen Monroe. Prześlizguje się spojrzeniem po szczupłej blondynce: akurat w jego typie.

– Uprawianie seksu? Ma pan rację, panie Tudor, to nie jest nielegalne. – Sierżant Monroe, inteligentna jak bies, najlepsza na swoim roku, nie zamierza pozwolić temu bydlakowi rozbierać się wzrokiem. – Ale morderstwo już tak.

– Morderstwo? – Najwyraźniej zaintrygowany tym słowem, Idris pochyla się i opiera na blacie potężne ramiona. Jest ogromny jak prasa do słomy John Deere, którą niedawno kupił ojciec, myśli Monroe; podejrzany stara się jak może wytrącić ją z równowagi uśmiechem. – A kogo niby miałbym zamordować, *cariad*? – Stuka w trzy twarze ofiar z taką siłą, że cały stół się trzęsie.

– No więc jak to wyglądało: wziął ją pan do swojej ciężarówki? Uprawiał pan z nią seks w kabinie, panie Tudor, tak?

– Skoro tak mówicie.

– Och, oczywiście, że tak mówimy. – Komisarz Watts wymachuje mu przed nosem trzema zadrukowanymi kartkami, które podobno zawierają raport patologa. – Zechce pan wytłumaczyć, jak krew Pauline Keene znalazła się na siedzeniach pańskiej ciężarówki, panie Tudor?

Idris wzrusza ramionami. Kładzie pokaźne dłonie na kolanach.

– Proszę do mikrofonu, panie Tudor.

– Tak, była w mojej kabinie.

– I co?

– Jak co? – Bruzdy na twarzy Idrisa rozciąga znaczący uśmiešek. – Chcecie znać szczegóły, nie? – Kieruje pytanie do sierżant Monroe. – To cię kręci, nie, złotko?

– Tak, panie Tudor. Wszystko, co pan pamięta, każde słowo, które zostało powiedziane.

– No, umówiliśmy się, co dla mnie robi, a potem... no... zaczęła się wycofywać, nie?

– Nie wiem, panie Tudor. Zaczęła?

– Zaczęła, suka... cuchnęła jak sklep rybny. Nie, no nawet nie była w moim typie, jak mam być szczery.

Monroe i Watts wymieniają dłuższe spojrzenie. Współpracując już od kilku miesięcy, prowadzili razem całkiem sporo spraw, ale żadna z nich nie była tak odrażająca. Zazwyczaj nawet najbardziej zdemoralizowane szumowiny wykazują przynajmniej odrobinę skruchy, gdy zostają przyparte do muru.

Nawet jeśli tylko udają w nadziei na łagodniejszy wyrok. Ale Idris Tudor nie wykazuje ani żdźbła wyrzutów sumienia. Jego masa jest przerażająca, oboje widzieli zdjęcia zamordowanych dziewczyn, zdjęcia, których nie można wydrukować w gazetach ani pokazać ich rodzinom. Dla niego to nic, ich delikatne ptasie kości mogłyby trzasnąć w tych łapskach jak gałązki. Ich zakrwawione, bezwładne ciała znaczyły dla niego tyle co śmieci, wyrzucone jak worki odpadków. Mniej niż żałosne. Te kobiety były czyimiś córkami, siostrami, przyjaciółkami.

– Dlaczego została pokrojona? – Sierżant Monroe z lodowatym wzrokiem podsuwa mu kolorową fotografię, której Idris jeszcze nie widział, przedstawiającą zmasakrowane zwłoki Pauline Keene. Doświadczeni detektywi nie pokazują tego po sobie, ale fakt, że Idris nawet się nie wzdryga, poważnie ich niepokoi.

– Nic o tym nie wiem – mówi, biorąc zdjęcie do ręki, aby przyrzeć się z bliska.

Sierżant Monroe obserwuje go. Ten świr najwyraźniej czerpie z tego przyjemność.

– Pański sąsiad uważa, że w przeszłości dopuszczał się pan przemocy wobec swojej siostry – mówi komisarz Watts, chcąc mu zepsuć zabawę. – Twierdzi, że zniknęła, gdy miała czternaście lat.

– O, niech zgadnę. – Idris odrzuca głowę do tyłu z dzikim błyskiem w oczach, na którego widok detektywi odruchowo odsuwają się na krzesłach. – Mówimy o pieprzonym Daiu Jonesie, nie? Mam rację? Mam rację? – Monroe i Watts milczą, przyglądając się w skupieniu, życząc sobie, aby ich główny podejrzany wpakował się w jeszcze większe tarapaty. – Mówię wam, lepiej nie zwracać uwagi na nic, co ten kurdupel wygaduje. To wszystko z zazdrości. Kochał się w niej, głupi sukinsyn. Ale ona była taka jak wszystkie, głupia zdzira, nie mogła się powstrzymać przed zdejmowaniem majtek. To nie moja wina, że wolała mnie i moich braci od niego.

– Nie ukrywam, szefie. – Na korytarzu sierżant Monroe przeczesuje dłonią jasne włosy i oddycha z ulgą. – Cieszę się, że stamtąd wyszłam. Co to za historia z jego siostrą? Kiedy tego wysłuchałam, czuję, że muszę się umyć.

– Tak, skóra może ścierpnąć, prawda? Trzeba będzie odkazić cały komisariat. – Komisarz Watts idzie w kierunku pokoju operacyjnego, przemierzając wykładzinę długimi krokami, a Monroe, by za nim nadążyć, musi biec truchtem. – Poleć Briggsowi, żeby zadzwonił do tego sąsiada, dobrze? Jak on się nazywał?

– David Jones, szefie.

– Właśnie, niech Briggs się dowie, czy może nam coś więcej powiedzieć o jego siostrze, co jego zdaniem mogło się z nią stać. Twierdzi, że kiedy zaginęła, sprawą zajęła się policja – wiem, że to było dawno, ale gdzieś muszą być akta. Nie wiem... – Komisarz Watts staje przed drzwiami swojego gabinetu, ale zwleka chwilę z ich otwarciem. – Myślę, że im więcej będziemy mieli na tego sukinsyna, tym lepiej.

– Ale i tak go mamy, prawda, szefie? – Monroe spogląda na niego z wahaniem. – Nie ma alibi, w kabinie jego ciężarówki jest gęsto od DNA Pauline Keene. Chyba jednoznaczne? W tym momencie ekipa z kryminalistyki robi rewizję w jego domu, może znajdą narzędzie, ten nóż, którym ją zabił. Nie przypuszczam, żeby go umył, tak samo jak nie wyprał ubrania, sądząc po tym, w jakim jest stanie. Wtedy oczywiście możemy mu postawić zarzut?

– Wstrzymamy się z tym chwilę, chcę, żeby się podenerwował – dostaliśmy zgodę, możemy go potrzymać przez następne dwadzieścia cztery godziny, a potem jeszcze dwanaście, jeżeli będzie trzeba. Chcę to zrobić porządnie, Helen, chcę dostać od tego sukinsyna podpisane i potwierdzone przyznanie się do winy. Coś konkretniejszego, zanim oddam go tym z Somerset.

– Czyli sądzi pan, że nie powinniśmy ich zawiadamiać. Umówiliśmy się chyba, że przyślą nam swojego człowieka?

- Mam nadzieję, że to nie jest sugestia, że nie wiem, jak wykonywać swoje obowiązki, sierżancie. – Komisarz Watts wyraźnie akcentuje jej stopień.
- Oczywiście, że nie, szefie, tylko...
- Posłuchaj... może mi się wydaje. – Łagodnieje wobec niej. – Ale zaufaj mi, zaczekajmy jeszcze kilka godzin. Myślę, że jest gotów, czuję to.
- To chyba nie jest najlepsze słowo, szefie. – Monroe robi znaczącą minę, na którą Watts odpowiada uśmiechem. – Ale zgadzam się. Niech skurwiel trochę popyrkocze na wolnym ogniu.
- Co to za język, sierżancie Monroe – chichocze Watts; znak, że sytuacja wraca do normy. – Naprawdę wymyka się spod kontroli.
- Nauczyłam się od pana, szefie – śmieje się Monroe, ruszając w kierunku toalety.

Dai w grubym swetrze i kaloszach pracuje w warzywniku w ostrych promieniach słońca, przy ledwie wyczuwalnym tchnieniu wiatru. Przygotowując grządki pod wiosenne sadzenie, wbija metalowe zęby wideł w przesiąkniętą wodą glebę i odwraca ciężką ziemię. Pogwizduje. Jakaś melodię, której źródeł nie pamięta, a słowa zaginęły gdzieś po drodze. Przerywa na chwilę, by nasycić się niespodziewanym ciepłem, jakie pod koniec zimy zsyła słońce, chce, żeby oblało mu plecy i rozgrzało kości. Na brzeжку stojącego obok wiadra przysiada rudzik, chybocząc się na cienkich jak igły nóżkach. Łypie na niego czarnym koralikiem oka, a widok jego puszystej, rdzawej piersi wywołuje uśmiech na twarzy Daia.

– Cześć, mały – mówi do ptaka. – Umordowała nas ta zima, co? Ale wytrzymaj jeszcze trochę, idą lepsze czasy.

– Heeej!!! – Dilys Roberts. Rudzik odlatuje. Jej wysoki, melodyjny okrzyk, który przenika przez wiecznie zielony bluszcz i szpary w żywopłocie, dźga go między żebra jak ostrze łopatki. – Słyszałeś nowinę?

Dai wydaje okrucieństwo westchnienia i odwraca się w jej stronę.

– A cóż to może być za nowina?

– Właśnie aresztowali i zabrali Idrisa Tudora.

– Aresztowali? Kto, policja? – Widząc, jak Dilys radośnie zaciera ręce, Dai udaje, że nic nie wie. Doświadczenie nauczyło go, że więcej wydobędzie od tej wioskowej rzeczniczki, jeżeli nie będzie otwierał ust.

– Aha – przytakuje Dilys z błyszczącymi oczami, ciesząc się z przewagi, jaką daje jej ta wiedza. – Przyszli po niego z samego rana. Mówił mi listonosz Evans; to się nazywa „nalot o świcie”.

– Boże. A za co? – Dai pytająco unosi brwi i wydmuchuje nos w wyjętą z rękawa chusteczkę, uważając, by nie wypaść z roli.

– Zdaje się, że ma coś wspólnego z tymi morderstwami, co ciągle o nich mówią w wiadomościach.

– Co, te kobiety z Westburn?

– Tak, właśnie. Podobno ktoś widział jego ciężarówkę zaparkowaną tam, gdzie jedną z nich znaleźli.

– I policja ustaliła, że miał z tym związek?

– Przysłała do jego domu techników kryminalnych. – Dilys z przejęciem kiwa głową. – Aż się od nich roi, wszyscy w białych papierowych kombinezonach, zupełnie jak z *Zagadek kryminalnych* w telewizji.

– Co, byłaś tam, żeby popatrzeć? – Dai opiera się o stylisko wideł i nie umie powstrzymać uśmiechu.

– Jak tylko się dowiedziałam, ale cały dom ogrodzili... no, wiesz, taką taśmą jak na miejscu zbrodni. W ogóle nie można podejść.

– No, no, no. – Dai tłumi dłonią śmiech, czując na palcach zapach ziemi. – Wiesz, jak długo zamierzają go trzymać w areszcie?

– To pewnie zależy od tego, co znajdą, prawda? Pani Jenkins mówiła mi kilka dni temu, że jej Albert słyszał, jak Idris się chwalił, ile to kobiet ma w Somerset. – Dilys prychnie z pogardą, dłońmi w wełnianych rękawiczkach łapie sztachety zamkniętej furki i zaciska palce. – Jak myślisz, czego tam szukają? – Wyciąga krzepkie ramię w stronę drogi prowadzącej do Cwm Glas, Tŷ Haf i brudnego jak

chlew obejścia Idrisa.

– Pewnie śladów DNA tych zamordowanych kobiet. I narzędzia zbrodni. – Dai myślał o tym całą noc. Co byłoby potrzebne, żeby postawić mu zarzuty i przekazać w ręce policji Somerset.

– Oooh, strach pomyśleć, że taki człowiek mieszka tak blisko, prawda? – Otrząsa się teatralnie. – To nie jest tylko gadanie, zawsze ciarki mi chodziły po plecach na jego widok.

– Masz ochotę na herbatkę? – Dai chucha w dłonie, nadal mając wyrzuty sumienia z powodu tamtego ranka, kiedy jej nie zaprosił do domu. – Właśnie chciałem zaparzyć.

– Nie, dzięki. – Jej odpowiedź go zaskakuje. – Idę pogadać z kilkoma osobami, przecież nie będę tu stała cały dzień.

– Zostało mi jeszcze trochę tego pysznego ciasta, które mi upiekłaś. – Co on wyprawia? Odmówiła czy nie odmówiła? Cholerny idioto.

– Nie, naprawdę, Dai, innym razem. Z taką wiadomością muszę iść do wsi. – I znika równie szybko, jak się pojawiła, a Dai zostaje i przez resztę ranka uśmiecha się z zadowoleniem na wieść o aresztowaniu Idrisa.

Rachel już dawno tu nie ma. Odjechała z Pines ze stanowczym postanowieniem, świetnie wiedząc, dokąd się skierować i co zrobić, zatrzymała się tylko, by zapytać o drogę do komisariatu policji w Westburn dwoje ludzi, którzy wyszli na spacer z parą biszkoptowych labradorów. Teraz jednak, gdy od dwudziestu minut siedzi w samochodzie zaparkowanym pod budynkiem, pewność, jaką miała na samym początku, z każdą upływającą chwilą słabnie. W jej głowie, pozbawionej jakichkolwiek wątpliwości tuż po szokującej informacji, którą ujawniła jej April Parnell, teraz huczy jak w ulu od przeróżnych scenariuszy, z których każdy głośno dopomina się jej uwagi.

Co ona wyprawia? Nie może przecież serio myśleć, że Graham miał cokolwiek wspólnego z morderstwami tych kobiet. Wstyd za to, co zrobił ojciec, na pewno nie mógłby być wystarczającym motywem, tak jak jego wrogość wobec pijanych, skąpo ubranych dziewczyn. Nie potrafi sobie tego wyobrazić, a wracając pamięcią do spędzonego razem czasu, nie wyczuwa też żadnych sygnałów tego rodzaju. Znała go, ufała mu. Od wielu lat nie odważyła się do tego stopnia zaufać mężczyźnie. Jest zbyt łagodny, zbyt dobry. Jak inaczej mogłaby się w nim tak szybko zakochać? Mimo to nie potrafi zapomnieć, że ją okłamał; kłamał, że nie zna Westburn. Wciąż dręczy ją natrętne pytanie, po co to zrobił, jeżeli nie ma niczego do ukrycia?

Siedzi, spoglądając na nasłonecznione ulice, które mgliście przypomina sobie z dzieciństwa. Niezdecydowana, co począć z Grahamem, podrzuca w dłoni kluczyki samochodu jak kości, które za moment rzuci.

Rachel jest za daleko od Domu Opieki Pines, by usłyszeć śmiech dobiegający zza drzwi pokoju numer piętnaście. Za daleko, by zobaczyć uradowaną twarz April Parnell, która z kieliszkiem szampana w dłoni i z zaróżowionymi policzkami zdmuchuje świeczki na pięknym lukrowanym cieście.

- Wszystkiego najlepszego, mamó. – Graham, siedząc na świeżo poślany łóżku matki, unosi w toaście kieliszek. – Muszę powiedzieć, że pięknie wyglądasz: to jest ta broszka od Ellie?
- Tak, śliczna, prawda? – April Parnell chichocze i zgiętymi palcami gładzi przypiętą pod szyję ozdobę z masy perłowej. – Oboje mnie rozpieszczacie.
- To jeszcze nie koniec. – Graham uśmiecha się, a oczy błyszczą mu ze wzruszenia.
- Chcesz spróbować tego pysznego ciasta, które upiekła twoja siostra? – Matka zastyga z nożem w rękę, mając przygotowane na kolanach trzy talerzyki.
- Później, mamó, oszczędzam się przed tym wystawnym lunchem, na który cię zapraszamy. – Graham klepie się po brzuchu.
- Och, ty mięczaku, jesteś chudy jak gałązka, nie skusisz się ani na okruszynkę? – Kroi kawałek dla siebie, nakłada na talerzyk i oblizuje palce. – A ty masz ochotę, Ellie?

Ellie, Eleanor, ma ciemne włosy i szczupłą figurę jak jej brat, ale z rysami matki jest śliczna i w ogóle nie wygląda na swoje trzydzieści dziewięć lat. April do dziś nie może wyjść ze zdumienia, jak ten próżniak i nicpoń, za którego wyszła jej córka, miał czelność ją zostawić. Cholerni mężczyźni, wypija łyżek szampana. Ufać im to jak polegać na stałości wiatru.

Rozlega się pukanie do drzwi i do pokoju wpada Beverley Crane w martensach z flagą brytyjską. Wulkan werwy i ekstrawaganckiej żywiołowości, który wprawia cały pokój w osłupienie.

– „Czy ci tęskno i źle, czy brakuje ci mnie?”¹³ – śpiewa z wymuszonym wibrato i uśmiecha się od ucha do ucha, burząc swoje sterczące, kruczoczarne włosy o pąsowych końcówkach. – Ależ piękna jubilatka – szczebiocze, otaczając ramieniem szyję April. – „Kap, kapu, kap, kwietniowy deszczyk...”¹⁴

Ellie i Graham gapią się na nią i na matkę, od której miny mogłoby się zsiaść mleko.

– Dobrze się bawicie? – kontynuuje swoją szopkę Beverley. – Czegoś wam potrzeba? – Czekaj chwilę, ale nie słyszy odpowiedzi. – Nie? No dobrze, w takim razie was zostawiam... – Znowu nuci *Little April Shower*. – A pogoda dzisiaj wspaniała. – Nie może się jednak powstrzymać i przed wyjściem zerka do małego lustra nad umywalką, i gestem magika wyczarowującego bukiet kwiatów wyjmuje z kieszonki białej bluzy szminkę, po czym nachyla się, by wyrównać upiornie czerwone usta i jeszcze bardziej nastroszyć włosy nad czołem.

Zamykają się za nią drzwi, a po chwili wszyscy troje słyszą dźwięki nowej melodii:

– „Zakochałam się raz i było super ... la la li la ...”¹⁵ Hej, Gladys, nie miałabyś ochoty rzucić tego balkonika, żeby wykręcić ze mną małe pogo, staruszek? – Beverley Crane wycofuje się korytarzem i wraca do wspólnej sali.

Graham, Eleanor i April spoglądają na siebie.

– Hm, jest nawet zabawna. Na pewno trochę ubarwia ci tu życie. – Ellie czuje się w obowiązku przerwać milczenie.

– Och, tak, prawdziwa z niej artystka, każdy pokój to dla niej scena, a każde z nas musi być jej publicznością – ocenia cierpko April.

– Widzieliście ten kolczyk w nosie? – Ellie najwyraźniej nie słucha matki. – Boże, musiało ją boleć.

– Tam, skąd pochodzę, takie coś nosiły tylko byki, a te bardziej narowiste musiały – burczy w odpowiedzi April. – Nie cierpiałam już tych pierwszych punków.

– Oj, mam. Wydaje się całkiem miła.

– Nie daj się nabrać, ma tak samo kolczaste usposobienie jak włosy. – April nie wytrzymuje i mamrocze pod nosem: – Cholerna lesba, dostaję przy niej gęziej skórki.

Eleanor, zażenowana grubiańską uwagą matki, wraca do rozpakowywania bibelotów, książek i zdjęć przywiezionych z domu opieki w Monmouth.

– Zaraz będzie tu wyglądać jak w domu – mówi, zapełniając półki rzeczami, które pamięta z dzieciństwa.

– Przywiozłem ci kilka akwareli z galerii – wtrąca się Graham. – Przyniosę, gdy będziemy wracać. Ładnie będą tu wyglądać, na pewno przyda się trochę rozweselić ten pokój. Miałem nadzieję, że Ellie załatwi ci trochę lepszy widok niż ten. – Z tonem krytyki w głosie wskazuje szczupłą ręką okno.

– Próbowałam – tłumaczy szybko Eleanor. – Prosiłam o pokój z widokiem na morze, ale podobno jest długa kolejka.

– Uspokójcie się zaraz, nic złego się nie stało – interweniuje April Parnell. – I tak prawie w ogóle mnie tu nie ma... no więc jak, chcesz kawałek ciasta czy nie, młody człowieku?

– Przy tej swojej nowej dziewczynie pewnie będzie dbał o linię – żartuje ostrożnie Ellie, biorąc od matki talerzyk.

– Mam ci kupić jeszcze jeden fotel, mam? – pyta Graham z kamienną twarzą, chcąc jak najszybciej zmienić temat. – Przyda ci się miejsce do siedzenia. Kiedy twoje dawne koleżanki dowiedzą się, że wróciłaś do miasta, zaraz zbiegnie się tu cały tłum.

– Już tu wszystkie są – chichocze April Parnell. – Zakładamy sobie klub, nazwałyśmy go „Ramolki”.

Wszyscy troje się śmieją.

- A ty dobrze sobie radzisz w nowym miejscu? – pyta chłodno Graham siostrę. – U chłopców wszystko w porządku?
- Bardzo im się podoba. Bałam się, że będą tęsknić za Monmouth, ale w ogóle o tym nie myślałam.
- A twoja nowa praca? – pyta matka, zbierając zwilżonym palcem resztki ciasta.
- Na razie dobrze. Mili ludzie. Podoba mi się.
- Szkoda, że mieszkasz teraz tak daleko, mamo. – Graham przybiera smutną minę. – Ciągłe nie rozumiem, dlaczego Ellie musiała cię przeprowadzić aż tutaj.
- Daj spokój. – Jego matka sięga po kieliszek z musującym winem. – Jest niewiele dalej niż Monmouth, a skoro mam tak blisko Ellie, naprawdę nie musisz się martwić. Przypuszczam, że będziesz chciał poświęcać wolny czas Rachel. Mówiłam już, jaka wydała mi się miła? I wyobraźcie sobie, przyjechała aż tutaj, żeby się ze mną zobaczyć. Urocza dziewczyna, dbaj o nią. Najwyższy czas, żebyś się ustatkował.
- Filuternie mruży oko, znowu wywołując śmiech Ellie.
- Tak, mamo. – Graham wbija wzrok w podłogę; nie chce po sobie pokazać, jaki jest zły z powodu niespodziewanych odwiedzin Rachel. – Na pewno dobrze się tu czujesz? – dorzuca, by odwrócić uwagę od siebie; denerwuje się tym, że nie potrafi zrozumieć, dlaczego w zeszłą niedzielę bez słowa wyszła z jego mieszkania, nie mówiąc już o powodach przyjazdu do Westburn, skoro nie raczyła nawet odpowiedzieć na prostą wiadomość, którą jej wysłał. Może śliczna Rachel nie jest dziewczyną, za jaką ją uważał. Może nie warto zawracać sobie nią głowy. – Ten dom nie ma nawet połowy tej klasy co Grange House.
- I jest o połowę tańszy. Nie, naprawdę nie martw się, miło jest tu wrócić. Uwierz mi.
- Nie masz żadnych złych wspomnień? – dopytuje się syn.
- Żadnych złych wspomnień. – April Parnell podjeżdża do niego wózkiem i bierze go za rękę. – Mam nadzieję, że ty też ich nie masz. Wiem, jak nie znosisz tego miasta.
- Ja nie o tym – mówi Graham, lekko ściskając jej dłoń. – Chodzi mi tylko o to, że może ci się kojarzyć... z tatą.
- Wiem, kochanie. Też mi wstyd.
- Dostyc, przestańcie mi się tu rozklejać – grzmi surowo Eleanor, stając między nimi. – Nie wracajmy do tego, w każdym razie na pewno nie dzisiaj. Dzisiaj świętujemy; nie co dzień twoja mama obchodzi dostojną siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin.
- Święta racja, skarbie – śmieje się April, wychylając resztę zawartości kieliszka. – W moim wieku to rzeczywiście osiągnięcie, z którego powinnam być dumna.

[13](#) *Are you Lonesome Tonight*, przebój Elvise Presleya.

[14](#) *Little April Shower* autorstwa F.E. Churchilla i L. Moreya, piosenka z filmu Disneya *Bambi* z 1942 roku.

[15](#) Fragment piosenki *Heart of Glass* D. Harry i C. Steina wykonywanej przez zespół Blondie.

Idris nie ma wątpliwości, że psy przetrząsnęły mu cały dom. Wyczuwa inny zapach, jakby chemiczny, jaki pewnie mają lateksowe rękawiczki i te papierowe kombinezony, które ogląda w telewizyjnych kryminałach. Tyle że z tego, co widział w telewizji, wynika, że powinni chyba zostawić dom w takim stanie, w jakim go zostali, nie? Rozgląda się, widzi, że wyrzucona na podłogę zawartość szuflad i szafek nie wróciła na miejsce. Pewnie uznali, że to nie ma znaczenia; chałupa i tak wygląda jak chlew. Ale nie w tym rzecz. Rozwściecza go myśl, że grzebali w sukienkach jego matki, wysypali na łóżko biżuterię ze szkatułki i brudnymi paluchami dotykali sznurów sztucznych pereł, kolczyków, bransoletek, nawet pozłacanego łańcuszka, na który zrzucili się z braćmi, żeby kupić jej w prezencie na Boże Narodzenie.

Siada na śliskiej puchowej kołdrze z głową głęboko wciśniętą w ramiona, kładzie sobie na ogromnych kolanach szkatułkę na biżuterię i przekręca maleńki srebrny klucz w zamku. Klik, klik, klik. Dźwięk, który zawsze przywoływał wspomnienia o matce. Uchyła wieczko i przygląda się tancerce z plastiku, która wiruje w piruecie. Figurka trzyma w górze złożone ręce. W pasie ma przyklejone tutaj z podwójnej warstwy siateczki, która kiedyś była biała. Idris nuci do wtóru staccata cichej melodii.

Wypuścili mnie, mamó, mówi do Nerys Tudor. Po dwóch dniach i całej nocy. Nie oskarżyli mnie, nic na mnie nie mieli – czyli wszystko gra. Oddali mu zegarek, klucze i garść drobnych. Niczego nie brakowało; przed podpisaniem pokwitowania starannie przeliczył monety. Pozwolili mu też wziąć kurtkę. Tę, którą mu skonfiskowali zaraz po przyjeździe na komisariat i nie pozwolili zabrać ze sobą do celi. Woleli go zaopatrzyć w cuchnący kocimi szczykami sweter wyciągnięty z pudła ze znalezionymi rzeczami, za mały na niego o trzy numery. Jezu, ależ tam było zimno. Myślał, że jest przyzwyczajony do zimna. Że ta chatka i dom jego dzieciństwa, Cwm Glas, na całe życie uodporniły go na zimno. Ale w celi na komisariacie było inaczej. Kurtka na pewno by się przydała. Tkwił zamknięty w klitce dwa na dwa i pół metra, sikał do czegoś niewiele lepszego od wiadra i przykrywał się kocem sztywnym od innych ciał. Nie mieli prawa go zamykać. Ten pryszczaty kurdupel, którego przydzielili mu jako prawnika, pomógł mu jak umarłemu kadzidło. Ale w końcu trudno się spodziewać, żeby gliniarze znaleźli mu jakiegoś cholernego Perry'ego Masona. Na pewno nie, jeżeli zależało im, żeby go wrobić. Żaloszny sukinsyn prawie nie odezwał się słowem i Idris z miejsca go znienawidził, przypominał mu innego pryszczatego kurdupla, którego znał znacznie bliżej.

Wciąż nie jest do końca pewien, dlaczego go wypuścili. Zaskoczył go szcęk zamka w drzwiach celi. Sądził, że zostawią go na jeszcze jedną noc, źle mu poszło w pokoju przesłuchań, ten gnojek Watts powiedział, że ekipa kryminalistyczna, przekopując mu dom, znalazła na jednej z jego koszul krew tej dziwki. Nic dziwnego, nie? Mógł o tym powiedzieć i oszczędzić im fatygi. Gdyby nie przypuszczał, że w ten sposób może się jeszcze bardziej pogryźć, opowiedziałby, jak jej przyładował, że pazerna krowa sama sobie zasłużyła. Mimo to ucieszył się, kiedy go wyprowadzili. Nie mógłby znieść następnej tacy z tym gównianym jedzeniem, które próbował w siebie wmusić, bo umierał z głodu, ale którym później odbijało mu się przez całą noc. Kiedyś lepiej jadały jego kundle, zanim odebrali mu je cholerni obrońcy zwierząt. Pewnie to też była sprawka tego kutasa Daia Jonesa.

Jego psy. Przypomina je sobie w gęstniejącym mroku. Nie z czułością, po prostu uświadamia sobie ich

nieobecność. O tej porze musiałyby je nakarmić, skamlałyby z głodu i pobrzękiwały łańcuchami – teraz jednak nie słychać żadnego z tych dźwięków. Człapie na dół, wciska ramiona do zeszywniałych rękawów kurtki, wciąga buty i gapi się w puste miejsce po swojej drogocennej beretcie silver pigeon. Przypomina sobie pięknie wypolerowane drewno orzechowe kolby, srebrny grawerunek sceny z polowania i w oczach wzbierają mu łzy wściekłości. Zabrali dubeltówkę tak jak jego, tyle że ona już nie wróci. „Nielegalna broń”, powiedziała ta nadęta zdzira, jak jej tam... Nie wolno mu trzymać strzelby w domu, bo nie ma pozwolenia. I prawdopodobnie po tym wszystkim nigdy go już nie dostanie. Ten sukinsyn Dai Jones sam się o to prosi.

Wychodzi na wiejący z ukosa wiatr i ciężkim krokiem rusza w kierunku rudobrazowej przybudówki. Monroe. Zgadza się, przypomina sobie jej nazwisko i oczy znowu zachodzą mu łzami. Głupia krowa. Nie wiedziała, że mógłby ją zgnieść jak skorupkę jajka? Wyrwać jej wnętrzności jak królikom – albo kotom – które wpadają w jego wnyki nad strumieniem? Nie była nawet w połowie tak seksowna jak jej kształtna imienniczka, Marilyn. Chociaż, jeśli poświęci chwilę, by przywołać widok całkiem niezłych atrybutów młodej policjantki, Idris dochodzi do wniosku, że pewnie raczyłyby ją przelecieć, gdyby ładnie poprosiła.

Odsuwając od siebie obraz urodziwej twarzy sierżant Monroe, patrzy na swoją ciężarówkę. Na wypłowiałe granatowe zasłonki zawieszane w jego ukochanej kabinie. Tam też wszystko przetrzepali. Szperali w jego lodówce, zaglądali do paczek z wieprzowiną w cieście, do plastikowych butelek mleka. Będzie musiał zrobić nowe zapasy. Zostały mu same złe wspomnienia. Policja wlepiła mu pouczenie i zabroniła wyjeżdżać z kraju.

Wszystko, naprawdę wszystko zepsuł ten cholerny złamas Dai Jones. Idris zanurza rękę w głębi worka z karmą dla owiec, po czym wyjmuje nóż sprężynowy, otwiera ostrze i przez chwilę ogląda je z uwagą. Amsterdam. Przyjemności ukryte w dzielnicy czerwonych latarni. Jego jedyny wyjazd za granicę, samo wspomnienie wywołuje uśmiech na jego twarzy. Cholera, to cud, że gliniarze go nie znaleźli; sprężynowiec to był fantastyczny zakup. Obraca nóż w dłoniach, myśląc, jakie miał szczęście, że udało się go przemycić przez kontrolę celną. Zwłaszcza że kiedy jechał z naczepą, siedział za kierownicą jeszcze trochę wcięty, cuchnąc nocą spędzoną z milutką Rosjanką, która miała piersi jak grejpfruty.

– Będzie w sam raz – mówi, sprawdzając kciukiem ostrą jak brzytwa krawędź. Rozchyła mięsiste wargi w lepkiem mroku, słyszy własne pogardliwe sapnięcie odbite od ściany szopy z falistej blachy. – Aha, będzie akurat.

Muszę przyznać, że na tej naprawdę mi zależało. Wcześniej na pewno kilka razy mignęła mi tu i ówdzie. Po prostu rzucała się w oczy, wysoka i szczupła, z klasą, cudowne włosy do pasa. Można powiedzieć, że mój absolutny ideał. No więc ruszam za nią.

Bez świateł, koła ledwie się toczą; powolutku sunę pustym bulwarem, potem skręcam za szkielet hotelu Grey's.

– No, dalej, dalej... przecież wiesz, że tego chcesz... – zachęcam ją szeptem zza kierownicy, słysząc, jak silnik męczy się na pierwszym biegu. – Idź, nie bój się... tam jest miło i ciemno.

Jest zupełnie zalana, nie ma pojęcia, że za nią jadę – ani razu się nie odwraca. Głupie są te dziewczyny. Same na ciemnych ulicach, wiedząc, co się dzieje... niektórzy powiedzieliby, że dostają to, na co same zasłużyły. Że same się o to proszą.

Sama się o to prosiła, zjawiskowa w krótkiej i ciemnej aksamitnej sukience. Ostrożnie idzie po pełnym wybojów i kolein asfalcie. W czerwonych szpilkach wygląda jak gazela, błyskając nagim ciałem długich, szczupłych ud, bladych jak płatki kwiatów w skąpym świetle latarni.

– Chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć, skarbie? – Podjeżdżam blisko, ledwie nad sobą panuję; opuszczam szybę po stronie kierowcy, żeby do niej zawołać. – Odludne miejsce – na taką dziewczynę jak ty.

Zatrzymuje się i obraca na mnie spojrzenie pięknych migdałowych oczu, i przygważdża mnie wzrokiem. Wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Gdzieś z boku błyska niebieskie światło. W nocnej mżawce wyją syreny.

Zasadzka. Ta zdzira o miodowych włosach zwabiła mnie do ślepej uliczki i tak mnie sobą zaabsorbowała, że dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Za mną i przede mną roi się od policjantów. Jestem w pułapce.

Ktoś gwałtownie dobija się do drzwi. Na tyle głośno, by wyrwać ze snu Daia. Jego ręka wysuwa się spod kołdry i po omacku zapala lampkę przy łóżku. Zdezorientowany, mrużąc oczy w świetle, wsuwa boscie stopy do kapci i na oślep wychodzi z sypialni na korytarz. Powolutku schodzi po schodach, w piżamie w prążki, nie mając czasu na włożenie szlafroka, i woła, przekrzykując dziki łomot:

– Dobrze, dobrze... na litość boską, chwileczkę... już idę... – Odnajduje zamek i otwiera drzwi.

Idris Tudor.

Ogromny jak jego ciężarówka przesadza próg i wpada do środka. Zanim Dai zdążył nabrać powietrza, chwyta go za gardło i przygniata do przeciwległej ściany.

– Tym razem dostaniesz za swoje, kurdupłu. – Kwaśny oddech Idrisa parzy ucho Daia. – Powiniennem się z tobą policzyć, jak pierwszy raz mnie zakapowałeś, skurwielu. Pamiętasz... pamiętasz?

Dai nie może oddychać, pewien, że wielka jak u mastifa łapa złamie mu kark i wycisnie z niego życie. W wybałuszonych oczach widzi ślepe i dzikie szaleństwo człowieka nieprzytomnego z wściekłości, tej samej, której na własnej skórze doświadczała kiedyś Beth.

– Powiedz coś, sukinsynu. Powiedz coś. Gadaj. Przecież jesteś, kurwa, wziętym prawnikiem! – ryczy prosto w twarz Daiowi, który widzi z bliska czerwone znamię. – Więcej masz do powiedzenia, jak trzeba coś wygadać policji, nie? – Idris mocniej zaciska palce, unosząc jego zwiotczone ciało wyżej nad podłogę. Dai macha nogami, zrzucając kapcie. – Zapuszkowały mnie skurwysyny. Przez kogo? Przez ciebie! – Ślini się, opryskując Daia pianą z ust. – I jak siedziałem w tym śmierdzącym, zasranym pudle, przysięgłem, że gdy tylko wyjdę, dokończę to, co powinniśmy zrobić z braćmi już dawno temu.

Nóż jest długi. Błysk słabego światła lampy w salonie Bwthyn Dewen odbitego w ostro zakończonym kawałku stali.

To ostatnia rzecz, którą widzi Dai Jones.

Kiedy pani Pepper otwiera ogromne szklane drzwi winiarni przy Dean Street, serce podchodzi jej do gardła. Nogi wrastają jej w ziemię i jest przekonana, że w tym momencie nie zdoła wejść do załączonego holu. Wieloramienne żyrandole, chromowane stoły, skórzane kanapy – gdyby znalazła w sobie odwagę, byłoby tu wspaniale. Kiedy zaczynała się spotykać ze Stanem, często chodzili na przyjęcia, przedstawienia, potańcówki. Siadywali w takich miejscach, sącząc coś, co smakowało jak gazowany sok brzoskwiniowy, ale kosztowało dwadzieścia szylingów za butelkę. Z wrażenia zapierało jej dech w piersiach, chociaż Stan nawet nie mrugnął okiem. Tylko raz widziała go lekko wstawionego, kiedy pokraśniał jak róża i rozkochał ją w sobie, wyglądając ze spłoszonymi policzkami jak ucieleśnienie piosenki Ala Jolsona *Angel Child*, którą właśnie grał zespół. Gdy jednak dotarli do jej wynajętego pokoju, zdążył już ochłonać i powiedzieli sobie dobranoc, jak gdyby nie przeżyli nic ekscytującego i wracali z zakupów w sklepie rybnym. Do dziś pamięta tamto rozczarowanie, rumieni się na wspomnienie młodszej siebie i swoich nadziei.

Stukając obcasami, do których nie przywykła, zdezorientowana krąży po holu. Ma iść w lewo, w prawo czy prosto? Postanawia spytać którąś z eleganckich dziewczyn za ladą, a ona wskazuje jej jedno z wejść za barem. Luksusowy wygląd toalety wprawia ją w osłupienie. Żarówki wokół luster, które bardziej kojarzą się z jakąś garderobą teatru na West Endzie niż z publicznie dostępnym sanitariatem, wywołują uśmiech na jej twarzy. Szereg kosmetyków i specyfików do włosów, z których, zgodnie z informacją na niewielkiej tabliczce, można korzystać do woli, więc by zrobić z tego jak najlepszy użytek, wybiera buteleczkę w kształcie kobiecego popiersia i spryskuje sobie nadgarstek. Pachnie przyjemnie.

Wraca do holu i wyjmuje list, który starannie przechowuje w wewnętrznej kieszeni kurtki przez cały dzień, po czym jeszcze raz go czyta. Przejęcie malujące się na jej twarzy świadczy o tym, że czeka na coś szalenie ważnego. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej się denerwuje. Widać, że jest krok od ważnej decyzji, można to wyczytać z jej postawy; z faktu, że zapięła kurtkę pod samą szyję. Wygląda, jak gdyby była gotowa zaryzykować i raz na zawsze skończyć z tajemnicami, w których cieniu tak długo żyje. Przecież to naturalne, że syn chciał ją odnaleźć po tylu latach, jej mąż to zrozumie, to zupełnie normalne, że chciał, by matka mu pomogła, kiedy znalazł się w dramatycznej sytuacji. Kogo oprócz niej miał biedny chłopak – tych nieudaczników, którym go oddała, aby go wychowali? Chyba nie.

Tak, postanawia twardo, a jej oblicze na chwilę wygładza się i uspokaja. Najpierw zajmę się synem, a potem wyznam wszystko Stanowi – we troje możemy zostać prawdziwą rodziną. Przedtem jednak ma do zrobienia coś jeszcze i kiedy czeka pośrodku morza niezrozumiałych głosów, jej dziecko wydaje się daleko od niej jak nigdy dotąd. Na myśl o tym do oczu cisną się jej łzy niepokoju, od których rozmywają się kontury czarno-białych płytek na podłodze holu, więc pani Pepper nie zauważa trzydziestokilkuletniej kobiety o wyglądzie profesjonalistki, w drogim kostiumie i zabójczych szpilkach, która otwiera szklane drzwi za jej plecami.

- Przepraszam? – rozlega się nagle obok niej pewny siebie głos. – Przepraszam, czy pani Pepper?
- Tak. Tak, to ja. – Spogląda na nią zza grubych szkielec, chłonąc zapach jej perfum.
- Felicity, Felicity Northcoat. – I wyciąga na powitanie dłoni. – Przepraszam za spóźnienie, mam

nadzieję, że nie czeka pani długo – dodaje półgłosem, po czym dotyka ramienia pani Pepper i nachyla się bliżej. – Pójdziemy do baru napić się czegoś? – proponuje konspiracyjnym szeptem. – Będę mogła obejrzyć to, co pani znalazła.

Pani Pepper rusza za zadbaną kobietą i czując się śmieiej w jej towarzystwie, bez oporów wchodzi do wyłożonej gustownymi dywanami sali, gdzie stoją niskie stoliki i miękkie kanapy, i wybiera miejsce w przeciwległym rogu.

– Możemy od razu przejść do rzeczy? – Northcoat wraca z mieniącego się świetlnymi punkcikami baru. Niesie coś gazowanego z lodem i plasterkiem cytryny dla siebie oraz duży kieliszek sherry dla pani Pepper, która wypija mały łyżeczek, a potem otwiera torebkę, aby wyjąć plastikową kopertę zawierającą około trzydziestu zdjęć zrobionych polaroidem i rozkłada je jak talię kart na stoliku między nimi. Fotografie są kolorowe, usiane licznymi odciskami palców, jak gdyby bardzo często ich dotykano, i wyblakłe ze starości do dziwnego różu w odcieniu zachodzącego słońca.

– No, no, no. – Kobieta z „Daily Mail” przysuwa się bliżej, żeby dokładniej je obejrzyć. – Miała pani rację, ciekawe. Bardzo ciekawe. – Wyciąga rękę i wybiera jedno zdjęcie, chcąc przyrzeć się z bliska.

Pani Pepper zauważa, jak twarz dziennikarki tężeje na widok uśmiechniętej dziewiętnastoletniej Sarah D’Villez obok równie zadowolonego trzydziestotrzyletniego Johna Blundella. Człowieka, którym był, zanim przedstawiono go światu jako psychopatycznego zabójcę własnej żony, gwałciciela i porywacza. Człowieka, którego da się rozpoznać, ale jednak innego. Felicity Northcoat – wówczas jako początkująca reporterka pracująca przy relacjonowaniu tych wydarzeń – widzi w nim kogoś spokojniejszego i łagodniejszego: można wręcz powiedzieć, że z tą gęstą rudoblond czupryną jest całkiem przystojny.

Na fotografii D’Villez i Blundell stoją na rozległej zielonej łące. Jest środek lata i ich włosy rozświetlają ostre promienie słońca przenikające przez gałęzie drzew. Blundell obejmuje wytatuowanym ramieniem jej barki, a drugą rękę wyciąga przed siebie, trzymając w niej aparat w taki sposób, że obiektyw jest skierowany na ich dwoje. Dziś zdjęcie zostałoby nazwane selfie. Wyglądają na szczęśliwych. Na zakochanych. Wyglądają jak najzwyklejsza para. Dziennikarka sięga po inne fotografie, zgnarniając je zachłannie ze stołu. Kilka innych ujęć tych dwojga w letnich ubraniach na tle bujnego, soczyście zielonego krajobrazu. Dłoń Johna Blundella wpleciona w długie blond włosy Sarah, która przytula się do niego najmocniej jak potrafi, uśmiechając się z uwielbieniem w oczach. Przerzucając kolejne zdjęcia, Northcoat odnajduje zupełnie inną Sarah D’Villez. Wyzywającą i pewną siebie, z rysami twarzy podkreślonymi ostrym makijażem i celowo potarganymi włosami. Na tych fotografiach Sarah stoi na czworakach i uwodzicielsko pozuje, ubrana tylko w skąpe stringi i buty na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Inne pokazują ją wyprężoną w zmiętej pościeli, z rękami przykutymi do wezglowia łóżka, obok leżącego półnagiego Blundella. Oboje się śmieją, on jedną ręką zakrywa obnażone piersi młodej Sarah, a drugą fotografuje intymną scenę.

– No, no... teraz wyłania się z tego inna historia, naprawdę całkiem inna. – Northcoat kiwa głową, układając w głowie jutrzejszą pierwszą stronę. Nagłówek: krótki, zwięzły i szokujący; sensacja, która nada jej karierze upragniony rozpęd.

Pani Pepper przygląda się, jak kobieta z „Mail” bez pośpiechu dokładnie analizuje każde zdjęcie po kolei. Jej metodyczne i rytmiczne ruchy zupełnie nie pasują do głuchego łomotu muzyki w tle i gwaru rozmów gości baru. Dłonie dziennikarki przekładają nieprzyzwoite ujęcia kochanków uwiecznionych w przeróżnych prowokacyjnych pozach. Na niektórych zdjęciach jest sam uśmiechnięty John Blundell, ale większość ukazuje ich razem podczas pieszczot w tym samym wygniecionym łóżku, które pojawia się w lwiej części tej kolekcji. Sarah, najwyraźniej oddając się jakiejś sadomasochistycznej grze, jest związana i ma opaskę na oczach, a Blundell dosiada jej okrakiem; na krześle, na łóżku, w zbliżeniach, na których całują się namiętnie, bez reszty pochłonięci sobą nawzajem.

– Wie pani może, gdzie je zrobiono? – Reporterka odzywa się pierwsza.

– Hm, większość z nich w domku Johna niedaleko Brampton. W Northamptonshire.

– Co? Tam, gdzie miał uwięzić Sarah D’Villez, kiedy grożąc jej nożem, porwał ją z tych stajni... proszę mi przypomnieć, jak się nazywały... Pinkton Grange?

– Zgadza się. John wtedy właśnie go remontował.

– W tej chałupie, gdzie, jak twierdziła Sarah, całymi dniami torturował ją i gwałcił?

– Tak.

– Trudno to nazwać torturami, prawda? – prychnęła z nieskrywaną pogardą dziennikarka. Proszę, jak ochoczo to przyjmuje – całkiem niezła z niej modelka, nie uważa pani?

– John mówił, że lubiła się przebierać...

– I rozbierać – wtrąca Northcoat, po czym unosi rękę w przeproszającym geście.

– Mówił, że chciała, żeby obchodził się z nią brutalnie, kiedy uprawiali seks. Że miał jej zadawać ból, wiązać ją i tak dalej. – Pani Pepper spuszcza wzrok na kolana z zażenowaniem, które lekko czerwieni jej policzki. – Ale gdy sprawy ułożyły się nie po jej myśli i powiedział, że nie zostawi żony, użyła tego wszystkiego przeciwko niemu, powiedziała policji, że nigdy go nie знаła.

– No właśnie. A ponieważ po tym, co robili na tych zdjęciach, w domku było mnóstwo śladów jej krwi i innych płynów ustrojowych, było to jeszcze łatwiejsze, prawda? – Northcoat rozciąga wargi w lekkim uśmiechu. – Och, teraz wydaje się to tak jasne, nie wierzę, że adwokaci Johna się nie zorientowali.

– Oczywiście, że się zorientowali – odpowiada pani Pepper. – Ale zorientowali się też, z czym ma do czynienia. Zdawali sobie sprawę, że dowody świadczą przeciwko niemu, a ona wypada bardzo wiarygodnie jako ofiara. John we wszystkich zeznaniach złożonych na policji twierdził, że jest niewinny, ale ostatecznie obrońca przekonał go, że to zbyt ryzykowne, że jeżeli przyzna się do nieumyślnego spowodowania śmierci i porwania, dostanie łagodniejszy wyrok, niż gdyby przysięgli uznali go za winnego zabójstwa.

Felicity Northcoat znowu przegląda błyszczące zdjęcia. Parska krótkim śmiechem.

– Tak, naprawdę urocze gniazdko miłosne, nie sądzi pani?

– John mówił, że to jego cudowna wiejska idylla, na zupełnym pustkowiu. Jego i Lindy...

– Lindy, jego żony? – upewnia się dziennikarka.

Pani Pepper przytakuje.

– Kupili ten domek za półdarmo, miał być ich cichym ustroniem na wakacje, gdy tylko John skończy remont. Później, gdy John i Sarah byli razem, zdradzał ją tam.

– Mówi to pani tak, jakby pani tego nie pochwałała?

– Naturalnie, że nie pochwalam, ale John zawsze powtarzał, chociaż nikt nie chciał słuchać, jaką obsesję na jego punkcie miała Sarah.

– Czy John opowiadał pani kiedyś, jak się poznali; jak to wszystko się zaczęło? – pyta dziennikarka.

– Proszę sobie wyobrazić, że zaczęło się od rozmów o wędkowaniu. – Pani Pepper prychnęła z pogardą. – Podobno kiedyś chodziła na ryby z ojcem. John mówił, że świetnie się na tym zna. Kiedy się dowiedziała, że właściciele Pinkton Grange pozwalają mu łowić w należącym do stajni odcinku Nene, zaczęła go zadrezczać prośbami, żeby zabierał ją ze sobą, a gdy nie chciał, jechała za nim konno... Można chyba powiedzieć, że w końcu go złamała. To nie jest dla niego powód do dumy. – Kaszle, po czym zdejmuje okulary i przeciera je rękawem spodnicy. – Ale z drugiej strony... czy miał jakąś szansę? Niech pani spojrzy... prześliczna, młoda, z wyższych sfer. Niewielu facetów potrafiłoby się oprzeć.

– W dodatku jasno dała mu do zrozumienia, że lubi perwersyjny seks. – Northcoat wydyma wargi.

– A biedna Linda, zresztą całkiem miła, była trochę szarą myszką, poza tym byli małżeństwem już od jakiegoś czasu. Ale później Sarah zaczęła się dziwnie zachowywać – wpadała w szał, namawiała go,

żeby razem uciekli, zapowiadała, że rzuci swojego chłopaka.

– Swojego chłopaka... chodzi o Spencera, prawda? – Dziennikarka wydobywa z pamięci jego imię i zapisuje coś w notesie wyjętym z torebki. – Zdaje się, że mniej więcej rok po procesie wzięli ślub?

– Zgadza się, mieli też córkę. – Pani Pepper milknie na chwilę, wkłada z powrotem okulary i zaczyna się bawić brzegiem spódnicy. – Teraz ma... hm... dwanaście, trzynaście... tak, trzynaście lat.

– I gdzie jest, gdzie jest ich córka?

– Z ojcem w Ameryce.

– Co?! Dziecko zostało z byłym mężem? Trochę dziwne; dlaczego nie z matką? – Czeka z długopisem w pogotowiu: nic tak nie dodaje pikanterii artykułowi jak podejrzenie o molestowanie dziecka. Choć akurat ten nie potrzebował dodatkowej pikanterii.

– Coś zaszło między Sarah i jej córką i opiekę przyznano Spencerowi. Nic więcej nie wiem. – Wzrusza ramionami.

– Matka Sarah będzie wiedziała. Zadzwoń do niej; poproszę o wywiad. – Dziennikarka notuje. – Choć z tego co pamiętam – Northcoat wierci się na kanapie – to strasznie przebiegła sztuka. – Nagle rozpromienia się i patrzy pani Pepper prosto w oczy. – Pani mogłaby jej powiedzieć, przekonać ją, że byłoby dla niej lepiej, gdyby zgodziła się porozmawiać ze mną, zanim sprawę zwęszą twardzi gracze.

– Hm, nie. – Pani Pepper gwałtownie kręci głową. – Moja noga więcej nie zostanie w tym domu.

– Domyślałam się. Ale nie będzie już takiej potrzeby. – Dziennikarka wbija w nią wzrok. – Jak powiedziałam, jeżeli da mi pani wyłączność, może pani liczyć na sporą sumkę.

– Nie robię tego dla pieniędzy, jeżeli tak pani myśli... może je pani sobie zatrzymać. To John nalegał, żebym przekazała wszystko prasie – broni się głęboko dotknięta pani Pepper. – Powiedział, że będzie pani wiedziała, co z tym zrobić. Nie ufa policji, nawet mając takie mocne dowody jak te. Wie oczywiście, że w końcu będzie pani musiała to przekazać policji, ale w ten sposób ludzie przynajmniej będą mieli okazję poznać jego wersję... – Chce coś jeszcze dodać, lecz w tym momencie z głębi torebki dziennikarki dobiega dzwonek telefonu. Pani Pepper przygląda się, jak Northcoat wysupłuje aparat, otwiera skórzaną klapkę etui i krzywi się, czytając wiadomość, po czym chowa telefon.

– Gdzie dokładnie to pani znalazła? – Reporterka wskazuje długopisem polaroidowe zdjęcia.

– Jak pani wie, pracowałam u Jennifer D’Villez, matki Sarah...

– Właśnie chciałam o to panią zapytać – przerywa jej dziennikarka. – Jak pani wytrzymała tam tyle lat, wiedząc, co zrobiła Sarah?

– Och, proszę mi wierzyć, to nie było takie trudne. W dzieciństwie ciągle musiałam coś udawać, żeby przeżyć. – Pani Pepper śmieje się niewesoło. – Ale to całkiem inna historia. Powiem tylko, że całkiem dobrze mi to wychodzi i granie gosposi u pani D’Villez to naprawdę była bułka z masłem; zresztą robiłam to dla Johna. Pomyślałam, że jeżeli tam będę, w samym środku, prędzej czy później na coś trafię. Powiedział mi, że robił zdjęcia, gdy byli razem, i jeżeli uda mi się je znaleźć, oczyszczą go z zarzutów. Nie sądziłam tylko, że zajmie mi to siedemnaście lat.

– Skąd pani wiedziała, że Sarah ich nie zniszczyła?

– Nie wiedziałam – przyznaje z kamienną twarzą. – Ale kiedy John powiedział mi o jej obsesji na jego punkcie, uznałam, że jest na tyle chora, że je zatrzymała – i miałam rację.

– No więc jak pani... jak je pani w końcu znalazła?

– Po prostu miałam szczęście: zobaczyłam, jak pani D’Villez znalazła je w dawnym pokoju męża, potem widziałam, gdzie je włożyła, a kiedy wyszła... – Pani Pepper po raz drugi wzrusza ramionami, wypija łyżeczek sherry i z cichym stukiem odstawia kieliszek na lakierowany blat stolika. – Mówię pani, przez te lata sporo się nasłuchiłam, ale nie mam zwyczaju podsłuchiwać. Chciałam tylko czegoś, co by potwierdzało wersję wydarzeń, którą przedstawił John. Czegoś, co by udowodniło, że jest niewinny.

– Skąd pani tyle wie o punkcie widzenia Johna na to wszystko? – pyta dziennikarka.

– Bo to mój syn – wyjaśnia bez wahania.

– Pani... syn?! – Northcoat z napięciem ledwie może usiedzieć na brzeżku kanapy. – Nie zdawałam sobie sprawy, że John Blundell jest pani synem.

Pani Pepper wpatruje się we własne dłonie, skubie skórę przy paznokciu kciuka.

– Byłam bardzo młoda, kiedy się urodził, wiele lat przed tym, jak wyszłam za mąż. To było dla mnie straszne przeżycie, że musiałam go oddać. Powiedział, że szukał mnie przez wiele lat, zadzwonił do mnie tuż przed początkiem procesu.

Dziennikarka kładzie dłoń na rękę pani Pepper i lekko ją ściska.

– Teraz o wiele lepiej wszystko rozumiem – mówi cicho. – Przepraszam za sugestie, że robi to pani dla pieniędzy.

Obie kobiety uśmiechają się do siebie.

– Przerwałam pani – wraca do tematu Felicity Northcoat, odchylając się na oparcie. – Mówiła pani, że przez te lata dużo pani usłyszała w domu D’Villezów.

– Rzeczywiście. – Pani Pepper poprawia się na kanapie. – Mówię pani, w tej rodzinie panowały naprawdę dziwne układy, a Sarah... Boże, potrafi łączyć jak z nut. Sprowadzała na ten dom mnóstwo kłopotów, widziałam, co wyprawia. Właśnie dlatego nigdy nie przestałam szukać tych zdjęć. Im lepiej ją poznawałam, tym bardziej byłam przekonana, że je zachowała – nie tylko jako rodzaj chorej pamiątki po swoim związku z Johnem, ale dlatego, że była kompletnie pochłonięta sobą i swoim wyglądem, a to właśnie pokazują te fotografie, poza tym widać na nich, jaką władzę miała nad moim synem. Tak – wzdycha pani Pepper. – Widzi pani, ta dziewczyna żyje tylko w świecie złudzeń, trudno się dziwić, że nie ma przyjaciół.

– Nie ma przyjaciół? – powtarza jak echo dziennikarka, notując ten szczegół. – Dziwne, prawda?

– Pewnie, że dziwne. I w ogóle nie wychodziła z domu. Dzień w dzień przez dziesięć lat siedziała zamknięta w tym domu: to przecież nienormalne u młodej kobiety. – Pani Pepper opowiada dalej. – Garstka przyjaciół, których miała, kiedy zaczęłam tam pracować, wkrótce nie mogła już znieść jej biadolenia. Tak jak ja mieli jej serdecznie dosyć, więc przestali przychodzić. Moim zdaniem zawinił jej ojciec; rozpuścił ją jak dziadowski bicz. Nic dziwnego, że udało się jej przekonać samą siebie, że nie zrobiła nic złego, tak pewnie jest, kiedy ktoś dorasta w przeświadczeniu, że jest ideałem.

– Sądzi pani, że jej ojciec wiedział o zdjęciach? – pyta Northcoat.

– Nie sądzę. Wiem, że świata poza nią nie widział, ale to był porządny człowiek, nie wyobrażam sobie, żeby pozwolił wsadzić do więzienia niewinną osobę. Nie, Sarah musiała je ukryć w jego pokoju, kiedy był w szpitalu, po powrocie był taki słaby, że tylko siedział w fotelu.

– Czyli jego też oszukała. – Dziennikarka krzywi twarz. – Pamiętam, jak się zachowywała podczas rozprawy: skromna i potulna jak owieczka. Ława przysięgłych jadła jej z ręki.

Pani Pepper głęboko wciąga powietrze do płuc.

– No właśnie. Pewnie grała tę rolę od chwili, kiedy pojawiła się w domu rodziców z krwią Lindy i śladami DNA Johna na całym ciele.

– Właśnie chciałam o to zapytać: w jaki sposób Sarah dostała się potem do Londynu?

– Kazała Johnowi, żeby podrzucił ją na ulicę, przy której mieszkali jej rodzice.

– Johnowi?! – Northcoat wlepia w nią osłupiałe spojrzenie. – Trochę głupio postąpił, nie uważa pani?

– Chyba tak, ale proszę pamiętać – ciągnie z niewzruszoną miną skupiona pani Pepper – że ta dziewczyna już na początku owinęła go sobie wokół palca. A po tym, co zrobiła, mój biedny syn był w szoku. Przejęła kontrolę, zresztą jak zawsze. Pomysł – jej pomysł – był taki, że wróci do domu umyć się i ogarnąć, a potem oboje razem pojedą na policję. I powiedzą, że śmierć Lindy to był wypadek.

– Wypadek! – wyrzuca z siebie Northcoat. – Coś takiego, to byłoby mocno naciągane, prawda?

– Wiem, że to brzmi dziwnie, kiedy o tym rozmawiamy; ale proszę sobie wyobrazić, w jakim stanie był wtedy. Chciał stanąć po jej stronie, powiedzieć, że to było przestępstwo popełnione w afekcie, coś w tym rodzaju. Że Linda pojawiła się w domu i zastała ich razem – John myślał, że jest w Kornwalii, jej siostra właśnie urodziła dziecko, więc spodziewał się powrotu dopiero za dwa tygodnie – i sytuacja wymknęła się spod kontroli... Linda wpadła w histerię... John remontował domek, więc wszędzie leżały niebezpieczne narzędzia... no i Sarah działała w obronie własnej.

– Sarah, w obronie własnej?! – krzyczy dziennikarka. – Na litość boską, przecież młotkiem przedziurawiła tej biednej kobiecie głowę! – Reflektuje się, widząc, jak pani Pepper się wzdryga. – Przepraszam.

– Wiem, ale taką wersję wtedy uzgodnili, nawet mu przez myśl nie przeszło, że mógłby jej nie uwierzyć.

– A potem nagle zmieniła swoją wersję? – Northcoat przerywa notowanie i unosi wzrok.

– No tak, a John dowiedział się o tym, kiedy go aresztowali.

– Czyli w tym krótkim czasie, odkąd stracił ją z oczu, wymyśliła sposób, żeby odpowiedział za wszystko: przekonała policję, że ją porwał, przetrzymywał, gwałcił i torturował, a kiedy nieoczekiwanie pojawiła się jego żona, to on ją zabił?

– W skrócie tak to można ująć. Ale proszę nie zapominać, że poszukiwania zaczęły się wcześniej. Ci dwoje nic o tym nie wiedzieli – odgradzeni od świata na tym pustkowiu, bez telewizji, radia, gazet – ale Spencer zadzwonił na policję, kiedy Sarah nie wróciła do domu, więc od początku wszyscy myśleli, że została porwana. Kiedy John odwiózł ją do Londynu, szukano już jej w całym kraju. – Pani Pepper próbuje przez chwilę odgadnąć wiek Felicity Northcoat. – Pewnie pani jest za młoda, żeby to pamiętać.

– Ależ skąd, doskonale pamiętam, zaczynałam wtedy jako dziennikarka, a jej twarz... to była jedna z tych twarzy, które trudno zapomnieć. Ta historia świetnie się sprzedawała, Sarah jako domniemana ofiara porwania od początku budziła współczucie czytelników.

Pani Pepper kiwa głową.

– A sama miała gdzieś, że jej chłopak i rodzina niepokoją się o nią, bo nie raczyła ich zawiadomić, gdzie jest. Moim zdaniem to chyba mówi o niej wszystko. Egoizm to stanowczo za małe słowo.

– Co, nikomu nie powiedziała, że wyjeżdża? – zdumiewa się Felicity Northcoat.

– Na pewno nikomu, przecież wtedy by jej nie szukali, prawda?

– Co więc zamierzała zrobić po powrocie? Oznajmić wszystkim, że była u kochanka? Że rzuca Spencera?

– Nie mam pojęcia, jakie były jej dalsze plany, ale John nie miał zamiaru zostawiać żony. A to wszystko... – pani Pepper wskazuje dłonią polaroidowe zdjęcia – nie sędzę, żeby sobie uświadamiał, w co się naprawdę pakuje.

– Rzeczywiście, chyba sobie nie uświadamiał. Na szczęście dla Sarah, oczywiście, jak się okazało – mówi dziennikarka, układając w głowie teorię. – Można by przypuszczać, że szczegółowo zaplanowała od początku... załatwić żonę, mieć Johna tylko dla siebie... chociaż – dodaje pod nosem, unosząc do ust szklankę – nie mam bladego pojęcia, dlaczego ta wariatka myślała, że uda się jej uniknąć kary i zatrzymać go przy sobie.

– Możliwe. – Pani Pepper słyszy tylko pierwszą część tego, co powiedziała Northcoat. – Wcale bym się nie dziwiła.

– Sarah zdawała sobie sprawę, że nikt oprócz Johna nie zaprzeczy jej wersji. Jego żona nie żyła, więc na pewno nikt nie wiedział o ich związku – podejmuje swoją myśl dziennikarka. – No i nie zapominajmy, że Sarah miała pełno ran i siniaków po ich sadystycznych... – zerka na twarz pani Pepper, szukając

łagodniejszego słowa – ...breweriach.

– Rozumie pani już, dlaczego mój syn nie miał najmniejszych szans?

– Rozumiem. Naprawdę przerażające. Wszystko od początku do końca zostało ukartowane. – Gładką tafłę czoła Felicity Northcoat przecina zmarszczka. – Trzydziestokilkuletni adoptowany syn pracowników wesołego miasteczka kontra piękna, dobrze wychowana dziewczyna z klasy średniej. Pamiętam, co pisały gazety, sama maczałam w tym palce – niewiele było trzeba, żeby przekonać ludzi, że ją porwał i robił z nią to wszystko, o czym opowiadała.

Obie kobiety spoglądają na siebie w ciszy, która zapada między nimi ciężka jak kotwica.

– Ale to... – odzywa się po chwili dziennikarka, wskazując fotografie na stoliku. – Wystarczy, żeby ją zdemaskować. Zobacz pani, to obnaży wszystkie jej wymysły. Oczyszcimy z zarzutów pani syna i udowodnimy, że został niesprawiedliwie skazany, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. – Northcoat nachyla się nad stolikiem. – *À propos* – dodaje przeciągłym szeptem. – Wie pani może, gdzie Sarah teraz mieszka?

Zamyślona pani Pepper waha się przez chwilę; na jej ustach pojawia się nikły uśmiech.

– Och, tak... wiem, gdzie jest. Sama ją tam wysłałam.

– Pani? – Zaintrygowana Northcoat pochyła się jeszcze niżej. – Jakże to pani zrobiła?

– To ja znalazłam jej nowy dom. Stodołę, w której teraz mieszka. Wiedziałam, że spodoba się jej od pierwszego wejrzenia. Czasem naprawdę życie dziwnie się układa, bo sama mieszkałam tam w dzieciństwie.

– Sama pani tam mieszkała? Bardzo ciekawe. Gdzie to było, pani Pepper?

– Proszę, kochana... proszę mi mówić Beth.

Jennifer opróżnia zmywarke w towarzystwie włączonego radia. Widząc resztki jedzenia między zębami widelców, tłuste plamy na talerzach i ciemne obwódki po kawie w kubkach, już wie, że źle włożyła naczynia. Że źle odmierzyła proszek albo włączyła niewłaściwy program. Wzdycha ciężko, po czym pochyła się i z przygnębioną miną zaczyna ładować z powrotem to, co zaczęła wyjmować.

Mr Tambourine Man w wykonaniu The Byrds przywołuje wspomnienie Donalda. Tamten pierwszy raz, kiedy przysunął się, by ją pocałować. Siedzieli w jego jasnoniebieskim fordzie capri i słuchali w radiu Boba Dylana. „Posłuchaj, to świetne” – powiedział. Ostentacyjnie podkreśliła głośność, zmuszając się do zainteresowania i czując, jak przy każdym ruchu rajstopy, do których była nieprzyzwyczajona, drażnią jej skórę, wzmagając i tak już napiętą atmosferę. Osiemnastoletnia Jennifer o czarnych jak smoła oczach, z zasłoną długich czarnych włosów, za którą lubiła się chować. Na tyle dorosła, aby chodzić na wybory, aby jawnie pić w pubach. Aby się upijać. Miała do tego skłonność w ciągu tych uroczych tygodni, gdy poznawała Donalda D’Villez. Kiedy jego widok zapierał jej dech w piersiach, bo wydawał się jej do złudzenia podobny do jej przystojnego idola Billy’ego Fury w filmie *That’ll Be the Day*. Kiedy wciąż zdumiewała ją i fascynowała jego jasnoblond czupryna, przez którą przeciągał palcami, a ona ani drgnęła.

Czy tamtego wieczoru też za dużo wypila? Siedziała obok niego w samochodzie z opuszczonymi szybami i patrzyła w londyńskie niebo. Gdzie zamiast firmamentu gwiazd, który opisywał głosem kogoś znacznie starszego – drzemiącego w nim badacza – mrugały tylko czerwone i zielone światełka džambo dżetów. Opowiadał jej, tej nowej Jennifer – bo tak się czuła, pachnąc jak sałatka owocowa, kiedy przed wyjściem spryskiwała włosy perfumami Charlie swojej siostry – o białych smugach malowanych przez samoloty na szerokim niebie, które jako chłopiec oglądał z farmy ojca. I o tym, jak pragnął polecieć do Wielkiej Brytanii. Bo idąc za koniem zaprzęgniętym do pługów i pracując na polach wysokiej pszenicy, wyobrażał sobie, że wszystkie te odrzutowce zmierzają do Wielkiej Brytanii. Do kraju, który pokazano mu na mapie świata w wyłożonej drewnem klasie. Małą wyspę o nierównych brzegach, wyciętą z błękitnej połaci morza, gdzie działo się wszystko, co najważniejsze.

Wtedy Donald ją kochał. Rozkwitającą młodą kobietę. Gdy po stracie matki tylko część jej serca stała się nieczuła, a reszta wciąż była wrażliwa i do wzięcia. Nie interesując się już robieniem rzeczy, które sprawiały przyjemność ojcu i nauczycielom, Jennifer chciała studiować Donalda i dzięki pilnej obserwacji odkryła, że jego czoło załamują zmarszczki niechęci, kiedy opowiada o swoim dzieciństwie w Kanadzie. Ledwie słyszalny śpiewny ton w jego głosie, gdy go poznała, pozwolił jej odróżnić jego akcent od wymowy Amerykanów i nigdy się nie mylić, w przeciwieństwie do innych, kiedy słyszeli Donalda. Odkryła też, że w chwilach zdenerwowania dostaje czkawki, która wstrząsała jego szczupłym ciałem, kiedy przytulała go mocno do siebie i próbowała złagodzić konwulsyjne staccato, by w nagrodę zobaczyć olśniewający uśmiech gwiazdy filmowej.

Zaczęła spędzać noce poza domem. Jeździli po mieście jego samochodem, parkowali w Hampstead Heath, aby razem oglądać jaśniejący horyzont. W godzinie, w której odzywają się ptasie trele, a lisy zapadają w swoje nory, zanim reszta świata się obudzi.

Nauczyciele zaczęli odciągać ją na bok po apelu, dopytując się, czy nic jej nie jest, skąd te fioletowe cienie pod oczami i czy to prawda, że panna Phillips przyłapała ją, jak drzemała na lekcji francuskiego. To była prawda. Przestało ją interesować, co oświata ma jej do zaoferowania. Chciała znać tylko wnętrze Donalda i jego samochodu, nie podręczników do geometrii i piórników. Kilkunastoletnia Jennifer wsuwała się do zimnej pościeli i wstrzymywała oddech, nasłuchując odgłosów w domu i upewniając się, czy nie zauważono jej powrotu, i spędzała ostatnie minuty przed dzwonkiem budzika, czując na skórze zapach Donalda. Czy w ogóle spała w te upojne dni 1973 roku? Jeżeli tak, to tylko przez krótkie chwile. W autobusie w drodze do szkoły, w ostatnich ławkach w klasie, w fotelu, zanim wstawała, aby przygotować się przed następnym spotkaniem z Donaldem.

– Spodziewałem się czegoś lepszego. – Tylko tyle miał do powiedzenia ojciec, trzymając w ręku jej świadectwo maturalne. Nigdy nie była pewna, czy chodziło mu o jej oceny na zakończenie szkoły średniej, czy o wiadomość, którą przekazała mu pewnej niedzieli podczas lunchu, że ona i Donald chcą się pobrać.

Kiedy w tle zaczynają się wiadomości, Jennifer uświadamia sobie, że szafki są puste i nie mając z czego napić się kawy, musi wydobyć z górnej półki swojej najnowszej zmywarki Smeg białą czarękę z kostnej porcelany i umyć ją ręcznie. Informacja, którą podaje głos prezentera BBC 2 przebijający się przez szum wody, każe jej zakręcić kran... „Policja hrabstwa Somerset postawiła czterdziestodwuletniej kobiecie zarzuty zabójstwa Issy Lake, Wendy Denny i Pauline Keene”... Jennifer wyciska za dużo płynu Fairy na ściereczkę i piana wymyka się spod kontroli... „Beverley Crane z Westburn-on-Sea, zatrudniona w Domu Opieki Pines w mieście... znana w okolicy jako Punk Bev... w poniedziałek stanie przed Sądem Koronnym w Bristolu”... niedokładnie splukuje płyn, myśląc o czymś innym... „Łączymy się z naszym korespondentem, który od października śledzi przebieg tej sprawy”... Kiedy zaparza kawę, upragniona filiżanka średnio palonej arabiki ma smak pachnących chemikaliów. Faj, wylewa kawę do zlewu, wyłącza radio. Zwróćcie mi panią Pepper, wzdycha, spoglądając na gruzowisko, w jakie zmieniła się kuchnia. Zupełnie sobie nie radzi; nie jest przyzwyczajona, by robić cokolwiek dla siebie, przynajmniej w domu.

Wolnym krokiem wychodzi na korytarz i przysiadła obok telefonu. Jeszcze raz czyta liścik, który cały czas stoi na mahoniowym blacie stolika. Od Alice z wiadomością, że za tydzień i jeden dzień przylatuje na Heathrow. Postanowiła złożyć jej wizytę, kiedy Jennifer zadzwoniła do niej przed kilkoma tygodniami z pytaniem, czy może jest u nich Sarah. Jej telefon najwyraźniej ją zmartwił. „Nie widziałyśmy się zdecydowanie za długo, mówi zamaszyste pismo, mamy sobie tyle do powiedzenia”. Rzeczywiście. Kiedy zmarł Donald, Jennifer nie zawiadomiła swoich sióstr, nawet tej ulubionej. To z powodu jego stanowczego sprzeciwu wobec Kościoła katolickiego, z którym nie chciał mieć nic wspólnego za życia i po śmierci, wysłała kartki z wiadomością o jego śmierci dopiero wiele tygodni po pogrzebie. I choć w krematorium nie było prawie żadnych żałobników, nie przysłano niemal żadnych wieńców i kartek z kondolencjami, to siedząc z Sarah na początku rzędu pustych twardych krzesel, cieszyła się, że nikt z jej rodziny tego nie ogląda. Wyłożona sosnowym drewnem sala z wysokim szklanym sufitem miała w sobie tyle godności i powagi co wiejska świetlica. Pozbawione wizerunków Chrystusa i Matki Boskiej wnętrze kłóciło się ze wszystkim, na czym zbudowała całe swoje życie. W jej głębokim przekonaniu wszystkie poronienia i martwo urodzone dzieci to kara za to, że ich małżeństwo nie zostało pobłogosławione przez Kościół katolicki. Że zgodziła się na ślub cywilny i nikt nie poprowadził jej do ołtarza. Minęły lata, zanim ojciec się do niej odezwał, kategorycznie odmawiając uznania Donalda za zięcia, dopóki śmierć nie zajrzała mu w oczy. Niewiele brakowało, by Jennifer została wydziedziczona i nigdy nie mogłaby poznać takiego pięknego domu jak ten i takich pięknych mebli. Nawet przy wysokiej pensji Donalda, a potem emeryturze z Rowntree ich finanse nie pozwoliłyby jej żyć w tak luksusowym otoczeniu. Nie

mogła podjąć żadnej pracy zarobkowej, a wychodząc za mąż w wieku osiemnastu lat, straciła szansę, by pójść do college'u. Tak, mówi do twarzy w lustrze naprzeciwko, upór Donalda mógł ją naprawdę sporo kosztować.

Jennifer zakłada nogę na nogę i szeleści nylonem pod tweedową spódnicą w zupełnie innej atmosferze niż wtedy w samochodzie Donalda. Przewraca strony oprawionego w skórę notesu z adresami. Pani Pepper. Pani Pepper. Gdzieś ty się podziała? Zna na pamięć ten numer, pod który wielokrotnie dzwoniła w ciągu kilku ostatnich dni. Mimo to chce się upewnić, więc odczytuje na głos każdą cyfrę, naciskając odpowiedni klawisz w telefonie.

Rozlega się sygnał. Sześć, siedem, osiem razy. Nic. Jennifer stuka w czerwony symbol telefonu i odkłada słuchawkę. Jak mało o niej wie, myśli znowu. Jak niewiele szczegółów o swoim życiu zdradziła jej ta kobieta, a jej nigdy nie przyszło do głowy, by ją wypytywać. Przez te wszystkie lata przychodziła tu, krzątała się po domu, milcząc jak duch. Jennifer ma wrażenie, jakby dostrzegła jej lekko pochyloną sylwetkę, cień ściereczki wycierającej kurz z blatów w salonie. Człap, człap kapci na dywanie. Dźwięk, który potrafił doprowadzać ją do szału. Przed którym musiała tyle razy uciekać. Chciałaby go teraz usłyszeć. Posłuchać znajomego skrobania w schowku pod schodami, terkotu rozwijanego kabla odkurzacza, szsz, szsz sprayu do pielęgnacji mebli. Zawsze przed wyjściem szukała Jennifer, żeby się pożegnać, a na jej pokaznym biurku stale można było dostrzec odrobinę okruchów. Czy Jennifer naprawdę tak bardzo to przeszkadzało? Gdyby nie traktowała jej tak surowo, kobieta nie musiałaby ukradkiem sięgać od czasu do czasu do puszki z ciastkami. Obawiając się, by nie zdradziło jej skrzypnięcie gumowej obwódki na wieczku. Wszystkie przyjaciółki Jennifer zatrudniały osoby do sprzątania i pozwalały im rządzić w domu. Pozwalały im brać z lodówki, co tylko chcieli, twierdząc, że kiedy zaspokoją apetyt, lepiej pracują. Ona nigdy nie zaproponowała pani Pepper nawet kanapki, choć czasami kobieta spędzała u niej cały dzień. Może, może – to słowo towarzyszy Jennifer przez całe życie. Ale może nie powinna być tak niemila. Gdyby traktowała ją lepiej, kto wie – może pani Pepper nie zabrałaby tych zdjęć, może by się zaprzyjaźniły.

Dzwoni telefon. Może to pani Pepper. Jennifer chwyta słuchawkę tak gwałtownie, że brylant pierścionka stuka w twardą jak szelak obudowę.

– Halo? – rzuca ostrym tonem, czekając, aż rozmówca się odezwie.

– Halo? – Kobięcy głos brzmi pogodnie i radośnie. Jennifer natychmiast się jeży, przypuszczając, że to kolejny marketingowy telefon na temat ocieplania budynków. – Czy rozmawiam z panią Jennifer Deevillers?

– D-Vil-lez – poprawia ją zirytowana Jennifer. – Owszem, rozmawia pani.

– Dzień dobry – ciągnie głos z niewzruszoną beztróską. – Mówi Felicity Northcoat.

– Tak? – przerywa jej Jennifer, nie znając tego nazwiska. – W jakiej sprawie pani dzwoni?

– W sprawie wywiadu, pani Deevillers. – Prośba jest jasna i prosta. – Pracuję w „Daily Mail”. Uzyskaliśmy nowe informacje na temat Johna Blundella i pani córki. Nie zostały jeszcze potwierdzone, ale dla pani własnego dobra powinna pani z nami porozmawiać, zanim prześlemy je policji...

Jennifer odsuwa słuchawkę od ucha, warczy coś w odpowiedzi i z rozmachem ciska ją z powrotem na widełki.

Telefon znowu dzwoni. Odbierać? Nie odbierać?

– Proszę pani, mówiłam, że nie udzielam wywiadów, ile razy mam pani...

– Pani D'Villez – przerywa jej męski głos. – Mówi Derek Barnes.

– Och, przepraszam, Derek, dzień dobry. – Oddycha z ulgą i rozjaśnioną twarzą.

– Mam bardzo dobrą wiadomość, pani D'Villez. Znalazłem ją. Znalazłem Sarah.

Daia znajduje Dilys Roberts. Przychodzi nazajutrz rano z różowym talerzem we wzorki pełnym słodkości, które pocą się pod szczelnym foliowym przykryciem. Wita go wołaniem, tryskając wiosenną energią.

– Dai? – szczebiocze wesoło. Przekrzykuje rozćwierkane wróble, które choć przez cały rok trzepoczą się w pnączach wiciokrzewu przy Bwthyn Dewen, od kilku dni śpiewają naprawdę radośnie. Wyobraża sobie przez ulotną chwilę, że reagują w taki sam sposób jak ona na jasne pędy zieleni, które pojawiły się na wiciokrzewie.

– Dai?

Żadnej odpowiedzi. To wcale nie takie niezwykle, Dilys szeroko otwiera drzwi, spodziewając się, że zobaczy go przy śniadaniu, z kubkiem herbaty w jednej ręce i pełnoziarnistą grzanką z dżemem w drugiej.

Zbija ją z tropu widok piżamy. W zabawne kolorowe prążki. Przypomina płótno leżaków nad morzem, które pamięta z wakacji w dzieciństwie. Co on może robić nieubrany i boso? Przecież tu strasznie zimno. Dlaczego leży na brzuchu na dywanie? Dilys z niedowierzaniem patrzy na jego rozczapierzone dłonie wyciągnięte nad głową i dochodzi do wniosku, że pewnie upadł w trakcie tańca. To całkiem możliwe. Ciągłe tańczyli z Elsie. Dilys patrzyła na nich przez okna, jak płasali w tym pokoju przy muzyce ze starych płyt na siedemdziesiąt osiem obrotów, i zazdrościła im uczucia. Pewnie potknął się o nogawki piżamy, wydają się o wiele za długie, myśli, próbując sobie wytłumaczyć tę scenę. Tylko czemu nie słyszał muzyki? Zerka na gramofon. Chyba się myli, przecież widzi, jak nieruchomo leży.

– Przestań, Dai, wiem, że lubisz sobie żartować, ale zaczynam się bać – no, wstawaj, skończ te wygłupy. – Podchodząc do niego powolutku i ostrożnie, zauważa, jaką ma ziemistą twarz. Zazwyczaj różowa cera przybrała jasnoliliową barwę. I krew, na której widok Dilys nie może uwierzyć, że nie dostrzegła jej od razu.

Jej plamy są wszędzie, z tyłu na łydkach, na sterczących w górę piętach. Czernieje i krzepnie. Wypełnia powietrze metalicznym oparem. Lepka piżama całkiem nią przesiąknęła. Nagle Dilys widzi, że jest przeraźliwie bezbronny, i w ciągu następnych kilku sekund z dojmującą ostrością uświadamia sobie bezwiedne ruchy własnego ciała. Czując, jak unosi się i opada klatka piersiowa, jak mrugają powieki, stoi sparaliżowana ze zgrozy i bezgłośnie porusza ustami z bezradnie opuszczonymi rękami.

Nie krzyczy, nie od razu, szok przychodzi później. Najpierw spokojnie odsuwa się o krok od sceny masakry. Podeszwy jej butów, lepkie od krwi Daia, czepiają się włókien dywanu w arabskie wzory. Sięgając po telefon, Dilys wstukuje 999 i unosi słuchawkę do ust. Kiedy prosi osobę po drugiej stronie o przysłanie karetki, brzmi dziwnie spokojnie i obco.

– Chodzi o mojego przyjaciela – mówi dobitnie, chcąc, żeby głos jej wysłuchał i zrozumiał. – Ktoś go napadł. Słyszysz mnie pani? Słyszysz pani, co mówię? Mój przyjaciel... mój przyjaciel został napadnięty... nie oddycha.

W ciągu następnych dni po powrocie do Tŷ Haf Rachel cieszy się, że postanowiła jednak nie iść na policję w Westburn. Kiedy siedziała przed komisariatem, mając w uszach opowieść April Parnell o trudnym dzieciństwie Grahama, zaświtało jej w głowie, że najpierw powinna odzyskać jasność myśli. Że musi zaparkować gdzieś samochód, rozprostować nogi, napić się kawy, coś przegryźć i spokojnie wszystko rozważyć, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Doświadczenie mówiło jej, że odruchowe reakcje nie przynoszą nic dobrego, wystarczy sobie przypomnieć, jakie pochopne wnioski wyciągnęła co do Tracy. Może się już pożegnać z nadziejami na przyjaźń z nią po tym, co insynuowała, rozmawiając tamtego wieczoru z Hywelem. Okazało się, że mężczyzna, z którym widziała ją w Llandafen, to jej brat z Bristolu. Dlaczego zawsze musi myśleć o ludziach jak najgorzej? Co mawiał Spencer? Wszyscy mierzymy innych własną miarą. Jak gdyby chciała, żeby ludzie mieli podwójne życie, doszukiwała się sekretów tam, gdzie ich nie było. Może robi to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Siedząc w samochodzie tamtego błękitnego ranka w poniedziałek, postanowiła, że bez względu na powód nie powtórzy dawnych błędów.

Kiedy zaparkowała przy promenadzie w Westburn, był odpływ i poczuła się tak samo dobrze jak kiedyś, gdy chodziła z ojcem na plażę: wiatr targał jej włosy, dmuchał prosto w twarz, smagając policzki. Oczywiście o tej porze roku nie mogła zdjąć butów, by pobrodzić przy brzegu, lecz mimo to było to tak cudowne doznanie, jak pamiętała. Później, przy bułce z bekonem i całkiem niezłej kawie, które kupiła w jednej z wykwintnych kawiarni przy morzu, usiadła na ławce, żeby spokojnie i cierpliwie wszystko przemyśleć, co jak się okazało, było słuszną decyzją.

Musi przyznać, że wcześniej nie rozumowała logicznie. Prawdopodobnie była to wina zmęczenia podróżą, pustego żołądka albo siedzenia w dusznym pokoju pani Parnell. Zdaje sobie jednak sprawę, że jej rozterki zaczęły się kilka dni przed przyjazdem do Westburn. Zaczęły się od telefonu tamtej kobiety z Domu Opieki Pines i wiadomości, jaką miała od niej przekazać Grahamowi. Siedząc na ławce pod ławicą kołujących mew i rozmyślając nad zaskakującą informacją usłyszaną od jego matki, znajduje bardzo proste odpowiedzi. Oczywiście Graham wypierał się znajomości Westburn z powodu okropnej historii swojego ojca. Miasto kryło w sobie straszne wspomnienia, od których rozpaczliwie pragnął się uwolnić. Tak naprawdę nie kłamał, po prostu nie chciał tego przyznać – kto chciałby wyjawić tak wstydliwą rzecz? Gdyby się przyznał, musiałby opowiadać o swoim wychowaniu, o karygodnej obsesji ojca na punkcie młodych dziewczyn, przecież to jasne, że jest drażliwy, myśli, wspominając incydent z gromadką skąpo odzianych pańienek w mieście.

Nie, nie miała z czym iść na policję – biedny Graham nie zrobił nic złego. Wstyd za rodzinę i pochodzenie to nie przestępstwo. Wtedy, spoglądając na połyskliwą tafłę morza na horyzoncie i popijając kawę ze styropianowego kubka, i teraz, po powrocie do swojego cudownego domu, postanowiła, że musi zrobić jedno: zadzwonić do niego, umówić się na wieczór i zapomnieć o Westburn, nie warto z tego powodu narażać ich wspólnej przyszłości. Bo jeśli Rachel jest czegokolwiek pewna, to tego, że chce z nim związać swoją przyszłość. Z Grahamem przeżywała tę samą pasję i namiętność co z Johnem – może nawet większą, lecz w odróżnieniu od Johna Graham nie miał płacziwej,

zakompleksionej żony, bo ten fakt kładłby się cieniem na ich miłości, sprawiając, że stawałaby się czymś złym i zakazanym. Tak, przynajmniej tym razem nie ma żony, której musiałaby się pozbyć – żony, którą musiałaby zabić.

Pies zaczyna szczekać. Rachel unosi wzrok i podchodzi do okien od frontu, by wyrzeć na zewnątrz przez listewki żaluzji. Na poboczu drogi stoi duży mitsubishi shogun.

– Och, Boże! – wydaje radosny pisk. – Boże, to Graham. To Graham! – Nachyla się nad merdającym Cadno i energicznie mierzwi mu sierść na głowie. – Przyjechał nas zobaczyć, dasz wiarę? Przyjechał aż tutaj, żeby się z nami zobaczyć.

Podbiega do lustra nad czajnikiem, by sprawdzić, jak wygląda jej twarz, i dodać życia włosom. Wszystko się ułoży, powtarza sobie, upojona szczęściem, grzebiąc w torebce i szukając szminki, która na pewno tam jest. Może to on cały czas tam parkował i z jakiegoś powodu wstydził się wejść. Jakie to zresztą ma teraz znaczenie? Wie, że nie powinna się nie odzywać do niego przez tyle dni, ale przecież może mu wytłumaczyć, wszystko będzie dobrze. Zależy jej tylko na tym, by byli razem. Uśmiecha się do swojego odbicia, zadowolona z tego, co widzi.

Wstrzymuje oddech i czekając na pukanie, zniecierpliwiona podbiega do drzwi. Kiedy je otwiera, serdeczny uśmiech tężeje jej na twarzy. Zamiast Grahama na progu stoi dwóch ponurych mężczyzn.

Rachel spogląda zdezorientowanym wzrokiem to na jednego, to na drugiego.

– Tak, czym mogę panom służyć?

Wyższy z nich, nie odpowiadając, sięga do kieszeni i pokazując legitymację, pyta:

– Sarah D’Villez?

Słyszając swoje prawdziwe nazwisko, w szoku nie potrafi wydobyć z siebie głosu.

– Pani Sarah D’Villez? – powtarza detektyw, a ona kiwa głową. – Przyszliśmy aresztować panią pod zarzutem zabójstwa Lindy Blundell. Nie musi pani nic mówić, ale...

Pół roku później

– Tutaj się ukrywałam, kiedy byłam mała.

Beth, mając po jednej stronie swojego syna Johna, a po drugiej Stana, swojego męża, stoi na drodze, patrząc na znajome kamienne mury Tÿ Haf. Jak pięknie wygląda z nowym dachem i ogromnymi przeszklonymi drzwiami, ciekawe, kto tu teraz zamieszka, czy jakaś rodzina, która nic nie wie o historii tego miejsca, znajdzie tu szczęśliwy dom. Słup z umieszczoną przez West Wales Properties tabliczką, na której widnieje duży napis NA SPRZEDAŻ, stoi wśród wysokich naparstnic i szeleszczącego gąszczu pierzastych wierzbówek.

W jej myśli wdziera się nagle twarz Sarah D’Villez. Twarz, która zapełnia gazety, odkąd ujawniono całą historię.

Mruży oczy i odpędza od siebie jej wspomnienie.

Już nie muszę się tobą przejmować.

Wspomina chwilę, gdy nadeszła wiadomość, że Sarah przyznała się do winy: do zabójstwa Lindy, współzycia z Johnem, do którego doszło za obopólną zgodą, i do wprowadzania policji w błąd od samego początku; nie powstrzymuje uśmiechu, który wypełza jej na usta.

Przyglądając się, jak jej syn rusza zwirowym podjazdem do Tÿ Haf, by zajrzeć do wnętrza stodoły przez wąskie szpary w żaluzji, Beth pochyla się, zginając się w pasie. Kości trzeszczą jej tak samo, jak rozchwiana drabina prowadząca na stryszek w budynku, który przed nimi stoi, ale nie zważając na to, zrywa łódkę jasnoróżowej firletki i wkłada do butonierki najlepszej marynarki Stana, a potem go całuje.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś – mówi półgłosem, gładząc go po szerokiej, opalanej dłoni, a on widzi, że jest bliska łez. – Dziękuję za wszystko.

– Chcesz, żebyśmy tam weszli i się rozejrzeli? Moglibyśmy udawać, że jesteśmy zainteresowani kupnem? – Stan uśmiecha się do niej.

– Nie. – Beth odsuwa się od niego i odwraca tyłem do przeszłości. – Chciałam tylko zobaczyć dom z zewnątrz.

Nie patrzy też w stronę zwięzającego się końca drogi. Prowadzącej do cuchnącej chałupy, która do niedawna była królestwem jej brata Idrisa, zanim nie został zatrzymany za to, co zrobił Daiowi, i osadzony w areszcie. Nie chce też spojrzeć na Cwm Glas, dom swojego dzieciństwa, z którym wiążą się wiecznie świeże wspomnienia okropności, do dziś nawiedzające ją w koszmarach. Woli odwrócić twarz w stronę szerokich, błękitnych wzgórz i rozległych pól, w nadziei, że zobaczy Daia. Piętnastoletniego Daia sprzed wielu lat, który co sił pedałuje do niej na swoim jaskrawoczerwonym rowerze.

Co sobie musiałeś pomyśleć, kiedy tak zniknęłam? Przepraszam.

I znowu wraca do niej obraz wesolego miasteczka, wir dźwięków i zapachów tamtego upalnego sierpniowego dnia. Dai poszedł kupić watę cukrową, ściskając w spoczonej dłoni resztkę drobnych. Beth

nie miała ochoty go zostawiać, ale musiała skorzystać z toalety.

– Nosisz w sobie dziecko, dziewczyno.

Tamta kobieta, Cyganka, z wycelowanym w nią groźnie palcem. Jej ogromna czarna sylwetka i żółte zęby. Zasłoniła jasny blask słońca i pograżyła ją w cieniu, pojawiając się nie wiadomo skąd. Złapała ją za przegub ręki. Sprawiała jej ból. Kazała jej słuchać.

– Nie jesteś bezpieczna, słyszysz? Nie możesz wrócić do domu. Do domu wracać niebezpiecznie. – Była tak blisko, że Beth czuła kwaśny odór jej ubrania, mdłą słodycz ginu w oddechu. – Niech ludzie stąd się tobą zajmą.

I Beth jej posłuchała. Uwierzyła w jej złowieszcze przestrogi, ponieważ wiedziała, że kobieta mówi prawdę, wiedziała, że ojciec by ją zabił, gdyby wróciła do Cwm Glass z tym, co rosło w jej ciele.

– Na pewno nie chcesz wejść? – Głos Stana wyrywa ją ze wspomnień, chcąc się upewnić.

– Nie, naprawdę – potwierdza Beth. – Skończyłam z przeszłością, teraz ważna jest tylko przyszłość. – Patrzy na niego zza okularów oczami zamglonymi ze wzruszenia, przechyla głowę i rozpromienia się w uśmiechu. – Dziękuję, że zrozumiałeś... że mi wybaczyłeś – mówi niepewnie, otaczając go mocno ramieniem. – Przyjąłeś Johna tak serdecznie, że... że...

– Johna? Serdecznie? – Uśmiecha się do niej. – Przecież to rodzina. Jak syn, którego nigdy nie mieliśmy.

– Jesteś kochany. Nie zasługuję na kogoś takiego. – Beth jest mocno poruszona jego nastawieniem. – Wiem, że powinnam powiedzieć ci wcześniej, ale tak się wstydziałam... wstydziałam się, że go oddałam... to było tak dawno, że chyba nie umiem tego wytłumaczyć. Im dłużej to wszystko trwało... wszystko się pogmatwało... trafił do więzienia... było mi za trudno...

– Cii, skarbie. – Stan przytula ją i gładzi po włosach. – Cicho. Przestań się zadreć. Już wszystko dobrze. Najważniejsze, że John jest tam, gdzie powinien – z nami. – Przyciska policzek do jej twarzy, a potem odwracają się i widzą uśmiechniętego Johna idącego ku nim wolnym krokiem.

Bez słowa ruszają w stronę, z której przyszli. Zwarte i gęste żywopłoty po obu stronach drogi huczą od pszczoł i innych latających owadów. Pozwalają dzikim odgłosom lata wypełniać przerwy w rozmowie. Każde z nich po kolei unosi głowę i widzi pikujące jaskółki. Fascynujący jest widok tych skrzydlatych gości pojawiających się z ciepłem, gdy muskają srebrzystą powierzchnię rzeki, a potem wzbijają się z powrotem w głęboki błękit nieba. Przystając na chwilę, przyglądają się ich czarnym sylwetkom, które jak kosy przecinają zielone łąki, z widocznymi tu i ówdzie wełnistymi kuleczkami puszystych i łagodnych owiec.

– Jakie to piękne miejsce – mówi John. Jego skóra zbrązowiała od słońca, którym nie może się nasycić od wyjścia z więzienia. – Dla dziecka to musiał być raj.

– Rzeczywiście, pięknie. – Beth patrzy na jego profil, wyczytując cierpienie w bruzdach, które przedwcześnie pokryły jego twarz. – Ale za daleko, byś mógł zobaczyć przywrę, zgniliznę kopyt i tłuste robaki. – John spogląda na nią pytającym wzrokiem. – To z wiersza¹⁶ – wyjaśnia, aby go uspokoić. – Napisał go ktoś, kto znał prawdziwe życie w tych stronach. Przeczytam ci później; to wyjaśni ci wszystko lepiej, niż ja bym potrafiła. – I obejmuje syna w szczupłej, silnej talii, czując jego ciepło przez tkaninę koszuli. – Wiem, że już ci to mówiłam, ale przykro mi, że mi cię wtedy zabrali. – Twarz jej drży, zapowiadając wybuch płaczu, więc Beth odwraca głowę. – Dziękuję ci, że mnie znalazłeś.

Mówi ledwie słyszalnym, słabiutkim głosem, ale John słyszy i odwraca ją do siebie, patrząc na matkę z poważną miną.

– Znalazłem cię, kiedy byłaś mi najbardziej potrzebna, i mnie nie zawiodłaś. Za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś, kiedy siedziałem... że we mnie wierzyłaś, pomogłaś mi odzyskać dobre imię, że dzięki tobie mogę zacząć wszystko od nowa. – Przytula Beth, starając się powstrzymać łzy. – To ja powinienem

ci dziękować, mamó.

Rodzina dochodzi do końca drogi, na której nie ma żadnych samochodów. Panuje głęboka cisza, zakłócana tylko przez ptasi śpiew i szelest łagodnego sierpniowego wiatru, który szumi w gęstym okapie liściastych drzew i kołysze guzikami ich ubrań. Nie ma tu nic z Londynu ani nieustannego zgiełku życia, które John znał za kratami więzienia w Full Sutton niedaleko Pocklington w East Riding of Yorkshire. Właściwie nie ma tu żadnych ludzkich odgłosów. Ich zmysły widzą w Bryngwyn miejsce jakby z innego świata, co wywołuje w nich pewien niepokój.

Na widok długiego białego domu przy skřęcie w stronę wsi Beth raptownie wciąga powietrze do płuc. Przed oczami staje jej matka Daia. Jej serdeczny uśmiech, połysk gładkich, ciemnych włosów. Jej ręce szeroko rozłożone w geście, jakim ją zwykle witała. Beth wydaje cichutki dźwięk. Wystarczy, by wzbudzić zaniepokojenie syna.

– Dobrze się czujesz, mamó? – pyta John, podchodząc do niej.

– Tutaj mieszkali rodzice Daia; tutaj się wychował. A tam wsiadaliśmy do autobusu, który nas wiozł do szkoły... – Wskazuje jakieś miejsce, po czym, jak gdyby szarpnięta przez niewidzialną nić, odłącza się od nich i rusza naprzód.

John i Stan wiedzą wszystko o Daiu, ale milczą, idąc za nią. Wyczuwają, że Beth jest teraz bardziej pogrążona we własnym świecie niż wcześniej przez cały dzień, wolą więc przyglądać się z daleka. Patrzą, jak staje przed niewielką furką z pięcioma sztachetami i wyciąga dłoń, by dotknąć resztek kwiatów wiciokrzewu, a potem idzie ładną dróżką przez ogród. Patrzą, jak otwierają się drzwi domu i w słońcu ukazuje się wysoki i przystojny mężczyzna o gęstych ciemnych włosach, by ją przywitać.

Następuje krótka prezentacja, której nie słyszą, i do ogrodu wychodzi atrakcyjna młoda kobieta z burzą blond loków na głowie, trzymając na rękach dziecko o wyglądzie cherubinka, a za nią wyskakuje pies o bujnej czarno-białej sierści i z roziskrzonym wzrokiem merda ogonem, domagając się uwagi.

– Wejdźcie... wejdźcie! – woła do nich obu mężczyzna z lekkim australijskim akcentem, kiedy z wahaniem stoją przed furką. – Dzień dobry, jestem Anthony. – Podchodzi naprzód, wyciągając rękę. – Ty na pewno jesteś Stan. – Energicznie ściskają sobie dłonie. – To moja żona, Merrill, a to maleństwo to moja córeczka, Seren. Mamy sobie tyle do opowiedzenia. Ale przyznam szczerze, że odkąd w zeszłym tygodniu zadzwoniła Beth, a my powiedzieliśmy tacie, że przyjedziecie, jest taki przejęty, że nie mówi o niczym innym.

John ociąga się, trzeba go zachęcić, by wszedł do pełnego ptaków ogrodu.

– Wejdź, proszę... – zaprasza Anthony. – Tata nie może się doczekać, żeby cię poznać.

John podchodzi, jeszcze się wahając, i przystaje, żeby skubnąć czubek nosa kciukiem i palcem wskazującym. Anthony rozpoznaje w tym geście swój własny nawyk.

Swój i swojego ojca.

Spis treści

[Pięćdziesiąt lat wcześniej](#)

[1. Współczesność](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)
[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[Pół roku później](#)